NOWY DZWONEK

pismo ludowe.

WYDAWCA I REDAKTOR:

Ks. Marceli Dziurzyński.

TOM V.

(Za rok 1896).

W KRAKOWIE;
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1896.

NAKŁADEM WYDAWCY.

Spis rzeczy tomu V.

(Za rok 1896).

Powieści, opowiadania, życiorysy i przykłady.

Artykuły różnej treści.

Wiersze.

Ryciny (obrazki).

Rok IV. Kraków 1 Stycznia 1896. **Nr I.**



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi** rocznie: **1** złr. **50** ct. półrocznie: **75** centów. *Kwartalnej* przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1** dolar.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi raz w miesiącu — dnia **1**-go.

Każdy, kto złoży z góry **całoroczną** prenumeratę, otrzyma **bezpłatnie,** jako premię **„Kalendarz“** na rok bieżący 1896.

Od redakcyi!

Wszystkich, którzy ten I-szy numer *Nowego Dzwonka* otrzymali **na okaz**, a chcą nasze pismo prenumerować, prosimy, **aby przy nadsyłaniu prenumeraty nadmienili nam, że już ten I-szy numer posiadają.**

Zwrotu tego numeru nie żądamy, kto jednak chce otrzymać numer następny (2-gi) i dalsze, ten niech raczy jak **najwcześniej** nadesłać prenumeratę.

Raz na zawsze zaznaczamy, że *Nowy Dzwonek* **przesyłamy tylko tym, którzy przedtem zań zapłacą**, czyli z góry złożą prenumeratę! Kto przeto do końca stycznia b. r. przedpłaty nie nadeśle, ten następnego (2-go) numeru nie otrzyma!

„Kalendarz“ już jest wydrukowany i zaczniemy go rozsyłać z wszelką pewnością z początkiem **stycznia** b. r. tym, rozumie się, którzy już złożyli prenumeratę **całoroczną.**

Z Nowym Rokiem przesyłamy wszystkim naszym Czytelnikom: »Szczęść Boże. — Błogosław Boże« Wam, i nam i naszej pracy dla dobra wspólnego!

Redakcya.

Szczęść Boże!

Szczęść Boże, Bracia! rok nowy idzie,
Każdy z tęsknotą go czeka,
Może niejeden zapłakał w biedzie,
Bo któż od nieszczęść zdaleka?

Co nam przyniesie? — każdy się pyta —
Co nam zostawi w tem życiu?
Któż to odgadnie, gdzie to wyczyta?
Wszystko przed nami w ukryciu.

Życie to nasze, jak morskie fale.
Czy dola smutna, czy błoga,
Pracujmy szczerze, chętnie, wytrwale,
A resztę zdajmy na Boga.

Maleńki Jezu narodzony w żłobie,
Racz błogosławić w tym roku,
Smutki, niedole ofiarujem Tobie,
O łaski prosim z łzą w oku.

O Jezu Chryste, wiesz, co nam potrzeba,
Ty, który jesteś mądrością!
Daj nam do syta w tym roku chleba
I natchnij wszystkich prawością.

Błogosław wszystkim nam, o to błagamy
I serca wznosim do Ciebie,
Niechaj rozpaczy nigdy niezaznamy,
O Boże wieczny na niebie!

Jak się ludzie po wsiach leczą.

Niema człowieka, któryby się nie chciał uchronić przed chorobą, lub któryby w czasie choroby nie używał wszystkich środków, mogących przywrócić mu zdrowie.

Nie wszyscy przecież ludzie w jednakich źródłach szukają sposobów usunięcia choroby.

Jak w chwili nieszczęścia lub niepowodzenia jedni szukają w kieliszku ulgi na swoje strapienie, a drudzy przeciwnie przez wytrwałą pracę starają się usunąć złe, tak samo dzieje się i w leczeniu chorób.

Jedni w razie choroby *u kogokolwiek* szukają porady na swe cierpienia, drudzy, zaś, a ci są mądrzejsi, wierzą, że tylko ten

może im dobrze poradzić, kto doskonale zna wewnętrzny ustrój ciała, kto zna każdą jego żyłkę, jej drganie i uderzenie, kto zna przeznaczenie i właściwości najmniejszej błonki, krwi, soków, jakie są w ciele i t. d. Taką zaś znajomość mają tylko prawdziwi lekarze, którzy na to uczyli się przez długie lata w szkołach.

Często można słyszeć między ludźmi takie zdanie: »powiedz mi bracie, z kim poprzestajesz, a ja ci powiem coś ty za jeden«. Niektórzy stosują to zdanie i do tych, którzy zasięgają różnych rad w chorobach. Jeżeli człowiek w czasie choroby udaje się do znachorów, wróżów, owczarzy, bab — to o takim mówią, że nie wiele on ma oświaty, skoro powierza swe zdrowie ludziom ciemnym a nieznającym się na niczem.

Skoro zaś człowiek szuka w chorobie pomocy u prawdziwych uczonych lekarzy, to o takim się mówi, że to człowiek mądry i oświecony. Wielka w tem prawda.

W naszym kraju dziś niestety więcej jest takich ludzi, którzy nie wchodzą w to, że sztukę leczenia zna tylko ten, kto się jej uczył, a nie pojmując tego, używają do zwalczenia choroby najdziwaczniejszych lekarstw, podanych im przez pierwszą lepszą babę, owczarza, znachora i t. d., a powtóre nie potrafią odszukać *istotnej przyczyny* choroby.

Że ludzie nieoświeceni nie potrafią poznać istotnej przyczyny choroby, na to mamy codzień mnóstwo dowodów. Niech się na przykład zdarzy choroba wnet po jakiejś kłótni z sąsiadem, to już powstanie tej choroby przypisują owi ludzie albo zemście, albo zawiści swego nieprzyjaciela, nieraz chwilowego, i mówią: »zadał mi« — zadała mi« — »uroki dała memu dziecku« i t. p.

Dość jest nieraz przy wiejskiej kobiecie pochwalić urodę jej dziecka, a ta kobieta, będąc nieoświeconą, zaraz tę pochwałę weźmie za przyczynę choroby, gdy przypadkowo dziecko wnet potem zasłabnie.

»Dziecko dostało uroków« — powie sobie i do drugich, a kumoszki natychmiast biorą się do odczyniania uroku. Wymawiają wiec tajemnicze wyrazy, dziwnie nieraz machają rękoma, okadzają, zaklinają, a czasem spluwają, mówiąc: »na psa urok«. A niechno — powiadają — ktoś na tę ślinę nastąpi, już na niego przyjdzie choroba dziecka. A dziecko choruje mimo to dalej, bo chorobę spowodowały nie uroki, lecz przeziębienie, zapalenie płuc, przeładowanie żołądka, lub coś podobnego.

Bywa przecież i tak, że choroba nie da się przypisać »urokom«; wtedy troskliwe matki utrzymują stanowczo, że to musi być przesunięcie, opuszczenie ciemienia, lub tym podobne zboczenia wątlutkiego ciała. Więc mierzą dziecinę we wszystkie strony, wyciągają mu każdy jego stawek, potrząsają niem i za-

dają mu tysiączne udręczenia i męki dlatego jedynie, że nie potrafią poznać istotnej przyczyny choroby, spowodowanej zazwyczaj, jak wspomnieliśmy wyżej — przeziębieniem, złem jedzeniem, brudem i t. p., a lekarza prawdziwego poradzić się nie chcą.

W wieku dojrzałym więcej się przytrafia człowiekowi chorób, ludzie też więcej mają na nie nazw przedziwnych i jakby stanowiących istotę choroby. Więc powiadają wtedy, że kołtun, zapalenie krwi, kolki, róża — męczą człowieka, choć niedomaganie zupełnie od czego innego powstało i na czem innem polega.

Jak bardzo prędko ludzie prości i bez zastanowienia się określają swoje choroby, tak też prędko i bez żadnego namysłu przyjmują na nie różne leki.

Gdy więc przypadną kolki, zaziębienie, kaszel, darcie, zapalenie — na wszystko jednaki zażywa się lek: bańki cięte. Stawiają ich zaś tyle, ile im się na razie wydaje konieczne, albo na ile ich stać pieniędzy, i tym sposobem idzie na marne zdrowie ludzkie.

Nieraz zdarza się widzieć człowieka mającego suchoty, cierpiącego na brak krwi, który jednak każe sobie stawiać bańki i sam pozbywa się resztek krwi i życia.

Inni znowu każą sobie puszczać krew przez nacięcie żyły, i płacą umyślnie drożej, aby im więcej krwi wypuszczono. Nie wiedzą tacy biedacy, że krew ma w sobie żywność dla całego ciała; pozbywając się więc jej, marnujemy swe zdrowie tak samo, jak się niszczy drzewo przez wypuszczenie zeń soków. Tylko uczony lekarz może określić kiedy, ile, i z którego miejsca krew należy ściągnąć.

Opowiedzieliśmy tu pokrótce jak ludzie nieoświeceni, nie umiejąc dojść prawdziwej przyczyny tej lub owej choroby, używają najniewłaściwszych leków. Drugim razem opowiemy, jak znachory, owczarze i baby leczą, jakie przepisują lekarstwa i czy one mogą skutkować. *M.*

O dawnych Słowianach — przodkach naszych.

Co to za lud? — Zkąd się wzięli w Europie i kiedy przybyli. — Jakie były ich urządzenia w rodzinie. — Jaki mieli charakter i przymioty osobiste.

Naród *polski*, do którego należymy, jest *częścią* jednego wielkiego plemienia ludzkiego, które się zowie **Słowianami.**

Słowianie stanowią po dziś dzień jedno z największych plemion, a zamieszkują ogromne przestrzenie ziemi, ciągnące się **od**

zachodu północnego między morzem Bałtyckiem, aż na wschód do morza Czarnego, od południa między górami Tatrami, aż po za rzekę Wołgę na północ. Cała ta masa ludu jest *ludem słowiańskim*, liczącym przeszło 50 milionów dusz.

To ogromne plemię rozpada się na kilka szczepów, między któremi są jedne większe i znaczniejsze, a drugie pomniejsze. Do znaczniejszych między Słowianami szczepów, należą; 1) *Polacy*, 2) *Czesi* i 3) *Rusini*. Do pomniejszych zaś ludów słowiańskich liczymy *Słowaków*, mieszkających w dzisiejszych Węgrzech, Morawian, Serbów i Kroatów.

W dawniejszych wiekach było takich szczepów daleko więcej, a brały one dla siebie nazwy już to od pochodzenia, już od miejsca, na którem przebywały, już też od gór, lasów i rzek.

I tak naprzykład: około IX wieku po narodzeniu P. Jezusa daleko od nas na północ nad jeziorem Ilmenu siedzieli *Nowogrodzanie*, do których należał Nowogród Wielki; koło Połocka siedzieli *Połoczanie*. Za Dnieprem byli *Radymiczanie*. Po obu stronach Karpat mieszkali *Chrobatowie* (gdzie dziś Kraków); nad rzeką Morawą mieli siedliska i mają *Morawianie*, a nad Mołdawą osiedlili się *Czechowie*.

Dalej na zachód, gdzie dziś mieszkają Niemcy, mieszkali dawniej również Słowianie. Naprzykład nad rzeką Odrą żyli *Wilcy* czyli *Lutycy*, koło morza Bałtyckiego mieszkali *Obotryci*. W środku zaś ziem słowiańskich koło Wisły rozciągały się plemiona *Lechów* czyli *Lachów*, do których należeli; *Pomorzanie*, *Kujawianie*, *Mazowszanie* i *Polanie*, a koło Wrocławia *Szlązacy*.

Jedne z tych szczepów zawojowane zostały bardzo dawno przez Niemców i po części wyginęły, inne połączyły się dla wspólnej obrony razem i tak powoli na wierzch wypłynęli: Polacy, Rusini i Czesi.

Jesteśmy więc Słowianami, a skoro tak, to powinno nas interesować, zkąd i kiedy ci nasi przodkowie przybyli, jak oni żyli i dlaczego ich tak, t. j. »Słowianami« nazwano.

Zacznijmy od tego ostatniego pytania.

Jakkolwiek lud ten był rozdrobiony na liczne szczepy, mimo to wszystkie te szczepy uważały się jakby za członków jednej wielkiej rodziny, a mając mowę dla wszystkich zrozumiałą i wspólną, powiadali, że mają »słowo«, tymczasem zaś wszystkich cudzoziemców, że ich nie mogli zrozumieć, nazywali »niemymi« czyli Niemcami.

Kiedy Słowianie i zkąd tu przybyli, gdzie dziś mieszkają, to napewno i dokładnie wiadomem nie jest, bo działo się to bardzo dawno, na kilka jeszcze wieków przed narodzeniem P. Jezusa. Starożytni greccy i rzymscy pisarze nazywali ich wtedy »Sarma-

tami«. Inni atoli historycy twierdzą, że Słowianie przybyli tu dopiero w czterysta lat po narodzeniu P. Jezusa, a w dwieście lat później, czyli w wieku VI, zaczęły się pojedyncze szczepy łączyć w większe pokolenia.

Nie jednakowe także są zdania co do tego, zkąd Słowianie do Europy przybyli. Jedni powiadają, że z krain daleko na Wschodzie po za Ziemią świętą, lub koło niej leżących, to jest z Chaldei lub Fenicyi, a inni wreszcie że aż z Indyj. Za tem ostatniem to ma przemawiać, że język słowiański z pomiędzy wszystkich języków europejskich ma największe podobieństwo do staroindyjskiego czyli jak go dziś nazywają »sanskryckiego« języka. Są i tacy, którzy powiadają, że Słowianie przyszli do dzisiejszych swoich siedzib zaraz po rozprószeniu się ludzi po świecie, to jest od budowy wieży Babel. Ale to się nam nie wydaje prawdziwem.

Od najdawniejszych czasów narody słowiańskie rządziły się samowładnie. Kraj przez nich zamieszkany, był w owych wiekach, zwłaszcza tu, gdzie dzisiaj Polska, zasiany niezliczonemi jeziorami i moczarami. Ludność mieszkała przeważnie w puszczach, nieliczna i rozrzucona, a żywiła się z myśliwstwa, rybołostwa, chowu bydła, a po części z rolnictwa.

Ludzie ci nie łączyli się z początku w żadne wsie lub osady, lecz każdy w odstępie leśnym zakładał sobie osobne domostwo, karczował na około las i uprawiał kawałek pola w ten sposób uzyskanego z pomocą swej rodziny, która z nim mieszkała, oraz z pomocą czeladzi i niewolników, których kupił lub zdobył na wojennej wyprawie.

Własności gruntowej nie było u nich, ani dziedzictwa osobistego. Lasy, pastwiska, łąki a nawet i pola, uważali za wspólną własność należącą do całej osady.

Najstarszy syn obejmował po ojcu rządy w rodzinie, młodsi zaś albo przy nim zostawali, albo z częścią dobytku przenosili się opodal i zakładali domostwa. Związki rodzinne, władzę ojcowską szanowano bardzo, ale gmin wiejskich nie było, za to istniały tak zwane *związki polityczne*, o których pomówimy później.

Każda osada słowiańska nosiła nazwę »swobody« albo »słobody« i miała swoje oddzielne szczególne miejsca.

Co się tyczy osobistych przymiotów ludów słowiańskich, to wszyscy się na to zgadzają, że się one odznaczały zawsze skromnością i umiarkowaniem. Z twarzy byli do siebie podobni, z mowy i charakteru. Z natury weseli, lubili bardzo muzykę. Poczciwość, rzetelność, łagodność, nawet względem swych nieprzyjaciół, piękne ich cechowały dusze.

Wolność cenili nad życie i bronili jej do upadłego, dlatego i mężczyzni i kobiety uczyli się władać orężem.



BETLEEM (do artykułu: „Obrazki z Ziemi świętej“).

Z cudzoziemcami do siebie przybyłymi obchodzili się jak najgościnniej i karali tych, którzy się z gośćmi źle obchodzili. Wrogów dopóty za nieprzyjaciół uważali, dopóki stali na placu bitwy.

Wszyscy mieli ciała rosłe, zdrowe i silne, i na niewygody wszelkie mocno zahartowane.

Jak zaś mieszkali, jakie mieli prawa, według których się rządzili, o tem będzie w następnych numerach.

Obrazki z Ziemi świętej.

Betleem. (Rycina na stronie 7).

Niema chrześcijanina, któryby nie pragnął zobaczyć tych miejsc świętych, które Chrystus Pan, przyszedłszy na ziemię, uświęcił swym pobytem, męką i śmiercią. Ale te miejsca daleko od nas i mało jest takich szczęśliwych, którzy mogą udać się do Ziemi świętej, bo na to wiele grosza i czasu potrzeba.

Że zaś każdy pragnie mieć o Ziemi świętej choćby jakie takie wyobrażenie, więc chcąc się przysłużyć naszym kochanym Czytelnikom, podawać będziemy w *Nowym Dzwonku* ryciny, czyli **obrazki**, przedstawiające ważniejsze miejsca święte w Palestynie.

Zaczynamy od *Betleemu*, gdzie się narodził nasz Najdroższy Odkupiciel Jezus Chrystus.

Betleem leży prawie w środku ziemi Judzkiej, o dwie godziny drogi na południe od Jerozolimy. Zwało się ono dawniej także »miastem Dawida«, albowiem ztąd pochodzili jego przodkowie i tu była jego ojcowizna. Z przyczyny płodności ziemi, nazywano je także »Domem Chleba«.

Już w księgach Mojżesza jest wzmianka o Betleemie, więc najmniej trzy tysiące lat istnieje to miasteczko, co pokazuje szczególniejszą opiekę Pana Boga nad tą błogosławioną miejscowością.

To miasteczko stało się znakomitem nie swą wielkością i bogactwy, lecz głównie dla Tajemnic w niem spełnionych. Bo, oto — jak czytamy w Ewangeliach świętych — gdy Najświętsza Marya Panna z Oblubieńcem swym Józefem św., idąc na spis ludności, nakazany przez cesarza Augusta, przybyli późno do Betleemu, a nie znaleźli tam nigdzie miejsca w żadnej gospodzie na nocleg, zmuszeni byli schronić się za miastem do niejakiej groty, która używana była za stajenkę dla bydląt. Tam w tej grocie narodził się Zbawiciel świata, i ztąd przyszła sława na Betleem.

W biegu czasu przechodziło to miasteczko różne koleje. Rzymski cesarz Adryan, wróg wiary chrześcijańskiej, zelżył to miasto, kazawszy tam wystawić pogańską świątynię na cześć bożka Adonisa. Później, gdy wiara chrześcijańska podbiła już i trony

królewskie, cesarzowa Helena obaliła tę świątynię, a na jej miejscu wybudowała wspaniały kościół, grotę zaś, gdzie się narodził Pan Jezus, ozdobiła kosztownemi marmurami.

Od chwili, gdy Turcy zajęli Ziemię świętą, Betleem zaczęło podupadać, a dziś jest prawie małą mieściną, zamieszkałą przez 3000 ludzi, którzy się trudnią wyrabianiem koronek, krzyżyków, różańców i medalików.

Koło Betleemu są góry i doliny wcale nie źle uprawne, a z pięknych sadów słynie Betleem w całej Judei. Mimo atoli i ziemi dobrej i zarobku nie małego, widać wszędzie ubóstwo i wschodnie niechlujstwo.

Prócz ładnej świątyni i ogromnego klasztoru, nic tu niema do widzenia; domy jak szopy w czworogran zbudowane, z dwiema niezgrabnemi dziurami, które drzwiami i oknem zowią, mają dach zupełnie płaski.

Główną ozdobą i najważniejszem miejscem w Betleemie jest świątynia, oraz grota Narodzenia Pańskiego, i o nich też napiszemy w przyszłym numerze.

STRACHY.

(Obrazek wiejski).

W jednej z wiosek w Lubelskiem (pod Moskalem), w kuchni szlacheckiego dworu, po skończonych dziennych zatrudnieniach, dziewki zasiadły do kądzieli, a parobcy do plecenia rogóżek łyczanych. Wieczór był jesienny słotny, ogień gorzał na kominie; ażeby czas prędzej uchodził, dziewczęta chyhocząc się między sobą, dogadywały parobkom, oni się gracko odcinali, i w izbie było gwaru i śmiechu dosyć, a pomimo tego robota szła żywo i składnie.

Najprzystojniejszą i najzgrabniejszą z dziewcząt była Jagusia sierota. Pani wzięła ją do dworu dziewczynką dwunastoletnią, bo ojciec jej, parobek w gorzelni poparzony przy pęknięciu kotła, w kilka dni po tym wypadku w ciężkich cierpieniach życie zakończył, a matka dotknięta tą bolesną stratą, ze zgryzoty wkrótce przeniosła się za nim. Jagusia jasna blondyka, z niebieskiemi pełnemi oczyma, smukła i zgrabna, najczęściej była smutna, a o łzy u niej łatwiej było, jak o uśmiech. Pani ją lubiła, bo była cicha, potulna i pracowita, a i parobcy najwięcej koło niej się uwijali; bo oprócz przystojności, nęciła ich jeszcze obietnica poczciwej pani, że Jagusi sieroty nie wyda za mąż bez wiana.

Jagusia niewiele zważała na te ich zaloty, bo kończyła zaledwie rok ośmnasty; a jednak kiedy jeden z nich *ladajakim Ku-*

busiem od innych zwany, psotnik, zawadyak, do niej przemówił to nie odwracała od niego jasnej główki, a nieraz za dobre słowo i uśmiechem zapłaciła. Kubusiowi także ona nieraz była na myśli, ale tuż obok niej roiła się jakaś psota, i zarazem o wszystkiem zapominał.

Z kolei rozmowy przyszło nareszcie do strachów, bo w długi jesienny wieczór jakże o nich nie wspomnieć? Stara Katarzyna kucharka opowiadała, jak u nieboszczki jej kumy Piotrowej siedział djabeł na strychu, a ona mu codzień nosiła kaszę jaglaną bez soli.

— To się djabeł musiał dopiero upaść — wtrącił któryś z parobków.

— Niby nasz Kubuś, któremu kaszy nie nastarcz.

— Rychtyk taki jak on — ciągnęła dalej kucharka — bo jemu tylko rogi przypraw, tak istny z niego djabeł. Ale tamten kaszy nie jadł darmo; w całej wsi krowy nie dawały mleka, wszędzie len i konopie przepadły, a u niej jak las; u kogo na przednowku była bieda, u niej zawsze chleb rumiany w piecu się dopiekał. Wszyscy się strasznie temu dziwowali, a jak raz parobek Jacek chciał obaczyć tego djabła i wsadził łeb na górę, djabeł jak go uciął w pyzę, to aż sześć niedziel nosił ją spuchniętą.

— Ba, żebyć to tyle było!... ale widzicie, jak się tej Piotrowej djabeł sprzykrzył, to w nieckach pod podwijką wyniosła go na gościniec pod most i posadziła go tam, aby ludziom psoty wyrabiał.

— A zbytna to bestyja — odezwał się parobek; — ja łońskiego roku jechałem z Żółkiewki i w Ganach w karczmie spotkałem się z Matysiakiem. Zabawiliśmy się trochę, i już dobrze było w noc, jak wjechałem w las. Jadę koło mostu, patrzę, aż coś leży na drodze; słucham, a to beczy. O daj go tu, pomyślałem: ktoś jechał i zgubił barana. Ściągnąłem lejce, a ja dalej z wozu po znalezienie.

Patrzę, istny baran, a taki wielki, jak źrebiec; ruszam żeby wstał, ale gdzietam!... nogi ma związane. Biorę się do niego; hej ciężka bestya... ani ruszyć. Wyjąłem deskę z wozu, oparłem jeden koniec na wozie, a drugi na ziemi, i jak się przysadziłem tęgo, tak wpakowałem go przecie na wóz. Prawda, że mię coś w krzyżu zabolało, ale gdzietam człowiek o tem myślał, kiedy mu przed oczyma stał Icek pachciarz, jak targuje barana i płaci za niego dwa rubelki.

Świsnąłem na konie i jadę; ujechałem może z dziesięć staj, patrzę, a mego barana niema; zleciał z wozu. Zakląłem na djabła i wróciłem. Koło mostu jest moja zguba, nuż ją dźwigać znowu; a ze złości jak go porwałem, to i bez deski wpakowałem na wóz.

Poczekaj bestyo, pomyślałem sobie, przywiążę cię do kłonic, już mi nie zlecisz. Jadę znowu przyśpiewując sobie, i dojechałem aż do Maćkowej miedzy; oglądam się, niema barana.

Strach mnie wziął, ale że człowiek miał trochę w głowie, a na myśli dwa ruble, to i o strachu zapomniał. Wracam, baran znowu leży w tem samem miejscu; dźwigam, aż mi oczy wyłażą i znowu baran na wozie. Wziąłem go za kark i za nogi przywiązałem do wozu; ha! już mi teraz nie zlecisz!... i pojechałem dalej.

Przyjeżdżam do tej figury, co stoi wedle jeziorka, czapka z głowy, i przeżegnałem się; słyszę, aż tu za mną hi! hi! hi! coś się roześmiało — patrzę, a barana niema.

Włosy mi na głowie stanęły, iskry zaświeciły w oczach i nie wiem, co się dalej stało, dość, że konie z wozem znaleźli ludzie nazajutrz aż pod lasem, a ja leżałem w błocie koło jeziorka prawie bez duszy. Niech go źli porwią tego barana; dziesięć niedziel przechorowałem, a tak ciężko, że już człek i na śmierć się spowiadał.

— Dobrze wam tak, po co było łakomić się na nieswoje.

— Jużcić to chyba było nawiedzenie Boże; i teraz żebym panie wór złota znalazł, to anibym pomyślał ukradkiem go schować.

— Ej gadki — odezwał się Kubuś ladajaki — albo to baran był?... wyśta tylko *bez* wódkę widzieli barana. Ot ja, to potrzeźwemu widziałem stracha.

— Gdzie, gdzie? — powtórzyło kilka głosów.

— Gdzie? koło lamusa — bąknął Kubuś i znów umilkł, spuściwszy oczy na rogóżkę.

Lamus położony był zaraz za dworem i mieścił w sobie skład nietylko nabiału, ale i przeróżnych marynat, wódek, likieru, win i miodu i t. p. rzeczy i pani nieraz, zwłaszcza gdy byli goście, wysyłała którą z zaufańszych sług, po rozmaite potrzeby do stołu. Najczęściej Jadwisia odbierała ten dowód zaufania, i ona też najpierwsza obróciła oczy na Kubusia; ale on nie podniósł swoich, tylko jakby naumyślnie plótł zawzięcie rogóżkę.

— Cóż to był za strach? — zarzuciło kilka kobiecych i męskich głosów.

— Ot już radzibyśta wiedzieć, żeby potem rozpleść po całej wsi.

— Podnieśno łeb i gadaj coś widział — odezwała się kucharka, ośmielona stopniem jaki zajmowała, a który mimo woli jednał jej uległość wszystkich stołowników.

— Ha, kiedy już wam tak się żąda, to powiem; tylko na miły Bóg nie gadajta ani pani, ani ekonomowi, bo pewnikiem oberwałbym za uszy.

Wczoraj po wieczerzy poleciałem na wieś do Stacha; wra-

cam, już się w kuchni nie świeciło, a wiater wygwizdywał, kieby Franek na fujarze. Idę koło lamusa, a tu coś zaszumiało; oglądam się, jakieś czarne wielkie psisko hyc przez furtkę i do lamusa. Ani chybi, bryś, pomyślałem sobie; szkodna bestya, chce się dobrać do saganów... i poszedłem za nim. Patrzta, ledwie skoczyłem ze dwóch schodów, a tu bestya jak nie otworzy pyska, jak nie bryźnie na mnie iskrami. O! Święty Boże, nogi się podemną zatrzęsły; jak drapnę na górę, to nie oparłem się aż w stajni. Żebyśta wiedzieli, to już kury piały, a ja jeszcze dzwoniłem zębami i mówiłem pacierz, bo to musi jakieś złe mnie nagabało.

— Ty nicponiu, pewnie ze strachem łyknąłeś ze trzy półkwaterki i tak ci się w ślipiach iskrzyło!

— Gadajcie sobie zdrowi; ja i niucha tabaki nie widziałem, a dopieroż półkwaterka.

— To zmyślasz ladaco, żeby nas straszyć — odezwała się jedna z dziewek.

— Miałbym kogo straszyć aż ciebie, kiedy ciebie toby się i sam djabeł przestraszył — odrzekł spokojnie Kubuś. Wszyscy się zaśmieli, jedna tylko Jadwisia poglądała na mówiącego ze strachem.

Dano wieczerzę, kłótnia o skwarki i smaczniejsze kąski zmieniała tok rozmowy; po wieczerzy parobcy wynieśli się do stajen, a dziewki długo jeszcze gwarzyły o owym strachu z lamusa.

Po kilku dniach, w taki sam wieczór słotny i wietrzny, do pani zajechali goście. Krzątaniny było dosyć do późnej nocy i już parobcy zabierali się do stajen, gdy pani zawołała Jadwisię, dała jej klucze i kazała co prędzej skoczyć do lamusa i przynieść butelkę starego miodu z trzema pieczątkami.

Pani tak kazała się spieszyć, aby goście od stołu nie wstali, że dziewczęciu wyszedł zupełnie z głowy strach pokutujący w lamusie; jakoż zapaliwszy świecę w latarce, która dwie szyby miała wybite, wybiegła z kuchni.

W kilka minut krzyk przeraźliwy, bolesny dał się słyszeć w stronie lamusa; wybiegli wszyscy i znaleźli Jagusię leżącą bez zmysłów na schodach, z potłuczoną na drobne kawałki latarką. Nikogo więcej nie było, a jednak gdy przynieśli światło, znaleźli przed lamusem kilka rozżarzonych węgli i płachtę, którą nie wiedzieć na co z kuchni zabrał Kubuś.

Biedną dziewczynę zaniesiono do izby, zlano wodą i nareszcie docucono się — ale cóż z tego, kiedy zaraz nazajutrz pokazały się ślady gwałtownego tyfusu. Sprowadzony lekarz niewiele robił nadziei. Jagusia konała powoli, a łotr Kubuś nie chciał się przyznać do winy, choć wszelkie poszlaki naprowadzały na ślad, że to jego była sprawka. Spokojny i obojętny jak zawsze, na

wszystko miał gotową wymówkę, a choć ekonom przekonany sumiennie o jego winie, kazał mu wyliczyć szesnaście odlewanych, karę zniósł, a nie przyznał się do występku.

Tymczasem życie sieroty gasło z każdą chwilą; na godzinę przed zgonem odzyskała przytomność, pożegnała czule swoją dobrą panią, która o niej prawdziwie macierzyńskie miała staranie, a kiedy jej wspomniano, że to pewno Kubuś przez psotę postraszył ją, nic nie odpowiedziała, tylko dwie łzy potoczyły się po wybladłej twarzy.

Na drugi dzień po pogrzebie Jagusi, łotra Kubusia wypędzono ze dworu. Nie okazał on żadnego żalu po sierocie, nawet gdy trumnę wynoszono i kładziono na wozie, to on bronując pod samym dworem ogród po wykopanych kartoflach, gwizdał jakąś piosneczkę. Wszyscy na niego wymyślali, nazywali zabójcą, a on wszystkich zbywał pół naprawdę, pół żartem i kamienną obojętność do ostatka zachował.

* * *

W kilka lat po tem zdarzeniu, którego sam byłem świadkiem, przyjechałem na odpust do Radecznicy i rozgościwszy się w lasku pod drzewem, wybrałem się do kościoła.

Idąc podwórzem do zakrystyi, minąłem wielu dziadów siedzących rzędami i błagających o litość, gdy zwrócił moją uwagę kaleka bez nóg i z krzywemi rękoma. Suwał się on po ziemi w drewnianych korytkach, za pomocą tych krzywych rąk, na których miał także dwa drewniane sandały. Twarz jego pomimo młodych rysów nosiła ciężkie ślady boleści.

— Choć groszyk panie, biednemu kalece — przemówił do mnie, nadstawiając sandała.

Głos ten zdał mi się być znany.

— Jak ty się zowiesz?

— Jakób Łozek.

— Czy nie nazywano ciebie *Kubuś ladajaki?*

— A tak, zkąd to pan wie?

— Bo cię znam, ty byłeś parobkiem u państwa...

— A tak panie.

— Cóż u licha, byłeś zdrów i tęgi.

— A teraz kaleka i cherlak.

— Cóż ci się stało?

— Ot psie figle.

— Jakto?

— A tak panie: ze dworu mnie wypędzili, poszedłem na służbę do sołtysa; wpodle były dziewuchy, a mnie zawsze we łbie świtało. Zrobiłem sobie szczudła, okręcałem się płachtą i stra-

szyłem. Jak raz narobiłem rajwachu, wyleciał sam gospodarz i nuż gnać mnie z kijem; uciekając na szczudłach i w płachcie, wpadłem w kartoflany dół i złamałem obydwie nogi, jeszcze jak powiadali w dwóch miejscach, a ręce powykręcałem. Zawieźli mnie do szpitala i tam doktór kazał mi uciąć nogi, a ręce prostował i nie wyprostował. Potem chorowałem ciężko przez dwa lata i... nie umarłem.

Te ostatnie słowa wymówił z nieudaną boleścią. Pochwyciłem szczęśliwą porę i rzekłem:

— Nie umarłeś, bo Bóg zostawił czas, abyś odpokutował za śmierć Jadwisi sieroty, abyś przebłagał gniew Boski. Wycierpiałeś wiele, zostałeś kaleką, nędzarzem; ale dziękuj za to Bogu, bo jeszcze szczerym żalem ocalić możesz duszę.

Łzy sznurkiem popłynęły po żółtej twarzy kaleki. Dałem mu jałmużnę, on w milczeniu pocałował moją rękę i łez pełne oczy obrócił ku kościołowi. Zapewne myśl jego pobiegła do stóp ołtarza, błagać św. Antoniego Radecznickiego o przyczynienie się za grzesznikiem. *R.*

Z wiarą i w jedności!

Nie płaczcie syny, Polska jeszcze żyje,
Choć nie tak świetna, jaka kiedyś była;
Przyjdzie czas jeszcze, w którym znów odżyje,
Nabierze siły, co przemoc zniszczyła.

I orzeł polski rozwinie swe skrzydła,
Wzniesie się w górę ponad naszą ziemię;
My pod nim zrzucim ze siebie wędzidła
I znów odżyje nasze polskie plemię!

O! wtenczas bracia dłoń z dłonią, brat z bratem
Staniem do pracy jednomyślni, zgodni,
Cudów dokażem przed zdumionym światem;
Dowiedziem, żeśmy też wolności godni!

Lecz tylko z Bogiem, z wiarą polskie dzieci!
Bóg nam jedyny przecież dopomoże!
Choć grom po gromie nie jeden przeleci
Przetrwamy wszystko! — Dopomóż nam Boże!

Nagroda męstwa.

Polska nigdy nie była w takich opałach i niebezpieczeństwach, jak za czasów Jana Kazimierza.

Szwedzi, Moskale, Kozacy nękali królestwo, zgubę mu gotując.

Przed groźną potęgą Szweda korzyły się prawie wszystkie miasta, jedna Częstochowa i Gdańsk hardo oparły się najezdcy.

Cudowna obrona Częstochowy natchnęła kochających ojczyznę ludzi, że zawiązali w Tyszowcach konfederacyę, postanawiając bronić kraju do ostatniej kropli krwi.

Bóg pobłogosławił tym usiłowaniom i postanowieniom.

Przepędzono Szwedów aż za morze i tylko niewielka ich liczba pozostała w pruskich grodach, obwarowawszy się tam, szczególniej w twierdzy Malborgu.

Wypłoszyć ich ztamtąd postanowił hetman polny Jerzy Lubomirski...

W Tucholi mieszkał wówczas młynarz, którego Michałkiem zwano. Codzień od świtu warczał młyn jego, poruszany wodami rzeki Brdy, która wpada do Wisły, poniżej miasta Bydgoszczy.

Był to człowiek młody, niezmiernie pracowity i uczciwy, a dobry Polak, bo nietylko imieniem, ale i sercem i duszą całą.

Gdy na Polskę waliły się klęski jedna po drugiej, on trapił się tem bardzo i do codziennej modlitwy dodawał słowa: Boże wszechmogący ulituj się nad ojczyzną moją, nie daj jej przepaść marnie!

A modlitwę tę powtarzał nie raz, nie dwa, ale sto razy na dzień. Jednakże na samej prośbie o zmiłowanie Boże nie poprzestał. Wiedział, że Pan Bóg gnuśnego nie wysłucha. Więc też, gdy Szwedzi rozwielmożnili się w Prusiech, Michałek rady sobie dać nie mógł.

W okolicy Tucholi Szwedów jak maku. Michałek co którego spotka, to zgrzytnie zębami i idzie do swojej roboty do młyna, ale o zemście nad barbarzyńskim Szwedem przemyśliwa. Szwed i jego nie oszczędza: to śluzy mu popsuł koło młyna, to zboże zagrabił, to grosz zaoszczędzony wykradł, a nareszcie dnia jednego urządził sobie zabawkę z jego żmudnej pracy. Kilkadziesiąt worów mąki posypał na fale Brdy, bawiąc się białą mączną pianą, co na falach daleko płynęła. Z bólem serca patrzał Michałek na te niegodziwe igraszki, ale milczał, gdy tymczasem Szwedzi, usiadłszy nad brzegiem rzeki, zapijali się do upadłego zrabowaną gorzałką. Upiwszy się, nie mogli zdążyć do swej kwatery i przespali się na młynówce. Ale Michałek podmówił czeladź i w nocy krwi im porządnie utoczył.

— Wszak wroga bić się nam godzi! — mówił sobie młynarczyk.

Na takich ścieraniach się ze Szwedami strawił Michałek lat kilka. Zmężniał przez ten czas i urósł na prawdziwego żołnierza. Wąsika tylko pokręcał, a pięść pokazywał nieprzyjacielowi.

Nadszedł rok 1659.

Skoro Michałek dowiedział się, że hetman Lubomirski Malborg oblega, powiedział sobie:

O! moja szabelka rdzewieć nie będzie!

I coprędzej przypasał błyszczący kord, który złupił jakiemuś Szwedowi, zebrał drużynę z mieszkańców Tucholi, między tymi i wieśniaków kilku i poszedł ku twierdzy.

Gdy przybył, oblężenie rozpaliło się ze zgrozą. Szwedzi miotali kamienie z twierdzy, z armat walili, zapalone belki rzucali na wdzierających się na mury Polaków. Dużo tym sposobem złego narobili.

Michałek z towarzyszami wdzierał się na szańce i wracał zawsze z szwedzkimi jeńcami; szczególniej mu się to udawało w nocy. Co noc przyprowadzał po kilkunastu takich jeńców do hetmana. Płatał Szwedom srogie figle: to porywając ich, to pożar wzniecając w zajętych przez nich budynkach, to zagwożdżając ich działa, lub odbijając żywność, którą nadwożono do twierdzy. Dobrze się też dał we znaki nieprzyjacielowi, a swoim przysłużył się niemało.

Nareszcie komendant twierdzy, niewzruszony dotąd, nawet gdy kula rozniosła jego czteroletniego synka, gdy niebacznie stanął na obronnym wale; teraz widział się zmuszonym do poddania się hetmanowi polskiemu. Tego samego miesiąca (grudnia) przybył król Jan Kazimierz do Gdańska. Zwycięzcy witali go z radością i uniesieniem. Gdańsk mógł się poszczycić, że do pognębienia Szwedów w Prusiech wielce się przyczynił.

Król łaskawie wszystkich przyjmował i dziękował z serca za uratowanie kraju i czci imienia polskiego.

Lubomirski odebrawszy podziękowanie królewskie, wymienił mu imiona wszystkich odważnych bojowników.

— Najmiłościwszy królu! — powiedział wkońcu hetman — nie mogę także przepomnieć imienia pewnego młynarza, którego Michałkiem zwą. Harcownik to nielada! — Bije się za ojczyznę i króla, jakby za rodzoną matkę i ojca.

— Imię to nie jest mi zupełnie nieznane; wspominał mi już o tym młynarzu rajca gdański — odpowiedział król. Przywiedźcie go do mnie hetmanię, chcę poznać tego mężnego młodzieńca.

Ucieszył się tem żądaniem Lubomirski i zaraz na drugi dzień wziął z sobą Michałka. Tego dnia przyjmował król wszystkich



Przenajświętsza Rodzina.

bardzo uroczyście i przemawiał uprzejmie do przybywających, zasiadłszy na sporządzonym umyślnie tronie, otoczony senatorami, Biskupami i innymi dostojnikami.

Michałek, który nigdy króla nie widział, pierwszy raz znalazł się w tak świetnem otoczeniu. Nieśmiało przystąpił na wezwanie królewskie do tronu; wtem król przemówiwszy parę słów do obok siedzącego kanclerza, wręczył młynarzowi pergamin z ogromną woskową pieczęcią, mówiąc:

— Niech żyje męstwo syna Polski!

— Niech żyje ojczyzna i król! — zawołano dokoła.

Michałek, po odebraniu dokumentu, przykląkł na jedno kolano, na stopniach tronu, ale okazał niemałe zakłopotanie.

Stojący przy nim Lubomirski dostrzegł to i rzekł:

— Najjaśniejszy panie! Ten nieborak czytać nie umie, bo jego abecadło składa się z wozów mąki.

Król uśmiechnął się dobrotliwie.

— Chwałę przynosisz twemu stanowi — rzekł — za waleczne swe czyny, za męstwo w boju, za wierną służbę krajowi, należy ci się nagroda. Ojczyzna nie może cię więcej obdarzyć, jak ofiarując tak bardzo ceniony klejnot: szlachectwo. Tym oto dokumentem mianujemy cię szlachcicem. Raz jeszcze niech żyje męstwo Michała Tucholskiego.

Głośne wiwaty zawtórowały słowom króla.

Tucholczyk, w szlachcica teraz przemieniony, czerwienił się z uciechy i dziękował panom za względy, a oni go ściskali szczerze jak brata, mówiąc:

— Nic ci to stan nie znaczy; kto szlachetny, zawsze na uznanie zasługuje — a kto Polsce wiernie służy, ten jej syn najdroższy i szlachcicem być godzien.

Najświętsza Marya Panna między zbójcami.

(Podanie ludowe).

I.

Był w ciemnym borze srogi zbój, co napadał ludzi po drogach, mordował i ograbiał.

Tędy wypadło Rodzinie św. do Egiptu uciekać.

Ale bór ciemny ze zbójecką zasadzką strachem ich przejmował; wiodły przezeń dwie drogi: jedna na prawo, druga na lewo. Na prawo droga prowadziła przez gęstą olszynę, obok mieszkania zbója, na lewo przez chaszcze i wertepy, w których łatwo było zabłądzić.

Święty Józef i Marya Panna z Jezusem zdali się na wolę Bożą, nabrali otuchy i puścili się w gąszcz.

W lesie zmrok już zapadał, chłodne opary z ziemi podnosić się już zaczynały. Boże Dziecię przeziębło i żałośliwie popłakiwało u matczynej piersi.

Usiadła tedy Marya Panna pod drzewem, aby nakarmić Jezusa, a przytem kilka kropel pokarmu spadło na oset, co wyrastał u Jej kolan i z tego na listkach białe plamki pozostały, aby był naznaczony, jako jest osetkiem Najśw. Panny.

Zciemniało się coraz bardziej i bardziej, a wśród boru straszno było nocować.

Zbój, co na podróżnych przy drodze czatował, usłyszał głosy ludzkie w gęstwinie i skierował się w tę stronę, jak zwierz drapieżny skradając się chyłkiem.

Myślał, że przyjdzie mu mordować.

Aż oto poczuł, że mu na ramieniu maczuga, od nasiąkłej krwi aż czerwona, dziwnie ociężała tak, że ją udźwignąć ledwie zdołał.

Spojrzy przed się, a tu w oczach mu nagle zaświeciło; spojrzy znów i widzi najwyraźniej trzy księżyce nad owem miejscem, gdzie Rodzina św. spoczywała.

Dojrzał w gęstwinie Maryę Pannę z Dzieciną i Józefem, skulonych od chłodu i deszczem zmoczonych na słocie.

Zamierzał spytać: skąd się tu wzięli i dokąd chcą?... ale mu wargi zdrętwiały, nieswojsko mu się zrobiło, mruczał jeno, jak dziki zwierz, zaskoczony niespodzianie w ostępach i kroku ruszyć dalej nie śmiał.

Schwyciła go moc jakaś niewidzialna i wcisnęła w ziemię, aby tak stał w odległości od Dziecięcia Bożego, jako zbrodniarz niegodny zbliżyć się do św. Majestatu...

Rozumiał tedy, że mu się tknąć ani niewiasty, ani dziecka, ani starca nie godzi, bo coś zaporą między nim a nimi stanęło — i te trzy księżyce nad ich głowami ostrzegały go, że nie zwyczajni ludzie są, przeciw którym maczuga jego nic nie poradzi.

Srogość go zwykła ominęła, choć ponuro spoglądał, jakby się własnej niemocy sromał.

— Jakżeż w borze na słocie takiej szukacie? — spytał wreszcie, grubego głosu dobywszy z piersi — oto tam dom mój przy drodze za olszyną. Wejdźcie i zanocujcie...

Weszła tedy pod dach zbójeckiej zagrody Najśw. Panna z Jezusem i Józefem św., a żona zbója powitała ich zalękniona, ale gościny nie odmówiła.

Widok dziecka przy piersi zdjął ją litością, bo sama matką była; rozumiała, że mąż jej umyślnie tę trójcę z boru w dom

nasłał, aby wszystko troje uśmiercić w sposobnej chwili, rzekła tedy z dobrego serca:

— Spieszcie się moi ludzie, póki czas i niechajcie noclegu w tem miejscu!... Jam jest zbójnichą, a mąż mój śmierć wam niechybną zgotuje, gdy z lasu wróci!...

Ale Najśw. Panna ją uspokoiła, żeby próżnej obawy o nich nie miała, bo Bóg z nimi. Przed pójściem spać wzięła się jeszcze do wykąpania Jezusa w wanience na zapiecku, a widząc zbójnichę, że spogląda jakoś żałośnie na dziecko swoje w kolebce, rzekła do niej, by swego małego także w kąpiel włożyła.

— Jakżeż to uczynię — odpowie na to Najśw. Pannie — kiedy synaczek mój trąd ma na całym ciele?... Nie godzi go się kąpać razem ze zdrową dzieciną.

Matka Boska kazała jednak podać sobie zwrzodziałe zbójątko i własnemi rękoma w kąpiel go zanurzyła obok Jezusa swego, a gdzie jeno ciało woda oblała, tam w oczach znikał brzydki trąd i rany wygojone się zabliźniały. Poznał zbójca, że to cud i sumienie w nim odtajało; chciał złotem i srebrem płacić za takie uzdrowienie, chciał dziękować ze łzami, lecz się spostrzegł nareszcie, że te wszystkie skarby świata są marnością tylko i że trzeba wypłacić się Bogu inaczej, skruszoną duszę z plam oczyścić i ofiarować ją temu Dzieciąteczku, które przyszło z trądu grzechów ludzkich świat oswobodzić.

Tak też postanowił uczynić i pokutę rozpocząć ślubował.

Pan Jezus zaś na ręku Maryi Panny przemówił w te słowa do nowonarodzonego zbójątka:

— Jakośmy się kąpali razem, tak kiedyś razem pomrzemy!

I stało się tak — bo syn zbójcy nie poszedł za przykładem nawróconego ojca, jeno dorósłszy, z łotrzykami się wdawał, niepomny nauk i przestróg rodzicielskich.

W jednym czasie za zbrodnie swoje z Chrystusem pojmany był i ukrzyżowany na Golgocie.

On to z krzyża przemówił, patrząc na Chrystusa:

— Ten człowiek niewinny! — na co łotr po lewicy odmruknął:

— Musi być winny, skoro go wieszają.

P. Jezus obrócił wówczas głowę ku synowi zbója i rzekł mu:

— »Zaprawdę, dziś jeszcze ze mną będziesz w niebie«.

Ze wspólnej ich kąpiołki, która wonności przedziwnej nabrała, pozostało jednak wspomnienie takie: oto w ogródku, kędy zbójnicha ją wylała drugiego dnia, wyrosły pachnące zioła, a z tych ziół następnie trzy Marye zrobiły maście do namaszczenia ciała Chrystusowego po zdjęciu z krzyża, przed złożeniem do grobu.

II.

Dało się Maryi Pannie przemknąć przez bór i z rąk zbójeckich ujść cało; wyszła na pole pokrajane miedzą, pokarbowane w skiby, świeżo zorane, a puste jeszcze i nawet nie zieleniejące. Jak tu się skryć, kędy uciekać przed pogonią?... dokąd kroki swoje skierować, gdy kaci tuż, tuż z mieczami, krwią niemowląt zbroczonemi, pędzą i ścigają Bożą Dziecinę, aby i ona rzezi srogiej nie uszła?...

Po świeżej roli idzie Marya Panna z Dzieckiem na ręku, a przy Niej Józef; potykają się o bruzdy, ale idą, aby dalej, aby spieszniej!... Tchu im w piersiach braknie, jednak nie ustają, bo groza za nimi; król Heród ściga.

Dopadli do miedzy, a za miedzą chłopek pszenicę sieje.

— Pomaga Bóg, miły chłopku! — woła Najświętsza Panna.

— Daj Panie Boże, krasna pani! — odrzeknie siewacz.

— Dziś pszeniczkę siejesz, jutro ją żąć będziesz — mówi doń znowu, a on:

— Szczęśliwaś-by ty pani była, żeby się pszeniczka jutro żąć godziła.

Więc Marya Panna Jezusa Józefowi na ręce składa, sama się płachtą przepasuje i idzie rolą wzdłuż brózd zoranych; — drobną rączyną drobne ziarno sieje, a kędy tylko garść zboża rzuci, wytryskają z ziemi strumienie kłosów i falować zaczynają i pszenica wyrasta jak las. Zasiała tak całe pole daleko, daleko aż po sam kraniec gruntu i wróciła.

— Dziś jeszcze będziesz żął! — powiada z uśmiechem, bierze Dzieciątko swoje na rękę i odchodzi ścieżyną ku siołu, a chłopek to na cudowne zboże pogląda, to na tych troje, którym ziemia posłuszniejsza, niż samemu słońcu, to ku niebu patrzy, czy zeń Aniołowie nie zlatają i zrozumieć nic nie może, tylko się dziwuje: sen to, czy jawa?...

Aż nareszcie, jakby mu się rozwidniło w głowie, kolanami do ziemi przypada, w grzeszne piersi pięścią łomocze, czołem o ziemię uderza i tylko jedno słowo z głębi duszy powtarza:

— Pochwalony! pochwalony! pochwalony!

I żął dnia tego, jak mu Najświętsza Panna obiecała, ale gdy sierpem pszenicę zagarnął, od lasu drogą królewskie zbiry wypadły z hałasem.

— Hej, hola chłopie! — hukają nań groźnie — czy nie szła tędy niewiasta z dzieckiem na ręku i starowiną samotrzeć?...

— Szła — mówi żeniec.

— A kiedy, kiedy? — dopytują.

— A wtedy, kiedym tę pszeniczkę siał.

— Wtedy jeszcze, a teraz już dostałą żniesz?... to i ścigać ich dalej próżny trud!...

Wrócili z niczem, straciwszy nadzieję, by zdołali dopędzić zbiegów, a Rodzina święta była już daleko, daleko... i Bóg ją dalej bezpiecznie prowadził.



Po raz ostatni.

(Z ryciną).

Po raz ostatni rzucili spojrzenie
Za tem, co dla nich szczęścia było niebem,
Ukryli ciężkie rozpaczy westchnienie,
I poszli biedni w dal ciemną za chlebem *).

Po raz ostatni jeszcze tam u krzyża
Zmówią modlitwę pełną łez tłumionych,
I pójdą — słońce za lasy się zniża
Zagląda w okna ich chat porzuconych.

Czyliż powrócą oni tutaj kiedy
Spocząć na progu rodzinnym przez chwilę?

*) Mowa tu o tych co wywędrowali do Brazylii.

Po latach wielu tułactwa i biedy,
Tęsknoty, której było w życiu tyle?

Czyliż powrócą wzmocnić swoje dusze
Widokiem tych miejsc uroczej młodości,
Zapomnieć wszystkie przebyte katusze
I o swobodnej zamarzyć przyszłości?

Czyliż powrócą z ojców swych prochami
Złączyć swe kości śród ciszy cmentarnej,
I bladym cieniem błąkać się czasami
Na znanych drogach, pośród nocy czarnej?

O! nigdy, nigdy może nie powrócą
Zasiąść z spokojem za ojcowskim stołem,
Lecz z snów ułudnych wkrótce się ocucą
Stargani życiem — z pooranem czołem.

Gdy dzisiaj wyjdą, o! może na wieki
Rzucą swej wiosce pożegnanie bratnie,
I ociężałe od płaczu powieki,
Dzisiaj jej dają spojrzenie — ostatnie. *M. S.*

Pogadanki naukowe.

Sen zimowy u zwierząt.

Ciekawa to przecież rzecz, co się też dzieje z tylu zwierzątkami, ślimakami, owadami, które żyją dłużej, niż jeden rok, a których jednak w zimie nie widzimy.

Wiele ptaków odlatuje od nas w jesieni w kraje cieplejsze, ale owady różne, ślimaki i niektóre zwierzęta czworonożne zostają u nas przez zimę, lecz w ukryciu i uśpione, dlatego ich nie widzimy.

Zdawałoby się, że przy tak silnych nieraz i długotrwałych mrozach powinno w nich życie wygasnąć, lecz Opatrzność Boża mądrze to wszystko przewidziała i urządziła.

Trzeba wiedzieć, że do życia potrzeba zwierzętom, jak i ludziom, wewnętrznego ciepła. To ciepło wewnętrzne u ptaków i u zwierząt czworonożnych wytwarza się i jest skutkiem wciągania powietrza czy to do płuc jak u nas, czy skrzelami jak u ryb, czy rurkami rozrzuconemi po ciele jak u owadów.

W lecie żyją te wszystkie istoty swobodnie i wesoło, ale gdy się zbliża zima, to wskutek oddychania zimnego powietrza, ubywa im ciepła wewnętrznego, a że oddychają przytem słabo i powoli

więc nie są zdolne wynagrodzić sobie utraty tego ciepła, a temsamem utrzymać swego życia i ruchów tak, jak latem.

Dlatego Stwórca Najwyższy odbarzył je szczególną i godną podziwienia sposobnością długiego i ciągłego snu, podczas którego przechodzą z życia czynnego do życia jakby utajonego, skrytego; są jakby w zachowawczem odrętwieniu.

Podczas tego snu czynności potrzebne do utrzymania życia nie ustają. Takie zwierzęta za zbliżaniem się zimy, stosownie do swego sposobu życia, szukają najpierw odpowiedniego schronienia, gdzieby najmniej dokuczało im zimno. Jedne chowają się w szpary, szczeliny muru, drew, jak n. p. pająki i inne owady, lub w kupy ziemi, liści, gnoju, inne do piwnic, inne w muł, jak ryby, żaby i w takiem ukryciu śpią, nie biorąc z zewnątrz żadnego pożywienia, ale natomiast karmią się własnem ciałem, żyją kosztem swego jestestwa, jak o tem najlepiej świadczy zmniejszenie ich ciężaru i powolne chudnienie. Jednakże ciągle oddychają, tylko daleko powolniej, aniżeli wtedy, gdy są pełne życia czynnego.

Lud nie wie właściwej przyczyny, dlaczego n. p. niedźwiedź w zimie gdy śpi, chudnie, a jednak trafnie to określa, mówiąc: że niedźwiedź ssie swe łapy! — Sen zimowy nie jest koniecznością, ale tylko darem dobroczynnym, z którego tylko wtedy korzystają zwierzęta, gdy mają nastąpić wielkie zimna. Powiadają przecież że niedźwiedzie podczas lekkiej zimy nie zasypiają, ale są ciągle w ruchu.

Można też sztucznie tak w lecie, jak w zimie zmuszać zwierzęta do snu zimowego, umieszczając je w miejscu mocno oziębionem i odwrotnie; w zimie można zwierzęta śpiące przebudzić, ocieplając tylko miejsce ich pobytu.

Ten sen zimowy długo trwać nie może, bo jak wspomnieliśmy, zwierzęta będące w odrętwieniu zimowem żywią się samemi sobą, dopóki więc nie wyczerpie się tłuszcz w ich ciałach, dopóty żyją; gdy zaś długa zima nie pozwala im się przebudzić, wówczas dla braku soków służących do ogrzewania ciała i przy wielkiej stracie ciepła od mrozów, przemarzają i giną.

Pytanie teraz zachodzi, czy zmrożony zwierz może jeszcze przez ogrzanie przyjść do życia.

To zależy od siły mrozów, a więcej od gatunku zwierząt. Zwierzęta doskonalsze, mające wewnętrzną budowę ciała więcej złożoną, te raz przemrożone, nie mogą już powrócić do życia, inne zaś niższego rzędu, przemrożone, po odtajaniu wody, lub ogrzaniu, napowrót są pełne życia.

Tak naprzykład, niektóre owady przy słabym mrozie tracą zaród życia i giną, innym zaś nawet bardzo silne mrozy nie szkodzą. Ryby zamrożone, sztywne jak kije, po włożeniu do wody le-

tniej wracają często do życia. Żaby wystawione na mróz w naczyniu zamkniętem, napełnionem ziemią, przemarzają. Ich członki są zupełnie niegiętkie i kruche, a gdy się je złamie, to nie widać ani kropli krwi. Włożone w tym stanie do wody letniej, wkrótce nabierają giętkości członków i w dziesięć minut wracają do życia. Lecz do tego potrzeba, aby zamrażanie było powolne, bo gdy mróz chwyci zwierzęta nagle, to giną one bezpowrotnie.

Zdarza się, że przy gwałtownych mrozach zwierzęta takie same się przebudzają — jak to widać często na pająkach śpiących w szparach muru — i tak chwilowo rozbudzone szukają cieplejszego schronienia, a nie mogąc go prędko znaleść, giną od mrozu.

Dowiedzmy się jeszcze, czy uśpione zwierzęta czują?

Zwierzęta takie śpią zwykle w kłębek zwinięte, aby jak najmniejszą powierzchnią swego ciała stykały się z powietrzem lub zimną ziemią; są zdrętwiałe i bardzo mało czułe. W tym stanie, byle ich nie wystawiać na zbytni mróz ani na ciepło, można je przenosić, taczać, rzucać, pakować w siano i bardzo daleko przesyłać.

W pieczarze, gdzie zimują nietoperze do ścian przyczepione, można strzelać, a niepodobna ich rozbudzić. Gdy się jednak boleśnie ukłuje nietoperza lub uśpionego jeża, spostrzegamy, że te zwierzęta zaczynają szybciej oddychać, ogrzewają swe ciało i rozbudzają się z uśpienia. Gdy się zaś przestanie boleśnie je drażnić, napowrót usypiają i wpadają w pierwotne odrętwienie.

Niektóre zwierzęta zapadłe w sen zimowy można przez jakiś czas trzymać pod wodą, a życia nie stracą, podczas gdy te same zwierzęta przy życiu czynnem zanurzone w wodzie i trzymane w niej przez taki sam czas — giną.

Jednem słowem, patrząc na to dziwne zjawisko snu zimowego u zwierząt, człowiek myślący musi uwielbiać mądrość Stwórcy i korzyć się przed Nim.

Rady gospodarskie.

Pranie kożuchów. Dobre białe mydło gotuje się w miękkiej wodzie, mydliny te cedzą się przez płatek. W letnich, ale żadną miarą nie w gorących mydlinach pierze się kożuchy, nie zacierając ich w ręku, tylko przez zanurzanie i lekkie przyciskanie. Mydliny trzeba kilka razy odświeżyć, a potem w miękkiej lub deszczowej wodzie wypłukać.

Suszyć trzeba kożuch na powietrzu, po uschnięciu posypać mączką kartoflaną, dobrze wyczesać, a na ostatku wytrzepać.

Z czego najlepiej wypiekać chleb? W Petersburgu robiono próby przed kilkoma laty co do zastąpienia chleba żytniego innym. Próby te wykazały, że mieszanina mąki żytniej z owsianą jest za mało pożywną; mieszanina mąki żytniej z grochową jest ciężka i daje pieczywo dość smaczne i dość pożywne, ale trzeba do niej dodać więcej soli, w stosunku mniej więcej funta soli na 48 funtów mąki. Znośny chleb otrzymuje się z mieszaniny mąki żytniej i kartofli w ten sposób, że na 2 funty mąki żytniej bierze się funt mąki z kartofli. Lepszy znacznie chleb można mieć z mąki żytniej z dodatkiem kukurydzianej, ale należy brać funt mąki z kukurydzy na 2 funty mąki żytniej. Najgorszym okazał się chleb z mąki żytniej z domieszką słodowej ze słodu jęczmiennego.

Podskubywanie gęsi nie jest godnem pochwały ani bardzo użytecznem w gospodarstwie. Obdzierając żywego ptaka z pierza, dopuszcza się taki człowiek okrucieństwa na biednem stworzeniu. Ptaki obskubane, wystawione przytem na dżdżyste i zimne powietrze, marnieją, chorują, a nawet czasem i giną, a już w najgorszym razie nie rosną dalej. Na Pomorzu, gdzie najwięcej gęsi hodują, nie znają wcale podskubywania. Gęsi na chów przeznaczonych najlepiej wcale nie podskubywać; wszystkie zaś inne podskubywać można, ale tylko w czasie gubienia pierza i to ostrożnie, aby nie sprawiać im zbytecznego bólu.

Środek tani a wypróbowany przeciw zającom. W czasie śnieżnej zimy trudno bardzo ustrzedz drzewa zwłaszcza owocowe od uszkodzeń przez zające. Za pomocą jednak smarowidła, złożonego z wapna, ziemi, odchodów krowich i ludzkich, można ochronić drzewa, nawet w czystem polu sadzone, od napaści tych szkodników, które nie dotykają się nawet drzew, pokropionych ową mieszaniną.

Głąby od kupusty zazwyczaj zostawia się na kapustniku i przyoruje na wiosnę następnego roku, albo też miesza się z kompostem, aby w ten sposób przysporzyć nieco nawozu. Postępowanie takie jest nader niepraktyczne. Gdy się bowiem z bliska przypatrzymy głąbowi po ścięciu główki kapusty, już gołem okiem dostrzeżemy na nim mnóstwo wypukłości, bywa ich czasem na jednym po 50 i kilka, a gdy je ostrożnie rozkroimy, znajdziemy w każdej małego robaczka, który nie jest niczem innem, tylko zarodkiem pewnego chrząszcza, wielkiego szkodnika kapusty, składającego jajka swe u osady liści kapuścianych, które obumierają, gdy z owych jajek wylęgną się bardzo żarłoczne larwy. — Z tego powodu powinien każdy staranny gospodarz, wybierając z dwojga złego mniejsze, odżałować tej odrobiny mierzwy, jaką mieć może z głąbów kapuścianych i natychmiast spalić je do szczętu, skoro tylko kapusta została sprzątnięta.

Kronika kościelna.

— **Z Rzymu.** Dnia 29 listopada zeszłego roku odbył się tajny konsystorz, na ktorym Ojciec św. zamianował 10 nowych kardynałów, między nimi lwowskiego ruskiego (tj. grecko-katolickiego) Arcybiskupa X. S. Sembratowiczą i księcia Biskupa Hallera z Salcburga. Nadto prekonizował 24 Biskupów, do których należy i X. kanonik Weber ze Lwowa, obecnie sufragan lwowski. — Z końcem zeszłego roku *zmarło z dawniejszych kardynałów* dwóch, mianowicie umarł kardynał Persico i kardynał Melchers. — *Ojciec św.* był w listopadzie przez krótki czas słaby, nabawił się bowiem lekkiego przeziębienia, ale teraz, dzięki Bogu jest znowu zdrów.



— **Jego Eminencya X. Kardynał Sylwester Sembratowicz,** o którego nominacyi wyżej piszemy, a obok podajemy jego portret, urodził się w Przemyślu r. 1836. Do stanu duchownego przygotowywał się i kończył nauki w Rzymie, po ukończeniu zaś nauk został profesorem w seminaryum ruskiem we Lwowie. Dnia 28 lutego 1879 r. mianowany został Biskupem-sufraganem, czyli pomocnikiem Arcybiskupa X. Józefa Sembratowicza, swego stryja, a gdy ten wnet potem zrzekł się tej godności i wyjechał do Rzymu na stały pobyt, X. Sylwester Sembratowicz objął po nim stolicę arcybiskupią.

X. Arcybiskup odznacza się (obecnie X. Kardynał) tem głównie, że śmiało i odważnie występuje przeciw owym niegodziwym agitacyom, które ciągną Rusinów naszych ku Rosyi. X. Kardynał na każdym kroku zwalcza te agitacye, wykazując Rusinom, że ich szczęście leży nie na drodze do Rosyi, ale na wierności dla Stolicy św. dla Cesarza, i w zgodnem pożyciu z Polakami. Tak szlachetna praca musiała pozyskać sobie uznanie u Cesarza i u Ojca św., a wynikiem tego uznania jest wyniesienie X. Arcybiskupa do godności kardynalskiej.

Ojciec św. i Cesarz dali przez to dowód, że chcą naród ruski i Kościół ruski przez to odszczególnić, i że bynajmniej nie pragną uciskać cerkwi i obrządku ruskiego, ale przeciwnie chcą otoczyć je blaskiem chwały.

— **Najprzew. X. Weber,** mianowany Biskupem-sufraganem lwowskim, czyli pomocnikiem J. Exc. X. Arcybiskupa Morawskiego we Lwowie, urodził się na Bukowinie we Fürstenthalu r. 1846. Nauki gimnazyalne ukończył we Lwowie, teologiczne zaś częścią we Lwowie, częścią w Rzymie. Po wyświęceniu na kapłana był wikaryuszem we Lwowie, później prefektem i ojcem duchownym przy seminaryum kleryków

tamże. W roku 1885 został kanclerzem konsystorza, a w roku 1894 kanonikiem katedralnym, zaś dnia 29 listopada 1895 r., Ojciec św. wyniósł X. Webera do godności biskupiej.

— **W sprawie odnowienia kościoła katedralnego** na Wawelu w Krakowie, czyli pokrycia kosztów na ten cel, wniósł Najprzew. Książę Biskup krakowski podanie do Wydziału krajowego, aby tenże wyjednał u Sejmu subwencyę 100 tysięcy reńskich, rozłożonych na 5 rat rocznych. Wydział krajowy, zgodnie z tem życzeniem Księcia Biskupa, postanowił przedstawić Sejmowi wniosek o wyznaczenie powyższej kwoty z funduszów krajowych, z tą tylko małą zmianą, aby tę kwotę wypłacił kraj nie w 5, lecz w 10 latach, a to z tego względu, żeby nie ucierpiał na tem budżet krajowy.

— **Uczęszczanie żydów do kościołów katolickich.** Konsystorz biskupi obrządku łacińsk. w Przemyślu wniósł 26 listopada 1895 r. zażalenie do Namiestnictwa, iż tam, gdzie są siedziby urzędów, urzędnicy rządowi — żydzi — przychodzą w dnie galowe na nabożeństwo do świątyń katolickich, a to razi i gorszy katolików. Namiestnictwo uwzględniając słuszność tego zażalenia, wydało 1 grudnia 1895 r. rozporządzenie, w którem zwróciło uwagę starostw, że żydów urzędników nie należy zapraszać na nabożeństwa odprawiane w kościołach katolickich. Do tego rozporządzenia mają się też stosować i władze sądowe.

— **Z Tarnowa** piszą nam: »Z woli i łaski Najprzew. X. Biskupa Łobosa mieli tutejsi parafianie prawdziwą ucztę duchową w dniach od 17 listopada do 3 grudnia 1895 r. Odbywały się tu bowiem misye św. pod kierunkiem XX. Misyonarzy z krakowskiego Kleparza. Dzielni ci kaznodzieje (a było ich czterech), tak dalece potrafili rozruszać nawet najobojętniejszych na słowo Boże, że dzień po dniu przez cały ciąg tych pobożnych ćwiczeń katedra tarnowska była po brzegi zapełniona, niemniej też oblężone były konfesyonały. Około 10 tysięcy wiernych brało w tej misyi św. udział, i to nietylko takich, co obowiązków religijnych zazwyczaj nie zaniedbują, ale bardzo wielu znalazło się także takich przy kratce słuchalnicy i u Stołu Pańskiego, o których nawróceniu już może niejeden powątpiewał. Rzewną nadzwyczaj była ceremonia błogosławienia dziatek i wkładania tymże poświęconych medalioników, jak również uroczyste oddanie całej rozległej parafii w opiekę Królowej nieba. Dałby to Bóg, aby zbawienne owoce i skutki z tej Misyi św. przetrwały kamienny krzyż na tę pamiątkę na zewnętrznej ścianie kościoła umieszczony.«

— **Wielka niegodziwość.** We wiosce Orzechowcu nad Zbruczem w powiecie skałackim, należącej do parafii Kaczanówka, postanowili tamtejsi Polacy, których tam jest 500, zbudować sobie kapliczkę i wzięli się do dzieła 16 listopada. Nazajutrz w niedzielę zbiegli się Rusini z siekierami w rękach i na umówiony znak z okrzykiem »hurra« rzucili się na ściany kaplicy i poczęli ją burzyć. Nie zburzyli jej jednak całkowicie, bo żandarmerya się zjawiła, i przeszkodziła tej dzikiej i barbarzyńskiej robocie. Sprawę oddano starostwu w Skałacie, a tymczasem Rusini zburzyli kaplicę do reszty. Warto nadmienić, że gdy przed kilku laty budowano tam nową cerkiew, to łacinnicy prócz robocizny ofiarowali 1000 złr, na ten cel. Doczekali się teraz pięknej zapłaty od Rusinów. Są to skutki agitacyi owych panów, którzy lud ruski podszczuwają ciągle przeciw szlachcie i wogóle przeciw Polakom. Oni to prowadzą lud do zdziczenia.

— **Burzenie krzyżów.** Z Telsz (pod Moskalem) donoszą, iż tamtejszy isprawnik z polecenia p. Klingenberga oznajmił hr. Wł. Platerowi dziedzicowi wsi Szutejk, iż ma znieść krzyż, stojący na placu przed kościołem, wystawiony przed półtora rokiem. Rozkaz był dany hrabiemu w czerwcu zeszłego roku. Gdy hr. Plater tego nie uczynił, przybył około 17 listopada 1895 r do Szutejk uriadnik z kilkunastu dziesiętnikami i otwarcie razem z nimi rozgłaszał między ludem: »przyjedziemy tu niezadługo znieść krzyż.« Widocznie chciał, żeby lud przygotował się do stawienia takiego oporu, jak w Krożach, aby gubernator miał następnie przyjemność opór taksamo »przytłumiać,« jak w Krożach. Następnie w drugą rocznicę rzezi krożańskiej, to jest dnia 23 listopada przyjechał do Szutejk prystaw stanowy z uzbrojonymi uriadnikami i dziesiętnikami, wszystkich około 20 ludzi, i polecił najprzód księdzu Proboszczowi, żeby krzyż usunął. Proboszcz rozkazu nie usłuchał. Poczem tłuszcza policyjna rzuciła się na krzyż, z murowanej podstawy go wyrwała, na cmentarz przykościelny przeniosła i tam pod kościołem porzuciła. Oporu ze strony ludu nie było.

— **Na Podlasiu** prześladują dalej Moskale w okrutny sposób nietylko Unitów, ale i prawowiernych, którzy od najdawniejszych czasów do Kościoła rzymsko-katolickiego należą i z prawosławiem nie mieli nic wspólnego.

Prześladowanie wszystkiego co katolickie istnieje w całem Królestwie Polskiem już oddawna, nigdzie jednak nie dzieje się z taką zażartością, jak na Podlasiu. Moskalom zdaje się, że to rzymsko-katolicy temu winni, iż Unici z taką wytrwałością bronią swej wiary i dla tego właśnie chodzi im tam o zgnębienie Kościoła.

Pragną dla tego odłączyć nawet całe Podlasie od Królestwa Polskiego, a przyłączyć do jednej z gubernii rosyjskich. Nie pozwalają tamże budować nowych kościołów katolickich, nie pozwalają reparować starych kościołów, wiele kościołów pozamieniano na cerkwie.

Już 14 kościołów katolickich, nie pozwolono odbudować, częścią pozabierano na cerkwie. W powiecie bialskim z 15 kościołów obrządku łacińskiego pozostały tylko 3. Katolików zaś prześladują w rozmaity sposób. Dzieci rodziców, ochrzczonych przez księży unickich, dalej takich, z których ojciec lub matka byli Unitami, zmuszają bywać w cerkwi, bo tak nakazuje prawo rosyjskie kościelne. Mnóstwo rodzin za niewypełnianie tego prawa, za branie udziału przy zaślubinach Unitów, wysyłano na wygnanie w głąb Rosyi. Wystarczyła denuncyacya, że ten lub ów jest niebezpieczny, a już odnośna osoba porzucić musiała gniazdo rodzinne.

Nowiny i Rozmaitości.

— **Sejm galicyjski** zwołany został patentem cesarskim na dzień 28. grudnia 1895 r. i w tym dniu rozpoczął obrady. Sejm bukowiński zacznie się 10 stycznia b. r.

— **Rusini** galicyjscy, w liczbie przeszło 200 osób (księży, panów, a przeważnie włościan), byli w połowie (tj. 16-go) grudnia zeszłego roku na audyencyi u Cesarza i wnieśli zażalenie przeciw zeszłorocznym wyborom do Sejmu, żądając przy tem, aby Cesarz Sejm rozwiązał i wysłał do Galicyi osobnego komisarza dla zbadania sprawy. Najjaśn. Pan nie przyjmował wprawdzie całej gromady Rusinów, tylko sześciu z nich

i oświadczył im, że naród ruski jest tak bliskim jego serca, jak i inne narody monarchii, ale dodał równocześnie, że to bardzo niepięknie, iż Rusini, a zwłaszcza księża przyjechali do Wiednia właśnie wtedy, kiedy do Lwowa odbywa wjazd nowomianowany Kardynał z ich narodu. Zauważył też Najjaśn. Pan, że liczba członków deputacyi jest za wielką, a to jest kosztownem. Na drugi zaś dzień po obiedzie dworskim, na który zaproszonych było kilku posłów, rzekł Cesarz z wyrazem politowania, wspominając o tej deputacyi: »Biedni włościanie! kto też za to wszystko zapłaci!«

— **W sprawie wychodźctwa** za morze postawiło Koło polskie przed świętami Bożego Narodzenia wniosek w Radzie Państwa, żądając, aby rząd zaprowadził nowe prawo karne przeciw ajentom, którzy lud bałamucą, obiecując mu złote góry za morzami i przeciw lichwiarzom, aby powstrzymać nierzetelne wykupywanie gruntów włościańskich z okazyi wychodźctwa, oraz, aby rząd w najkrótszym czasie przedłożył ustawę regulującą całą sprawę wychodźctwa.

— **Cesarz niemiecki** Wilhelm odwiedził dnia 17 grudnia całkiem niespodzianie księcia Bismarka, w jego miejscu zamieszkania we Friedrichsruh. Ta wizyta daje politykom dużo do myślenia, boć wszakże ten sam cesarz usunął Bismarka z kanclerstwa przed kilkoma laty, a teraz sam jeździ do niego.

— **W Rosyi** zawiał dla tamtejszych Polaków pomyślniejszy wiatr od strony rządy, ale tylko tak pozornie, bo prześladowanie wiary katolickiej trwa dalej — jak to wyżej piszemy w »kronice kościelnej.« Car Mikołaj zniósł rozporządzenie swego ojca, które zakazywało nadawać Polakom wybitniejsze posady przy kolejach. Równocześnie gazety moskiewskie piszą, że rząd wcale nie myśli ani pragnie zniszczenia narodu polskiego. Wszystkie te przychlebstwa są jednak bardzo podejrzane. — *Koronacya cara* odbędzie się tego roku w maju w mieście Moskwie. Jako przedstawiciel Austryi ma pojechać na tę koronacyę arcyksiążę Karol Ludwik. Także i Ojciec św. wyśle swego zastępcę, ale dopiero na drugi dzień po koronacyi, bo zastępca Ojca św. nie może być obecnym na obrządku prawosławnym. Spodziewają się, że na koronacyę przybędzie z pół miliona ludzi, dla którego przygotowują już osobny plac, oraz różne zabawy ludowe. — *Matka obecnego cara* ma najwięcej wpływać na niego w tym kierunku, aby tenże rządził ostro, tak jak zmarły car Aleksander III. Car jej podobnoś ulegał, ale teraz słychać, że zaczyna więcej słuchać żony, która jest przeciwną ostrym rządom. Rozeszła się pogłoska, że obie te niewiasty ze sobą się poróżniły z tej przyczyny, a matka odgraża się, że wyjedzie z kraju — nie szkodziłoby, bo możeby wtedy car łagodniejsze zaprowadził rządy.

— **W Turcyi** ciągle niespokojno, a mordowanie chrześcijan, głównie Armeńczyków, trwa dalej. Swoją drogą Armeńczycy Turkom nie przepuszczają, i gdzie mogą, to także ich mordują. W prowincyi Wan zbużyli Kurdowie (naród rozbójniczy) 30 wiosek armeńskich i większą część mieszkańców wymordowali. We wsi Jurtalon zabili 200 Armeńczyków. Jedni piszą, że już przeszło 60 tysięcy Armeńczyków wymordowano — inni jednak głoszą, że daleko więcej. W całej Małej Azyi narzucają Armeńczykom gwałtownie wiarę mahometańską. Wielu z nich dla uratowania życia przyjmuje tę pogańską wiarę, ale większa część woli umrzeć śmiercią męczeńską niż wyrzec się wiary chrześcijańskiej. W Ichme umęczono 52 Armeńczyków. W Ouzoon 55 Armeńczyków

rzuciło się w fale rzeki, ażeby uchylić się od gwałtownego nawrócenia i znalazło w nurtach wody śmierć straszliwą. Turcy z brzegu strzelali do tonących. W Murasz pewien armeński duchowny zginął powolną męczeńską śmiercią. Również dwaj protestanccy kaznodzieje i pewien kapitan syryjski ponieśli zgon męczeński. Tysiące młodych kobiet i dziewcząt zabrali sobie Turcy.

Według przybliżonych obliczeń, liczba Armeńczyków pozbawionych dachu dochodzi już do miliona. Rząd surecki jest wobec tego i za słaby i jakoś tak postępuje powoli z mobilizacyą wojska, jakby mu te mordy chrześcijan były na rękę. Mocarstwa europejskie ciągle się domagają, by rząd turecki już raz zaprowadził jakiś porządek, sułtan czyli cesarz turecki, przyrzeka to zrobić, a swoją drogą mało co w tym względzie robi, bo ma w otoczeniu takich ludzi, starych Turków, którzy nie chcą dać chrześcijanom żadnych ulg i radziby ich wszystkich wygubić. Coraz głośniej mówią, że z przyczyny Turcyi może na wiosnę łatwo wybuchnąć wojna powszechna, a Anglia chciała już podobnoś złożyć z tronu cesarza tureckiego, to zaś tylko przyspieszyłoby wojnę.

— **Aresztowania chłopów.** Z Królestwa Polskiegu donoszą: Policya i żandarmerya rosyjska od kilku już lat pilnie bada, czy między ludem wiejskim niema jakich śladów miłości ku Ojczyznie, zagrabionej przez Moskali. W ostatnich czasach przekonali się Moskale, że istotnie chłopi po wsiach zaczynają śpiewać »pieśni narodowe«, czytają książki polskie i coraz więcej poznają, że są Polakami. To się Moskalom bardzo niepodoba, a chcąc stłumić w ludzie miłość Ojczyzny — aresztują chłopów, nakładają na nich różne kary i zamykają do więzień na 3 do 8 tygodni.

— **Ładni przyjaciele ludu.** W Saksonii jest dużo bagnisk torfowych. Pewna saksońska gazeta ludowa wyraziła zdanie, że należałoby te bagniska osuszyć. Na to socyaliści w swojej gazecie odpowiedzieli, że się zupełnie na to oszuszenie nie zgadzają, bo po wysuszeniu osiedlonoby tam chłopów, co najmniej 225 tysięcy rodzin. Chłopi zaś nie przystaną nigdy na nasze (socyalistyczne) żądanie zniesienia prywatnej własności. Lepiej więc nie osuszać bagien, niż dawać je osuszone ludowi. Tak powiedzieli socyaliści, którzy ciągle wrzeszczą, że są przyjaciółmi ludu.

— **Paszporty do Brazylii.** Urzędowa *Gazeta lwowska* ogłosiła co następuje: rząd włoski, przez którego kraj przejeżdżają ci, którzy jadą do Brazylii, wydał rozporządzenie, iżby policya włoska w Pontafel dozwolała wstępu tylko tym osobom, które uczynią zadość następnym wymaganiom: 1) które posiadają kartę okrętową z Genui do Ameryki; 2) posiadają dostateczny fundusz na podróż z Pontebby do Genui; 3) posiadają dokument legitymacyjny, ważny do podróży za granicę państwa; 4) przybędą do stacyi granicznej nie wcześniej, jak na dni pięć przed odjazdem okrętu, na który ich karta okrętowa opiewa.

Wobec tego polityczne władze powiatowe otrzymały polecenie, ażeby osobom, zamierzającym wyjechać do Brazylii, wydawały paszporty tylko wtedy, jeżeli uczyniły zadość ogólnym przepisom, wydanym w tym względzie w obwieszczeniu ministeryalnem z dnia 10 maja 1867 Dz. pr. p. nr. 80, przepisom ustawy o obowiązku służby wojskowej itd., a nadto jeżeli: 1) wykażą się oryginalną kartą okrętową, za którą nie można uważać przekazów, wystawianych przez agenta Nodarego z Udine i jego podagentów; 2) na pokrycie kosztów podróży z kraju do Genui wykażą się przynajmniej kwotą 50 złr. od osoby; 3) stosownie do wy-

rażonego dawniej zastrzeżenia rządu włoskiego wyjeżdżają z okolicy, w której nie panuje żadna choroba epidemiczna.

Paszport będzie wydany nie wcześniej jak dziesięć dni przed odjazdem okrętu, na który karta okrętowa opiewa. Data odjazdu okrętu jest zawsze wymieniona w karcie okrętowej. Zauważa się także, że według oznajmienia konsulatu w Genui, wychodźcy nie potrzebują tam przybywać wcześniej jak w przeddzień odjazdu okrętu.

— **„Kolenda dla sług"** na rok 1896. Pod takim tytułem wyszła książeczka nakładem X. Łukowskiego w Tarnowie. Kosztuje tylko 5 centów. W książeczce tej znajdują się bardzo piękne i pożyteczne nauki i rady dla służących. Nabyć ją można w *księgarni K. Raschki* w Tarnowie.

— **Przeciw Kółkom rolniczym.** We Lwowie zawiązali żydzi stowarzyszenie dla popierania żydów handlarzy po wsiach i małych miasteczkach. Stowarzyszenie to nazwali po niemiecku: *Kleinhandelsschutzverein,* a ma ono na celu szkodzić Kółkom rolniczym i sklepikom chrześcijańskim, które żydzi uważają za bardzo niebezpieczne i szkodliwe dla handlu żydowskiego. Dla chrześcijan powinno to być zachętą, by coraz więcej Kółek i sklepików po wsiach i miasteczkach zakładali, bo jeżeli żydzi tak się biorą do nas, to czemuż my nie mamy się bronić! Szkoda, że lud wiejski jeszcze dobrze tej sprawy nie pojmuje.

— **Visum repertum** czyli świadectwo lekarskie w sprawach karnych trzeba było dotychczas zaopatrywać w stempel 50 ct., a kto tego nie zrobił, ten płacił karę. Licząc na jeden powiat na rok tylko 200 *visum repertum* — ściągano w ten sposób co roku z najbiedniejszej ludności, bez potrzeby, po kilka tysięcy reńskich. W roku zeszłym wniósł Dr. S. Mikołajski z Ciężkowic rekurs przeciw karze stemplowej, a krajowa Dyrekcya Skarbu wydała 28 sierpnia 1895 r. (L. 71 i 756) orzeczenie, iż *visa reperta* nie podlegają należytości stemplowej, jeżeli są pisane w *formie doniesienia do sądu o uszkodzeniu cielesnem.*

Figle i żarty.

Rozumowanie pijaka: No, No! Jeżeli woda tak zmarnowała moje buty, ładniebym wyglądał z moim żołądkiem pijąc — wodę.

Co zrobiła z pijawkami!:

No, cóż tam Wojciechowo z waszym?

— A lepiej, proszę łaski pana doktora. Ale z temi pijawkami co je pan doktór mu zapisał, to co ja miałam dopiero za biedę! Trzy, to jeszcze mógł przełknąć surowe, ale resztę tom musiała obsmarzyć.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 1 Lutego 1896. **Nr 2.**



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi** rocznie: **1** złr. **50** ct. półrocznie: **75** centów. *Kwartalnej* przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1** dolar.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka,* **w Krakowie,** ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi raz w miesiącu — dnia **1**-go.

Każdy, kto złoży z góry całoroczną prenumeratę, **otrzyma bezpłatnie,** jako premię **„Kalendarz“** na rok bieżący 1896. Kto zaś (nie licząc siebie) pozyska jeszcze **pięciu** nowych prenumeratorów, ten otrzyma jako **drugą** bezpłatną premię **książkę do nabożeństwa** pod tytułem: **„Droga do nieba“.**

Ważne doniesienie od wydawnictwa!

Pierwszą bezpłatną premię, to jest: **Kalendarz** na rok bieżący, jużeśmy rozesłali w styczniu b. r. **wszystkim** prenumeratorom *Nowego Dzwonka,* którzy złożyli prenumeratę *całoroczną.*

Teraz chcemy dać *jeszcze jedną* — **drugą bezpłatną premię,** a mianowicie **książkę do nabożeństwa** pod tytułem:

„DROGA DO NIEBA“.

Tę atoli książkę mogą otrzymać **darmo** — jako premię — **tylko ci,** którzy w najbliższym czasie, to jest **w tym jeszcze miesiącu,** czyli w lutym, a najpóźniej do połowy marca b. r. **zjednają** dla **„Nowego Dzwonka“** — **przynajmniej 5-ciu** (wyraźnie: **pięciu nowych** prenumeratorów), **nie licząc siebie,** i nadeślą nam od nich prenumeratę.

Zwracamy powtórnie uwagę, że trzeba zjednać **pięciu nowych** prenumeratorów, i to **wcześnie**, aby można tę książkę **darmo** otrzymać. Kto to zrobi, ten otrzyma ową książkę odwrotną pocztą, jako nagrodę za tę przysługę dla naszego pisma.

Sądzimy, że przy obecnie tak niskiej prenumeracie, nie będzie dla życzliwych Wam Czytelników zbyt trudnem pozyskać *pięciu nowych* prenumeratorów. Trzeba tylko coś nie coś dołożyć starania, a opłaci się ono, skoro za to dajemy taką premię.

Nowym Czytelnikom, którychby Wam się udało pozyskać, możecie powiedzieć, że otrzymają jeszcze, po złożeniu prenumeraty, poprzednie numera *Nowego Dzwonka* z tego roku, to jest numer *pierwszy* i *drugi*, oraz i *Kalendarz*, gdy nadeślą prenumeratę *całoroczną*.

To pierwsze doniesienie. A drugie jest takie:

Po wysłaniu *Kalendarza* otrzymaliśmy znaczną ilość reklamacyj i kartek korespondencyjnych, że *Kalendarz* do wielu z Czytelników nie doszedł. Niektórzy nawet i *pierwszego* numeru *Nowego Dzwonka* nie otrzymali, chociaż ten wysłany był zaraz w pierwszych dniach stycznia.

Smutna to rzecz, że w Galicyi dzieją się takie rzeczy, że tak często giną w drodze książki i gazetki, na czem najwięcej cierpi redakcya, bo Czytelnicy robią jej przykre wymówki.

Myśmy zaraz *Kalendarz* i gazetkę wysłali *powtórnie* tym, którzy ich nie dostali.

To, co się teraz zdarzyło, to się zdarza co roku, nie z naszej winy.

Skarżyli się niektórzy Czytelnicy w roku zeszłym, że nie otrzymali kilku numerów *Nowego Dzwonka.* My nie winni temu; *Nowy Dzwonek* był zawsze wysyłany wszystkim, którzy zań zapłacili, a jeżeli który numer do rąk odbiorcy nie doszedł, to już wina nie nasza, ale owych ludzi niegodziwych, co to chcą czytać gazetki a płacić za nie, nie chcą; biorą je z poczty, czytają, zasmarują, powalają i dopiero nieraz po tygodniu (jak nam o tem Czytelnicy piszą) oddają właścicielowi, czyli właściwemu, płacącemu prenumeratorowi, a czasem i wcale mu gazetki nie oddają. Tacy ludzie, to — po prostu mówiąc — złodzieje, co krzywdzą i redaktora i prenumeratorów.

Nie brak takich niegodziwców wszędzie, ustrzedz się ich trudno, ale, aby im dać nauczkę, dobrzeby było, aby Szan. Czytelnicy donosili o takich do redakcyi, a my zaskarżymy ich do sądu, jako przywłaścicieli cudzej własności.

Swoją drogą, gdy kto nie odbierze *Nowego Dzwonka* najpóźniej w dwa lub trzy dni po pierwszym dniu w miesiącu, to niech napisze reklamacyę, a gdy reklamacyi pisać nie umie, to niech

doniesie na kartce korespondencyjnej, że tego a tego numeru nie otrzymał — a otrzyma go.

Powiedziane było w pierwszym, poprzednim numerze, że niniejszego 2-go numeru nie dostaną ci, którzy do końca stycznia prenumeraty nie uiszczą; wyjątkowo jednak przesyłamy i wam, co się tak opóźniacie z prenumeratą — jeszcze ten *drugi* numer — stanowczo jednak oświadczamy, że *trzeciego* t. j. następnego numeru nikomu nie poślemy, kto w tym miesiącu prenumeraty nie nadeśle.

Pismo nasze jest *bajecznie tanie*, a nadto dodajemy *bezpłatnie* «Kalendarz» — **a takiej premii żadna inna redakcya nie daje** — więc wobec tej taniości pisma i takiej premii, czekać jeszcze na prenumeratę — to chyba już byłoby za wiele dobrego!

Zresztą nie mając znikąd ani centa subwencyi i opierając się jedynie na prenumeracie — wprost jest dla nas nawet niemożliwem przesyłać komuś pismo i czekać po kilka miesięcy na prenumeratę — i potem wcale jej nie otrzymać — jak się to często zdarza. Zkądże bowiem weźmiemy pieniędzy, aby pismo wydawać, jeżeliby tak każdy obiecywał tylko zapłacić kiedyś tam, kiedyś, a potem nie zapłacił?

Wolimy mieć mniej Czytelników, ale takich, którzy zaraz z góry płacą, niż dużo, ale takich, którzy obiecują zapłacić! To sobie sami raczcie spamiętać i drugim o tem powiedzcie!

Za życzenia nadesłane nam przy Nowym Roku, serdecznie dziękujemy, jak również i za pozyskanie *Nowemu Dzwonkowi* nowych prenumeratorów.

W końcu prosimy życzliwych nam Czytelników o **rozszerzanie** *Nowego Dzwonka* między znajomymi, o zjednywanie dlań jak najwięcej prenumeratorów, bo gdy się liczba Czytelników zwiększy, to *Nowy Dzwonek* będzie jeszcze więcej pouczającem i ciekawszem pismem; objętość jego pozostanie taka zawsze jak jest dotychczas, to jest 16 kartek druku, a *obrazków* czyli *rycin* będzie jeszcze więcej, niż teraz. To jednak zależy głównie od Waszej dobrej woli i życzliwości.

Redakcya „Nowego Dzwonka“.

Pogawędka o różnych rzeczach.

(Zapoznane źródło dochodów. — O sklepikach i sklepikarzach po wsiach. — Brak oświaty).

Na łaskawe zaproszenie Szan. Redakcyi, pospieszam z artykułem treści różnej, ale *praktycznej*, oby tylko nasi Bracia włościanie zechcieli moje słowa przyjąć życzliwie, rozważyć je i w czyn wprowadzić, a mieliby z nich nie mały pożytek.

Takie artykuły, jak ten dzisiejszy, pisywać będę chętnie do każdego numeru *Nowego Dzwonka*, a najlepszą dla mnie nagrodą za tę pracę i prawdziwą radością będzie, jeżeli je kochani Czytelnicy chętnie czytać będą.

Dziś chcę mówić najpierw o *pewnem źródle* dochodów, u nas, bardzo niestety, zapoznanem, a mam tu na myśli: *hodowlę ryb*, którą śmiało mógłby się zająć niejeden włościanin, i mieć bez wielkich wydatków dość znaczny z niej dochód.

Powinno się mówić o wszystkiem, co może podnieść dobrobyt ludu wiejskiego, a więc i o hodowli ryb, tem bardziej, że w czasach dzisiejszych ta hodowla przyniosłaby, jak wspomniałem, nie małą korzyść. Rojowisko ludzi wzrasta coraz więcej, ludzie rozmnażają się, a z tem wzrosło także i zapotrzebowanie środków spożywczych. Z każdym rokiem powiększa się liczba ludzi, więc ludzie powinni udoskonalać tak swoją pracę w wyzyskiwaniu ziemi, która ich żywi, żeby się zmniejszały wszystkie owe pustki, niedostępne bagna i wody, które nie przynoszą pożytku.

Dotąd wszakże wody nasze, z wyjątkiem rzek i większych stawów i jezior, nie przynoszą żadnego pożytku, lub bardzo mały zysk. A jednak bez wielkich nakładów, tylko przy dobrej chęci i należytej gospodarce, niejeden gospodarz, niejedna gmina mogłaby mieć dochód, gdyby chciała zarybić większy strumyk, który przez wioskę płynie, a szczególnie stawy i jeziora, znajdujące się w jej obrębie.

U nas jednakże robi się w tym względzie wszystko tylko na szkodę swoją własną. Starsi i młodzi wyławiają drobiazg rybi, nie pozwalają mu dorość, lub wydzierżawiają żydom zarybione stawy i jeziora, a żydzi robią to samo i prowadzą również taką samą gospodarkę rabunkową.

Źle robią i krzywdzą siebie ci, co tak gospodarują, ale i ci także nie są gospodarzami rozumnymi, którzy mając na swym gruncie lub koło domu staw, choćby mały, nie zarybiają go. W naszym kraju hodowla ryb opłaciłaby się sowicie, bo dzięki Bogu nasza ludność chrześcijańska obserwuje posty, więc rybę chętnie kupi, a i żydzi za rybami przepadają, i można mieć z nich stałych odbiorców.

Dzisiaj się skarżą, zwłaszcza po miastach, że ryby drogie, a to ztąd pochodzi, że mało kto zajmuje się tą hodowlą — gdyby więcej było hodowców, to ryby byłyby tańsze i miałyby jeszcze więcej odbiorców.

Znam jednego gospodarza, który miał mokrą łąkę, z której nie wiele było trawy. Cóż więc zrobił? oto pokopał rowy, przez co łąkę osuszył i zarybił te rowy lepszymi gatunkami ryb i dziś

sam jé ryby i sprzedaje znaczną ilość. Niejeden mógłby to samo zrobić, tylko, że mało się komu chce zabrać do roboty rozumnej, i dlatego u nas taka bieda.

Już co prawda, to prawda, ale to wszystkim wiadomo, że mało jest u nas ludzi, coby umieli sobie radzić, coby mieli chęć i spryt do przemysłu, dlatego tak nam jeszcze trudno wydobyć się z rąk żydowskich.

Pocieszającem jestto bardzo, że naprzykład po naszych wsiach powstają co chwila sklepiki chrześcijańskie i jedne z nich rozwijają się pomyślnie, drugie atoli upadają, lub wiedzie im się bardzo licho.

A przecież i z tego handlu może mieć niejeden spory zysk, a oprócz tego i swoim sąsiadom zrobiłby wygodę. Czyż nie lepiej dawać targować swemu, niż żydowi? — Prawda, że lepiej, ale cóż — powie niejeden — kiedy się zdarza, że sklepikarz wiejski jest często niegrzeczny i nie obchodzi się z kupującym tak delikatnie, jak żyd, wolę więc pójść do żyda. Kupiec żyd zawsze jest grzeczny, uprzejmy, a nieraz to i czem poczęstuje.

Tak, to być może, ale możesz być pewnym, że cię za to dobrze oszuka na wadze i mierze, a w sklepiku chrześcijańskim dostaniesz i towar lepszy, i miarę i wagę sprawiedliwą.

Narzekają niektóry na sklepikarzy, niby na ich niegrzeczność, lub że ci nie chcą dawać towarów bez pieniędzy, a cóż z Was niejeden robi? Ot narobi w sklepiku długów, nie płaci, a potem znowu idzie do żyda. I to może ma się nazywać popieraniem handlu chrześcijańskiego?

Żyd ci wprawdzie prędzej zborguje, czyli da towaru bez pieniędzy, ale za to dobrze sobie to policzy, nieraz w trójnasób i potem cię zaskarży i krowę ci sprzeda. Katolicki zaś kupiec nie chce się wdawać w takie sprawy, a jeżeli się wda, to chyba z konieczności i z przykrością w sercu. Kto jest wobec kupca chrześcijańskiego rzetelnym, to ten z pewnością dla takiego gościa będzie zawsze grzecznym i uprzejmym, bo gdyby nie był takim, to sam sobie by szkodził.

Nieraz położenie sklepikarza chrześcijańskiego we wsi jest dość trudne, bo lud nasz ciągle jeszcze więcej wierzy żydom, niż komu innemu, mimo to jest nadzieja, że w miarę wzrostu oświaty, lud zrozumie swój własny interes i od żydów się odwróci. Można to już widzieć w tych wsiach, gdzie lud jest więcej oświecony z wielu takich wsi, gdy założono w nich sklepiki chrześcijańskie, żydzi już wynieśli się, a na tem lud wiele zyskał.

Żeby to zrozumieć, trzeba mieć więcej oleju w głowie, więcej oświaty. Dopóki lud nie nabierze więcej oświaty — to zawsze

będzie nieporadnym i wyzyskiwanym, a tem samem dalej będzie biedę klepał.

Wspomnę tu o jednym najświeższym wypadku. W powiecie brzozowskim rozpuszczono pogłoskę, że rząd będzie zabierał chłopom las; w tę bajkę uwierzyli wieśniacy, zwłaszcza we wsi Jasienicy i rzucili się do wyrąbywania lasów. Drzewo zaś — któż kupuje? — a któżby inny, jak nie żydzi? — a kupują je za bezcen. Gdyby ci chłopi mieli więcej oświaty, to z pewnością nie byliby uwierzyli takiej wierutnej bajce i nie niszczyliby swoich lasów, aby się przez to żydzi bogacili.

Ze smutkiem jednak trzeba powiedzieć, że oświata postępuje między naszym ludem jeszcze bardzo powoli, i trzeba prawie gwałtem namawiać niejednego z wieśniaków, by wziął do ręki gazetkę lub książkę. I zkądże tedy ma być u nas lepiej?

Dałoby się dużo jeszcze w tym względzie powiedzieć, lecz odłożę to na inny raz, a tymczasem kończę moją pogawędkę, może nie bardzo udolną, ale dla wielu potrzebną.

Jeden z Czytelników.

Obrazki z Ziemi świętej.

Wnętrze świątyni Betleemskiej. — Grota Narodzenia Pańskiego.

Świątynia Betleemska, założona przez św. Helenę, należy do najpiękniejszych kościołów na Wschodzie, lubo znajduje się w zaniedbaniu i chociaż poniosła nie mało spustoszeń, poprawek i dodatków nowszych, które wcale nie przyczyniają się do ozdoby gmachu; jednak i teraz uderza swoją wspaniałością budowy.

Świątynia ta położona w małem od Betleemu oddaleniu, na brzegu góry, ma formę krzyża.

Po przejściu babińca, gdzie jest 5 drzwi wielkich, ale tylko środkowe otwarte, bo inne zamurowane, wchodzi się do wnętrza świątyni, a tu uderza w oczy każdego wspaniała kolumnada we cztery rzędy, która dzieli kościół jakby na 5 naw.

W każdym szeregu ciągnie się 12 kolumn, czyli olbrzymich słupów, od drzwi do poprzecznych ramion krzyża. Kolumny te są całkowite, marmurowe, bogato u góry ozdobne.

Betleemczycy uważają kościół i znajdujący się przy nim klasztor za swoją twierdzę, ztąd we wszystkich zatargach z rządem tureckim, przenoszą tu swoje rzeczy, bydło, dzieci i żony, i dopiero sami występują do boju.

W prezbiteryum, zbudowanem nad grotą Narodzenia Pańskiego, znajdują się cztery ołtarze. Wielki ołtarz pod tytułem

Narodzenia należy do Greków, również należy do nich ołtarz po lewej stronie, pod nazwą *Trzech Króli*, gdzie, wedle podania, mieli trzej św. Królowie wydobyć swe dary i nieco się przygotować do wejścia w grotę; drugi ołtarz po lewej stronie wielkiego ołtarza należy do Ormian, po prawej stronie jest ołtarz *Obrzezania* i ten należy również do Greków.

Po obu bokach wielkiego ołtarza są dwa wchody do *Świętej Groty*. Po sześciu schodach marmurowych przychodzi się do drzwi w szarym marmurze, a potem zstępuje się korytarzykiem wąskim po 9 stopniach do samej groty.



Wnętrze świątyni Betleemskiej.

W tej świętej grocie narodził się Odkupiciel świata, Pan nasz Jezus Chrystus.

Jeden z podróżnych tak opisuje to miejsce:

»Przed wnijściem tutaj, przełożony klasztoru dał mi świecę wraz z krótkiem napomnieniem. Ta grota jest niekształtną, ponieważ zajmuje niekształtną przestrzeń stajenki i żłobu. Ma trzydzieści siedm i pół stóp wysokości, wykuta jest w skale. Ściany tej skały wyłożone są marmurem; drogim także marmurem wysłana jest i posadzka groty. Ozdoby te przypisują świętej Helenie. Światło nie wchodzi z zewnątrz do tego kościoła, oświecają go tylko trzydzieści dwie lampy, ofiarowane przez różnych monarchów chrześcijańskich. W głębi groty, od wschodniej strony, jest

miejsce, gdzio Marya Dziewica porodziła Odkupiciela rodu ludzkiego. Miejsce to wskazuje tablica z marmuru białego, wysadzana jaspisem i otoczona srebrnym obręczem z promieniami na kształt słońca. Około czytamy napis:

HIC DE VIRGINE MARIA JESUS CHRISTUS NATUS EST.

Tutaj z Maryi Dziewicy narodził się Jezus Chrystus.

»Tablica marmurowa, służąca za ołtarz, przypiera do boku skały nad miejscem, gdzie Mesyasz ujrzał światło dzienne. Ołtarz ten oświecają trzy lampy, najpiękniejszą z nich ofiarował Ludwik XIII.

»O siedm kroków ztąd, ku południowi, znajduje się złób. Schodzi się tu dwoma stopniami, bo ten żłób nie jest na równi z resztą groty. Jestto sklepienie nie wysokie w głębi skały. Bryła marmuru białego podniesiona o jedną stopę, wyżłobiona w kształcie kolebki wskazuje miejsce, gdzie Pan Nieba spoczywał na słomie.

»O parę kroków naprzeciw żłobu stoi ołtarz w tem miejscu, gdzie siedziała Marya, kiedy Dziecię boleści odbierało pokłon od Magów, czyli Trzech Króli.

»Nie masz nic przyjemniejszego i bardziej pobudzającego do pobożności, jak ten kościół podziemny. Na organach podczas Mszy św. wykonywano tu bardzo dobrze najtkliwsze utwory najlepszych muzyków włoskich. Muzyka ta mile wpada w ucho Arabowi chrześcijaninowi, który zostawiwszy na paszy wielbłądy swoje, przychodzi jak starożytni pasterze betleemscy, złożyć hołd Królowi królów w jego jasełkach. Widziałem tego mieszkańca pustyni jak przystępował do Komunii świętej u ołtarza Magów z pobożnością i wiarą nieznaną chrześcijanom Zachodu. Żadne miejsce na całym świecie nie pobudza do większej pobożności. Nieustanny napływ pielgrzymów wszystkich narodów chrześcijańskich, modły publiczne, leżenie krzyżem, bogactwo nawet upominków, które monarchowie chrześcijańscy tu nadesłali: wszystko obudza w duszy wrażenia, które daleko łatwiej dadzą się uczuć, niżeli wysłowić«.

Dodajemy tu jeszcze, że sam żłób drewniany, gdzie leżał Zbawiciel, znajduje się obecnie w Rzymie w kościele świętej Maryi Większej; przeniesiono go tam wraz z kilku kamieniami odbitymi od skały w grocie betleemskiej w VII wieku.

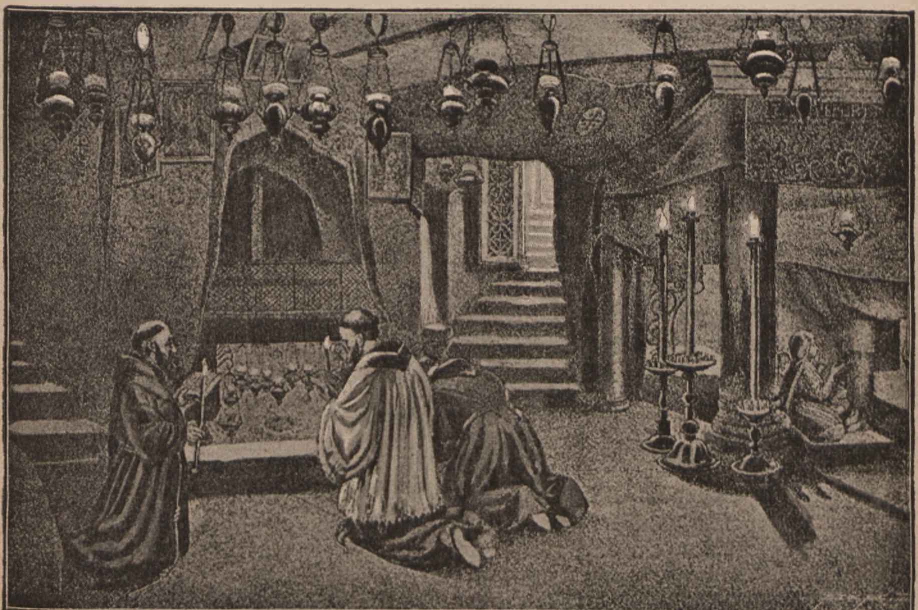
Grota Narodzenia Zbawiciela była od początku chrześcijaństwa w największem uszanowaniu. Już w pierwszych czasach zbierali się tu chrześcijanie na nabożeństwo; cesarz rzymski Adryan chcąc ich odstraszyć od tych nawiedzin, postawił na miejscu Na-

rodzenia posąg bożka Adonisa, który był tu aż do czasów cesarzowej św. Heleny.

Ta oczyściła najświętsze miejsce od bałwochwalstwa i kosztownemi marmurami ozdobiła grotę, a na jej wierzchu wzniosła kościół, o którym wyżej piszemy.

Miejsce, gdzie Anioł Pański pokazał się *Pasterzom* czuwającym w nocy i zwiastował wesołą nowinę, położone blisko Betleem u stóp wsi *Bastur*, czyli »Pasterzów«, opasane jest murem, i rośnie tu kilkadziesiąt drzew oliwnych.

Swięta Helena zbudowała i w tem miejscu kościół, pod ty-



Grota Narodzenia Pańskiego.

tułem świętych Aniołów, dziś będący w zwaliskach, pod któremi znajduje się inna znowu grota, w której sypiali pasterze, kiedy inni czuwali nad trzodą.

Dla zrozumienia, zkąd się wzięła stajenka w grocie, w której się narodził Chrystus Pan, dodamy, że prawie pod każdym domem w Betleemie znajduje się pieczara, która służy za stajenkę dla bydląt, lub za schronienie dla samych mieszkańców w czasie zimy, kiedy wiatr przenika nieszczelne mury domów, bo wtedy w grocie jest daleko cieplej.

Najświętsza Panna nie mogąc znaleść przytułku w gospodzie, a potrzebując osobnego kątka, bo była w stanie błogosławionym,

*

chętnie udała się do groty-stajenki. Była w tem poniekąd konieczność, ale było w tem i to wyższe rozporządzenie Boga, który chciał przyjść do nas w ostatniem ubóstwie.

MODLITWA.

Z gruzów więzienia wołamy do Ciebie:
Wróć nam Ojczyznę, o Boże na niebie!
Bez której równie jak bez Ciebie, Boże!
Polak żyć nie może.

Ojcowie nasi twierdz żadnych nie znali;
Na skałach, w piaskach kościoły stawiali,
Tobie się zdali — Ty miałeś być mężnym,
Zbawcą potężnym.

Gdy Twój przyjęli zakon uświęcony,
Miecza dobyli dla jego obrony:
Dziesięć go wieków, dopóki nie padli,
W pochwy nie kładli.

Tobie zdobycze, Tobie wszystkie trudy,
Tobie okolne hołdowały ludy,
I gołą piersią od pogańskiej stali
Resztę zbawiali.

Ani ich zmogły pogańskie napady,
Ani krzyżackich odstępców Twych zdrady,
Za to od Ciebie mieli sobie daną
Wolność kochaną.

Wiara i wolność, to były ich hasła,
Aż wiara, wolność w ich sercu wygasła,
Tyś twarz odwrócił, a oni spętani,
Obcym poddani.

Ze snu gnuśnego dzisiaj ocuceni,
O Boże Ojców! biegniem do Twej sieni,
Powróć już wolność na sarmacką ziemię
Dźwignij jej plemię!

KWESTARZ.

Około wieczora, a był wieczór majowy, siedział stary Wojciech, kołodziej, na podwórzu pięknej zagrody swojej. Był to zawołany w całej okolicy rzemieślnik i niepospolity gospodarz,

a przytem tak pracowity, i pobożny i mądry, że ludziom był miły i od Boga ubłogosławiony. Nikt takich dobrych kół i dyszlów nie robił jak on i dlatego obrzucony był obstalunkami. Poruczywszy starszemu synowi gospodarstwo, oddał się cały rzemiosłu swemu. Na dziedzińcu stały duże zapasy suchego materyału: brzosty, buki, graby i dęby. Był właśnie wieczór sobotni i Wojciech spieszył, aby przyobiecaną na poniedziałek ukończyć robotę, a nabijając sprychy do koła, ulubioną nucił piosenkę:

Koło goni, koło dzwoni,
Aż pęknie i stanie;
Serce boli, myślą goni,
Aż i bić przestanie.

Bo przez różne progi, drogi
Koło się potoczy;
Czyś bogaty, czyś ubogi,
Śmierć cię w grób zatoczy!

Różne sprychy w mojem kole,
Różne w życiu chwile,
Różne szczęścia, różne bóle
Ucichną w mogile.

— Dzięki Bogu! już i robota ukończona; godzi się trochę wypocząć. — A to mówiąc, poczciwy kołodziej rzucił się pod cień rozłożystego jaworu, a dobra żona z dziatkami tuż przy nim usiadła. — Odmówmy koronkę do Matki Boskiej, zanim wieczerza się zgotuje.

I poczęli się modlić; ale wtem turkot ciężko naładowanego wozu dał się słyszeć i wszyscy zwrócili oczy ku drodze, która wężykiem ze stromej góry do wioski prowadziła.

— Pobiegnij Jasiu i zobacz, bo przez te bzy tak gęste trudno co rozpoznać.

Poskoczył Jaś i zawołał:

— Tatulu! to dobrodziej Marek, poznałem go siedzącego na wierzchu dobrze wyładowanego wozu, zapewne z kwesty powraca do klasztoru.

— Niech będzie Bóg pochwalony za jego przybycie! Zawsze się w sercu robi cicho i swobodnie kiedy go widzę — rzekł Wojciech — bo to sługa Boży, jakich mało; pokorny, wesoły i pobożny, a jak o Panu Bogu zacznie mówić, toby go człowiek rad i całą noc słuchał.

A któż to jest ten kwestarz? zapyta może niejeden z was czytających. Oj, żebyście byli z tej Radomskiej okolicy, tobyście o to nie pytali, bo któż tam jest, ktoby nie znał brata tego, kwe-

starza z klasztoru Reformatów? Nie masz w całej okolicy kościoła, w kiórymby on się nie modlił; nie masz krzyża i figury, przed którąby on nie był klęczał; nie masz dworu i zamku, gdzieby nie był znany i kochany.

Bo niechaj mówią ludzie co chcą, jest jeszcze wiara i miłość Boga w kraju naszym, a dowodem tego Marek kurzem obsypany, z kapturem na głowie, w grubym i łatanym habicie, wszędzie miłym i pożądanym był gościem! On milcząc i modląc się, chodził po całym kraju wszerz i wzdłuż, jakby jakie żyjące kazanie, ucząc, że ubóstwo jest skarbem, pokora chwałą, a prostota mądrością! Że praca daje wesołość, a miłość Boga rodzi miłość ludzi.

Widziano już nieraz w bogatych komnatach ubogiego Marka i niejedno już słówko pociechy i nauki wyszło z jego ust. On z wdzięczności przyjmował dary ziemi, co mu ofiarowano, a w zamian użyczał darów nieba z błogosławieństwem przywiązanem do słów: »Cokolwiek jednemu z tych najmniejszych uczyniliście, toście mnie uczynili! — a kto przyjmuje sługę Boga w dom swój, ten przyjmuje samego Pana Jezusa!« A gdy Marek dobrze zaopatrzony wyjeżdżał z jakiego dworu, to on więcej zostawiał, jak wywoził. Nie zubożeje dwór dla jednego połcia słoniny, dla berbeniszki sera lub faski masła, dla kilku ćwiartek zboża lub ziemniaków, ale zbogaci się błogosławieństwem Pana Jezusa mówiącego: »Dajcie a będzie wam dano!« Zbogaci się opieką świętego Franciszka Serafickiego, który wyprosi u Boga wiele łask dla tych, którzy dzieci jego łaskawie w dom swój przyjmują.

Oj, bo to dziwny i wielki święty był ten święty Ojciec Franciszek! On tak chciwie pragnął ubóstwa, jak to inni pragną majątku; on się tak bał mieć »coś«, jak inni boją się mieć »nic«. Ubogi, pokorny, szedł w ślady za ubogim, pokornym Jezusem, i dlatego nosił na rękach i na nogach i na boku wypiętnowane cudem Bożym znaki ran Zbawiciela Pana, ale wprzód już miłość Boga wypiętnowała na sercu jego. Jak Ojciec Seraficki wiernym był naśladowcą Chrystusa, tak i Marek wiernym był naśladowcą świętego Franciszka, patryarchy tego zakonu.

Oj, świat tej mądrości ewangelicznej nigdy nie pojmował i nie pojmie, jakto można w ubóstwie, w prostocie i poniżeniu u świata żyć wesoło i być bogatym i szczęśliwym! Ileż to w życiu klasztornem jest pociech i szczęścia, a októrych świat ani wie!

I wyszedł Wojciech przeciw bratu Markowi. Stanął wóz przed bramą podwórca, właśnie gdy Marek kończył swój różaniec, bardzo misternie z sęków jodłowych własną jego ręką wytoczony, a z pod kaptura, jakby gwiazdy z pod chmury, oczy jego w jasny nieba patrzały błękit.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! A jakże się

macie, panie Wojciechu? Jużeśmy się to dawno nie widzieli; jeszcze w Radomiu na odpuście. A cóż, czy robota klasztorna gotowa? wasąg i koła do wozu; bo widzicie, że i teraz ciężko mi będzie do domu dojechać; w takiej posusze to wszystkie sprychy się zeschły, a Pan Bóg dobrze wóz wyładował i jakoś pomoże, aby do klasztoru szczęśliwie dojechać.

— Robota ukończona — odrzekł Wojciech — i w poniedziałek sam do bobrodziejów odwiozę, tylko proszę zleść z wozu i obejrzeć. Nie wzgardzicie przecież ubogim domkiem naszym, i koniki pomęczone, znajdzie się dla nich wiązka siana, a i wóz zdałoby się nasmarować. — To mówiąc, mrugnął na Jaśka, a on odrazu zrozumiał ten znak.

Usiadł Marek po cieniem jaworu, a koniki rozkiełznane gryzły pachnące sianko. Wojciechowa poszła do izby, aby spory kawał masła dodać do jęczmiennej kaszy; małe dziewczęta usiadły na ziemi, bawiąc się mosiężnym krucyfiksem u różańca Marka.

— Dawnoście też w tych stronach nie bywali, dobrodzieju? a zkądże teraz wracacie?

— Byłem na Podolu, nad brzegami Dniestru.

— A cóż tam słychać nowego?

— Ot wszędzie to samo! kto Boga kocha, temu zawsze dobrze, a kto Go nie kocha, temu zawsze źle; czy on pan, czy chłop, czy rzemieślnik, czy żebrak; bo Pan Bóg na to nas stworzył, abyśmy Go kochali, bo wszyscy Jego dziećmi jesteśmy; a kto nie kocha, ten jest jakby umarły.

— Ej, jakbyć to człowiek chciał kochać Pana Boga — odrzekł Wojciech — ale nie wie jak się to wziąć do tego. Człowiek wzrósł w pracy i tylko siekierę, ale nie książkę ma w ręku. Dzięki Bogu! katechizm dobrze umiem, bo mnie tego mój ojciec nieboszczyk i ksiądz Proboszcz nauczyli, a matka, jak to na koronce się modlić; a jednak łatwiejby to było, gdybym mógł na książce Pana Boga chwalić. Dlatego dzieci moje pilnie do szkoły posyłam, bo też nam Pan Bóg dał dobrego nauczyciela, co je uczy, zapewne go znać musicie.

— Znam go dobrze — odezwał się Marek — i bardzo to dobrze, że dziatki do szkoły na naukę posyłacie; ale o siebie to się nie troszczcie. Każdy niechaj chwali Pana Boga jak może i jak umie: bo cała mądrość człowieka to nie w rozumie, ale w sercu. Bo widzicie, serce to jak obraz, a rozum to jak ramki do obrazu; cóż pomoże, że ramki złote, jeśli obraz szpetny, a piękny obraz to i bez ramek piękny pozostanie. Wszakże to i u nas w klasztorze rozmaici są ludzie. Jedni ciągle siedzą nad książkami, drudzy spowiedzi słuchają, inni prawią kazania i katechizmu uczą; są braciszki klasztorni tak jako i ja, i jedni z nas jeżdżą po kwe-

ście, drudzy to przy kuchni, to przy furcie, to przy ogrodzie, to przy zakrystyi; grają na organach, szyją suknie, kopią grzędy i rozmaicie, jak tam posłuszeństwo każe. A jednak wszyscy Pana Boga kochamy i Jemu służymy, a każdy z nas chwali Go jak może i jak umie. Wszakże i w całej naturze to samo się dzieje. Nie każda ptaszyna jest słowikiem; są i wróble, i skowronki, i wrony i bociany; nie każdy kwiatek jest różą; są i piwonie, i lilie, i słoneczniki, i barwinek i macierzanka; a jednak każde stworzenie jak może Bogu swemu cześć i chwałę oddaje. Pan Bóg nie potrzebuje naszej mądrości, ale wymaga naszej miłości. Ten mądry, kto Boga kocha; ten głupi, kto Go nie kocha!

Słuchał Wojciech z pilną uwagą, a brat Marek ciągle o Bogu rozprawiał i różne przytaczał ciekawe historyjki. I tak naprzykład święty Ojciec Franciszek zwykł był wieczorem chodzić do lasku koło klasztoru dla odmawiania wieczornych pacierzy. A gdy ptaszęta gromadnie zebrane po krzewach i drzewach świstały i świegotały rozmaitemi głosami, on cierpliwie słuchał tego gwaru i cieszył się, że i ptaszęta Bogu cześć oddają. Ale po chwili donośnym do ptasząt odzywał się głosem: »No, dość już tego śpiewu; jam milczał, a wyście Boga chwaliły, teraz wy milczcie, a ja poczn Boga chwalić«. I sza, cicho, w momencie ptaszęta umilkły i słuchały jak sługa Boży wieczorne odmawiał paciorki.

Księżyc jasno świecił na niebie, a brat Marek dla jutrzejszej niedzieli musiał wracać do klasztoru. Pożegnał, pobłogosławił, podziękował za gościnność, a zasadziwszy kaptur na głowę, ruszył z ciężkim wozem ku klasztorowi. Wojciech patrzył długo, pokąd przy zakręcie drogi wóz z ócz mu nie zniknął i rzekł do żony:

— Ot nie orzą, nie sieją, a Bóg nie da im ginąć od głodu i zimna!

— Nie orzą, nie sieją rękami — dodała Wojciechowa — ale rozsiewają naukę Chrystusa słowem i przykładem i zbierają pełne snopy zasług nieba. Sami ubodzy, z ubogim się dzielą; sami z jałmużny żyją, a niejeden się przy nich pożywi. Bo oni dobrze pamiętają na te słowa: »Dajcie, a będzie wam dane«. A ludzie co próżnują i hulają po całych dniach i nocach po karczmach i jarmarkach, mówią, że to zakonnicy próżniacy; oj daj i nam Boże takich próżniaków jak najwięcej, toby oni nas nauczyli, jak to żyć i pracować na chwałę Bożą i duszy zbawienie.

Co się działo w Warszawie w dniu 27 lutego 1861 r.

(Wspomnienie z przed 35 laty. — Objaśnienie ryciny na str. 49).

W roku 1855 umarł car Mikołaj ze zmartwienia, iż mu się nie powiodła wojna krymska. Po nim wstąpił na tron, rosyjski jego syn Aleksander II-gi. Nowy car nadał Polakom w Królestwie pewne ulgi, atoli bardzo szczupłe.

Niektórym wychodźcom pozwolono wrócić do kraju, piśmiennictwu dano większą wolność, ucisk złagodniał. Założono wtedy za pozwoleniem cara Towarzystwo rolnicze w Warszawie, a miało ono pracować nad podniesieniem dobrobytu i uwłaszczeniem kraju, polepszeniem losu włościan i t. d.

Zdawało się, że powoli przywróconą będzie konstytucya, atoli te nadzieje rozwiały się, gdy car wyraźnie zapowiedział Polakom, aby się nie łudzili.

Zawiedzeni w nadziei swej Polacy, poczęli tworzyć między sobą spiski, mające na celu wywalczenie wolności swej Ojczyźnie, a następnie, aby ożywić między wszystkimi braćmi ducha narodowego, wzięli się do urządzenia manifestacyi, czyli publicznych obchodów pamiętnych dni narodowych.

Warszawa była tutaj pierwszą, bo w tem mieście duch narodowy najwięcej był ożywiony.

W roku 1860 odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele karmelickim w Warszawie, za bohaterów poległych w powstaniu listopadowem (1831 r.). Podobnie obchodzono na drugi rok (1861 25 lutego) pamiątkę bitwy pod Grochowem, a wieczorem tegoż dnia tłumy tłumy ludu zalały ulice miasta. Młodzież niosła w ręku płonące pochodnie, niosła i krzyże, na znak, że naród polski pragnie iść na męki, aby sobie zdobyć należne prawa.

Ponad tłumami powiewały chorągwie narodowe, a z piersi ludu buchnęła pełna zapału pieśń za Ojczyznę!

Widok był wspaniały, ale zmienił się one wnet w scenę pełną grozy, gdy wojsko moskiewskie uderzyło na lud i wiele osób poraniło i potratowało. Wielu z rannych umarło tej samej nocy.

We dwa dni później, to jest *27 lutego* (1861 roku) na ulicach Warszawy działy się jeszcze straszniejsze rzeczy. Dnia tego znowu olbrzymie tłumy ludu zaległy ulice; wszystko, co żyło, co miało w sobie serce polskie, wzięło udział w manifestacyi; a nie brakło w tym pochodzie nawet i księży i zakonników, bo i oni czuli się synami uciśnionej Ojczyzny.

I znowu ponad tłumami powiewały chorągwie narodowe z białym orłem polskim, i krzyże niesiono, i pieśń śpiewano, aż

nagle wojsko moskiewskie posunęło się szybkim krokiem ku bezbronnym i dało ognia.

Polała się krew — jęk wyrwał się z piersi ludu — i padło pięć trupów.

Tę właśnie chwilę przedstawia nasz obrazek na stronie 49.

Lud nie rozprószył się zaraz; jedni ratowali rannych, inni zaś podnieśli wysoko trupy zabitych braci, niby krwawą chorągiew, aby wszystkim pokazać, że na polskiej ziemi dzieją się gwałty, że naród gotów na śmierć męczeńską za prawdę i wolność.

Martwe ciała złożono w gmachu publicznym, a dnia 2 marca odbył się pamiętny pogrzeb tych poległych ofiar. W dniu pogrzebu całe miasto okryło się żałobą; wszyscy mieszkańcy w czarnych szatach postępowali za pięciu trumnami, na których spoczywały korony cierniowe.

Od tego też dnia i w Warszawie i po innych miastach ustały zabawy; wszyscy mieszkańcy przyodziali czarne ubrania, aby okazać, że czują nieszczęście Polski.

Moskale zaś coraz więcej dręczyli naród i doprowadzili wreszcie do tego, że Polacy chwycili w roku 1863 znowu za broń, by zrzucić z siebie jarzmo moskiewskie. Jaki był wynik tej walki, to o tem wiadomo z Dziejów ojczystych, a dzieje Ojczyzny znać każdy Polak powinien. *D.*

Jak powstaje zaćmienie księżyca.

(Pogadanka naukowa).

W roku bieżącym dnia 28 lutego będziemy mieli *częściowe zaćmienie* księżyca, które będzie widzialne i u nas. Zacznie się ono o godzinie 7 i minut 15 z wieczora, a skończy się o godzinie 10 minut 15 — będzie więc trwało trzy godziny.

Przy *częściowem* zaćmieniu, księżyc świeci w całej pełni, a powoli zaczyna go z boku ubywać, coś, jakby plamka czarna, zaokrąglona, nachodzi na jasną tarczę księżyca i zaczyna ją zakrywać, ale nie w całości.

Przy *całkowitem* zaś zaćmieniu, księżyc przedstawia się nam jako ciemna, okrągła plama na niebie.

Jakaż więc jest przyczyna tych zaćmień?

Jak wiadomo każdemu, ziemia nasza jest wielką, ciemną kulą kamienną, bujającą po niebie. Ta kula ziemska jest tak ogromną, że chcąc przepasać ją na wpół sznurem, trzebaby sznura długiego na 5 tysięcy 400 mil, a chcąc ją przebić drągiem na wylot przez środek — gdyby to było możebnem — należałoby wziąć drąg długi na 1720 mil!



Na ulicach Warszawy w dniu 27 lutego 1861 r. (Objaśnienie na str. 47).

W odległości 20 milionów mil od ziemi znajduje się na niebie inna kula, lecz większa niepojęcie, i składająca się z rozpalonej masy płynów i gazów — tą kulą jest słońce.

Słońce jest od nas tak daleko, że gdyby można jechać koleją żelazną, biegnącą po 5 mil na godzinę, to jadąc bez przerwy, możnaby zajechać na słońce dopiero za 350 lat.

Z powodu takiego oddalenia, słońce wydaje się nam małem, jednak jest ono *milion pięćset tysięcy* razy większe od naszej ziemi.

Dokoła słońca kręci się nieustannie nasza ziemia, a na to obejście około słońca, potrzebuje ziemia 365 dni, czyli rok czasu.

W odległości znów 50 tysięcy mil od ziemi znajduje się na niebie inna kula kamienna, 50 razy mniejsza od ziemi — jestto *księżyc*. Księżyc jest ciemnym, podobnie jak ziemia; blask zaś jego pochodzi tylko od światła słonecznego, które pada na księżyc z po za ziemi i odbija się od jego powierzchni aż do nas.

Księżyc też nie stoi na miejscu, lecz obiega dokoła ziemi, a na to potrzebuje miesiąc czasu. Że zaś ziemia obraca się około słońca, więc i księżyc kręcąc się dokoła ziemi, z nią razem musi obiegać wkoło słońca.

Księżyc, obiegając dokoła ziemię, musi za każdym obrotem przechodzić pomiędzy ziemią a słońcem, a potem przejść na drugą stronę ziemi, przeciwną od słońca. Od tego położenia księżyca zależą właśnie jego odmiany.

Gdy księżyc przesuwa się pomiędzy ziemią a słońcem, to do nas zwrócony jest nieoświetloną połową i mamy nów księżyca; gdy stoi z przeciwnej strony, po za ziemią, wówczas zwraca się ku ziemi połówką oświetloną, i mamy *pełnię*.

Żeby jednak księżyc świecił w pełni, to oprócz tego musi się znajdować wtedy powyżej lub poniżej *cienia* ziemi. Jak to rozumieć?

Ziemia i księżyc są jasne tylko po tej stronie, która zwrócona jest do słońca, z drugiej zaś strony odwróconej od słońca, rzucają jako kule nieprzejrzyste cień. Ziemia rzuca ogromny cień, który się zwęża nieustannie, ale ciągnie się na niebie na 186 tysięcy mil po za ziemią. W tej jednak odległości, w której się znajduje księżyc, cień ziemi jest jeszcze przeszło dwa razy szerszy od księżyca.

Słuchajcież tedy dalej. Gdy księżyc, jak to wyżej mówiliśmy, stoi w tyle za ziemią, czyli z tej strony ziemi, która nie jest zwróconą ku słońcu, i jest ciemną, wtedy księżyc oświetlony przez słońce, świeci nam w pełni, ale musi się znajdować po nad cieniem, lub niżej cienia, jaki pada na księżyc od ziemi.

Cóż jednak będzie jeżeli księżyc podczas pełni przesuwa się nie wyżej i nie niżej cienia ziemi, lecz właśnie tem miejscem, gdzie

pada cień ziemi? Otóż wówczas ten cień ziemi zakrywa księżyc, światło słońca już na niego nie może padać, bo zasłania je ziemia, i następuje zaćmienie księżyca.

Do przejścia zaś przez ten cień ziemi potrzebuje do trzech godzin czasu, dlatego to zaćmienie trwa zwykle 2 i pół do trzech godzin.

Jeśli księżyc pogrąży się cały w cień ziemi, to widzimy go jako pełny czarny krążek, i zaćmienie jest całkowite; jeśli zaś przesuwa się przez cień tylko jednym bokiem, zaćmienie jest wtedy częściowem.

Zaćmienia całkowite zdarzają się rzadziej niż częściowe. Wogóle zaś obliczyli uczeni, że co 18 lat i 11 dni powtarzają się takie same zaćmienia. W ten sposób, mając zapisanych kilkanaście zaćmień z dawniejszych lat, można na długie wieki naprzód obliczyć przyszłe zaćmienia.

Najtrudniejsze było to właśnie odkrycie, co ile lat zaćmienia się powtarzają, ale uczeni zbadali drogi ziemi i drogi księżyca, wymierzyli czas, ile każda z tych gwiazd potrzebuje do odbycia swej drogi, i doszli do tego, że dziś na setki i tysiące lat mogą naprzód najdokładniej przepowiedzieć zaćmienia.

Taka jest potęga prawdziwej nauki!

Święty Maciej Apostoł.

Czytamy w księdze świętej zwanej; *Dziejami apostolskiemi*, że po Wniebowstąpieniu Pana Jezusa, zeszli Apostołowie z góry oliwnej i zebrali się w Wieczerniku, to jest w tej samej sali, gdzie spożywali niedawnego czasu ostatnią wieczerzę z swoim Mistrzem i Zbawcą naszym Jezusem Chrystusem.

Tam w tym Wieczerniku rozważali ostatnie wypadki i modlili się, a była z nimi i Najśw. Marya Panna, Matka Jezusowa, a i wielu także uczniów Chrystusowych, tak, że liczba ich wynosiła sto dwadzieścia osób.

Wtem powstał Piotr święty i w te odezwał się słowa:

»Mężowie Bracia! Duch święty przepowiedział przez usta króla Dawida, że Judasz zdradzi Jezusa, i będzie wodzem tych, co pojmać mieli naszego Mistrza. Ten Judasz był policzony z nami; był dwunastym Apostołem. A on ci otrzymał rolę z zapłaty niesprawiedliwości swojej, i z rozpaczy powiesił się na tej roli *);

---

*) Słowa te: „Judasz otrzymał rolę z zapłaty niesprawiedliwości swojej“ oznaczają, jak wiadomo to, że Judasz odniósł owe 30 srebrników starszyźnie żydowskiej, które wziął od nich za wydanie im Pana Jezusa. Za te pieniądze kupili kapłani rolę

brzuch jego rozpukł się na poły i wypłynęły wszystkie wnętrzności jego.«

Potem tak dalej mówił:

»Ponieważ napisano jest w księdze psalmów: »Biskupstwo jego niechaj weźmie inny, przeto powiadam wam, że potrzeba nam na jego micjsce wybrać jednego z tych mężów, którzy się z nami schodzili przez wszystek czas, jaki Pan Jezus przepędzał z nami począwszy od chrztu Janowego aż do tego dnia, w którym został wzięty od nas, aby wstąpić do nieba. Potrzeba, aby jeden z nich był z nami świadkiem Zmartwychwstania Jego«.



I postanowili, czyli przedstawili Apostołom zgromadzeni uczniowie dwóch z pomiędzy siebie, jeden zwał się Józef Barsabas, a drugi Maciej.

Potem znowu się wszyscy modlili, a po modlitwie dali Apostołowie dwom przedstawionym uczniom głosy i padł los na Macieja i tak policzony został między Apostołów.

Święty Antonin pisze, że św. Maciej Apostoł był w nauce Pisma św. bardzo wykształcony, obyczajów nieposzlakowanych, ducha roztropnego, a w mowie wprawny i biegły.

Wyniesiony do godności Apostoła, odebrał św. Maciej wraz z innymi w dzień zesłania Ducha Świętego pełność darów niebieskich. Kiedy potem Apostołowie rozeszli się po świecie, święty Maciej przeznaczony został jako głosiciel nauki zbawienia w Judei,

---

garncarzową, przeznaczając ją na cmentarz dla pielgrzymów, zmarłych w Jerozolimie. Na tej roli powiesił się Judasz z rozpaczy.

gdzie pracował gorliwie i przywiódł wielu żydów do uznania nauki P. Jezusa.

Z Judei miał się udać do Etyopii, a według innych pisarzy do Macedonii, ostatnie jednak lata życia przepędził znowu w Judei.

Obiegając ziemię żydowską — jak to można czytać w *Żywotach Świętych*, napisanych przez X. Prokopa, — święty Maciej pozyskiwał coraz więcej dusz P. Jezusowi, aż nareszcie złość żydowska i przesiw niemu się zwróciła.

Zażarci żydzi skazali go za głoszenie nauki Chrystusowej, na śmierć przez ukamienowanie. Podczas tego męczeństwa, gdy kaci obrzucali go kamieniami, św. Maciej klęczał i modlił się za oprawców swoich.

Rzymianie obecni przy tem, a przeciwni tego rodzaju męczeństwu, powstrzymali żydów od dalszego kamienowania, i odebrawszy z ich rąk na pół żywego Apostoła, ścięli mu głowę.

Święto jego obchodzi się zwykle 24-go; a w roku bieżącym, przestępnym 25-go lutego.

Zwyczaje Popielcowe u Kurpiów.

Środa Popielcowa, powszechnie zwana Wstępną Środą, jest przedewszystkiem uroczystością kościelną. W pierwszych wiekach Kościoła, w dniu tym, grzesznicy, pragnący wrócić do Boga, rozpoczynali publiczną pokutę. Biskup, jako Pasterz, w otoczeniu Duchowieństwa przyjmował ich do tych świętych ćwiczeń, przez odmawianie nad nimi pewnych modlitw, kładzenie rąk i posypywanie ich głów popiołem. Ztądto powstał w Kościele zwyczaj posypywania popiołem w tym dniu głów wszystkich wiernych podczas nabożeństwa.

Nadto Kościół św. posypując nam przez ręce kapłanów głowy nasze popiołem, chce nam żywo przypomnieć obraz naszej znikomości i śmierci, dla tego zwracając się do każdego mówi przez usta kapłana: »Człowiecze! pamiętaj, że prochem jesteś i w proch się zamienisz!«

Po za tem wszakże ze Środą Popielcową, czyli Popielcem, związane są różne świeckie zwyczaje ludowe, po części powszechne w całym kraju, po części różne w każdej okolicy.

Jedne z nich są zupełnie niewinne, a nawet mają pewną myśl rozumną w sobie ukrytą, inne zakrawają na skromną zabawę, jakby na zakończenie wesołych zapust; niektóre atoli połączone są z pijatyką i hulanką, a to się nie zgadza z powagą Wielkiego Postu.

Trzebaby chyba grubą książkę napisać, chcąc te wszystkie zwyczaje popielcowe opisać. W naszym kraju są one prawie jedna-

kie w wielu okolicach, zwłaszcza na zachodzie, więc nie o nich chcemy mówić, ale o zwyczajach u Kurpiów, również jak my *ludu polskiego*, żyjącego pod Moskalem w gubernii łomżyńskiej. Zwyczaj popielcowy u Kurpiów jest dość ciekawy.

W Środę Popielcową chłopcy biegają po wsi, rzucając na dziewczęta popiół. Po nabożeństwie rano, gospodynie schodzą się do jednej izby, tańczą wszystkie, choć to się nie godzi i skaczą *na konopie*, co ma znaczyć życzenie, aby konopie tak wysoko im urosły, jak wysoko która podskoczy.

Wieczorem zaś zbierają się do izby gospodynie i komornice; gospodynie siadają w jednym kącie, komornice w drugim — i przy poczęstunku śpiewają na przemiany taką piosenkę:

Gospodynie:
Jedzie zapust na koniu, wywija po moście,
Frasują się komornice, co będą jeść w poście.

Komornice odpowiadają:
Stoi beczka śledzi
Niech każda je — w domu siedzi.

Gospodynie śpiewają znowu:
Jedzie Zapust na koniu, wywija po moście,
Frasują się komornice, co będą pić w poście.

Komornice:
Stoi beczka piwa,
Niech każda pije, póki żywa.

Spiewają jeszcze kilka podobnych zwrotek, a po śpiewie wchodzi do izby jeden z Kurpiów, szaro ubrany, na koniu zrobionym z dwóch drążków; jeden drążek wzniesiony w górę stanowi szyję — tam założony jest na końcu czerep koński, drugi drąg ma na końcu kiść lnu zamiast ogona. Cała ta postać okryta jest prześcieradłem. Jeździec ma te drągi, przymocowane do siebie sznurkami, i dowolnie poruszając niemi, podskokami naśladuje ruch konia.

Za przybyciem do izby jeździec, — czyli jak go zowią Zapust, sypie popiołem najprzód głowy komornic i miotłą je wygania; obróciwszy się zaś do gospodyń, wywraca butelkę z wódką, popiołem zasypuje im oczy i gasi światło. — I w ten oto sposób godzi on sprzeczkę między komornicami i przypomina wszystkim, że czas żabawy już minął i wszyscy rozchodzą się do domów.

Rady gospodarskie.

Maść na rany dla bydła. Polecenia godną z powodu skuteczności, a zarazem prostego i łatwego sposobu wyrobu jest maść, której używają Kałmucy nad dolną Wołgą. Sporządza się ją z prochu strzelniczego, który się rozciera na delikatny pył i miesza z tłuszczem. Składniki prochu t. j. węgiel, siarka i saletra działają przeciwgnilnie. Podają przytem, że maść ta przyczynia się znacznie do porostu włosów w miejscach wytartych u koni, jakoteż, że konie w lecie tą maścią posmarowane, a następnie dobrze mydłem i szczotką wymyte, dostają pięknie połyskującą skórę i nie bywają tak trapione przez muchy i owady.

Jagody jałowcowe można w różny sposób w gospodarstwie zużyć. W drobnej ilości użyte, działają skutecznie na trawienie i na niedomaganie narzędzi moczowych. Zbierają się jagody te w jesieni i suszą na piecu. Koniom mieszane do rannego obroku, chronią od zołzów, a u chorych już ściągają flegmę i leczą je znakomicie.

Rady lekarskie.

Co to jest ospa i jakie na nią lekarstwo. Co to jest ospa, to o tem każdy wie, bo niejeden doświadczył jej na własnej skórze, lub widział na drugim tę paskudną chorobę.

Człowieka mającego zachorować na ospę napada z początku ból głowy, łamanie w krzyżach, febra i taka niemoc go ogarnia, że choćby się niewiedzieć jak bronił, musi iść do łóżka i położyć się. Kiedy tak leży, wzrasta gorączka i wnet zaczynają się pokazywać na twarzy, na szyi, na piersiach, na rękach i nogach jakieś plamki czerwone, które rosną i zamieniają się na grudki czyli twarde krosty. Jestto właśnie *ospa.*

Gorączka po tej wysypce ustępuje nieco, a chory myśli, że już wnet wstanie, skoro się już wszystko na wierzch wysypało. Tymczasem po 2—3 dniach gorączka wraca, ciało pali, a głowa boli. Te twarde krosteczki, które się przemieniły w pęcherzyki, zaczynają wypełniać się białą materyą czyli ropą. Z każdej krosty robi się jakby mały wrzodzik, a że często tych krost jest dużo po całem ciele chorego, więc gdzieniegdzie kilka wrzodzików zlewa się w jeden wrzód.

Jeżeli zamiast ropy we wrzodzikach znajduje się krew, to taką ospę nazywają **czarną ospą**. Najgorszy to gatunek ospy, bo na 10 ludzi mających czarną ospę umiera zwykle dwoje lub troje, a czasem i więcej.

Kto zaś się wyleczy, ten nieraz po takiej chorobie ogłuchnie lub oślepnie, a każdy już prawie zostanie *dzióbatym*.

Lat temu ze trzysta nie było straszniejszej choroby nad ospę. Całe miasta, całe wsie tępiła ta zaraza, bo ta choroba jest bardzo *zaraźliwą*. Niech jedna osoba w domu zachoruje, a wnet pójdzie za nią i druga i trzecia.

Zaraza ospowa znajduje się w materyi, która wypełnia krosty ospowe. Gdyby więc kto tą materyą powalał sobie miejsce zranione na ręce, lub gdziekolwiek na skórze, to z pewnością dostanie ospy. Nawet tylko zadraśnięta skóra zetknąwszy się z materyą ospową, przyjmuje tę zarazę.

I cóż myślicie, czy jest jakie lekarstwo na tę chorobę? Żaden doktor jeszcze takiego lekarstwa nie wymyślił, aby ospę *przerwać* lub *odwrócić*.

Kto na ospę zachoruje, to już niema rady, musi swoje przecierpieć. Doktor może tylko przez lekarstwa ulżyć choremu, może go nawet od śmierci uratować, ale choroby nie odwróci.

Za to jednak doktorzy lepszą rzecz wymyślili, bo wynaleźli taki sposób, że mogą człowieka **uchronić od ospy**, czyli zrobić, aby człowiek ospy nie dostał i nie zaraził się nią.

Ten sposób zbawienny nazywa się **szczepieniem ospy**. Jaki jest z tego szczepienia pożytek i jak się trzeba po szczepieniu zachować, o tem napiszemy w dalszych numerach. *C. d. n.*

Na krwawiącą ranę jako wyborny środek, szybko krew tamujący zalecają popiół ze świeżo spalonego płótna lub też bawełnianej tkaniny. Popiół posypany na ranę zasklepia ją, tworząc na niej strupek, pod którym rana szybko się goi. Ponieważ wymieniony środek nie może zawierać żadnych zaraźliwych własności, nie wywołuje przeto zapaleń, ani zajątrzeń i godnym jest polecenia w tych zwłaszcza wypadkach, w których nie można mieć zaraz lekarza, a kawałek płótna lub perkalu ma się pod ręką.

Przeciw podagrze i reumatyzmowi jest skutecznem lekarstwem *papryka*. Garść utłuczonej papryki wsypuje się w pół kwarty wrzącej wody i zostawia tak przez godzinę, potem zlewa się ów odwar we flaszki. Przy użyciu macza się płatki po czterykroć składane w tym odwarze, przykłada na bolące miejsce i obwija się flanelą. Lekarstwo to skutkuje także u bydła i koni.

Kronika kościelna.

— **Z Rzymu,** Ojciec św. wydał w roku zeszłym pokaźną sumę na cele dobroczynne, bo 479 tysięcy 434 lirów. Z tych pieniędzy dostały wsparcie głównie: ubogie dzieci, sieroty, biedne niewiasty, a także na

lekarstwa dla ubogich chorych przypadła znaczna kwota. Ojciec św. co roku przeznacza także znaczne sumy na wsparcie ubogich. — Austryacki poseł przy dworze Ojca św. — hr. Rewertera, składając Ojcu św. noworoczne życzenia, wręczył Ojcu św. pismo Cesarza Franciszka Józefa, a Ojciec św. w odpowiedzi, pobłogosławił całej rodzinie cesarskiej i wyraził się, że stosunki pomiędzy Stolicą apostolską a cesarskim domem w Austryi będą zawsze przyjazne. — Jedna z gazet włoskich doniosła, że Ojciec św. wystosował do cara rosyjskiego pismo, ubolewając nad tem, że rząd rosyjski uciska księży katolickich i religię katolicką. Inne znowu pismo wysłał Ojciec św. do sułtana tureckiego z żądaniem, aby sułtan wziął w obronę chrześcijan (Armeńczyków), mordowanych teraz przez Turków, i położył raz koniec wszelkim bezprawiom i okropnościom. — Około Wielkiejnocy ma się odbyć konsystorz papieski, na którym Ojciec św. zamianuje nowych Kardynałów i nowych posłów papieskich przy różnych dworach królewskich.

— **Dar dla Ojca św.** Najjaśn. Pan, Cesarz Franciszek Józef przesłał w dniu Nowego roku Ojcu św. wspaniały dar, bo 100 tysięcy koron, czyli 50 tysięcy reńskich. Ojciec św. przyjął ten podarunek z wdzięcznością, gdyż ma ogromne wydatki, a przychodów mało.

— **Bardzo ważny list pasterski** do Duchowieństwa wydał J. Eksc. Ks. Łobos, biskup tarnowski. W pierwszym rzędzie list ów dotyczy księży, właściwie jednak odnosi się do ludu. Najprzew. X. Biskup wzywa bowiem podwładne sobie Duchowieństwo, by się gorliwie zajęło ludem, nietylko w kościele, na ambonie i w konfesyonale, ale i po za kościołem. W tym celu zachęca X. Biskup księży, aby zakładali po wsiach: *Kółka rolnicze, sklepiki chrześcijańskie, czytelnie, kasy oszczędności*, a po miastach i miasteczkach oprócz tego różne *stowarzyszenia katolickie*. W ten sposób, to jest taką pracą i równocześnie gorliwą pracą w kościele, można będzie uchronić lud przed zabiegami socyalistów i pomódz ludowi w jego dążeniu do oświaty i dobrobytu.

— **Konsekracya** X. Józefa Webera, kanonika kapituły lwowskiej na Biskupa-sufragana odbyła się w niedzielę dnia 5 stycznia b. r. w katedrze lwowskiej. Konsekracyi dokonał J. Ekscel. X. Arcybiskup Morawski w asystencyi Arcybiskupa Hryniewieckiego, J. Ekscel. X. Arcybiskupa Issakowicza i licznego zastępu Duchowieństwa.

— **W Rumunii**, zamieszkałej przez ludność prawosławną znajduje się 71 tysięcy katolików. Liczba parafij wynosi 27, a kościołów katolickich jest około 150, Każdy ksiądz ma kilka kościołów do obsługiwania.

— **Szwecya.** W tym kraju katolicyzm się szerzy, mianowicie też w samej stolicy kraju, w Sztokholmie. Podczas gdy przed 10 laty ani 300 katolików w tem mieście nie było, liczą ich dzisiaj na przeszło tysiąc. Katolicy tworzą dwie gminy. Mieszka tam Biskup i sześciu księży. Ośmnaście Sióstr Elżbietanek zajmuje się pielęgnowaniem chorych. Obecnie zbierają składki na zbudowanie wielkiego kościoła katedralnego. Plac pod budowę już zakupiony.

— **Afryka.** Pomiędzy szczepem Koptów w Egipcie szerzy się wiara katolicka więcej prawie, jak między Anglikami. W rozmaitych stronach po kilkadziesiąt rodzin naraz nawraca się. Ojciec święty zamierza wydać nową encyklikę do katolików Wschodnich, ażeby ich tem więcej przywiązać do Kościoła. W Aleksandryi buduje się obecnie wspaniały kościół metropolitalny, na który niemało łożył Cesarz austryacki jako pro-

tektor szczepu koptyjskiego. Obok tego powstanie w kraju Koptów około 50 Domów Bożych równocześnie. Znak, że katolicyzm robi tam olbrzymie postępy.

— **Liczba wyznawców różnych religij na świecie.** Pewien Anglik ogłosił zestawienie wszystkich religij na świecie co do liczby wyznawców. Podług zestawienia tego, które ma polegać na bardzo dokładnem badaniu, liczą *chrześcijan*: w Europie 348 milionów, 300 tysięcy, w Ameryca 116 milionów, w Azyi 19 i pół miliona, w Afryce 5 milionów 100 tysięcy, w Australii 4 miliony, razem 492 milionów, 900 tysięcy. Między tymi liczy Kościół *rzymsko-katolicki*: w Europie 156 milionów, w Ameryce 57 milionów, w Azyi 8 i pół miliona, w Afryce 1 milion 200 tysięcy, w Australii 900 tysięcy, czyli razem 223 milionów 600 tysięcy wiernych. — *Protestantów* jest: w Europie 86 milionów, w Ameryce 59 milionów, w Australii 3 miliony 100 tysięcy, w Azyi 1 milion, w Afryce 800 tysięcy; razem 149 milionów 900 tysięcy. — *Prawosławnych* naliczono: w Europie 92 milionów, w Azyi 6 milionów, w Afryce 30 tysięcy, razem 90 milionów 30 tysięcy. — Armeńczyków, Syryjczyków, Malchitów, Koptów, Abesyńczyków i wyznawców innych drobniejszych sekt (które mniej lub więcej skłaniają się ku Kościołowi rzymsko-katolickiemu): w Europie 14 milionów 300 tysięcy, w Azyi 4 miliony, w Afryce 3 miliony, w Australii 30 tysięcy, ogółem 21 milionow 330 tysięcy. Żydów jest ogółem na świecie 6 i pół miliona i to w Europie 5 i pół miliona, w Afryce 430 tysięcy, w Ameryce 300 tysięcy, w Azyi (w której leży Palestyna) 260 tysięcy, w Australii 15 tysięcy. Mahometan mieszka w Azyi 160 milionów, w Afryce 40 milionów, w Europie 5 milionów 750 tysięcy, w Australii 25 tysięcy, razem więc 205 milionów 800 tysięcy. Hindusów jest 207 milionów 400 tysięcy, wyznawców religii Konfucyusza i Buddy (Chińczyków i Japończyków) około 430 milionów. Ci, jak i Hindusowie mieszkają tylko w Azyi. Prócz tego liczą zupełnych pogan w Afryce 125 milionów, w Azyi 15 milionów, w Ameryce 14 milionów, w Australii 1 milion 600 tysięcy, w Europie 20 tysięcy, to jest razem 155 milionów 600 tysięcy.

Ogółem wziąwszy mamy przeto na świecie 493 milionów chrześcijan i 1006 milionów nieszczęśliwych ludzi, którzy jeszcze nie poznali światła prawdziwej wiary i błądzą w ciemnościach. Ileż to jeszcze pracy dla naszych Misyonarzy!

Nowiny i Rozmaitości.

— **Austrya.** Hr. Thun, namiestnik Czech ustąpił ze swego urzędu. Przez to ustąpienie nawiążą się lepsze stosunki między rządem a stronnictwem Młodoczechów. — Rada państwa zwołaną będzie na dzień 15 lutego. — Na jednem z pierwszych posiedzeń wniesie rząd projekt *reformy co do wyborów*. Według tego projektu przybędzie Radzie państwa 72 nowych posłów. *Z tego na Galicyę przypadnie 15*. W wielkich miastach wybory będą bezpośrednie, mniejsze zaś miasta połączone będą z gminami wiejskiemi. Czy zaś te wybory w miasteczkach i gminach wiejskich mają być pośrednie, czy bezpośrednie, o tem rozstrzygną Sejmy krajowe. — Najjaśn. Pan mianował p. Rittnera, Polaka, byłego profesora prawa kościelnego na uniwersytecie lwowskim, *ministrem dla Galicyi*. Taki minister ma wobec rządu bronić spraw dotyczących

naszego kraju. Równocześnie utworzył Cesarz *nowe ministerstwo* dla *kolei żelaznych*, i tąkim ministrem zamianował Guttenberga, feldmarszałka porucznika. — Czesi również domagają się o osobnego ministra dla Czech, którego dawniej mieli, a od kilku lat nie mają. Prawdopodobnie Cesarz zgodzi się na ich żądanie.

— **Galicya**. Narady w Sejmie trwają dalej. Dawniejsi i nowi posłowie dość energicznie występują w różnych sprawach obchodzących lud. Nad czem Sejm radzi i co uradzi, o tem w całości pomówimy w następnym numerze.

— **Rosya**. Car zniósł rozporządzenie, mocą którego wolno było gubernatorom i komendantom miast skazywać na wygnanie na Syberyę, osoby, które im się nie podobały. Teraz car rozporządził, że wydalanie w drodze administracyjnej może wtedy dopiero nastąpić, aż to potwierdzi Komisya ministeryalna. Może ten ukaz uchroni wiele osób przed samowolą urzędników. Po tej radosnej wiadomości nadeszła smutna wiadomość. Oto rząd rosyjski zabiera się coraz gwałtowniej do zruszczenia seminaryów duchownych. Wyszedł już rozkaz, że nauki języka rosyjskiego i niektórych innych nauk mają udzielać w seminaryach rodowici Moskale, w języku rosyjskim. Biskupi sprzeciwili się temu, ale bezskutecznie. — Powiadają, że Rosya obecnie o wojnie nie myśli, aż wybuduje kolej przez Syberyą, co potrwa jeszcze 2 lub 3 lata, wtedy dopiero będzie mogła hordy azyatyckie puścić na Europę i odważy się na wojnę.

— **Niemcy** obchodziły 19 stycznia 25 rocznicę zawiązania na nowo państwa niemieckiego po wojnie prusko-francuskiej.

— **Królowa angielska Wiktorya**, przesłała sułtanowi własnoręczny list, w którym odwołuje się do lepszych uczuć sułtana i gani owe okrucieństwa, jakich się dopuszczają Turcy na Armeńczykach.

— **Hiszpanom** na wyspie Kubie źle się powodzi, powstańcy bowiem zwyciężają wojska hiszpańskie, i prawdopodobnie Kubańczycy oswobodzą się z pod panowania Hiszpanów. Byłaby to wielka strata dla Hiszpanii, bo wyspa Kuba jest bogatą.

— **W Turcyi** było chwilowo spokojnie, aż oto znowu nadeszła wiadomość, że w Arabkir wymordowano 2000 Armeńczyków, a domy ich spalono.

— **Bułgarya**. Książę Ferdynand wyjechał za granicę, ale nie wiadomo w jakich celach, ani dokąd. Przed odjazdem wydał pismo urzędowe, w którem ogłosił, że wyjechał dla spraw familijnych, ale z tych słów ogólnikowych nikt nie możo być mądry. Wiadomo tylko, że najpierw pojechał do Paryża. — Prezes ministrów oświadczył, że porozumienie między Bułgaryą a Rosyą coraz bliższe, i że następca tronu książe Borys będzie ochrzczony po prawosławnemu, a car rosyjski ma być ojcem chrzestnym.

— **Między Anglią a Niemcami** zanosiło się na wojnę, obecnie jednak nastały znowu dobre i przyjazne stosunki.

— **W sprawie emigracyi do Brazylii.** Urzędowa *Gazeta Lwowska* donosi, że rząd brazylijski wstrzymał wydawanie bezpłatnych biletów okrętowych wychodźcom na przejazd z Genui do Brazylii. — W tej samej gazecie była niedawno wiadomość, że w konsulacie austryackim w Genui zgłosiło się 14 grudnia zeszłego roku 4 włościan z Galicyi w towarzystwie X. Dudy, Salezyanina, i ci zeznali w protokóle, że za namową ajenta, który im obiecywał złote góry, udali się przed 6-ma mie-

siącami do Brazylii. Po przybyciu do Brazylii, z początku przez cztery miesiące mieli jakie takie zatrudnienie, później nie mogli dostać żadnego zajęcia, gruntu przyrzeczonego nie otrzymali ani kawałka, to też sprzedawszy resztę mienia, kupili sobie karty okrętowe, aby powrócić do kraju.

— **Z Budyłowa** (Galicyi wschodniej) piszą nam: W naszej parafii było, jak wogóle tu na wschodzie, dużo takich osób, które obałamucone przez złych ludzi, chciały opuścić zagon rodzinny i wyjechać za morze (do Brazylii) na większą stokroć biedę. Niezmordowanym jednak usiłowaniom i perswazyom naszego przezacnego X. Proboszcza Fijałkowskiego i innych osób życzliwych ludowi, udało się owych obałamuconych odwieść od zamiaru tej wędrówki brazylijskiej. Praca to była ciężka, bo lud, jak to nasz lud, więcej wierzy niesumiennym ajentom, niż najżyczliwszym jemu osobom i swemu Ojcu duchownemu.

W nagrodę za tę pracę tyle choć zostało, że z parafian tutejszych nikt do Brazylii nie wyjechał; — uratowało się więc przez to wiele dusz od zguby i nędzy, która ich czekała za morzem.

O tej emigracyi dużoby można pisać, lecz o tem kiedyindziej. Na teraz donoszę, że »Nowy Dzwonek« wysłany do naszej parafii na okaz, przyjęty został z uciechą. Czy jednak wszyscy ci, którzy go otrzymali, zostaną prenumeratorami, to tego nie wiem. Naród tu nie jest zły, tylko swoją drogą ciężki jest do czytania. Nie obejdzie się i bez tego, aby się nie znaleźli i buntownicy, którzy będą ludzi odstręczać od czytania i prenumerowania.

W pierwszym rzędzie żydom to nie na rękę, że przyszła tu Wasza gazetka, a jeden żydek już mi nawet wyraźnie mówił, że źle robię, iż daję chłopom gazetki, bo chłopa nie warto oświecać. I dlaczego — pomyślałem sobie? Łatwa na to odpowiedź: bo gdy chłop będzie czytał i oświeci się, to się nie da wyzyskiwać żydom, a powtóre, gdy chłop zajmie się czytaniem, to do karczmy nie pójdzie — dlatego żydzi są tak przeciwni oświacie chłopów i pismom, które tę oświatę pomiędzy lud niosą.

Mamy tutaj kościół łaciński i cerkiew ruską; obaj XX. Proboszczowie pracują z całych sił dla dobra swych parafian. Naszego, polskiego Proboszcza (X. Fijałkowskiego) tak parafianie poważają i kochają, że gdy przed kilkoma laty wizytował naszą parafię Najprzew. X. Biskup, to parafianie (nawet i ruskiego obrządku), dziękowali X. Biskupowi, że mają tak zacnego Pasterza.

Pracuje on tu dla nas już 20 lat, i co tylko mógł, to zrobił dla naszej parafii. Daj Boże całemu krajowi takich Duszpasterzy! P. B.

— **Przestroga dla wychodźców!** Ambasador niemiecki w Brazylii Dr Krauel donosi, że niedawno przybyło do Rio de Żaneiro 1500 polskich wychodźców, którzy zamierzali osiedlić się w stanie Parana. Rząd jednakże powstrzymał wychodźców, pragnąć zmusić ich głodem do pracy w plantacyach; w nocy wypędzono tych biedaków na ulicę. W ten sposób obchodzono się w Brazylii z wszystkimi niezamożnymi wychodźcami. Zresztą stany ze znośnym klimatem, jak Parana i Santa Catharina, są już dostatecznie zaludnione!

— **W Krakowie** toczyła się przez kilka dni przed sądem karnym rozprawa o zamiar wykradzenia aktów i planów wojskowych z kancelaryi fortecznej. Główny winowajca, podoficer Hradil został skazany przez sąd wojenny na 5 lat ciężkich robót. Cywilnymi uczestnikami sprawy byli: Wojciech Kozerski, szewc z Królestwa, Samuel Strumpfner, żyd,

żona jego Szarlotta i córka Alma. — Krótki przebieg sprawy jest ten: W maju r. z. zbiegł z Krakowa sierżant artyleryi Schmeidler i udał się do Rosyi, gdzie się wysługiwał Moskalom jako szpieg i tajny policyant. Za pomocą swych krewnych Strumpfnerów zawiązał stosunki listownie z dawniejszym kolegą Hradilem i namówił ostatniego do wydania aktów i planów wojskowych za pewnem wynagrodzeniem. Termin oznaczono na 17 Listopada, a Kozerski przyjechał po owe papiery, lecz go przyaresztowała policya i cała sprawa na jaw wyszła. Hradil przyznał się do wszystkiego odrazu i został skazany. Kozerski skazany został na 1 rok ciężkiego więzienia, Strumpfner na 2 lata, żona jego na półtora roku, córka zaś została uwolnioną

— **Nieudały napad rozbójniczy.** Do właściciela Słomyczy w Królestwie Polskiem przybyło w tych dniach trzech porządnie ubranych mężczyzn z prośbą, aby się mogli przenocować, gdyż spóźnili się na pociąg odchodzący do Petersburga. Właściciel, który jest znany z tego, że posiada znaczny kapitał, przyjął ich bardzo serdecznie; goście owi oddalili się wkrótce na kilka godzin, gdyż, jak mówili, mają jeszcze rozmaite interesa do załatwienia. Przynieśli ze sobą wielkie pudło, które prosili przechować w komorze. Podpadło jednak właścicielowi, że dawno już czas oznaczony upłynął a nieznajomi nie wracali, poprosił więc swego sąsiada i wspólnie udali się do komory dla obejrzenia owego pudła. Towarzyszył im pies właściciela, który rzucił się na pudło, jakoby w niem coś poczuł i kłami swemi gryzł deski. W oka mgnieniu sprowadzono kilku silnych ludzi dworskich i jeden z nich włożył kij w otwór i w tej chwili dał się słyszeć głos ludzki. Skoro zdjęto nakrycie, wyskoczył z pudła jakiś człowiek, uzbrojony w nóż i rzucił się na otaczających go, w tejże jednak chwili pochwycił go pies i potrząsł nim porządnie. Ubezwładniony przez właściciela i towarzyszy przyznał się do winy, iż umówił się z kolegami, którzy mają przybyć w nocy w celu rabunku. Zgaszono następnie światło i w największym spokoju oczekiwano złoczyńców. Jakoż krótko po godzinie 11 usłyszeli ukryci w komorze lekkie pukanie do okna, a po otworzeniu takowego wsunął się do komory opryszek, którego naturalnie porządnie zbito i ubezwładniono, towarzysze zaś jego usiłowali ratować się ucieczką, ludzie dworscy udali się za nimi w pogoń i dogonili ich. Na drugi dzień odstawiono wszystkich czterech do więzienia.

— **Straszne nieszczęście** nawiedziło 15 stycznia b. r. Morawską Ostrawę na Szląsku Austryackim, gdzie pracuje w kopalniach dużo robotników. W kopalni «Hermenegilda» wybuchł pożar. — Czemprędzej zaprzestano pracy w 3 szybach zagrożonych i rzucono się do tłumienia ognia. W godzinę wydobyto z kopalni około 1000 tamże zatrudnionych górników. Kiedy przeczytano spis pracujących, brakło jeszcze 31 robotników. Ażeby się ci nie podusieli w dymie, przestano gasić pożar, natychmiast spuszczono się do sąsiednich szybów i starano się ztamtąd dostać do pozostałych w szybie robotników. Kiedy ratujący do nich dotatli, piętnastu robotników już nie żyło, a reszta była bez przytomności. Wydobyto ich czemprędzej na świeże powietrze i umieszczono w lazarecie i tu wszyscy z wyjątkiem jednego przyszli powoli do siebie. Ogółem więc padło ofiarą pożaru szesnastu górników, z których dziewięciu było już żonatych. Trudno opisać smutek i rozpacz pozostałych wdów i dzieci! Na miejsce nieszczęśliwego wypadku przyjechał namiestnik Szląska austryackiego, hr. Coudenhove, który z pewnością

uczyni, co w jego mocy będzie, by złagodzić ciężki cios, którym Bóg dotknął tamtejszą okolicę. Z wielkiem uznaniem podnoszą wszyscy poświęcenie dzielnych górników, z jakiem się zabrali do ratowania zagrożonych kamratów!

Oby Pan Bóg raczył zmarłych przyjąć do chwały niebieskiej i pocieszył opłakujące ich matki, wdowy i sieroty!

— **W Wiedniu aresztowano** pewną żydówkę i niejakiego Mośka, żydka warszawskiego wraz z dwoma ich pomocnikami, którzy wywabili z Warszawy 6 dziewcząt w wieku od lat 17 do 21 pod pozorem, iż wyszukają dla nich lepsze stanowiska, i wieźli te biedne ofiary do domów rozpusty w Buenos Aires w Ameryce południowej. Na szczęście powiodło się schwycić ich na gorącym uczynku i ocalić dziewczęta od zguby. Wszystkie już odesłano z powrotem do Warszawy, a niecnych handlarzy żywym towarem, czeką kara zasłużona.

— **Zabójstwo w karczmie.** W powiecie nadworniańskim, we wsi Dobrotowie, wyszedł tamtejszy wójt w nocy na 22 stycznia, dla przekonania się, co się w karczmie dzieje. Ujrzawszy światło, wstąpił do niej. Zastał tam kilku zapijających się chłopów, a między nimi i swego rodzonego brata. Wezwał pijaków, aby się rozeszli. Jeden z obecnych uderzył wójta, a gdy inni odgrażali się — wtedy wójt, widząc niebezpieczeństwo życia, otworzył okno i wyskoczył. W chwili, gdy wyskakiwał, jeden z pijaków ugodził go siekierą i na miejscu trupem położył. Między zabójcami był i brat wójta. Do czego to prowadzi wódka!

— **List do Dzieciątka Jezus.** Stało się to, o czem piszemy w Wiedniu, przed Bożem Narodzeniem zeszłego roku. Siedmioletni chłopczyk nazwiskiem: Emil Tarnowsky napisał następującą kartkę korespondendencyjną i wrzucił ją do skrzynki pocztowej: »Do drogiego Dzieciątka Jezus w Wiedniu. Jestem Emil Tarnowsky, mieszkam na Währing, Gürtelstrasse nr. 12, drzwi 4. Matka powiedziała mi, że do mnie nie przyjdziesz, bo jestem już za duży. Proszę cię jednak bardzo, abyś jeszcze raz mnie odwiedził i przyniósł mi paltocik i trzewiczki, bo chodzę do szkoły i jest mi zimno. Całuję twoje rączki drogie Dziecię Jezus.« Poczta zwróciła kartę z dopiskiem: »Der Adresat ist unbekannt« (adresat nieznany), ale znaleźli się dobrzy ludzie, którzy zastąpili Dzieciątko Jezus i przysłali biednemu chłopczynie paltocik, buciki i wiele innych rzeczy.

— **Okropność.** Z Raciborza na Szląsku pruskim donoszą: Żona majstra szewskiego Fryderyka Szweintuchowskiego usmarzyła sześciotygodniowe swoje dziecię na brytwannie i podała na obiad swemu mężowi, czeladnikom i uczniom. Potrawa ta miała wygląd pieczonego prosięcia i stołownikom bardzo smakowała. Dopiero najmłodszy uczeń Wicuś, stwierdził po pewnych oznakach, że to jest chłopczyk, a po bliższem poszukiwaniu przekonano się, że to był chłopczyk pana majstra, którego jednak już z wielkim apetytem spożyto.

— **Równość socyalistyczna!** Francuski socyalista Burdo, który brał w roku zeszłym udział w zjeździe socyalistów w Wrocławiu, ogłosił teraz w gazetach francuskich sprawozdanie o tym zjeździe. Twierdzi on, że między socyalistami dostrzegł trzy klasy: Pierwsza, przywódzcy, z żydem Singerem na czele, jadali w najpierwszych hotelach i spijali najdroższe wina szampańskie, druga klasa odwiedzała eleganckie piwiarnie i spijała drogie piwa, trzecia klasa musiała się zadowolić obiadkiem za 50 fenigów i szklanką cienkuszu. Taka to równość wśród tych, któ-

rzy głoszą, że wyższe warstwy uciskają i wyzyskują uboższych. Za pieniądze wydane na szampana mogli się byli wszyscy porówno dobrego piwa napić i lepszy zjeść obiad niż za 50 fenigów (30 centów).

— **Heród zabił Piłata.** Nieprawda! — zawołał każdy co czytał Pismo święte. Przecie Heród zmarł wkrótce po rzezi niewiniątek, którą nakazał, dowiedziawszy się od trzech Króli o przyjściu na świat Pana Jezusa, a Piłat żył za czasu męki Zbawiciela i sam wydał Go tłuszczy żydowskiej. Wszystko to prawda, ale bo też nie chcieliśmy tu mówić o królu ani i o rządcy krainy żydowskiej, tylko o dwóch parobkach we wsi Młodzów pod Radomskiem w Królestwie Polskiem. Jeden z nich zwał się Herod, drugi Piłat, a znali się bardzo dobrze, ba pono tak dobrze, że nieraz zakradali się wspólnie do cudzych komór i składów. Ale nie niedawno przyszło jakoś między nimi do kłótni, przy której Heród ugodził Piłata w głowę tak silnie, że na miejscu trupem go położył.

— **Nowe machiny zabójcze.** Jeden z wielkich amerykańskich wynalazców różnych maszyn, niejaki Eddisson, oświadczył pewnemu gazeciarzowi, że wkrótce nie potrzeba będzie wielkich bitew pomiędzy walczącemi stronami, bo dla zgniecenia najezdzców wystarczy garstka ludzi. Wynalazłem maszynę — mówił dalej Edisson — która będzie mogła rzucać strumienie wody na znaczną odległość z taką siłą, że zmiecie ona całą armię, jakby źdźbło słomy. Wynalazłem także drugie, które zakopią się pod miasta oblegane i zniszczą tych, którzyby chcieli do miasta wkroczyć. Myślałem też o łańcuchach, umieszczonych jednym końcem w maszynie dynamitowej a drugim końcem w armacie. Łańcuchy te przerzynać będą powietrze, jak olbrzymie węże i szerzyć śmierć naokoło. Mówił dalej Edisson o kilku innych przez siebie wynalezionych maszynach zabójczych, a jeśli to prawdą, co mówił, to wojna w przyszłości stałaby się niemożliwą.

— **Dnie krytyczne.** Znany badacz przyrody Falb przepowiedział na rok bieżący 24 dni krytycznych, to jest takich, w których się spodziewać należy jakich niezwykłych wypadków w naturze, jak: trzęsienia ziemi, nadzwyczajnej burzy i t. d. Dniami tymi mają być w pierwszym rzędzie: 30 stycznia, 28 lutego, 29 marca, 27 kwietnia, 9 sierpnia, 7 września, 6 października i 5 listopada; w drugim rzędzie, a więc mniej już niebezpiecznemi są: 13 lutego, 14 marca, 14 kwietnia, 26 maja, 10 lipca, 23 sierpnia, 22 Września i 4 grudnia; trzeciorzędnymi na koniec: 14 stycznia, 12 maja, 11 i 25 Czerwca, 24 lipca, 21 października, 20 listopada i 20 grudnia. Niech się jednakowoż nikt nie obawia, że już zaraz nastąpi koniec świata, bo Falb już od lat kilku bawi się w przepowiadanie, ale rzadko kiedy przepowiednie jego się sprawdzają.

— **Mięso z królików.** Hodowla królików w kraju naszym bardzo mało jest rozwiniętą, a przecież wielkie możnaby osiągnąć dochody, gdyby się nią szczerze zajęto, gdyż nietrudna zresztą praca sowicie się wynagradza. Przykładem godnym naśladowania służyć pod tym względem mogą Anglia i Francya, gdzie hodowla królików prowadzona jest na wielką skalę. W Anglii naprzykład roczny chów królików nie da się wcale obliczyć. Mieszkańcy Londynu spożywają dziennie 75 tysięcy królików, w Yorkshire jest tak zwany «ogród,» który dostarcza dziennie 1.200 sztuk tych zwierząt, a 1000 sztuk miesięcznie dostarczają «ogrody» angielskie. Biskup Derby przesyła rocznie do Londynu 12.000 królików, a z Ostendy nadchodzi tygodniowo 300.000. Powyższe liczby dowodzą,

że w Londynie handel królikami prowadzony jest na wielkie rozmiary. Francya nie ustępuje pod tym względem wcale Anglii, a nawet prawie ją przewyższa. Roczna hodowla królików we Francyi dochodzi do 100 milionów i przynosi dochodu 300 milionów franków. W Paryżu na targu głównym sprzedawanych bywa 300 tysięcy królików. Żadne zwierzę nie nadaje się tak do hodowli jak królik, gdyż naprzykład samica wydaje rocznie 50 młodych. Byłoby bardzo pożądanem, aby hodowla królików doznała u nas większego uwzględnienia.

Figle i żarty.

Jak wychodzi z swoim panem: — Jakże tam z twoim panem wychodzisz — zapytał służący swojego kolegi.

— Najwyborniej — odrzekł zapytany; wychodzimy jak brat z bratem. Co dzień rano trzepiemy sobie wzajemnie nasze suknie, z tą tylko różnicą, że ja pańskie trzepię na kołku, a on moje na grzbiecie.

Mazur podpity siadał oklep na konia, a gdy usiąść nie mógł, wzywał pomocy Świętych, każdego z osobna, »święty Walenty dopomóżta! święty Macieju a nuż ta! Ale gdy to nie pomogło, zawołał: Wszyscy Święci dopomóżta! a gdy przez konia aż na drugą stronę przesadził się, wołać począł: »hola! hola! nie wszyscy razem!«

Kilku zapalonych myśliwych toczy rozmowę o psach.
— Widziałem psy daleko mędrsze od swych panów, — mówi jeden.
— Ja sam mam takiego! — wyrywa się drugi.

Na zapas. — Czego ty bijesz twego malca? Przecież on nic nie zbroił.

— Mam pilną robotę. Nie mogę czekać, aż co zbroi. Muszę korzystać z wolnej chwili.

W sądzie. — Czy Icek widział, jak Wojciech bił Macieja?
— No... to ja nie widziałem.
— A czy widział Icek, jak Maciej bił Wojciecha?
— Też nie widziałem.
— Więc cóż Icek widział?
— Ja widziałem, jak oni obydwa się bili!

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 1 Marca 1896. Nr 3.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi** rocznie: **1** złr. **50** ct. półrocznie: **75** centów. *Kwartalnej* przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1** dolar.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi raz w miesiącu — dnia **1**-go.

Każdy nowy prenumerator może otrzymać jeszcze wszystkie początkowe numery. Kto zaś (nie licząc siebie) pozyska **trzech** nowych prenumeratorów, ten otrzyma jako premię **książkę do nabożeństwa** pod tytułem: **„Droga do nieba“.**

Od Wydawnictwa.

Pisze nam wielu z Szan. Czytelników, że im smutno, iż *Nowy Dzwonek* wychodzi tylko raz w miesiącu, że chętnieby zapłacili więcej, byle tylko *Nowy Dzwonek* wychodził przynamniej *dwa razy* w miesiącu.

Dobrze; — zgodzimy się i my chętnie na wydawanie naszej gazetki **dwa razy** w miesiącu, ale pod tym jedynie warunkiem, jeżeli **wszyscy** Sz. Czytelnicy zgodzą się na to, aby prenumerata wynosiła **na rok**: 2 złr. **50** ct. to jest o **1** złr. (z Niemiec o **2** mk.) więcej, i jeżeli wszyscy tego **1**-go reńskiego (jako dopłatę) nadeślą w tym bieżącym miesiącu t. j. **w marcu, przed dniem 25-tym.**

W takim razie *Nowy Dzwonek* mógłby **już od kwietnia b. r.** wychodzić **dwa razy** w miesiącu, dnia **1** i **15**-go.

Sądzimy, że się Sz. Czytelnicy wszyscy na to zgodzą.

Pracę naszą ofiarujemy Wam chętnie; Wy zaś Sz. Czytelnicy raczcie tą niewielką dopłatą opłacić koszta druku i przesyłki, a stanie się zadość Waszemu życzeniu i częściej, bo *dwa razy* w miesiącu, będziecie mieli *Nowy Dzwonek.*

Powtarzamy raz jeszcze, że *od kwietnia* zaczniemy wydawać naszą gazetkę dnia **1** i **15**-go, ale pod tym warunkiem, jeśli **wszyscy**, co do jednego, nadeślecie dopłatę wyżej wymienioną (**1** złr., a z Niemiec **2** mk.) i to **przed dniem 25-tym marca b. r.** Nie od nas więc, ale od Was zależy, by *Nowy Dzwonek* stał się *dwutygodnikiem.*

Znowu to samo!

Numer 2-gi, czyli poprzedni, *Nowego Dzwonka* wysłaliśmy 30 stycznia wszystkim, którzy już zapłacili, a nawet i niektórym dawniejszym Czytelnikom, którzy dopiero w lutym nadesłali prenumeratę.

I znowu jak w styczniu tak i w lutym otrzymaliśmy dość znaczną ilość reklamacyj i uwiadomień, że numer 2-gi nie doszedł do rąk niektórych Czytelników, a kilkudziesięciu zgłosiło się nawet po numer 1-szy.

Co się dzieje w drodze z naszą gazetką — tego pojąć nie możemy. Adresy bowiem są *litografowane* — pominąć więc nikogo przy ekspedycyi nie możemy — opaski dajemy z mocnego papieru, aby wdrodze nie zleciały z gazetki, tak, że wogóle wysyłka odbywa się jak najstaranniej i *wcześnie*, bo zawsze *w pierwszych* dniach miesiąca.

Poczty tutaj nie winny, tylko sami Czytelnicy, bo polecają odbiór gazetki z poczty różnym ludziom, którzy nie zawsze są sumienni. Na to my nie poradzimy — tutaj tylko sami Czytelnicy mogą sobie i nam dopomódz przez to, jeżeli sami osobiście będą chodzić na pocztę po gazetkę, albo jeżeli odbiór jej powierzą ludziom sumiennym, wtedy każdy z pewnością gazetkę regularnie otrzyma, a gdyby istotnie, co także może się zdarzyć, gazetka w drodze zagubiła się, to należy zaraz po ten nieotrzymany numer pisać do redakcyi, i to najpóźniej w 4 lub 5 dni po 1-szym; kto się później zgłosi, ten numeru nie otrzyma.

Wielkie ułatwienie!!

Doniosło nam wielu z Czytelników, że pozyskanie pięciu *nowych* prenumeratorów dla *Nowego Dzwonka* jest trudnem, bo mało jest jeszcze wieśniaków mających zamiłowanie do czytania, ale tak *trzech* prenumeratorów zjednać, to możeby się niejednemu udało.

Otóż chcąc ułatwić Wam otrzymanie *drugiej* premii, czyli książki do nabożeństwa pod tytułem: **Droga do nieba,** oznajmiamy że:

Każdy który pozyska **trzech nowych** prenumeratorów (nie licząc siebie), ten otrzyma książkę: **Droga do nieba,** zupełnie **darmo** jako nagrodę za tę przysługę.

Osobno książki tej nie sprzedajemy, zakupiliśmy bowiem pewną ilość nie na sprzedaż, ale tylko na premie dla tych, którzy okażą nam życzliwość w zjednaniu **trzech** nowych prenumeratorów.

List żony Piłata o Męce Pańskiej.

List następujący, który naszym Czytelnikom w tłumaczeniu podajemy, wedle podania miał być napisany przez żonę Piłata do jej przyjaciółki, niejakiej Fulwii. Nie ma na to dowodu i można wątpić o jego prawdziwości, ale jest on w swoim rodzaju piękny, sądzimy więc, że nie od rzeczy będzie, podać tu jego tłumaczenie.

...Prosiłaś mię droga Fulwio o opowiedzenie ci o wszystkiem. na co patrzyłam i co widziałam od czasu, kiedyśmy się rozłączyły. Niewątpliwie doszły cię wieści o różnych zdarzeniach w latach ubiegłych i obawiam się, że zatrwożyły cię one ze względu na mnie, gdyż w około mnie się odbywały. Ażeby żądanie twe wypełnić, postaram się zebrać nici, które się złożyły na tkankę mego przeznaczenia. A jeśli pomiędzy niemi znajdą się zdarzenia, które niemal rozum na szwank narażają, to pomnij, iż Mocy niebieskie otoczyły tajemnicą nasze urodzenie, nasze istnienie, naszą śmierć w tak mądry sposób, iż biedny, ułomny człowiek nie jest w stanie przeniknąć tych zamiarów.

...Wiesz o tem, iż licząc zaledwie szesnaście lat, poślubiłam Poncyusza, Rzymianina z rodziny szlachetnej, który podówczas zajmował wysokie stanowisko w Hiszpanii. Wiesz także, że bez radości, choć i bez wstrętu odeszłam od ołtarza Hymena (bożka małżeństwa, przyp. tłum.), aby pójść za małżonkiem, który co do wieku mógłby być ojcem moim... Pierwszy rok mego pożycia małżeńskiego przeszedł dosyć spokojnie. Urodził mi się chłopczyk, którego widok był mi droższym nad światło dzienne i cały czas swój spędzałam częścią na pełnieniu obowiązków gospodarstwa domowego, częścią dla rozkoszowania się dzieckiem. Dziecko to liczyło około pięciu lat, kiedy Poncyusz został mianowany z łaski szczególnej, pierwszym Konsulem Judei.

Wybraliśmy się ze służbą, a kiedy przybyliśmy do Joppy, miałam sposobność przekonać się, jak bogatym był kraj, którym mąż mój miał zawiadować w imieniu Rzymu, pana narodów. W Jerozolimie otoczoną byłam zaszczytami, a przecież żyłam w najzupełniejszej samotności, albowiem naród żydowski, dumny a ognisty, nienawidzi wszystkich cudzoziemców pogan, jak nas nazywają, i twierdzi, że my znieważamy naszą obecnością ich świętą ziemię, którą na zawsze miał dać im do używania Bóg ich przodków...

W rzadkich chwilach, które małżonek mój spędzał ze mną, mogłam dostrzedz, że był smutny i przygnębiony i zdawało mi się, że jego ręka była za słabą, by w karbach utrzymać ten naród o woli żelaznej, przyzwyczajony tak długo do wolności, i tak

uporny pod obcem jarzmem, a przecie i między sobą niezgodny, co większa nienawidzący się wzajemnie we wielu sprawach, ale zgodny w jednej rzeczy i związany węzłem od stali silniejszym; we wrodzonej i niewykorzenionej nienawiści ku Rzymowi.

Była tam jedna rodzina, która mi pewną okazywała uprzejmość. Głową jej był jeden z przełożonych synagogi i było mi zawsze przyjemnie odwiedzać żonę jego, Salome, która była wzorem cnót i łagodności; mała zaś ich córeczka Semida, która podówczas liczyła około 12 lat, była lubem i pięknem dzieckiem jak cudne róże Szaranu, któremi lubiła zdobić swe włosy. Często one mówiły mi o swoim Bogu, a nawet dawały mi niektóre swe księgi do czytania. I — czyż mam ci to wyznać, Fulvio? — kiedy słyszałam Salome sławiącą Najwyższą Istotę, Boga, owego jedynego Boga, czystego Ducha, a wiecznego, nieprzystępnego dla namiętności i występków, jakie my zanadto często ubóstwiamy i czcimy u naszych ołtarzy, miłosiernego dla tego, iż jest wszechmogący: łączącego w Sobie i potęgę i miłosierdzie i wielkość i czystość; — kiedy słyszałam głosik Semidy z towarzyszeniem harfy, gdy śpiewała pieśni święte ułożone przez jednego z królów Izraela, a które próbowałam później wygrywać na lirze — często w samotni mojej, obok łóżeczka mego dziecięcia, padałam na kolana i wznosiłam błagania, często mimowoli, za wszystkimi mi drogimi, do tego Boga, dla którego samo Przeznaczenie z żelazną swą ręką było tylko niewolnikiem Panu swemu posłusznym...

Przez długi czas Semida zapadała na zdrowiu, a pewnego poranku, kiedy wstałam, dowiedziałam się, że umarła. Przeraziła mię ta wiadomość i natychmiast, ucałowawszy własne dziecię, udałam się do bolejącej matki, ażeby jej wyrazić moje współczucie. Kiedy przybyłam na ulicę w której mieszkała, musieli się zatrzymać ci, którzy nieśli mą lektykę, gdyż mnóstwo grających na flecie i śpiewaków i innych otaczało dom. Zeszłam u drzwi i w tejże chwili ujrzałam, że tłum się rozstępuje i otwiera drogę małej gromadce mężczyzn, na którą wszyscy spoglądali ze czcią i szacunkiem.

Naprzód szedł ojciec Semidy. Popatrzyłam na twarz jego i oczekiwałam znaleźć w niej wyraz rozpaczy i smutku; natomiast jednak ujrzałam wyraz radości, nadziei i najzupełniejszej ufności, co dla mnie było wielce zagadkowem. Za nim szło trzech ubogich mężczyzn, nędznie odzianych, wyglądających niezgrabnie, ażeby już nie powiedzieć zabawnie, a za nimi, w swym płaszczu owinięty szedł człowiek, młody jeszcze... Podniosłam oczy na twarz jego, ale natychmiast je spuściłam, jak to się dzieje, gdy nagle blask światła oczy zaślepi na chwilę. Istotnie błyskawica biła od

twarzy jego — przynajmniej tak mi się wówczas wydało — i jakoby tęcza otaczała cudne jego włosy, które spadały na jego ramiona, jak to zwyczajem jest u Nazareńczyków. Nie umiem ci wyrazić, jakich uczuć doznałam na jego widok. Nieprzeparty sprawiał widok ten pociąg; gdyż niewymowna słodycz postać jego odznaczała, a przy tem majestat do głębi serca wzruszający.

Bezwiednie prawie poszłam za nim. Drzwi się otworzyły i ujrzałam Semidę leżącą na łóżku, otoczoną świecami i wazami z wonnościami. Leżało to biedne dziecię, spokojne a piękne, ale tak ciche, tak bledziuchne — jako lilije rozrzucone na jej łóżku i więdniejące u jej stopek. Salome siedziała u wezgłowia, milcząca i jakoby znieczulona. Nie uważała wcale na to, co się dzieje. Jair, ojciec dziewczęcia, rzucił się do stóp cudzoziemca, a wskazując na łóżko z giestem wymownym, zawołał: »Panie, córka moja umarła, ale skoro Ty zechcesz, żyć będzie!« Zadrżałam, słysząc te słowa i zatrzymałam oddech, by nie stracić słowa. Cudzoziemiec ów wziął Semidę za rękę i spoglądając na nią, rzekł: »Córko wstań!«

I oto Semida usiadła pod wpływem niewidzialnej mocy. Oczy jej, dotychczas zamknięte, otworzyły się; na lica powróciła krasa życia, zarumieniły się usta, — wyciągnęła ramiona i zawołała: »Matko!« Głos ten obudził z odrętwienia Salomę. Matka i córka rzuciły się wzajemnie w objęcia, a podczas gdy one trwały w uścisku, ojciec rzucił się na kolana i całując kraj szaty Cudzoziemca, zawołał: »Panie, co czynić mamy, ażeby Ci służyć i na wieczne zasłużyć życie?« — Odpowiedź brzmiała: »Miłuj Boga nadewszystko, a bliźniego twego, jak siebie samego.« Kiedy to wyrzekł, spojrzeliśmy na Niego — ale już Go nie było: wyszedł szybko, lub znikł z pomiędzy nas.

Przez cały ten czas, nie wiedząc prawie o tem, byłam na kolanach. Powstałam teraz wraz z innymi: Wydawało mi się, że wszystko snem było. Nie mogłam pojąć, co się stało. Kiedyż to, pomyślałam, nasi bogowie coś uczynili podobnego? Powróciłam do domu, pozostawiając w rozradowaniu tę świętą rodzinę.

Wieczorem opowiedziałam Poncyuszowi, czego byłam świadkiem. Potrząsnął głową i rzekł;

— Widziałaś Jezusa Nazareńskiego, przedmiot nienawiści Faryzeuszów, Sadduceuszów, następców Heroda i dumnych kapłanów. Nienawiść ich zwiększa się z dniem każdym; zemsta ich każdej chwili może Go dosięgnąć. A przecież słowa Nazareńczyka są słowami mędrca, dzieła Jego, dziełami Boga!

— I za cóż go tedy prześladują? — zapytałam się.

— Za to, że zdarł zasłonę z ich hipokryzyi i skrytych występków. Ja sam słyszałem pewnego dnia Jego wołającego do

Faryzeuszów: »Pobielane groby, nasienie żmij; nakładacie ciężary, jakich sami nie dotknęlibyście końcami palców. Płacicie dziesięciny ze zboża i pieniędzy, ale nie zachowujecie przykazań, ustaw sprawiedliwości i miłosierdzia.« Te słowa są prawdziwe, aż nadto prawdziwe i wrzodu dotykają, a dlatego właśnie oni na niego się gniewają. Obawiam się też, że nad Nazareńczykiem chmury się gromadzą.

— Ale ty go obronisz! — zawołałam gorąco. — Ty masz władzę do tego.

— Moja władza jest cieniem tylko u upartego tego narodu. . A przecież, czy mógłbym patrzeć na rozlanie krwi niewinnej?

Rzekłszy to, Poncyusz wstał i zdawało się, że więcej niż kiedykolwiek zaciężyły mu troski i obawy.

...Wielki dzień Paschy zbliżał się, a uroczystość ta, najznaczniejsza u żydów, sprowadzała do Jerozolimy ogromne tłumy ich współwyznawców ze wszystkich stron świata dla składania ofiar w świątyni. We czwartek poprzedzający uroczystość, Poncyusz, smutniejszy niż zwykle, rzekł do mnie:

— Augury (przepowiednie przez pogańskich kapłanów układane) niepomyślne są dla Nazareńczyka. Głowa jego w niebezpieczeństwie i zdaje się, że dzisiaj wieczorem ma zostać oddany w ręce kapłanów i książąt.

— Ależ ty go obronisz, — powtórzyłam raz jeszcze.

— Czyż zdołam? — odrzekł z twarzą zrozpaczoną. — Plato (pewien mędrzec grecki), jak wiesz, przepowiedział dziwny los śmierci dla Męża sprawiedliwego, jakiego przeczuwał. Zdaje się, że los ten oczekuje Nazareńczyka; niewinny ale zdradzony; prześladowany, a w końcu skazany na śmierć haniebną i upadlającą. W ten to sposób bogowie postępują z ludźmi śmiertelnymi.

Była to pora udania się na spoczynek. Zaledwo położyłam głowę na poduszkę, przedziwne i zdumiewające sny zajęły mą wyobraźnię; Zdawało mi się, iż znowu ujrzałam Nazareńczyka. Wyglądał zupełnie tak, jakim mi Salome opisywała swojego Najpotężniejszego Boga. Twarz Jego jaśniała jako słońce. Unosił się na skrzydłach Cherubinów, a płomienie go otaczały. Potem schodząc w obłokach niebieskich w wielkim majestacie, z błyszczącym krzyżem przed Sobą, jakoby sądził cały ród ludzki, który u stóp Jego się zgromadził. Skinieniem ręki oddzielił sprawiedliwych od niesprawiedliwych. Promieniejący pięknością wieczną, odmłodzeni młodością nieustającą, sprawiedliwi unosili się ku Niemu; niesprawiedliwi zaś zapadali się w przepaście ogniste straszniejsze od Erebu i Phlegetonu (piekła pogańskie). A kiedy w przepaście się zapadali, Sędzia wskazując im rany Swoje, mówił do nich: »Zdajcie rachunek ze krwi za was przeze Mnie wylanej.«



Tadeusz Rejtan. Według obrazu J. Matejki. (Objaśnienie na str. 82).

Wtedy opanowywało ich przerażenie nieopisane, i wołali z przestrachem, by ziemia ich pochłonęła, a pagórki ich przykryły. Ale nadaremnie. Byli nieśmiertelnymi dla kary ich oczekującej!

O, co za sen! — a raczej co za widzenie! Skoro jutrzenka różowym blaskiem pokryła szczyt świątyni, podniosłam się z łoża. Serce me jeszcze drżało z świętego przerażenia. Usiadłam przy oknie otwartem, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem porannem. Usłyszałam wtedy coraz to zbliżającą się jakąś wrzawę.

Wkrótce zdołałam już głosy rozróżnić. Były one gniewne, coraz to głośniej się odzywały, od czasu do czasu zdołałam zrozumieć wyrazy. Tknięta przeczuciem siedziałam nieruchomie. Musiałam słuchać, a przecież serce mi biło gwałtownie i zimny pot występował na czoło. Coraz to więcej zbliżały się groźne tłumy. Na ulicach rozlegało się stąpanie tysięcy stóp. Zrozumiałam, iż wstępowano na marmurowe stopnie pretoryum, gdzie Piłat siedział jako sędzia. Przerażona, wzięłam dziecko na rękę, które bawiło, się u stóp moich i owinąwszy je płaszczem moim, pobiegłam, by widzieć się z moim mężem.

Kiedy dostałam się do drzwi wiodących z mieszkania do pretoryum, usłyszałam głosy pomieszane. Bałam się wejść, ale kiedy rozsunęłam fałdy zasłony purpurowej, ujrzałam — ah Fulvio! co za widok! na tronie z kości słoniowej siedział Poncyusz, otoczony całą pompą urzędnika rzymskiego. Spojrzałam na jego twarz; wprawdzie wyraz spokoju ją pokrywał, ale odkryłam pod tą sztuczną maską wyraz troski i boleści. Przed nim, z rękami w kajdanach, w szacie poplamionej i zbrudzonej, z twarzą pokrytą krwią i oplwaniem, stał Nazareńczyk...

Stał spokojny i niewzruszony, i ani cień trwogi nie krył Jego oblicza, kiedy wszyscy wołali; »Krew jego niechaj spadnie na nas i na dzieci nasze!« Pozostał tak spokojny, jak sama niewinność i zrezygnowany jak ofiara na śmierć przeznaczona. A przecież sam ten spokój Jego napełniał mię obawą, gdyż zdawało mi się, iż jeszcze słyszę wyrazy ze snu mojego: »Zdajcie rachunek ze krwi za was przeze Mnie wylanej.« W około Niego wyła i krzyczała tłuszcza, która Go tu przywlokła. W tłuszczę tę wmieszali się kapłani, uczeni w piśmie, i faryzeusze. Łatwo było ich rozpoznać: dumnie wzniesione ich głowy i zwoje pargaminu zapisane ustępami z ich ustaw, odznaczały ich między innymi. Wszyscy, jak się zdawało, dyszeli jednem uczuciem śmiertelnej nienawiści.

Na znak dany przez Piłata, uciszyło się nakoniec. »I cóż mam uczynić?« zapytał się. — »Wydaj na śmierć tego Człowieka, Jezusa Nazareńskiego,« wołali. »Herod posyła Go do ciebie, ażebyś wydał wyrok śmierci.« — »I jakąż zbrodnię popełnił ten człowiek« — zapytał się Poncyusz. — Na zapytanie to odpowiedziano

okrzykiem oburzenia: »Zapowiedział zburzenie świątyni. Nazywa siebie Synem Boga,« wołali oskarżyciele. — »Znieważał kapłanów, dzieci Arona,« wołali kapłani, »ukrzyżuj Go.« — »Precz z nim! Ukrzyżuj Go!« wołały tłumy. — Do dziś dnia krzyki te dźwięczą w mych uszach i przed oczyma mi stoi czcigodna postać Ofiary.

Jeszcze raz Poncyusz przemówił — tym razem do Jezusa: »Iżali Ty jesteś Królem Żydowskim? zapytał się. — »Tyś powiedział,« była spokojna odpowiedź — »Czyż jesteś istotnie Chrystusem, Synem Boga?« Jezus milczał, a wołania ponowne tłuszczy rozszalałej wznosiły się jakoby ryczenia zgłodniałych tygrysów, domagających się, by wydać Nazareńczyka na ukrzyżowanie. Nakoniec znowu Poncyusz przyszedł do słowa. »Nie znajduję w człowieku tym winy;« zawołał. »Uwolnię Go.« — »Wydaj Go nam na ukrzyżowanie,« znowu wołano.

Nie byłam w stanie słuchać dalej. Zawołałam niewolnika i kazałam mu, by poprosił pana na chwilę do mnie. Powstał z krzesła i wyszedł do mnie. Rzuciłam się na kolana i z płaczem zawołałam: »W imię wszystkiego, co święte, na głowę dziecka tego, zakładu naszego związku, zaklinam cię, nie miej udziału w zabiciu tego Męża niewinnego. Nieśmiertelni bogowie nie są więksi od Niego. Ubiegłej nocy widziałam Go we śnie, w pełni Majestatu. Sądził wszystkich ludzi, i wszyscy drzeli przed Nim. I ujrzałam spadające w otchłanie cienie niesprawiedliwych, a między niemi widziałam twarze wielu, których widzę teraz pomiędzy tłumem domagającym się śmierci Jego. Ach, miej litość! Nie kładź na Niego ręki świętokradzkiej! Jedna kropla krwi Jego potępi ciebie na wieki.«

— Przeraża mię to, co widziałem — zawołał Poncyusz — ale cóż mogę uczynić? Rzymska kohorta za słabą jest, ażeby oparła się rozjątrzonemu tłumowi, który jakoby demony (złe duchy) jątrzyły. Fatalność (zły los) mię ściga, a trybunał ten, to jakoby świątynia Eumenid (bogiń wyrzutów sumienia i zemsty). Nie żądają oni sprawiedliwości, tylko zemsty. Uspokój się Klaudyo, proszę cię. Idź do ogrodu; weź dziecię ze sobą, zajmijcie się czem. Oczy twoje nie powinny na to patrzeć.

Rzekłszy to, wyszedł i ja sama zostałam, zdjęta niewypowiedzianą trwogą. Przez cały ten czas Jezus wystawiony był na obelgi i czynne zniewagi tłumu. Tylko nieograniczona cierpliwość zdolną była znieść te zniewagi. Poncyusz z ciężkiem sercem na tron swój powrócił, a kiedy się ukazał, na nowo wybuchły okrzyki.

Jest zwyczajem, iż w okresie Paschy gubernator może jednego więźnia ułaskawić i uwolnić na znak pokoju i miłosierdzia. Poncyusz sądził, że ta okoliczność poda mu sposobność do uratowa-

nia Jezusa. Stawiając tedy przy Nim Barabasza, mordercę i rozbójnika, ażeby Nazareńczyk tem lepiej się wydał, rzekł Poncyusz: »Któregoż mam wam uwolnić — mordercę Barabasza, czy też Jezusa, zwanego Chrystusem?« — »Barabasza!« zawołano. — A cóż mam uczynić z Jezusem?« zapytał się Poncyusz. — »Precz z nim! Ukrzyżuj Go!« ozwały się krzyki. — »Cóż tedy złego on uczynił?« zapytał się raz jeszcze. Ale tłum podniecany przez kapłanów wołał tylko ciągle, aby Go ukrzyżować.

Poncyusz jeszcze nie chciał im ustąpić i powiedział im to, ale groźne okrzyki, coraz to gwałtowniejsze, przeraziły go. Obawiał się, by jego własna powaga nie ucierpiała, zwłaszcza, że nie miał siły zbrojnej dostatecznej, ażeby jej bronić. Chwilami tłum się zwiększał, jak się zdawało. Pomiędzy wszystkimi spokojnym był On tylko, niewinna Ofiara. Zniewagi, męczarnie, nawet zbliżająca się śmierć haniebna, nie zdołały zmienić spokoju niebiańskiego, pokrywającego Jego święte Oblicze, i łagodnego Jego spojrzenia.

Ach to spojrzenie! Było ono to samo, które wskrzesiło córkę Jaira! Teraz padało na katów Jego. Zdawało się, jakoby radość sprawiały Mu cierpienia, a dusza Jego jakoby uleciała do wyżyn niewidzialnych. Tłum zaś powiększał się ustawicznie, zapełniał ulice, roił się od stóp trybunału do góry Syonu, na której świątynia się wznosi i ciągle i ciągle jeszcze wzrastał.

Znużony i zgnębiony nakoniec — biada nam! — Poncyusz ustąpił ich żądaniom, Powstał; wątpliwość i obawa malowały się na twarzy. Symbolicznie zanużył ręce w naczynie z wodą obok stojące i rzekł: »Niewinny jestem krwi tego Męża sprawiedliwego!« — »Krew jego na nas i na dzieci nasze!« zawołał tłum rozwścieczony i otoczył Jezusa. Z wściekłością porwali go od trybunału, by zawlec niewiadomo dokąd. Z boleścią nieopisaną patrzyłam za odchodzącymi, a potem mgła zakryła mi powieki, zadrżały mi kolana i upadłam, straciwszy przytomność...

Kiedy przyszłam do siebie, spostrzegłam, że dwie niewolnice około mnie się krzątały przy oknie otwartem. Bezwiednie spojrzałam za okno; u stóp słupa pewnego spostrzegłam szmaty i kałuże krwi świeżo przelanej. »Tam biczowali Nazareńczyka« — wytłómaczyła jedna z niewolnic. — A tam dalej włożyli mu na głowę koronę z cierni« — dodała druga. — »Żołnierze natrząsali się z Niego« — rzekła znowu pierwsza — »nazywali Go Królem Żydowskim, wciskając ciernie w skronie i bili Go po twarzy, a teraz wyprowadzili Go, ażeby stracić.«

Jak mieczem każdy wyraz przeszywał mi serce; każdy szczegół strasznej niesprawiedliwości popełnionej w przybytku sprawiedliwości na myśl mi przychodził. A przecież, pośród tej ciągłej

trwogi i przerażenia, nie mogłam obronić się uczuciu, jakoby coś nadludzkiego działo się w tym dniu tak strasznym. Zdawało się, jakoby niebo nademną równej jak ja doznawało trwogi. Gęste chmury, jakoby kir żałobny, zwieszaly się ku ziemi; na żółtawych ich brzegach srebrnym rąbkiem płomienie igrały. Całe miasto, rano jeszcze tak ożywione, ponuro się przedstawiało. Nie mogłam otrząsnąć się z trwogi i przerażenia i ani na chwilę dziecka od siebie nie puszczałam. Czekałam, czekałam ciągle, jakoby coś stać się musiało. Około godziny dziewiątej dnia, ciemność zupełnie niebo pokryła, strasznem trzęsieniem ziemia zadrżała, słońce znikło z firmameutu i wyglądało tak, jakoby wszelkie stworzenie się rozpadało i w nicość miało zamienić.

Upadłam na kolana. Jedna z domownic, żydówka, wpadła do pokoju blada, przerażona, z oczami krwią nabiegłemi, z włosami rozpuszczonemi. »Świat się kończy!« zawołała. »Bóg to oznajmia swoimi znakami. Zasłona w świątyni rozdarła się z dołu do góry, miejsce święte rozburzone, groby się otwierają. Zmarli głoszą gniew Boży i kara Jego nas dosięga.«

Słowa te przeraziły mię do głębi duszy. Powstałam, drżąc od stóp do głów, nie wiem jak dostałam się do schodów. Tam spotkałam centuryona, który dowodził w czasie krzyżowania. Był to stary żołnierz, którego włosy posiwiały we walkach z Partami i Germanami. Nigdy nie biło serce w piersi odważniejsze, a przecież teraz blady, przerażony, wydawał się zdjęty przestrachem i wyrzutami sumienia. Chciałam go się wypytać o wszystko, ale przebiegł tylko koło mnie, wołając: »Zaiste był to Syn Boży!«

Weszłam do pokoju; siedział tam Piłat z głową na ręku opartą. Popatrzył na mnie i rzekł głosem grobowym: »O, gdybym był tylko usłuchał cię Klaudyo! O, gdybym był Go bronił z narażeniem życia własnego! Nigdy, nigdy więcej nędzne me serce nie zazna spokoju!« Nie odpowiedziałam; nie umiałam pocieszać, nie znałam środka ratunku, straszliwe nieszczęście na całe życie nas dotknęło. Wszędzie była cisza na ziemi, ale u góry grzmoty i pioruny przerażający gniew niebios oznajmiały.

W czasie tej burzy wszedł sędziwy jakiś starzec. Wpuszczono go, a kiedy wszedł, zbliżył się do Poncyusza i ukląkł. »Jestem Józef z Arymatei,« rzekł, »przyszedłem błagać o łaskę, by mi wolno było zdjąć z krzyża ciało Jezusa z Nazaretu i włożyć je do mojego grobu.« Nie podnosząc oczu, Poncyusz rzekł tylko: »Idź!« Starzec wyszedł; widziałam, że u drzwi przyłączyła się do niego gromadka niewiast w skromnych zasłonach.

I tak się skończył ten dzień nieszczęśliwy. Jezusa pochowano w grobie w skale wykutym, a u drzwi grobu straż postawiono. Ale, o Fulvio! trzeciego dnia On powstał z grobu, w chwale

i tryumfie, zupełnie tak, jak przepowiedział — Zwycięzcą śmierci! Ukazał się swoim uczniom, swym przyjaciołom i wielkim gromadom ludzi. O wszystkiem tem świadczyli Jego uczniowie z nadzwyczajną odwagą, opowiadając o tem w obec trybunałów sędziów i książąt i chętnie, a nawet z radością życie swe oddawali na świadectwo Jego Świętości. A nauka Jego, początkowo tylko tajemnie wyznawana przez wielu rybaków w Galilei, teraz jest głoszoną wszędzie po całem cesarstwie. Byli oni tylko wieśniakami nieuczonymi, a przecież uczyli i nawracali uczonych i wysokie stanowiska zajmujących, i popierali swe nauki cudami, jakich nigdy przedtem świat nie widział. Maluchne ziarnko gorczyczne zasadzone w zakątku Judei w wielkie rozrosło się drzewo, a cień tego drzewa jeśli się nie mylę, kiedyś zupełnie przyćmi sławę naszych rzymskich bogów.

Od tego czasu Poncyusz nie miał ani jednego dnia szczęśliwego. Nawet sądził go Senat i cesarz Tyberyusz. Znienawidzili go i żydzi i jęli nim pogardzać ci, których życzenia wypełnił, a życie jego stało się długiem pasmem cierpień i udręczeń.

Ja zaś byłam samotna, więcej samotna niż dawniej. Salome i Semida z dreszczem patrzyły na mnie, jako na żonę bezbożnego sędziego, małżonkę mordercy ich Pana; nie potrzebuję bowiem dodawać zapewne, że one obydwie stały się wiernemi sługami Tego, który wskrzesił Semidę. Czułam, iż starały się ukrywać swą niechęć w obec mnie, a przecież widziałam na ich twarzach tę odrazę i w końcu przestałam je odwiedzać. Spędzałam samotne me chwile na rozważaniu słów Jezusa, których mię Salome nauczyła i które sobie spisałam. O droga przyjaciółko, jakże próżną jest wielkość światowa wobec słów tych cudownych! Ciągle je odczytywać przynosi pociechę i rozkosz nieopisana.

W kilka miesięcy później Poncyusza złożono z urzędu. Wędrował on z miasta do miasta, w daremnej nadziei znalezienia pokoju; ach, nie ma pokoju dla duszy sumieniem dręczonej! Wędrowaliśmy wszerz i wzdłuż państwa. »To Kain i żona jego,« mówili Hebrejczycy »z ziemi wygnani.« Nie mogę go opuścić, a przecież może lepiej byłoby dla niego, gdybym go opuściła. We mnie on widzi ciągle oskarżyciela i żyjącego świadka swej zbrodni. A ja — ja widzę tylko Krzyż i widzę niesprawiedliwego sędziego, który pozwala, by do Krzyża tego przybito niewinną Ofiarę. Nie mogę patrzeć na twarz jego, obawiam się słyszeć głos jego — głos, który wydał wyrok niesprawiedliwy. Mrozi mi serce głos jego. A jeśli przy stole niewolnik przyniesie miednicę z wodą do umycia rąk, mnie się wydaje, jakoby ta miednica była napełnioną krwią, której nigdy zetrzeć nie można. Raz tylko, raz jedyny pozwoliłam sobie mówić mu o skrusze i pokucie: nie za-

pomnę nigdy wyrazu rozpaczy, który wówczas na twarz jego wystąpił.

Dziecko nasze umarło; skonało w mych ramionach i nie wylałam za niem ani jednej łzy żalu. Ono! szczęśliwe, że umarło i uniknęło hańby ciążącej na imieniu ojca jego!

Zbrodnia nasza wszędzie nas prześladuje. Przybyliśmy do Helwecyi (Szwajcaryi), kraju gór i wiecznych śniegów. Szukaliśmy w tych przepaścistych okolicach ucieczki przed nienawiścią ludzi. Ale i tu znajdujemy nawet małe dzieci — bo chrześcijanie już są wszędzie — powtarzające ze strachem i obrzydzeniem nazwisko męża mojego. Nakoniec dowiedziałam się bowiem, że uczniowie Jezusa przed rozejściem się na wszystkie strony świata, ułożyli skład artykułów jako wyznanie swej wiary, a w tem wyznaniu wiary jest ustęp: »Umęczon pod Pontskim Piłatem.« Straszne przekleństwo, które ma trwać do końca świata, powtarzane przez miliony ludzi codziennie; »Umęczon pod Pontskim Piłatem.«

Bywaj mi zdrową, Fulvio droga. Myśląc o mnie, lituj się nademną, a oby Bóg sprawiedliwy dał ci to szczęście, jakiego życzyłyśmy sobie wzajemnie w czasach błogiego spokoju! Bądź zdrowa!

Módl się i pracuj!

Gdy cię znużą życia troski,
Gdy łzy zaćmią oczy twoje,
Idź — gdzie krzyża znak jest Boski,
On w ramiona przyjmie Swoje
Duszę twoją; u stóp Jego
Ty wymodlisz szczęścia tyle,
Że dla serca zbolałego
Odpocznienia znajdziesz chwilę.

Gdy tęsknotą duch trawiony
I myśl wiecznie błądzi sama,
W pracy będziesz odrodzony,
Bo do szczęścia wiedzie brama
Przez modlitwę i przez znoje —
Tylko z wiarą i miłością
Niechaj dąży serce twoje,
I z dziecinną tam ufnością!

U stóp krzyża duch się korzy
I łza stygnie, gwiazdą świeci,

Bo tam jasny promień Boży
Ku wam płynie, smutku dzieci!
I roztrąca nocy cienie,
Jak pochodnia Archanioła,
I jutrzenki wnet promienie
Zwiastują światło dokoła.

Tylko z wiarą i miłością —
Bo kto tego nie zdobędzie,
Choćby przeszedł świat wielkością
Dusza zawsze smutną będzie!
Módl się pracuj choć w niedoli,
Do stóp krzyża nieś łzy swoje —
Łzy, tęsknotę i co boli
On w ramiona przyjmie swoje.

Czesława Grzybczyk.

Pogawędka o różnych rzeczach.

(Pieniactwo czyli zapalczywość w procesach. — Jeszcze o braku oświaty i niechęci do czytania).

Było niedawno napisane w jakiejś tam gazetce, jak mi o tem mówił nasz organista, że gdzieś tam w kraju alzackim, dwóch gospodarzy wiodło ze sobą proces o drogę, która biegła między ich posiadłościami i prowadziła w pole.

Każdy z nich mówił, że to jego droga i procesowali się ze sobą przez lat kilka, aż wreszcie jeden z nich proces niby wygrał. Mówię, że niby wygrał, bo w istocie pokazało się, że obaj rościli sobie niesłuszne prawo do tej drogi. Gdy bowiem udano się do urzędu gminnego i przejrzano plany i księgi gruntów, pokazało się, że ta droga była i jest własnością gminną a nie prywatną.

Może jeden lub drugi z tych przeciwników wiedział nawet o tem, ale jak widać, obaj byli zażarci w procesowaniu się.

Zdarza się u nas często, nawet bardzo często, między wieśniakami takie pieniactwo czyli zapalczywość w procesowaniu się, przez co nieraz niejeden gospodarz zeszedł na dziady.

Nieraz o byle co skarży jeden drugiego do sądu, a jeżeli do tego ma po swojej stronie choćby pozór słuszności, to cały majątek wyda na proces, by tylko postawić na swojem i na sąsiadzie lub krewniaku się zemścić.

Mów takim pieniaczom o zgodzie, to cię ani słuchać nie będą, a oto nieme stworzenia ich zawstydzają, bo żyją w zgodzie, jak najlepszej.

Tysiące, naprzykład, pszczółek w jednym ulu żyje — a jedna drugiej nie kąsa, nie zabija, aby się jej pracą żywić. Ostatnią kropelką miodu się dzielą, a gdy go zabraknie, to wspólnie śmierć ponoszą.

Stado owiec gryzie trawkę w jednej bruździe, na jednym zagonie, a przecież jedna drugiej nie zazdrości, nie wydziera. Tylko ludzie są gorsi od tych niemych stworzeń.

Syn dopóty jest dobry dla ojca i matki, dopóki nie dadzą mu majątku jaki posiadają; jeżeli mu nie oddadzą wszystkiego, gniewa się na nich i szuka sposobu, jakby im wydrzeć ostatni kawałek chleba. Dokucza im zatem, jak jeno może i podskakuje z radości, gdy stary ojciec lub matka bierze kij żebraczy i torbę, opuszcza syna i idzie na żebraninę.

Bywa i tak, że syn skarży do sądu ojca własnego o to, że tenże zrobił niesprawiedliwy, według niego, podział gruntu. O procesach między rodzeństwem, między braćmi a siostrami, lub między braćmi i braćmi co troche się słyszy. Znam dwóch szwagrów, którzy koniecznie muszą mieć co miesiąc choćby jednę sprawę w sądzie, bo inaczej żyćby nie mogli.

Niechno kto ma drogę wspólną, to z pewnością ciągle się będą obaj procesować, jak ci dwaj wyżej wspomniani, i ugodzić się nie zechcą. Są ludzie, co bez procesów żyć nie mogą, jak ryba bez wody. Lada drobnostka wystarczy dla nich, by wnieść skargę do sądu na swego przeciwnika.

Ot, gdy się człowiek głębiej nad tem zastanowi, to się zdaje że to nie ludzie, nie chrześcijanie, lecz jakieś zwierzęta drapieżne lub ludożercy.

Sąsiad sąsiadowi szkodzi, jak tylko może; wypasa, przyoruje ziemi, wyłamuje lub wycina drzewa, kaleczy bydlęta, obmawia, czerni, a z tego wszystkiego idą potem kłótnie, bójki — a potem procesy i sądy.

Możeby się czasem i udało pogodzić takie walczące strony, ale cóż, kiedy na taką niezgodę czychają znowu pokątni doradzcy, którzy namawiają, podburzają i piszą skargi, bo z tego mają zarobek dla siebie.

I znowu wychodzi szydło z worka, że tutaj winien wiele brak oświaty, bo mądry wieśniak, mający naukę, nie wda się z takim pokątnym doradzcą, wiedząc dobrze, że szuka on nie jego dobra, ale tylko swego zysku.

Ciągle się mówi o tym braku oświaty u naszego ludu, a przecież lud, choć sam słyszy, że o nim tak mówią — jakoś nic sobie z tego nie robi. To znak, że mało chyba mamy poczucia własnej godności.

Do karczmy to chętnie idzie niejeden, ale do czytelni na-

Archanioł Gabryel zwiastował



Najświętszej Pannie Maryi.



przykład, to mu się wcale nie spieszy. Dla Mośka lub Abramka to ma pieniądze, ale powiedz takiemu, żeby sobie zapisał gazetkę, to ci odpowie, że go nie stać na to. To też nas, co czytamy gazetki i książki aż wstyd bierze, że tyle jeszcze ciemnoty między bracią naszą siermiężną.

Co to z tego, że wy redaktorzy pracujecie dla nas w pocie czoła, kiedy wielu z naszych tego nie ocenia wcale. Przysyłacie nam gazetki i gwałtem do światła chcecie lud prowadzić, a ten lud macha często ręką i mówi: »co mi tam po gazetce, co mi tam po nauce« — i dalej żyje w ciemnościach. Biedni jesteśmy — to o tem wie każdy — ciężka jest praca wieśniaka, to również każemu wiadomo — ale skoro niejeden tyle traci nieraz na jarmarkach i po karczmach, toć przecież staćby go też było na książkę lub gazetkę.

Czy to nie lepiej zamiast siedzieć w karczmie, pozostać w domu i coś ciekawego i pouczającego przeczytać? Są tacy, co tak robią i ci tak już zasmakowali w czytaniu, że nieraz, jak to się mówi — od gęby sobie odejmą, aby tylko zaoszczędzić kilka groszy na książkę lub pisemko.

Było w roku zeszłym napisane w *Nowym Dzwonku*, że po za naszym krajem — to zupełnie inaczej tamci wieśniacy zapatrują się na naukę i oświatę, którą im niosą życzliwi im ludzie. U nas tylko, u nas — tak ciężko idzie z tą oświatą — to też niczego się nie ucząc, radzić sobie nie umiemy, a z tego bieda po chałupach naszych, aż piszczy.

Bieda piszczy, a my tylko narzekać umiemy, przeklinać i zemstować — i więcej nic. A jednak przez oświatę, przez naukę, przez czytanie różnych książek i pisemek, można się wiele nauczyć, jak gospodarstwo podnieść, jak się z bydełkiem obchodzić, jak się choroby ustrzedz i zdrowie zachować, a to wszystko tak ważnem i potrzebnem jest dla każdego wieśniaka.

Kiedyż — o kiedyż wreszcie przyjdą te czasy, że każdy wieśniak polski przejrzy i nabierze chęci do czytania i oświaty! Dałby to Bóg, aby te czasy przyszły jak najprędzej.

Jeden z Czytelników.

O Tadeuszu Rejtanie.

(Do ryciny na str. 71).

W roku 1773 umówił się król pruski Fryderyk II z Katarzyną, carycą rosyjską, aby Polskę rozebrać. Wciągnięto w tę niecną robotę i cesarzową austryacką Maryą Teresę, która nie

życzyła sobie wcale rozbioru Polski i pożądania Prus i Rosyi uważała nawet za wstrętne, ale bojąc się, aby Rosya i Prusy zbytnio nie wzrosły, nareszcie zgodziła się i ona na podział Polski.

Dnia 13 stycznia 1773 roku wydały te trzy mocarstwa manifest o podziale Polski. Moskwa zajęła zaraz 1586 mil kwadratowych, Prusy zabrały 629 mil kwadratowych, a Austrya 1710 mil kwadr. to jest: Ruś czerwoną, część Podola, województwo krakowskie i sandomirskie po Wisłę.

Był to *pierwszy* rozbiór naszej Ojczyzny. Polsce pozostało jeszcze 9630 mil kwadratowych kraju z 8-ma milionami ludności.

Nie dość na tem; ci trzej sąsiedzi zażądali jeszcze od króla polskiego (Stanisława Poniatowskiego), aby zwołał sejm i aby sejm ten rozbiór potwierdził, a równocześnie owe trzy mocarstwa wysłały swe wojska do Warszawy. Król się opierał, ale, gdy mu zagrożono, że go zrzucą z tronu i resztę kraju zabiorą, król za radą senatu zwołał sejm.

Sejm był nieliczny — posłów zjechało się nie wielu, bo wszystkim wiadomem było, w jakim haniebnym celu sejm zwołano. Jednak i w tej małej liczbie posłów znalazło się wielu przekupionych przez Moskwę, a do nich należał zwłaszcza Adam Poniński.

Kiedy się sejm zebrał na pierwsze posiedzenie, nikczemnik ten ogłosił siebie marszałkiem sejmu. Wtedy to kilku zacnych posłów, a na ich czele *Tadeusz Rejtan*, nie chcieli dopuścić do rozpoczęcia sejmu.

Tenże wyrwał Ponińskiemu z rąk laskę marszałkowską, a na posiedzeniu następnem, gdy posłowie wychodzili ze sali, zaczął ich błagać, by się nie rozchodzili, lecz by zostali i podziału Ojczyzny nie potwierdzili. Kiedy jednak prośby jego nie odniosły skutku, z odsłoniętą piersią rzucił się na ziemię tuż pod drzwiami i zawołał: »Zabijcie mnie, ale nie zabijajcie Ojczyzny!«

Mimo to jedni z zaprzedajnych posłów przekroczyli Rejtana, przeszli po jego ciele, a drudzy wyszli innemi drzwiami.

Daremnie opierał się Rejtan i na trzeciem posiedzeniu, daremnie zaklinał na wszelkie świętości, by posłowie nie potwierdzili rozbioru Polski, głos jego był głosem wołającego na puszczy.

Nasz obrazek na stronie 71 przedstawia tę chwilę, kiedy zacny Rejtan leży przy drzwiach i woła: »zabijcie mnie, ale nie zabijajcie Ojczyzny!

W dalszych obradach sejmu nie brał Rejtan udziału, a kiedy ten sejm wreszcie potwierdził pierwszy rozbiór Polski — Rejtan powrócił na Litwę, gdzie miał swój majątek i tam wnet z rozpa-

czy dostał pomięszania zmysłów, bo nie mógł przeboleć rozbioru Ojczyzny.

Tadeusz Rejtan był jednym z najszlachetniejszych synów Polski, któremu i najzaciętsi wrogowie nasi cześć oddają.

Wielki Tydzień w dawnej Polsce.

Był dawniej zwyczaj, że synowie znakomitych rodzin, ubrani w białe szaty, przynosili królom palmy do zamku w Niedzielę Palmową. Rodzice starali się o to usilnie, aby ich dziatki były przyjęte do tego obrzędu. Bo też to był zaszczyt nie lada. Król przyjmował ich w zamku z całą uprzejmością, słuchał ich przemowy, a odebrawszy przyniesione palmy, odwdzięczał się podarunkami. Zwyczaj ten przetrwał do panowania Władysława IV. Za Jana Kazimierza poszedł w zapomnienie, ponieważ król zajęty wojennemi sprawami nigdy prawie podczas świąt wielkanocnych nie znajdował się w stolicy Polski.

Jak wybierano młodzieńców do króla, taksamo w szkołach wybierano chłopczyków do procesyi i uroczystości odbywanych w Niedzielę Palmową.

Wśród bicia dzwonów i pobożnych pieśni wychodziła procesya z kościoła, a chłopcy ubrani w najpiękniejsze kontusiki i żupaniki, z bukietami przypiętymi do boku, nieśli piękne palmy okryte rzęsiście pączkami.

Dla większego uszanowania ręce, w których palmy nieśli, mieli owinięte w jedwabne chustki, albo w szerokie wstęgi związane w kokardy. Lud pilno uwagę na nich zwracał, bo w stosownej chwili chłopacy idący w procesyi podawali ludowi palmy, a on zrywał pączki i połykał, mając to przekonanie, że ktoby w Palmową Niedzielę pączka nie połknął, nie byłby zbawionym. Obecnie jeszcze zachowują po wsiach obyczaj połykania pączków, ale mówią, że to chroni od bólu gardła.

W wielką Środę po Jutrzni nazwanej ciemną dla tego. że po jednej świecy gaszą, po każdym psalmie uderzają księża psałterzami i brewiarzami o ławki, robiąc tym sposobem łoskot, na znak owego zamieszania, jakie powstało przy męce Chrystusa. Otóż wtedy młodzież zbierała się w kościele i tłukła kijami o ławki, aby był łoskot większy. Ale to wkrotce zakazano.

W czasie gdy kościół nie używa dzwonków, tylko klekotek do kołatania, to jest od Wielkiego Czwartku aż do Wielkiej Soboty młodzież szkolna dawała się straszliwie wszystkim we znaki. Jak tylko na wieży odezwała się klekotka, chłopcy natychmiast poczęli biegać po ulicach ze swemi klekotkami i grzechotkami.

A wtedy w mieście robił się taki zamęt i gwar, iż niejednego tem do rozpaczy doprowadzano.

Groby Pańskie wystawiano z wielkim przepychem. Wśród morskich bałwanów dawał się widzieć wieloryb połykający i wyrzucający Jonasza. Tu znów olbrzymie wodotryski, Aniołowie wznoszący się w górze lub też ogródki uroczyste z pięknie wzrosłego owsa — rzeżuchy — bukszpanu. Próżne miejsca wysypano kolorowym piaskiem, po bokach drzewa cytrynowe, pomarańczowe, kwiaty, laury bogato ubierane, a muzyka przygrywała nieustannie, albo chóry pobożne pieśni nuciły.

Podobnie jak Biskupi, tak i królowie polscy w Wielki Czwartek umywali starcom nogi. Zygmunt III był pierwszy, który tego obrządku dopełnił. Za ostatniego króla, Stanisława Augusta, zdarzyło się raz, że każdy z 12 starców miał 100 lat, a jeden z nich liczył 125 lat.

W Wielki Piątek, z rozmaitych szmat i gałganów ubierali studenci wielkiego bałwana, który miał wyobrażać Judasza. Kładziono mu w kieszeń worek z trzydziestoma kawałkami szkła jakoby z tylu srebrnikami i oprowadzano go po ulicach miasta. Następnie wciągali go chłopcy na wieżę kościoła, rzucali go z góry, tam go okładali kijami i topili w Wiśle.

Przed wieczorem następowało pożegnanie z śledziem i żurem. Otóż chłopcy uwiązawszy śledzia na długim sznurku, wieszali go na wierzbie, przemawiali do niego z żalem, że przez 7 tygodni morzył ich żołądki, a więc dziś za to karzą go. Z barszczem postępowali inaczej. Nabrali go do dużego, glinianego garnka, brali łopaty i szli z nim za miasto, aby zakopać go w ziemi. Pobożni Polacy i królowie z rodzinami swemi większą połowę nocy w Wielką Sobotę w kościele przepędzali.

W stolicy i w miastach w czasie rezurekcyi strzelano z armat, moździerzy, strzelb i pistoletów przez próżną beczkę dla większego odgłosu, przytem palono w około kościoła beczki smolne lub też inne ognie.

Gdy ksiądz w czasie Mszy św. pierwszy raz »Alleluja« zaśpiewał, wtedy uściśnieniem ręki, ukłonem głowy i cichym głosem winszowali sobie wszyscy obecni »wesołego alleluja,« taksamo spotykając się na ulicach i w domach. Po tych wszystkich obrządkach przystępowano do spożywania bab i kołaczy.

Po Sejmie.

Tegoroczna sesya sejmowa trwała od 28 grudnia do 8 lutego. Krótsza była, ale nie przeszła tak jałowo jak inne.

Pierwsza to była sesya w nowym składzie Sejmu. Nowy bowiem marszałek hrabia Stanisław Badeni, brat byłego namiestnika a obecnie Prezydenta Ministrów, zasiadł na krześle marszałkowskiem; nowy pan marszałek krajowy znany jest w kraju od dawna ze swej energii i pracowitości, to też jemu zawdzięczać należy, że kilka spraw ważnych zostało uchwalonych.

Również w składzie posłów zaszły wielkie zmiany. Z gmin *wiejskich* wszedł do Sejmu znaczniejszy zastęp *posłów włościan*, tak Polaków jak i Rusinów. Polscy posłowie włościańscy podzielili się na dwa kluby i dawny klub *Związku chłopskiego* czyli *katolicko-ludowy*, na którego czele stoi poseł Kramarczyk i klub *stronnictwa ludowego* z przewodniczącym Dr. Bernardzikowskim z Brzeska.

Do klubu *Związku chłopskiego* należą: Kramarczyk z powiatu bialskiego, Potoczek z powiatu nowosądeckiego, Szwed z powiatu żywieckiego, Warzecha z powiatu pilzneńskiego, Data z powiatu jasielskiego. Do klubu stronnictwa ludowego należą: Dr. Bernadzikowski z powiatu brzeskiego, Bojko z powiatu dąbrowskiego, Krempa z powiatu mieleckiego, Średniawski z powiatu myślenickiego, Wójcik z powiatu krakowskiego i Styła z powiatu wadowickiego.

Posłowie ci włościańscy zabierali w wielu sprawach głos, stawiali liczne wnioski i interpelacye, mające na celu podniesienie stanu włościańskiego i ulgi dla rolników, tudzież przy sprawdzaniu wyborów, jednak na wyszczególnienie zasługują posłowie: Kramarczyk, Potoczek, Bojko, Wójcik i Średniawski.

Chociaż podzieleni na 2 kluby, przyznać trzeba, że wszyscy posłowie włościanie w sprawach tyczących dobra chłopów występowali i głosowali solidarnie, zachodziła tylko między nimi ta różnica, że posłowie z klubu stronnictwa ludowego, a szczególnie p. Bojko nieraz występowali za ostro. Wywołało to nawet w końcu sesyi ostrą awanturę, o której na końcu wspomnę.

Nic to dziwnego, bo posłowie ze stronnictwa ludowego zanadto może słuchają podszeptów *Przyjaciela ludu*. Posłowie zaś ze »Związku chłopskiego« wolni są od tych postronnych wpływów, i występują z pewnem przyzwoitem umiarkowaniem.

Nieco obszerniej przedstawiłem stosunek posłów włościan w Sejmie, bo spodziewam się, że to naszych czytelników interesuje, a teraz wrócimy do prac sejmowych.

W ubiegłej sesyi uchwalił Sejm *ustawę gminną* dla *mniejszych miast i miasteczek*, ustawę *łowiecką*, ustawę o polepszeniu płac nauczycielskich, zmianę ustawy konkurencyjnej kościelnej i ustawę powiększającą liczbę posłów z miast Lwowa i Krakowa.

Przy uchwalaniu *ustawy łowieckiej* stawiali posłowie włościanie

liczne poprawki mające na celu dobro włościanina — lecz tylko niektóre z tych poprawek zostały przyjęte przez Sejm. Gdy p. Bojko przy artykule o licytacyi prawa polowania, zażądał imiennego głosowania, a Sejm wniosek ten odrzucił, posłowie włościanie opuścili salę sejmową. Uchwalona ustawa łowiecka nie zadawalnia wprawdzie wszystkich żądań ludu, ale przyznać trzeba, że poprawia choć coś nie coś istniejące stosunki, zawiera malutkie ulgi dla włościan i zmusza właściciela prawa polowania do wynagrodzenia szkód zrządzonych przez dziką zwierzynę.

Według nowej *ustawy konkurencyjnej* będą właściciele obszarów dworskich, którzy w parafii nie mieszkają, pociągani do płacenia na kościół i plebanię; dotąd byli od tego wolni. Jest więc tu znaczna ulga dla parafian.

W sprawie *zmiany ustawy gminnej dla wsi* polecił Sejm Wydziałowi krajowemu i Rządowi wniesienie projektu o ustanowienie *gminy zbiorowej*. Przeciw temu wystąpili tak posłowie włościańscy jak i znaczna liczba posłów z innych stronnictw. Gmina zbiorowa bowiem nietylkoby nie poprawiła istniejących stosunków, ale powiększyłaby ciężary podatkowe, które i tak są już zbyt wielkie. To też poseł Wójcik w imieniu posłów włościan powiedział: »Zostawcie ustawę gminną tak jak jest, tylko ulżyjcie nam ciężarów.« Równocześnie z tą sprawą uchwalono wezwać Rząd, aby gminom zwracał wydatki ponoszone przez gminy za sprawy wykonane przez wójtów w imieniu rządu, to jest za tak zwane »sprawy poruczonego zakresu działania.«

Sprawa zmiany *ustawy drogowej* stanęła na tym punkcie, że na przyszły rok Wydział krajowy ma już wnieść projekt do zmiany tej ustawy.

Liczne głosy domagały się, aby ciężar drogowy był równomiernie według opłacanych podatków rozłożony.

W tej sprawie wymownie przemawiał poseł Średniawski.

Poruszono także wiele innych spraw: jak przymusową asekuracyę od ognia, zniesienia należytości za doręczenie sądowe, ale sprawy te należą do zakresu działania rządu, to też uchwalono odpowiednie wezwanie do rządu.

W energii pana marszałka należy pokładać nadzieję, że poruczone Wydziałowi krajowemu sprawy a mianowicie najważniejsza z nich: gminna, drogowa nareszcie doczekają się załatwienia z ulgami i pożytkiem dla stanu rolniczego.

W końcu wspomnieć wypada o niemiłem zajściu przy końcu sesyi sejmowej:

Przy sprawdzaniu wyboru z powiatu gorlickiego posła hr. Adama Skrzyńskiego, zabierał głos p. Bojko. Rozgoryczony, że Sejm kilka wniosków chłopskich nie uwzględnił, rzekł: Panowie

odrzucacie wszystkie nasze wnioski, choćbyśmy nawet postawili wniosek na odbudowanie Polski, tobyście panowie także i ten wniosek odrzucili.

Wzięto to za obelgę dla całego Sejmu, dlatego powstał wielki hałas w sali a poseł Jordan z Krakowa dotkliwie obraził p. Bojkę, bo powiedział mu: bydlę. Pan marszałek przywołał do porządku tak p. Bojkę jak i p. Jordana za niewłaściwe przez nich wypowiedziane słowa.

Chociaż tak p. Bojko jak i p. Jordan przeprosili Izbę' za swoje słowa, to w każdym razie było to nieprzyjemne zajście, które wywołało rozdrażnienie wzajemne.

Zamiast zgody znowu więc nowa nienawiść, a z zajścia tego będą korzystali ci, co oddawna szerzą w naradzie nieufność i nienawiść.

Więcej umiarkowania z jednej i drugiej strony, a przyszłoby łatwiej do porozumienia i zgody, której nam w tych ciężkich czazach dla dobra Ojczyzny tak bardzo potrzeba.

Rady lekarskie.

Lekarstwo na ospę. *(Ciąg dalszy).* Właściwego lekarstwa na ospę niema, jakeśmy to powiedzieli w poprzednim numerze. Jest jednak lekarstwo aby się od ospy *uchronić*, a nazywa się ono *szczepieniem ospy*.

To lekarstwo wynalazł pewien doktor w Anglii, nazwiskiem Dżener; pomogło mu w tym wynalazku babskie gadanie. Tak jest, zwyczajne babskie gadanie!

Jedna z dziewek wiejskich przechwalała się przed owym doktorem, że się ospy nie boi, i od niej dowiedział się, dlaczego dla niej ospa nie była straszną.

Owa zaś dziewka dowiedziała się o lekarstwie na ospę od innych kobiet wiejskich, które prawdopodobnie przypadkowo odkryły to lekarstwo.

W Anglii, zdarzała się i zdarza u krów ospa, zwana *krowianką* (u naszych krów tej choroby nie widać), która się różni od ospy ludzkiej. Nie pokazuje się ona na całem ciele, tylko na wymionach. Sztuka bydła która na ospę nie ginie przez tę chorobę, a cielęta, gdy mają ospę, jedzą sobie paszę najspokojniej i bujają po świecie.

Taka ospa może się i ludziom udzielić, zwłaszcza kobietom, które krowy doją. Gdy kobieta dojąc taką krowę, ma rękę zadraśniętą, zarazi się i dostaje ospy krowiej, czyli krowianki. Zrobi

się jej na ręku jedna, druga krosta, przyschnie i zagoi. Zato potem ospy ludzkiej już nie dostanie.

O tem kobiety z doświadczenia wiedziały, dla tego chętnie nawet zarażały się krowią ospą.

Mądry doktor słysząc o tem, nie poprzestał na babskiem gadaniu, ale wyszukał krowy chore na ospę, przekłuwał im pęcherzyki ospowe, przenosił ową materyę na ludzi, i widział, że się u nich taka sama ospa rozwija, ale tylko w miejscu, gdzie było zrobione nakłucie, czyli *szczepienie*.

Niechcąc czekać, aż przyjdzie zaraza ospowa, wyszukał gdzieś człowieka chorego na ospę, wziął z niego materyę ospową i wszczepił ją tym samym osobom, którym przedtem szczepił krowiankę. I pokazało się, że baby miały racyę, bo *komu się przyjęła krowianka, tego się nie czepiła ospa ludzka.*

Nie raz, ale setki razy powtarzał doktór Dżener swoje próby, a gdy się już przekonał o zbawiennych skutkach krowianki, wydał książkę, jak się to można przez szczepienie od ospy uchronić. Było to w r. 1718. *(Dokończenie nastąpi.)*

Głos kapłana o „Nowym Dzwonku“.

W numerze 6-tym *Gazety kościelnej* z roku bieżącego, tak pisze o naszej gazetce X. W. Puchalski, Proboszcz z Wyżnian, dyecezyi lwowskiej:

»*Nowy Dzwonek* wychodzący pod redakcyą X. M. Dziurzyńskiego od 4 lat w Krakowie, wiele już przyczynił się i do oświaty, i do umoralnienia ludu naszego. Oświatę pod strzechy wiejskie wnosi *Nowy Dzwonek* doborowemi rozprawkami swemi, już to z zakresu naszych dziejów ojczystych, już to z dziedziny hygieny (nauki zdrowia *(p. r.)*, jakoteż podawaniem praktycznych rad gospodarskich. A wiemy dobrze wszyscy z doświadczenia, że w tych właśnie kierunkach lud nasz najwięcej potrzebuje oświaty.

Znajomość dziejów ojczystych, choć drobna, obudza w nim poczucie narodowe, które tak wielce uszlachetnia człowieka i nowy świat przed nim otwiera. Wiadomości z hygieny (nauki zdrowia) nie mało przyczyniają się do tego, aby u naszego ludu w zdrowem ciele zdrowa była dusza. Gospodarstwo wiejskie chyba naj bardziej ze wszystkiego u nas po dziś dzień kuleje. Niechże więc z gazetki swojej poucza się wieśniak o wszystkiem, co do zakresu jego gospodarstwa należy.

To też należałoby życzyć sobie, aby *Nowy Dzwonek* nie raz na miesiąc, ale co tydzień wychodził. **To wszelako zależy już nie od samego redaktora, ale od nas przeważnie** (tj. od księży *p. r.)*. A jeżeli kiedy, to teraz takie nam pisma między ludem rozszerzać, aby tak złowrogie fałszywych ludu przyjaciół zamiary, udaremnić. **Obowiązek to święty każdego pasterza dusz**, stojący dziś na równi z opowiadaniem słowa Bożego.«

Dopisek redakcyi „Nowego Dzwonka“: Takie są słowa księdza Proboszcza Puchalskiego; życzliwe, jak widzicie — i pełne uznania dla *Nowego Dzwonka*. Podobnie życzliwie pisał X. Puchalski i w roku zeszłym o naszem piśmie, atoli słowa jego *nie odniosły żadnego skutku.*

Serdecznie dziękujemy przezacnemu X. Puchalskiemu za tak ciepły wyraz zachęty, jednakowoż musimy wyznać, że nie mamy nawet nadziei, aby i tegoroczne jego słowa trafiły do serc kapłańskich.

Mamy wielki szacunek dla naszych czcig. kapłanów i pracujemy usilnie nad tem w *Nowym Dzwonku*, by i w ludzie naszym tę cześć dla czcig. duszpasterzy podtrzymywać i wzmacniać, ale z tem wszystkiem musimy objawić nasz żal, że księża *Nowego Dzwonka* prawie wcale nie popierają, mimo, że to pismo jest tak szczerze katolickie i patryotyczne, a przytem tak tanie.

W roku zeszłym liczyliśmy między naszymi prenumeratorami zaledwie garstkę księży, w roku bieżącym garstka ta zmniejszyła się do małej garsteczki, i gdyby nie nasza silna wiara, gdyby nie lud ubogi, który podtrzymuje nasze pismo, toby nam chyba przyszło złamać pióro, i zwątpić o wielu rzeczach.

Boć zaiste, wydawać pismo tak katolickie jak *Nowy Dzwonek*, i pracować w interesie Kościoła, Ojczyzny, dla korzyści i oświaty ludu, a nie mieć od Duchowieństwa prawie żadnego poparcia, to może rozgoryczyć i złamać nawet i najsilniejszego ducha.

»Niech boli jak chce,« ale powyższe słowa żalu musieliśmy choć raz wypowiedzieć. Tych nielicznych czcig. kapłanów, którzy nas popierają, bardzo za to przepraszamy; ciebie zaś ludu polski, prosimy, byś teraz tembardziej rozszerzał nasze pismo, bo widzisz w jak ciężkich pracujemy warunkach!

W Bogu tylko i w Was — Bracia siermiężni! — cała pomoc i nadzieja nasza!

Kronika kościelna.

— **Z Rzymu.** Encyklika papieska w sprawie zjednoczenia kościołów ogłoszoną zostanie dopiero przed Wielkanocą. — Poseł rosyjski przy Watykanie Izwolski, już wrócił do Rzymu. Piszą, że przywiózł ze sobą instrukcye i wyjaśnienia wielce doniosłe co do dalszych stosunków między Rosyą a Watykanem, a mianowicie odpowiedź na notę Stolicy apostolskiej, w której się uskarżała na postępowante rządu rosyjskiego z katolickiemi seminaryami duchownemi. — Liberaliści chcieliby, ażeby Ojciec święty wyrzekł się raz otwarcie myśli, że kiedyś posiędzie napowrót wydarty mu Rzym. Dowodzą w swoich pismach, że Ojcu św. obecnie jest lepiej, bo jako duchowna Głowa świata katolickiego ma większą powagę, jak wtedy, gdy był także świeckim monarchą. Ojciec św. powiedział jednak do redaktora pewnej wpływowej włoskiej gazety, że Ojciec św. musi być niezależny od wszelkich państw, bo tego wymaga dostojność namiestnika Chrystusowego. Obecne położenie Ojca św. równa się więzieniu, bo rząd włoski na każdym kroku stara się szpiegować jego czynności. Rzym był przez setki wieków stolicą Kościoła chrześcijańskiego i powinien nią pozostać. —

Na uroczystość koronacyi cara Mikołaja pośle Ojciec święty posła wiedeńskiego ks. Agliardiego. — Gazety donoszą także, że Ojciec św. z okazyi koronacyi cesarskiej pragnie zażądać od cara, ażeby ułaskawił wszystkich księży, którzy zostali skazani na wygnanie na Sybir. Car podobno zamierza Ojcu św. uczynić zadość.

— **Piękna gorliwość.** O milę od Stryja leży wieś Dołhe, własność p. Godlewskiego. We wsi tej tej jest kolonia mazurska, licząca około 160 dusz, którym dotkliwie daje się odczuwać brak kościoła, tem bardziej, że miejscowy proboszcz ruski gwałtem chciałby wszystkich Mazurów przerobić na Rusinów. Chcąc się ochronić od tego losu, chłopi polscy zebrali pomiędzy sobą na budowę kaplicy około 600 złr., do czego niemało przyczynił się także X. Łukaszkiewicz, który mieszkając w Dołhem, we własnem mieszkaniu urządził tymczasową kapliczkę i miewał w niej kazania polskie. Obecnie Mazurzy chcą przystąpić do urzeczywistnienia swego zamiaru, obawiają się tylko, czy wymieniony powyżej fundusz wystarczy. Właściciel Dołhego, p. Godlewski, poda zapewne rękę tym uznania godnym usiłowaniom polskiego ludu.

— **Arcyksiężna Stefania**, wdowa po następcy tronu austryackiego Rudolfie, która w kwietniu roku zeszłego bawiła w Palestynie, ofiarowała klasztorowi OO. Franciszkanów w Jerozolimie swoją ślubną suknię na ołtarz przy grobie Zbawiciela. W dniu nowego roku austro-węgierski konsul Ippen wręczył ten dar kustoszowi, Ojcu Aurelio w Salvator.

— **Polska pod Moskalem.** *Nowy Dzwonek* pisał nieraz o okropnych prześladowaniach, na jakie jest wystawiony Kościół katolicki w Polsce. Moskale jak mogą, to katolików drażnią. Chcieliby koniecznie zrobić z nich prawosławnych, ale tego nie uda im się przeprowadzić, bo Kościół katolicki stoi na mocnych fundamentach. Zabraniają nie tylko żelazne krzyże stawiać przy drogach, ale nawet kościoły naprawiać. O budowie nowych kościołów to prawie mowy nie ma. W Krakimowie, w powiecie poniewiezkim starali się parafianie już od roku 1882 o pozwolenie do wystawienia kościoła murowanego na miejsce drewnianego, który się rozpadał. Po długich latach przyszło nareszcie pozwolenie na budowę kościoła drewnianego. Parafia zwróciła się teraz z prośbą wyżej, ale w odpowiedzi na nią przyszedł urzędnik i zabrał księdzu proboszczowi cegłę. Nareszcie po 13 latach kołatania pozwolił car w drodze łaski na budowę kościoła murowanego. W innej gminie spalił się kościół, a parafia już od pięciu lat nie może otrzymać pozwolenia na postawienie nowego budynku. Parafii bez kościołów jest pełno, a wszystkie proszą nadaremnie o pozwolenie do budowania. W Girtakole skazano proboszcza na 700 rubli kary za to, że zbierał składki.

— **Węgry.** Dziwnie się teraz w Węgrzech dzieje, katolików to rząd prześladuje, ale za to brata się z żydami, których inne narody najchętniejby się pozbyły. Żydzi znani są bowiem z wyzyskiwania chrześcijan i prześladowania wszystkiego, co chrześcijańskie. Żyd przytem pozostanie żydem i nigdy nie będzie szczerze przywiązanym do tego kraju, który go żywi. Węgrzy tymczasem inaczej zapatrują się na tę sprawę. Żydom wolno się żenić z chrześcijanami, a niedawno przyrzekł prezes ministrów węgierskich deputacyi żydowskiej, że będzie się starał o to, ażeby żydzi byli równouprawnieni z innymi obywatelami we wszystkich kierunkach życia społecznego i towarzyskiego. Minister chwalił ich patryotyzm węgierski i zapewnił ich, że uczyni dla nich wszystko, co będzie mógł, bo przez to uczyni tylko zadość obowiązkowi w obec poddanych, którzy zawsze

byli wiernymi obywatelami węgierskimi. Toć i Polska przygarnęła kiedyś żydów do siebie i to w czasie, gdy ich na całym świecie prześladowano w okrutny sposób, a jak się odwdzięczyli jej za to? Z małymi wyjątkami łączyli się z nieprzyjaciółmi Polski. Żyd, jak powiedzieliśmy, żydem pozostanie, i zawsze będzie sprzyjał temu krajowi, po którym się będzie spodziewał korzyści dla siebie.

— **Mordowanie chrześcijan**. Z Teheranu, stolicy Persyi, donoszą, że 20 stycznia b. r. przyszło tam do okropnego mordowania chrześcijan. Wojsko było za słabe, ażeby pokonać rozbestwiony lud. Oburzenie powstało ztąd, że dwaj dozorcy zatrudnieni w fabryce pewnego chrześcijanina zadusili się w swędzie. Rozniesiono pogłoskę, że to chrześcijanie ich zamordowali, i dlatego rzucono się na chrześcijan i mordowano ich, gdzie tylko się dało.

— **Katolickie pisma** czytać i do czytania dawać, jest równie zasługującem dziełem, jak inny uczynek sprawiedliwości i miłosierdzia, a dziś jedną z największych powinności i najwięcej zasługujących uczynków katolika. Tak powiedział w tych dniach X. Biskup Ludwik Wahl, wikary apostolski w królestwie saskiem.

Nowiny i Rozmaitości.

— **Z kraju.** *Emigracya do Brazylii* jeszcze nie ustała, mimo, że rząd brazylijski jak najwyraźniej oświadczył, że już dalej *bezpłatnych* kart okrętowych na przewóz wychodźców do Brazylii nie wydaje i wydawać nie będzie. Obałamuceni ludziska nie chcą w to wierzyć i dlatego narażają się na zgubne skutki, bo ich z drogi wracają do domu. Wróciwszy zaś do domu nie mają już gdzie głowy skłonić, bo przedtem wszystko sprzedali żydom za pół darmo. Przed dwoma tygodniami zatrzymano w Gracu 230 wychodźców galicyjskich, po większej części Rusinów, których wrócił od granicy włoskiej rząd włoski. Między wychodźcami nędza wielka. — Pewien włościanin z Łuczki pod Mikulińcami wybrał się wraz z innymi do Brazylii. Z Wiednia jednak został przez policyę zawrócony i odstawiony do rodzinnej wioski. Powróciwszy do Łuczki, nie mając już domu ani grosza na życie, zrozpaczony odebrał sobie życie przez powieszenie. Pozostawił żonę i dzieci w największej nędzy. Bieda w kraju, ale w Brazylii czeka wychodźców jeszcze większa nędza. Oto niedawno Fedorko Michałowski, wieśniak z powiatu zbaraskiego, przesłał rodzinie swej list z Brazylii, i opisał dokładnie w nim ów raj brazylijski. Powiada, że wychodźcy dostają po kawałku lasu szerokości na ćwierć kilometra, a długości na jeden kilometr, i muszą go wykarczować, a zanim się dorobią kawałka chleba, to już ich nie stanie. Proszę was — pisze dalej Fedorko — żeby żaden z was moi bracia tu nie jechał, bo marnie zginie. Podczas podróży przez morze, trzecia część ludzi wymarła. Ja pracuję na kolei, modlę się do Boga, abym zebrał tyle pieniędzy, żebym mógł do was powrócić.

Giną tam marnie nasi ludziska, a jednak jak ćmy do ognia, tak oni lecą do Brazylii, na zgubę, bo nie chcą usłuchać ludzi im życzliwych, tylko wolą dać się bałamucić niegodziwym ajentom i żydom.

— **Z Wiednia.** *Rada państwa* rozpoczęła swe obrady 15-go lutego. Rząd przedłożył projekt zmiany *ustawy wyborczej*, i chce rozszerzyć

prawo wyborcze i na tych obywateli, którzy go dotychczas nie mieli. Według tego projektu, prawo wyboru mieć będą wszyscy, którzy ukończyli 24 rok życia i są własnowolni, czyli że służba nie będzie miała i nadal prawa głosowania. Rząd chce, aby do końca marca b. r. Rada państwa tę ustawę uchwaliła, i jest nadzieja, że tak będzie, bo większość posłów jest za ustawą, chociaż ona nikogo nie zadawalnia.

Wnet po rozpoczęciu się Rady państwa, naradzali się też między sobą nasi posłowie polscy *(Koło polskie)*, o czem mają mówić w Radzie państwa. Ksiądz Pastor, proboszcz z Radymna żalił się, że panowie użyli księży przy wyborach do Sejmu za narzędzie, a w zamian za to nie postawili ani jednego księdza jako kandydata na posła, więc się szkaradnie Duchowieństwu odwdzięczyli. Mówił też, że lud wskutek tego odstręczył się od księży i przeciw nim gdzieniegdzie już jawnie występuje. Żądał dalej pozwolenia od Koła, by mógł w Radzie państwa przemawiać o podwyższeniu pensyi dla księży. Ksiądz Chotkowski żądał również polepszenia doli księży i więcej religijnego wychowania w szkołach. Poseł Kozłowski domagał się, aby przy egzaminach dojrzałości (przy maturze) wprowadzono egzamin z nauki religii. Sokołowski wykazywał potrzebę utworzenia nowych gimnazyów w Galicyi, i podniesienia płacy nauczycieli gimnazyalnych.

O dalszych uchwałach Rady państwa i naradach w Kole polskiem doniesiemy w następnym numerze.

— **Polska pod Moskalem.** Gubernator wileński, Orżewskij, chwycił się znowu ohydnego sposobu, aby Litwę przedstawić w oczach cara jako kraj buntowniczy. Oto przed Bożem Narodzeniem kazał w tysiącach egzemplarzy rozrzucić po Litwie pisma, pochodzące niby od rewolucyonistów. Ci niby rewolucyoniści polscy zapowiadają na wiosnę wojnę powszechną, z której powinni korzystać Polacy i powstać przeciw Rosyi. Pełne pakiety takich pism kazał Orżewskij porozsyłać nawet do włościan i gmin wiejskich, ale szatańska ta sztuczka nie zrobiła wrażenia, bo na Litwie nikt o powstaniu nie myśli. Piekielny ten pomysł zawiódł Orżewskiego. — W listopadzie roku zeszłego aresztowano 8 studentów szkoły rolniczej w Puławach, niby za to, że ci wśród ludu szerzyli poczucie narodowe (polskości). Jednego z tych młodzieńców prawdopodobnie zamordowali Moskale w więzieniu, bo ogłosili, że się sam zamorzył, a gdy rodzice przybyli na pogrzeb, to nie pozwolili im zbliżyć się do trupa, ani przebrać go w inne ubranie. Taki los spotkał już pod Moskalem niejednego Polaka za to, że kochał swą Ojczyznę.

— **Rosya.** Przygotowania do uroczystości koronacyi cara postępują szybko. Car wezwał już wszystkich poddanych państwa, by w dzień koronacyi łącznie z nim błagali Boga, by raczył nań zlać dary Ducha św. Jest to chyba bluźniercze naigrawanie się z Pana Boga, bo prześladować katolików i równocześnie prosić Boga o dary Ducha św. — to chyba pobożnością nie jest. Uroczysty wjazd cara do Moskwy naznaczony na 6 maja, a koronacya odbędzie się 12 maja, według kalendarza ruskiego. Ambasador francuski (zastępca rządu) wynajął na czas koronacyi dom, w którym zamierza dać bal na 1500 osób. — W lecie tego roku (po koronacyi) odwiedzi car wraz ze swoją małżonką ważniejsze dwory europejskie: królowę angielską, prezydenta rzeczy pospolitej francuskiej, cesarza austryackiego i cesarza niemieckiego odwiedzi na pewno, odwiedziny zaś króla włoskiego w Rzymie zależeć będą od tego, jak się jeszcze ułożą stosunki pomiędzy Rosyą a Włochami,

bo Rosya oświadczyła, że nie życzy sobie, aby Włosi zajmowali więcej krajów w Afryce, Włosi zaś ną to zgodzić się nie chcą. Zachodzi jeszcze i ta trudność, że car przybywszy do Rzymu odwiedziłby najpierw króla włoskiego, a Ojca św. dopiero potem, co znowu sprzeciwia się godności Ojca św. Zdaje się jednak, że na to zgodzi się Papież, bo car nie jest katolikiem, więc go nie obowiązuje taki sposób wizyty u Papieża, jak monarchów katolickich.

— **Bułgarya.** Dnia 14 lutego odbyło się przejście Borysa, najstarszego syna księcia Ferdynanda, z katolicyzmu na wiarę prawosławną. Ojcem chrzestnym był car rosyjski, którego przy tem obrzędzie zastępował jeden z jenerałów rosyjskich umyślnie na to przez cara wysłany. Za ten haniebny czyn uznała Rosya księcia Ferdynanda, księciem panującym, na co dotychczas nie chciała się zgodzić. Za Rosyą poszły też i inne mocarstwa, i swego uznania udzieliły. Tylko Ojciec św. skarcił księcia Ferdynanda, jako katolika, za taki postępęk szkaradny. Książę Ferdynand był osobiście u Ojca św. i chciał się wytłumaczyć, co go zmusza do oddania syna szyzmie, ale Ojciec św. przyjął go bardzo zimno i dał mu porządną nauczkę. Książe przez to przechrzczenie swego syna na prawosławie, wyklęty jest z Kościoła kątolickiego.

— **W Serbii** od pewnego czasu pokazuje się kierunek polityczny sprzyjający Rosyi. Z tego cieszą się bardzo Moskale, bo mają już za sobą Bułgaryę i Serbię, co w razie wojny z Austryą może im wiele pomódz, a Austryi zaszkodzić.

— **Francya** ma obecnie 9 ministrów, którzy należą do masonów. Oprócz tego i sam prezydent Francyi także jest masonem. Nie trzeba się więc dziwić, że tacy ministrowie starają się o to, aby podkopać wpływ Kościoła i zerwać stosunki z Ojcem św. — Liczba *przekroczeń kryminalnych miedzy dziećmi* zwiększa się we Francyi przerażająco, podczas gdy przyrost dzieci zmniejsza się. Przyczyną tego jest brak religii, brak opieki nad dziećmi i szkoły bezbożne.

— **Turcya.** Puszczono w świat pogłoskę, że Turcya zawarła przymierze z Rosyą i Francyą. Na tem najlepiej by wyszła Rosya, bo pod pozorem opieki nad Turcyą, podburzałaby ludy słowiańskie i Armeńczyków przeciw Turcyi, aby potem w mętnej wodzie łowić ryby i powoli zagarnąć Turcyę pod swe panowanie. Wiadomości o tem przymierzu zaprzeczyły gazety rosyjskie, chyba w tym celu, aby reszcie Europy mydlić oczy i uśpić jej czujność. — W *Konstantynopolu* przyaresztowano wielu tak zwanych Młodoturków, domagających się gruntownej zmiany w rządzie. — *Położenie chrześcijan* pod panowaniem tureckiem nie zmieniło się jeszcze na lepsze. Gazety angielskie donoszą, że od początku rozruchów do dziś zginęło przeszło 25 tysięcy chrześcijan. Niedawno napadło wojsko tureckie na klasztor katolicki w Zonidjekale i dokonało rabunku, a przytem zamordowało przeora.

— **Piękny przykład** dał włościanin Wojciech Tołona ze wsi Zagorzyc, należącej do parafii Ropczyckiej Góry. Oto cały swój majątek, wartości 1000 złr., a nadto uługi swoje ofiarował na utworzenie ochronki dla dzieci. Życzenie szlachetnego ofiarodawcy już się spełniło i trzy siostry Służebniczki uczą dawniej wałęsającą się dziatwę modlitwy, pracy i obyczajności.

— **Na karę śmierci** przez powieszenie skazał sąd przysięgłych w Krakowie Stanisława Klitę, szewca z Nowej Wsi pod Krakowem za skrytobójcze morderstwo.



— **Wóz samochód — bez koni.** Oddawna ludzie myśleli nad tem, ażeby przy wozach zwykłych siłę pociągową koni zastąpić maszyną parową, lub inną jaką. I otóż wynaleziono już we Francyi wozy z maszyną parową i wozy, które zamiast pary porusza nafta. W roku zeszłym odbywano próby z samochodem poruszanym naftą i próba powiodła się dobrze.

Nasza rycina wyżej umieszczona, przedstawia parochód poruszany parą, a wynaleziony przez Serpaldta. Wóz taki biegnie szybko, mało co wolniej od kolei. Jest on o tyle tańszym, że nie potrzebuje koni, a można na nim przewozić i osoby i pakunki. Maszyna parowa poruszająca wozem umieszczona jest pod wozem, a woźnica siedzący na przodzie, dwoma hamulcami zatrzymuje wóz i kieruje nim dowolnie.



— **Olbrzymi kartofel**, czyli ziemniak. Pewien rolnik w Kolumbii (w Ameryce) wypielęgnował olbrzymiego kartofla, czyli ziemniaka. Długość jego wynosi blisko cały łokieć, a szerokość przeszło pół łokcia. Nic dziwnego, że dla przeniesienia go z pola potrzeba było silnego dorosłego mężczyzny. Dźwiganie tego kartofla widzimy na załączonej obok rycinie.

— **Karczma chrześcijańska.** Gmina Zakomorze w powiecie złoczowskim, wydzierżawila od swego dziedzica p. Sali karczmę i propinacyę w nadziei, że karczma ta przejdzie kiedyś na jej własność. Karczma urządzoną została bardzo przyzwoicie, poświęconą, na ścianach jej wiszą obrazy Świętych, a nikt nie siedzi tam z nakrytą głową. W karczmie tej znajduje się zarazem i sklep gromadzki. Tak powinno być w każdej wsi!

— **Zaczadzenie.** W Rolowie, w powiecie drohobyckim, rodzina włościańska z trzech osób złożona, poniosła śmierć skutkiem zaczadzenia. Ratunek okazał się bezskutecznym.

— **Kara Boża.** *Gazeta olsztyńska* donosi: W pewnej wsi kobieta poszła do księdza miejscowego, aby się z nim wykłócić o chłopaka (syna swego), który jest wielkim »nicponiem« i na nauce religii źle się sprawuje. Kapłan napominał matkę, aby synala lepiej chowała, a ona waląc pięścią w stół, wadziła się jak sekutnica. Na drugi dzień wybuchnął w jej chałupie ogień i mówią ludzie, że jej się »wszystko« wypaliło. Nadto przy gaszeniu ognia kobieta owa oparzyła sobie tę rękę, którą ze złości w stół przed księdzem uderzała. Sama uznała, że to kara Boska.

Figle i żarty.

Dobre polecenie. *Właściciel gospody:* Chcecie u mnie zostać stróżem, a czy jesteście dosyć silni?

Stróż: Mogę powiedzieć tylko tyle, że gdy mnie mój dawny pan rozgniewał, połamałem mu tak gnaty, że lizał się przez trzy miesiące.

Ona: Próżne wykręty, tobie trzeba było głupszej żony odemnie.
On: Cóż, kiedy nigdzie znaleść nie mogłem!

W miejscu kąpielowem. *Gość:* Ile tutaj macie osłów?

Poganiacz osłów: To zależy od potrzeby. Im więcej gości kąpielowych, tem więcej osłów.

Na wsi. — Czego tak beczysz? Czy wam kto umarł?
— Tatunio, prosze wielmoznego pana.
— Nie może być! A długo chorował?
— Juścić.
— A mieliście doktora?
— Dotąd nie, ale kieby sie tatusiowi gorzej zrobiło, toby my byli doktora wzieni.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 15 Marca 1896. Nr 4.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami* i *Rozmaitościami* wynosi w **Galicyi**:
rocznie: **2** złr. **50** ct.
półrocznie: **1** złr. **25** ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **5** mk.
W Ameryce rocznie: **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka,* **w Krakowie,** ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Do naszych Sz. Czytelników!

Mieliśmy zamiar wydawać *Nowy Dzwonek* **dwa razy** w miesiącu **dopiero** od *1-go kwietnia b. r.*, ponieważ atoli pewna część Czytelników już nadesłała potrzebną dopłatę (**1** złr., a z Niemiec **2** mk.), przeto przyspieszamy spełnienie przyrzeczenia, i już od dnia 15-go marca, czyli od niniejszego numeru, wydawać zaczynamy naszą gazetkę dnia **1**-go i **15**-go w miesiącu.

Nie dosyć na tem, bo wprowadzamy jeszcze jedno ulepszenie, a mianowicie: **do każdego numeru** *Nowego Dzwonka* dodawać będziemy **bezpłatnie drugą gazetkę** pod tytułem **„Nowiny** i **Rozmaitości"**. W tej drugiej gazetce mieścić się będą *wiadomości z chwili bieżącej,* zaś *Nowy Dzwonek* pozostanie nadal pismem ściśle naukowem i powiastkowem.

Numer *pierwszy* **„Nowin i Rozmaitości"** dołączamy już do niniejszego numeru 4-go *Nowego Dzwonka,* i odtąd — jak wyżej wspominamy — do **każdego** numeru *Nowego Dzwonka* będzie dodawany jeden numer *Nowin* i *Rozmaitości,* zupełnie **bezpłatnie**!

Praca nasza przez to się podwoi, i koszta nakładu i przesyłki również się zdwoją, sądzimy więc, że Szan. Czytelnicy uznają to i dopomogą nam ze swojej strony przez to, gdy jak **najwcześniej,** do końca tego miesiąca, nadeślą wiadomą **dopłatę**: **1** złr. (z Niemiec **2** mki).

Uczyniliśmy zadość życzeniu Sz. Czytelników, więc niechże

Czytelnicy uczynią zadość także naszej prośbie, i ową dopłatę niech rychło uiszczą.

Mieć co 2 tygodnie **dwie** gazetki za **2** zlr. **50** ct. na rok — to przecież jest bajecznie tanio, a gdy przytem weźmiecie to na uwagę, że my znikąd nie mamy pomocy pieniężnej, czyli subwencyi, to z tego wszystkiego możecie poznać, jak szczerze i ochotnie pragniemy pracować dla oświaty ludu.

Więc i ty ludu polski! i wy wszyscy przyjaciele jego! — pamiętajcie o tem i spieszcie z uiszczeniem dopłaty! Niech wiemy, że uznajecie naszą pracę, że ją cenić umiecie!

Nie odkładajcie nadesłania tej dopłaty na kiedyś tam później, skoro my **nie kiedyś później, ale już teraz** rozpoczęliśmy wydawać gazetkę dwa razy w miesiącu.

Nam ta dopłata, przy obecnie zwiększonych kosztach nakładu, bardzo jest potrzebną!

Starajcie się też dalej zjednywać nam nowych prenumeratorów, bo gdy będzie jeszcze więcej prenumeratorów, to i *obrazków* będzie w *Nowym Dzwonku* więcej, a także *Nowiny* i *Rozmaitości* będą mieć większą objętość, bo może 6 kartek druku.

Wydawnictwo „Nowego Dzwonka“.

Dopisek. Dla ułatwienia rychłej przesyłki wiadomej dopłaty, dołączamy dziś *przekazy pocztowe.* Kto już nadesłał dopłatę, ten może sobie przekaz zatrzymać na koniec roku, gdy przyjdzie czas nadsyłania prenumeraty na rok przyszły.

Jaka była pokuta publiczna
w pierwszych wiekach Kościoła.

W czasie obecnego Wielkiego Postu i obowiązku każdego katolika, ażeby w okresie wielkanocnym — przynajmniej raz do roku — przystąpił do św. Sakramentu Pokuty, nie od rzeczy będzie przypomnieć, w jaki sposób chrześcijanie w pierwszych wiekach chrześcijaństwa obowiązek ten pojmowali, jakim poddawali się pokutom za wykraczania przeciw prawom Boskim.

Może niejednemu z naszych Czytelników wiadomo, że w pierwszych wiekach istniała obok spowiedzi tajemnej także i spowiedź publiczna.

Na spowiedzi publicznej oskarżano się często nietylko z grzechów jawnych, ale w pewnych wypadkach i z najskrytszych. Spowiedź ta odbywała się w obecności Biskupa i kapłanów, wraz z Biskupem składających radę kościelną; niekiedy nawet odbywała się wobec całego zgromadzonego ludu.

Kościół zachowywał jednak pełną mądrości ostrożność, ażeby spowiedź ta publiczna grzechów tajemnych, nie wychodziła na szkodę tym, którzy ją odbywali. I tak: nie zniewalano ani zabój-

ców, ani złodziei, do oskarżania się publicznie ze swych zbrodni: co większa, wyznanie jawne grzechów skrytych, następowało zwykle dopiero po otrzymaniu na to pozwolenia kapłana, przed którym poprzednio wyznawano je tajemnie.

Spowiedź sakramentalną, ustanowioną przez Jezusa Chrystusa, zawsze stawiano na pierwszem miejscu: po niej dopiero niekiedy szła spowiedź publiczna. Pierwsza, jako niezbędna, jako dzieło Boskie, istniała i istnieć będzie po wszystkie wieki; drugą zaprowadził Kościół, jako w pewnych wiekach stosowną i odpowiednią, ale później zniósł znowu, mając do tego władzę, tak, jak do jej zaprowadzenia.

Na Wschodzie spowiedź publiczna ustała z końcem czwartego wieku; na Zachodzie utrzymała się cokolwiek dłużej; odradzał od niej już święty Leon, Papież, w połowie piątego wieku. Istniała jeszcze i później wyjątkowo, ale w końcu zupełnie jej zaniechano.

Wskutek takiej to spowiedzi publicznej naznaczano też publiczną pokutę.

Od surowej takiej karności nie uwalniał nikogo najwyższy nawet stopień w towarzystwie. Pokucie takiej publicznej poddał się cesarz Teodozyusz; poddała jej się też jedna z najznakomitszych dam Rzymu, Fabiola. Ta, rozłączywszy się z mężem, weszła po raz drugi w związki małżeńskie, dozwolone prawem państwa. Dowiedziawszy się jednak, że postąpienie jej było przeciwne zasadom Ewangelii, dobrowolnie wyrzekła się tego drugiego związku, a dla zgładzenia swej winy, poddała się całej surowości pokuty kanonicznej i w oczach całego Rzymu, przed drzwiami bazyliki Lateraneńskiej, odbyła ją z budującą gorliwością i skruchą.

W czasach, kiedy taka pokuta publiczna w powszechnem była użyciu, widzieć można było na około świątyń i po domach prywatnych, tłumy chrześcijan obojej płci, nieraz o wiele mniej występnych, niż my jesteśmy, w odzieży ubogiej, zalewających się łzami, modlących się, poszczących, a swojemi żałobnemi oznakami najżywszego żalu, wzruszających serca swych braci.

Pokutujący ci dzielili się na *cztery klasy*, a mianowicie: płaczących, słuchających, leżących krzyżem i stojących.

Płaczący, stali zewnątrz kościoła przy drzwiach i błagali wiernych, którzy wchodzili do kościoła, aby się za nich modlili. Udawali się tam oni na godzinę nabożeństwa, okryci worami, głowy mając posypane popiołem. Często stali pod gołem niebem dla zaostrzenia pokuty, ale wolno było im stać w kościelnym krużganku.

Słuchający stanowili drugą klasę pokutujących. Nazywano ich tak dlatego, że mogli wchodzić do kościoła i korzystać z nauk

tam udzielanych; obowiązani jednak byli (tak jak katechumeni) wychodzić przed ofiarowaniem.

Klęczący, czyli leżący krzyżem, tworzyli trzecią klasę pokutujących. Tym wolno było zostawać w kościele podczas pewnych modlitw, które za nich odmawiano; obowiązani jednak byli leżeć krzyżem lub klęczeć. Kapłani lub Biskupi, modląc się za nich, kładli im swe ręce na głowę; podczas ofiarowania zaś dyakon ich wzywał, aby wychodzili z kościoła.

Stojący składali klasę pokutujących czwartą. Tym wolno było stać i łączyć swe modły z modłami innych wiernych, ale nie mogli składać zwykłych ofiar, ani przystępować do Komunii św. publicznie.

Oprócz tych przykrych ćwiczeń, były i inne, a mianowicie: pościć ciągle lub bardzo często o chlebie i wodzie; modlić się długo leżąc krzyżem na ziemi, dawać hojne jałmużny, wstrzymywać się nietylko od rozrywek, ale i od wszelkiej niepożytecznej rozmowy.

A czas trwania tych prób surowych bywał także bardzo długi. I tak naznaczano pokutę na dwa lata za kradzież, siedm lat za porubstwo, jedenaście lat za krzywoprzysięstwo, piętnaście za cudzołóstwo, dwadzieścia za zabójstwo, a na całe życie za odstępstwo od Wiary świętej, czyli apostazyą.

Tak surowemi bywały kary nakładane przez Kościół św. w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. I wierni poddawali im się ochoczo, a co większa, niektórzy jeszcze w swej gorliwości, sami sobie pokutę przyczyniali.

Opiekunka sierót.

(Z podań ludowych o Najświętszej Maryi Pannie).

Najsmutniejsze na ziemi są sieroce oczy i ta łza najgorętsza, która z nich się toczy, i ta dola najcięższa, co jak skała gniecie, gdy dziecko bez rodziców zostanie na świecie.

Trudno usnąć snem wiecznym pod ziemią cmentarną, gdy do świeżej mogiły sieroty się garną, bo i w grobie płacz słychać opuszczonych dzieci i echa smutnej skargi, co ku niemu leci; łza sieroca i wieko trumienne przewierca i cierniem spada jeszcze w rodzicielskie serca...

Wie to Siedmiobolesna i boleje razem z matkami, złożonemi pod cmentarnym głazem, więc w łaskach i dobroci nieprzebrana Pani, szczególniejszą opiekę ma nad sierotami.

We śnie do nich przychodzi i smutne pociesza, i o zmarłych



NAZARET (do artykułu: Obrazki z Ziemi świętej na stronie 104).

rodzicach posyła im wieści, i troszczy się tak niemi, jak matka łaskawie, a nieraz schodzi do nich nawet i na jawie.

Bywa, że dla zbłąkanych dziatek w pustym lesie sama im wygłodzonym i smutnym chleb niesie, i na kolana swoje sierotki posadzi, nakarmi i na drogę z lasu wyprowadzi.

Najczęściej w rozsochatej gdzieś lipie ukryta, słodkim głosem dzieciny przechodzące wita, bo lipy ulubione Matki Boskiej drzewa; w nich brzęczą pszczółek roje i chór ptasząt śpiewa i wonność z nich jak z leśnych płynie trybularzy, a piorun nawet liścia tknąć się im nie waży.

Więc lipa drzewo święte i błogosławione, jako królowa lasu nosi swą koronę, a grzeszna jarzębina, choć strojna koralem patrzy na nią z zawiścią i ukrytym żalem, bo ze wszystkich drzew Bożej Matce poświęconych, z niej jednej nie zrywają korali czerwonych i nie niosą na Zielną w pękach do kościoła, jakby pod nią czart jaki jęczał na uwięzi, bo pierwszy samobójca zwisł u jej gałęzi.

Lipa Maryi Pannie ze wszystkich drzew miła i dlatego się w lipie ludziom objawiła.

Raz uboga sierotka pasła krówki w borze i pod lipą uklękła modlić się w pokorze; jesień chłodem już wiała, a przez gęste chaszcze tumany mgieł się snuły, jak duchy pokutne, strzępiąc o pnie i krzaki swoje szare płaszcze.

Pod lipą drżało dziecko zlęknione i smutne.

O chłodzie i głodzie spędziło dzień cały, nagi grzbiet kożuszyna okrywała zdarta, ot — łachman wyszarzany, popruty w kawały, pod którym chude członki z zimna dygotały.

Wtedy w gałęziach lipy nagle zajaśniało, zżółkłe listki dźwięknęły niby blaszki złote i między konarami cudnie piękna Pani schyliła się, by podnieść płaczącą sierotę; zdjęła z niej własną ręką jej nędzne odzienie, a otuliła płaszczem swym i rzekła do zlęknionej dzieciny, uśmiechnięta słodko:

— Oddaj mi swój kożuszek za ten płaszcz, sierotko!...

A dziecko duże oczy wypatrzyło na Nią i stało jak niemowa przed niebieską Panią, co się ulitowała nad biedną niebogą i czuło tylko, że mu dziwnie błogo i dziwnie ciepło było w okryciu tej szaty, z której świeciły gwiazdy i woniały kwiaty...

Innym razem w noc jasną, cichą, księżycową szła niby cień świetlany przez uśpione sioło Najśw. Panna sama drogą do kościoła.

Wtem słyszy z jednej chaty żałosne westchnienia i jakby płacz dziecięcy pod przyzbą za drzwiami, kędy na straży psisko leżało kudłate.

Przystanęła i słucha...

Podeszła pod chatę i przez drzwi uchylone zajrzała do wnętrza.

Na gołej ziemi dziecko leżało uśpione i przez sen cicho płakało a rzewnie; płową główkę na twardem drewnie, chude rączęta splotło i tak przytulone do psa, jak szczenię porzucone w sieni spało, przez złą macochę wygnane z komory.

Matce Boskiej łzą zaszły oczy litościwe; schyliła się nad dzieckiem w takiej poniewierce i rzewnym żalem święte zapłynęło serce, więc okryła maleństwo Swą zapaską złotą i szepnęła z czułością:

— Źle ci tu biedoto!..,

Potem poszła za chatę na pobliskie pole, kędy rosły po kępach, jak śnieg białe kwiatki, niby z owczego runa wyskubane płatki i zaczęła je zrywać rękoma własnemi i zbierać one puchy z posrebrzanej ziemi, a księżyc jej przyświecał przytem jak latarnia. Przeczysta Panna kwiaty te zrywa i zgarnia i spieszy się, by dziecku zrobić z nich posłanie.

Wreszcie wraca do chaty i na przyzbie siada, wyściela miękkim puchem z kwiatów twardą ziemię i uśpioną dziecinę w nich lekko układa i krzyżyk święty kładzie na sierotki skronie, a ono, jak aniołek w tej pościeli tonie i przez sen się uśmiecha rozkosznie a miło, jakby mu się o matce i o niebie śniło...

A z pościółki kwiecistej takie blaski błyną i takie światło białe rozlewają kwiaty, że niby z alabastru błyszczą ściany chaty.

Otwiera oczy nagle zbudzona macocha i nie wie, co to znaczy; czy spadł księżyc z nieba pod próg jej i wysrebrzył całą sień poświatą, czy dzień jasny zabłysnął już nad całą chatą, czy jaki cud się zrobił nagle o północy?... wstaje sama i cicho wychodzi z świetlicy...

I widzi dziwne łoże swojej pasierbicy i w czarnem sercu zazdrość budzi się matczyna, jakby na nie szarańcza nagle z nieba spadła.

— Toż ma być łoże godne tego poteradła? — mówi sobie i szorstko wywleka z posłania zbudzone dziecko cudze i z chaty wygania razem z psem na podwórko. Potem bierze z zapiecka swoją własnę córkę i niesie ją na puchy ułożyć błyszczące; w ciepłe, wonne wełnianki dziewczynę otula i idzie sama zasnąć w łożu po raz wtóry, pewna, że lepiej nie śpią nawet dzieci króla.

Aliści rano płacz ją budzi przy świtaniu; spojrzy, a córka płacze po takim noclegu i drży, i jęczy czegoś na swojem posłaniu.

Zamiast na puchach z kwiatu wije się na śniegu, sina, drżąca i cała do kości zziębnięta, bo kwiaty w śnieg zmieniła nocą Panna Święta za karę, że sierotę Jej sponiewierano i razem z psem za progiem nocować kazano.

WIOSNA.

Hej rolnicy! śnieg już ginie,
Woda z pól i dróg
Mknie do rzeki, co tam płynie
Pośród łąk i smug.

Skowroneczek w górę leci,
Głosi miłą wieść:
Wiosna! Słonko grzeje, świeci...
Stwórcy chwała, cześć!

Hej rolnicy! nasze smugi
Obsychają już,
Przygotujmy radła, pługi
I nasiona zbóż.

Aby potem wnet iść w pole,
Bo to drogi czas,
Gdy uprawim dobrze rolę,
Bóg pocieszy nas.

Obrazki z Ziemi świętej.

Nazaret.

Nazaret leży o 21 godzin od Jeruzalem. »Zbliżając się do Nazaretu — pisze X. Arcybiskup Hołowiński w swojej książce o pielgrzymce do Ziemi świętej — musiałem wstępować na wysokie góry. Droga była przykra i śliska. Samo imię tego świętego miasteczka, ileż rozmaitych budziło wspomnień! Nazaret rodzi uczucie pełne radości! Tu bowiem Niepokalana Dziewica Marya, nieznana światu kwitła jako rajska lilia na pustyni. Tu Anioł zwiastował dziwne wcielenie Boga; tu w cichości rósł Zbawiciel w łasce u Boga i u ludzi; tu Józef Oblubieniec pracą ciesielską utrzymywał świętą Rodzinę; tu Królowa dobroci napawała się pociechą na widok swego Syna...

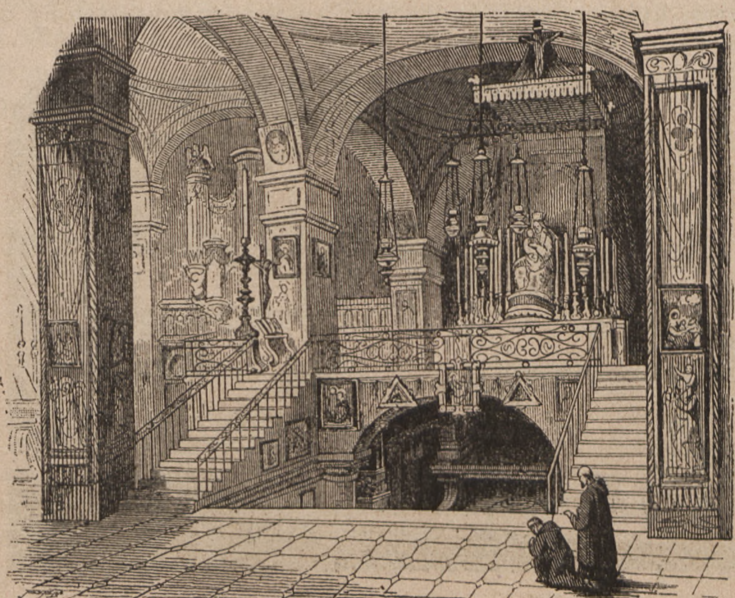
Już wstępowałem na górę, pod którą leży Nazaret, a jeszcze go nie widziałem. Prawie w całej Syryi górzystej nie widać miast z daleka, dopiero gdy się do nich zbliży, wtedy pokazują się nagle, jakby wywołane sztuką czarodziejską i uderzają wzrok zdziwiony«.

Nazaret znaczy: *kwiat*, i w rzeczy samej jestto kwiat ziemi galilejskiej. Ogromne okoliczne góry tworzą nader piękną dolinę, na której rozrzucone są ogrody figowe i oliwne. Pod górami ze

strony południowej roztacza się w półkole miasteczko, którego domy, jak wszędzie na Wschodzie, z kamienia murowane o piętrze, przyjemny czynią widok. Po górach rosną różne drzewa, a w dolinie wino, oliwa i figi wybornie się udają.

Ludność Nazaretu wynosi 7000, i składa się przeważnie z katolików; mieszkają też tu Grecy i Mahometanie. Żydzi w Nazarecie nie mieszkają, a gdy czasem jaki żyd do Nazaretu przybędzie, to nigdy nie nocuje z przyczyny swej nienawiści ku wierze chrześcijańskiej.

Mieszkańcy Nazaretu są przemyślni i pracowici; pola dokoła



Wnętrze kościoła Najśw. Panny w Nazarecie.

pięknie uprawne i nieraz można widzieć nagromadzone kupy pszenicy. Trudnią się też wyrobami jedwabnemi i bawełnianemi, które sprzedają w okolicy. Nie brak również różnych innych rzemieślników, a stan miasteczka jest dość kwitnący.

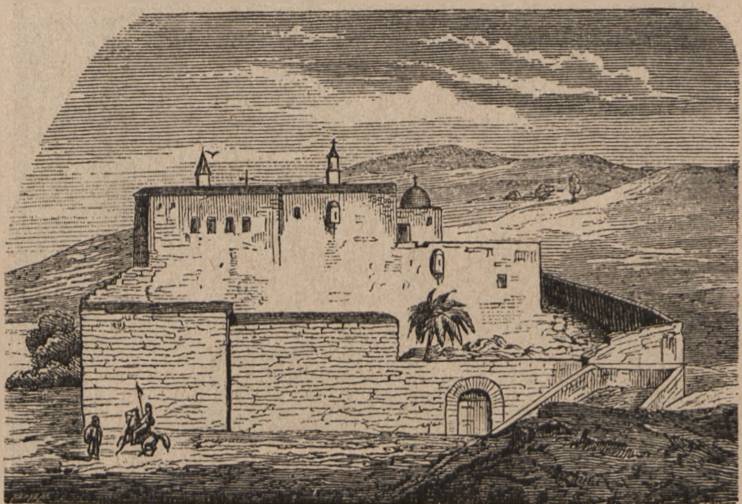
Na uwagę w Nazarecie zasługują:

Kościół Zwiastowania Najśw. P. Maryi. Stoi on na miejscu, gdzie było mieszkanie Najśw. Panny. Święta Helena zbudowała tu świątynię, którą Saraceni później zrujnowali. Księża Bernardyni z tych ruin dźwignęli nowy kościół około roku 1620, lecz nie byli w stanie odbudować go w dawnej świetności i przez połowę — jak mówią — krótszy on jest od dawniejszego. Teraźniejsza świą-

tynia ma formę prawie czworoboczną, bo liczy szerokości 30, a długości 40 łokci.

Wewnątrz wsparta jest ta piękna świątynia na dwóch rzędach czworograniastych kolumn, połączonych między sobą u góry sklepionemi arkadami, i przez to dzieli się na 3 nawy. W środkowej nawie wznosi się prezbiteryum o jakie 5 łokci nad posadzkę, a pod niem w kształcie bramy jest wchód do groty Wcielenia Bożego.

Po pięknych marmurowych schodach zstępuje się na dół, gdzie jest jakby mały pokoik, wyłożony zupełnie marmurem, szerokości na 5, a długi na 10 łokci. Tu był domek Najświętszej Dziewicy, który później cudownym sposobem przeniesiony został



Klasztor w Nazarecie.

do Loretu (we Włoszech), gdzie po dziś dzień się znajduje. W tem to miejscu Najświętsza Panna zajmowała się gospodarstwem domowem i tu wiele chwil przepędził Zbawiciel.

Tę grotę Wcielenia dzieli w środku znajdujący się ołtarz na 2 części. W miejscu, gdzie się znajduje ołtarz, modliła się Najśw. Dziewica w chwili, gdy Archanioł Gabryel zwiastował Jej, że pocznie i porodzi Syna Bożego.

Mensa ołtarzowa składa się z płyty białego marmuru, a pod mensą znajduje się napis złotemi literami: *Tu słowo ciałem się stało.* Nad tem miejscem wisi 5 lamp srebrnych, które zawsze się palą.

W drugiej komórce jest także ołtarz, i tam widać napisane słowa: *Tu im był poddany.*

Pierwsza komórka, czyli pierwsza część groty ma ściany wykładane marmurem, drugą zaś część zostawiono w stanie naturalnym. Kamień ścienny jest białawy i kruchy, przeto pielgrzymi tyle łamali onego na pamiątkę, że musiano pod klątwą tego zabronić. Teraz księża omiatając tę grotę, zbierają pył i zmoczywszy wodą, robią małe grudeczki z wyciskiem imienia Maryi i Jezusa i rozdają pobożnym.

Z tej groty prowadzą kamienne wąskie schody do jeszcze mniejszej groty, gdzie wedle podania, miał sypiać Zbawiciel, po swoim powrocie z Egiptu. Ztąd można wyjść do kościoła.

Obok kościoła znajduje się klasztor, otoczony grubym i wysokim murem. Zaraz przy klasztorze znajduje się miejsce, gdzie był sklep ciesielski św. Józefa. Według bowiem zwyczaju na Wschodzie, rzemieślnicy mają osobne pracownie, gdzie pracują i sprzedają swe wyroby.

Tu był niegdyś piękny kościółek, a dziś znajduje się mała kapliczka zbudowana przez XX. Bernardynów. Tu pracował św. Józef, i tu pomagał mu w pracy Zbawiciel nasz, Jezus Chrystus.

Pogawędka o różnych rzeczach.

(Zdziczenie wśród ludu. — Nieme bydlę litościwsze od człowieka. — Złe wychowanie dzieci i jaka tego przyczyna).

Dużo, dużo jeszcze upłynie wody, dużo pracy nad tem będzie potrzeba, aby nasz lud pozbył się dzikich prawdziwie wybryków, jakich się tu i ówdzie, a niestety, dość często, dopuszcza. O morderstwach bowiem po wsiach, jakże często się słyszy! Niejeden będzie w kościele wzdychał, pościł i suszył, ale zabić bliźniego, lub śmiertelnie go poranić, albo podpalić, to sobie ma za bagatelkę prawie.

O lada drobnostkę powstają na wsiach krwawe bójki i giną w nich ludzie nieraz bardzo spokojni; ginie młodzież, giną ojcowie rodzin, zostawiając w sieroctwie żonę i dzieci.

Opowiem Wam dziś o najświeższym wypadku tego rodzaju:

Możeście już o tym wypadku słyszeli lub czytali, nic to nie szkodzi; ja o nim wspomnę, bo wątpię, czy wszyscy o nim wiecie.

Stało się to pod Tarnowem, we wsi Łękawica, dnia 18 lutego bieżącego roku, w ostatni wtorek zapustny. Wieś ta dzieli się na część »górną« i »dolną«. Mieszkańcy »z dołu« i »z góry« oddawna wzajemnie się nie cierpią, a ci »z dołu« gorsi są od »górzan«. I ci właśnie, ci »dolanie« pobili się »z górzanami«, poturbowawszy i poraniwszy z nich kilku, a jednego parobczaka, porządnego i spokojnego człowieka, niejakiego Andrzeja Łabno, okropnie poranili

i pozostawili koło karczmy na gnoju żydowskim. Dopiero w godzinę znaleziono owego parobczaka, odwieziono go do chaty Andrzeja Storca, lecz pomimo starań nie dało się uratować mu życia, i nazajutrz rano oddał ducha Bogu! Siedmiu włościan, biorących udział w tej krwawej bójce aresztowano i odstawiono do sądu.

I powiedzcież teraz sami, czy czasem ludzie intelligentni (wykształceni) nie mają słuszności, gdy spoglądają czasem na wieśniaka, jakby na jakie dzikię zwierzę? Czyż te wypadki okrucieństw nie dowodzą, że wiele jeszcze jest dzikiej natury w ludzie wiejskim?

Nie mówię tu, broń Boże o całym stanie wieśniaczym, ale o tych jedynie, dla których życie ich bliźnich tak mało ma wartości.

Zawstydzają ich nieraz nieme stworzenia; bydlęta nawet okazują litość, gdy widzą człowieka, tarzającego się we krwi, lub bitego przez drugiego człowieka.

Na dowód przytoczę taki znowu, również niedawny wypadek, o którym czytałem w pewnej gazecie szląskiej.

We wsi Seifensdorf na Szląsku pruskim, pokłócił się w oborze wolarz z krowiarzem. Od kłótni przyszło do bijatyki. Wolarz był mocniejszy i zmógł krowiarza, uklęknął mu następnie na piersiach i zaczął tłuc go niemiłosiernie. Działo się to koło koryta, przy którym stał na łańcuchu stadnik. Stadnik widząc krowiarza, który go oprzątał przez kilka lat, w niebezpieczeństwie, zaryczał straszliwie, wyrwał kawał koryta wraz z łańcuchem i uderzył na wolarza, który ciągle jeszcze klęczał na piersiach swego przeciwnika. Wziął go następnie na rogi i rzucił aż pod belki obory.

Pytanie, co byłoby się jeszcze stało, gdyby nie byli przybiegli inni robotnicy i stadnika z obory nie wypędzili i w ten sposób nie uratowali wolarza.

Tak więc nieme bydle ulitowało się nad człowiekiem i obroniło go od napaści, a tylko ludzie nie mają współczucia, choć widzą, że ich bliźni z ich rąk ginie. Gdzie tu wiara, gdzie pobożność, którą się lubi chwalić nasz lud?

Fałszywa taka pobożność, i nie warta nawet złamanego szeląga!

Wiele winno tutaj wychowanie dzieci w domu. Już to na tym punkcie dużo brakuje naszym ojcom po wsiach i matkom. O prawdziwem chrześcijańskiem wychowaniu dziatek prawie pojęcia niektórzy rodzice nie mają, a o wykorzenianiu z dziatek złych narowów, mało kto z rodziców myśli. Rośnie więc młodzież wiejska jako dziczki, a gdy wyrośnie nie ma hamulca dla swych złych narowów, i dlatego to po więzieniach widać przeważnie lud z pod wiejskiej strzechy.

Nie umieją rodzice wiejscy wychowywać dziatek swych po chrześcijańsku, nie umieją wszczepiać w nie szlachetnych zasad,

a nie umieją dlatego, bo sami nie chcą, bo nie słuchają uważnie kazań w kościele, bo im żal wydać kilka centów na książki, lub pisma, które podają rady, jak wychowywać dzieci po chrześcijańsku.

Powracam już w trzeciej pogawędce do tej samej sprawy, bo według mego przekonania tylko w oświacie, rozumie się chrześcijańskiej, leży uszlachetnienie naszego ludu i polepszenie jego doli. *Jeden z Czytelników.*

Rady gospodarskie.

Kiedy rozpoczynać wiosenne siewy?

Każdy zapewne to zauważył, że często w jednej i tej samej ziemi, niektórzy gospodarze mają bardzo dobre, drudzy znów o wiele gorsze urodzaje.

I nie jeden zapewne dziwi się temu i narzeka, że też miłościwy Pan Jezus jednemu więcej, a drugiemu mniej daje. Tymczasem dzieje się to nie z Boskiej, lecz z ludzkiej przyczyny.

Ludzie ludziom nie równi. Jedni żyją z dnia na dzień bez myśli, ociężali i bezradni. Drudzy zaś noszą głowę na karku nie od parady; wciąż myślą, układają różne plany, czytują książki i gazety, i nabierają z nich coraz więcej rozumu i wiadomości.

Tacy nic nie robią na oślep, lecz nim się do jakiej roboty zabiorą, wpierw w głowie pomyślą i rozważą, co i jak robić, by z pracy osiągnąć pożytek. Takim też lepiej się dzieje, mniej się napracują, a prędzej od drugich czegoś się dorobią.

Tacy gospodarze mają najczęściej zboże ładniejsze i dobytek lepszy, bo lepiej rolę uprawiają i we właściwej porze kończą zasiewy.

Chcemy mówić właśnie o *zasiewach*, a mianowicie *kiedy* należy zasiewy rozpoczynać.

Są tacy co się spieszą z zasiewami, kończą je *zbyt wcześnie*, zawcześnie, nim się jeszcze rola zdoła dostatecznie osuszyć i ocieplić. Z pośpiechu tego robią często wielki błąd.

»Siej owies w błoto, będziesz zbierał złoto« — powiadają. — Nie wszędzie jednak sprawdza się to przysłowie. Kto gospodaruje na piaskach, na gorącej wapiennej ziemi, na torfach i próchnicy, ten tej przypowiastki słuchać może i z wiosennemi siewami zwlekać nie powinien, lecz musi siać »skoro kry,« byle tylko na rolę wjechać można końmi.

Na podobnych ziemiach nie zepsuje się roli przez zawczesną uprawę, bo skiba za pługiem mazać się i zlepiać nie będzie; rola nie zeschnie w twarde bryły i nie utrudni przystępu do roli po-

wietrza, bez którego nietylko ludzie i zwierzęta, ale i rośliny obejść się nie mogą.

Zupełnie zaś przeciwnie powinni robić ci, których grunta są iłowate i gliniaste, to jest zwięzłe i zimne.

Co piasek, to nie glina. Co ujdzie na gorących piaskach, to nie ujdzie na zimnej glinie. Na piaskach już nieraz ludzie pokończą zasiewy, kiedy na glinach ani myśleć można o sianiu.

Kto ma więc grunt gliniasty, powinien dobrze uważać, aby zasiał we właściwą porę.

Poznać to zaś można potem, gdy skiba za pługiem się nie maże, lecz kruszy i rozsypuje. Ziarno zasiane w takiej porze najlepiej wschodzi i wydaje dobry plon.

Zbyt wcześnie na glinach dokonane zasiewy mały dadzą zbiór i pole zachwaszczą, choćby się siało nie wiedzieć, jak czyste zboże.

Każda rzecz wymaga swego czasu i każda też ziemia chce, aby ją zasiano w odpowiednim czasie, a każdy gospodarz powinien wymiarkować to po swojej roli, kiedy najwłaściwszy na niej czas do siewu.

Tylko ci, którzy nie umieją myśleć, powiadają, że na przykład: owsy trzeba siać na święty Józef, jęczmiona na Zwiastowanie, grochy przed św. Stanisławem i tym podobnie. Czasami zdarzyć się może, że siewy prowadzone według zwyczaju kalendarzowego udają się, ale się ślepo tego trzymać nie powinno.

Wiosna przecie nie zawsze jest co roku jednakowa i nie zawsze tego samego dnia ociepla się powietrze na wiosnę. Nie trzeba przeto patrzeć w Kalendarz, jakiego dziś lub jutro będzie Świętego, aby zasiać to lub owo zboże, lecz dobrze swe pola obejrzeć i dobrze sobie w głowie wykalkulować, kiedy, gdzie i co zasiać można.

Rady lekarskie.

O pożytkach ze szczepienia ospy i jak się po szczepieniu zachować. *(Dokończenie)*. Jużeśmy wspomnieli w numerze 3-cim, że w roku 1798 wyszła pierwsza książka o »szczepieniu ospy« i pożytkach z tego środka ochronnego.

Od tego czasu zaprowadzono szczepienie ospy *ochronne*, to jest *krowianki* w różnych krajach, a doświadczenie wykazało, że ludzie, którym ospę *ochronną* szczepiono, *zwykle* ospy nie dostają. Mówimy: *zwykle*, bo czasem się zdarzy, że i szczepiony ospy dostanie, ale ospa u takiego jest łagodna, i rzadko taki człowiek na ospę umiera. Z nieszczepionych umiera na 100 osób: 36 a cza-

sem i mniej, zaś ze szczepionych na 100 osób umiera najczęściej 7, a zwykle mniej.

Dla tego dzisiaj każdy człowiek powinien dać sobie szczepić krowiankę. I istotnie ludzie coraz więcej uznają dobrodziejstwa szczepienia, dla tego na ospę już dziś nie umiera tyle ludzi, co dawniej, zwłaszcza po miastach, bo po wsiach, gdzie lud jeszcze mało oświecony, wypadki śmierci na ospę bywają częstsze, dla tego właśnie, że się ludzie nię dają szczepić.

W krajach n. p. w Anglii, gdzie każdy *musi* się dać szczepić, gdzie rodzice płacą karę, gdy w swoim czasie zaniedbują szczepienia dziecku ospy, tam się rzadko o ospie słyszy.

Pewien lekarz warszawski pisze w swej książce o »ospie,« że widział w szpitalu przez dwa lata *dwustu* chorych na ospę. Z tych umarło 40, ale *żaden* z nich nie miał przedtem ospy ochronnej szczepionej. Z tych zaś, którym ospę w dzieciństwie szczepiono żaden nie umarł, a ospę mieli łagodną.

Uważcie dobrze dalej, choć *ci drudzy* nie umarli, mimo to ospę mieli. Widać z tego, że *szczepienie ospy raz*, to jest *tylko w dzieciństwie, na całe życie nie wystarcza*, i rzeczywiście tak jest. Uczeni wykazali, że człowiek powinien dać szczepić ospę i *drugi raz*, kiedy jest starszym, a są i tacy, którzy twierdzą, że co **8** lat.

Ospa zaszczepiona dziecku dopiero zwykle na 4 lub 5 dzień zaczyna się objawiać. Miejsce na rączce zaczyna się czerwienić, pokazuje się pęcherzyk, wypełniony jakby wodą. Trzeba wtedy pilnować, aby pęcherzyk się nie starł, i aby dziecko pęcherzyka tego nie zdrapało.

W tydzień później pęcherzyk robi się biały, jak perełka, skóra koło niego się czerwieni i dziecku rączka trochę puchnie. Nie trzeba się tem trwożyć, bo to przejdzie. Gdyby jednak rączka dziecka była bardzo czerwona i spuchnięta, to najlepiej udać się do doktora.

Przy zwyczajnym przebiegu słabości, biała krosta zaczyna przysychać, robi się strup i rączka zaczyna swędzić. Teraz najlepiej owinąć krostę *czystym* kawałkiem płótna i pilnować bardzo, aby dziecko ręki nie drapało, lub nie tarło o ubranie i kołyskę.

Po trzech tygodniach strup odpadnie, co jeżeli się ospa przyjęła, to w miejscu szczepienia już na całe życie powstaje blizna.

Przez cały czas trwania krost, dziecka nie należy kąpać, tylko najlepiej zmywać go codziennie ciepłą wodą.

Z historyi o drzewie Krzyża św.

W historyi o relikwii Krzyża św., przechowywanej w kościele św. Stanisława, Biskupa i Męczennika w Lublinie, czytamy dosłownie co następuje:

»W 1434 r. niejaki Henryk, kupiec i mieszczanin z Gdańska, przybył do Lublina dla załatwienia interesów. Przed wyjazdem do domu wszedł do kościoła św. Stanisława, chcąc się pomodlić.

Tu spostrzegł na ołtarzu drzewo Krzyża św., a ponieważ nikogo w kościele nie było, postanowił zabrać je i przenieść do miasta rodzinnego.

Ukrył je więc w ubraniu, wsiadł na wóz i puścił się ku domowi, ale zaledwo wyjechał za miasto i przybył do miejsca, gdzie dziś przy szosie warszawskiej są koszary wojskowe, świętokrzyzkiemi zwane, konie mu stanęły i w żaden sposób dalej iść nie chciały.

Przerażony Henryk powrócił do miasta, odniósł drzewo św. do kościoła św. Stanisława i z płaczem błagając Boga o przebaczenie i wyznając swój niecny postępek publicznie, przyrzekł na miejscu, gdzie konie się zatrzymały, na cześć Krzyża św. wybudować kościół, co w rzeczy samej uczynił.

Kościół ten drewniany pod wezwaniem św. Krzyża, na którego zewnętrznych ścianach były obrazy, cud ten przedstawiające, istniał do 1607 roku.

Gdy w tym czasie zaczął się chylić do upadku, Jacek Pufski kazał go rozebrać a na jego miejsce wspólnie z mieszkańcami Lublina, wzniósł nowy murowany i oddał go XX. Dominikanom, których rząd moskiewski, zająwszy tę część kraju, zniósł, a kościół i klasztor obrócił na koszary wojskowe«.

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 1 „Nowin i Rozmaitości“.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 1 Kwietnia 1896. Nr 5.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami* i *Rozmaitościami* wynosi w **Galicyi**:
rocznie: **2** złr. **50** ct.
półrocznie: **1** złr. **25** ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: 5 mk.
W Ameryce rocznie: $1\frac{1}{2}$ dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie,** ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Wesołych świąt — wesołego „Alleluja“

życzymy wszystkim naszym Szan. Czytelnikom, a z tem życzeniem łączymy prośbę, by ci, którzy jeszcze nie nadesłali wiadomej **dopłaty** (1 złr.), zechcieli ją jak **najrychlej** nadesłać. Zwracamy ponownie uwagę, że obecnie w skutek wydawania *Nowego Dzwonka* **dwa razy** w miesiącu, wynosi prenumerata już nie 1 złr. 50 cnt. — jak było dotąd, w początkach roku — ale: **2** złr. **50** cnt. (z Niemiec 5 mk), czyli, że kto zapłacił tylko 1 złr. 50 cnt., ten ma **dopłacić teraz** jeszcze 1 złr. (z Niemiec 2 mk).

Sami widzicie, a przynajmniej powinniście to widzieć, że staramy się, ile nam sił starczy, pismo ulepszać i upiększać, więc nie utrudniajcie nam tej pracy przez opóźnianie się z przesyłką dopłaty.

Równocześnie prosimy Was, abyście w czasie świąt, gdy się spotkacie ze znajomymi, polecali im *Nowy Dzwonek* i zachęcali do zapisania sobie, czyli prenumerowania tego pisma. Powiedzcie im że **każdy nowy** prenumerator może jeszcze otrzymać *wszystkie numera gazetki od początku roku,* ale tylko teraz, bo wnet może tych numerów początkowych zabraknąć.

Kto pozyska **trzech** nowych prenumeratorów — ten otrzyma w nagrodę za to książkę do nabożeństwa, **„Droga do Nieba.“**

Jeszcze raz życzymy Wam **wesołego „Alleluja.“**

ALLELUJA!

(Napisał dla *Nowego Dzwonka*, **Ferdynand Kuraś**, wieśniak z Wielowsi).

Już na wschodzie zorza świta,
Swita zorza wyzłacana,
Świat z radością dzień ten wita:
Alleluja! i Hosanna!

Pan zmartwychwstał o tej porze,
Już moc czarta potargana;
Niech na ziemskim brzmi przestworze:
Alleluja! i Hosanna!

Żywot wieczny jest przed nami,
Śmierć została pokonana;
Niech rozbrzmiewa między nami:
Alleluja! i Hosanna!

Wszyscy, cośmy doczekali
Tak wielkiego cudu Pana,
Śpiewajmy wraz: wielcy, mali:
Alleluja! i Hosanna!

Prośmy wszyscy wspólnie Pana,
Byśmy z grzechów swych powstali,
W końcu z chwałą zmartwychwstali —
Alleluja! i Hosanna!

*

O polski narodzie!
Rzuć dzisiaj swe troski,
Bo dziś zmartwychpowstał
Nasz Zbawiciel Boski!

Otrząśnij się z smutku,
Ciesz się z chwały Pana,
Śpiewaj: Alleluja!
Spiewaj i Hosanna!

Ufaj w dobroć Pańską
Niemającą granic,
Wobec której ludzka
Złość przyda się na nic.

Jeszcze Pan naszego
Skruszy moc tyrana —

Zabrzmij Alleluja!
Zabrzmij i Hosanna!

Jeszcze Pan Ojczyznę
I wolność nam wróci;
On zawsze pocieszy
Tych, których zasmuci.

Tylko między nami
Niech zakwitnie zgoda,
A zakwitnie w Polsce
Pierwotna swoboda!

Dalej teraz razem
Dążmy do jedności,
Stańmy się obrazem
Braterskiej miłości!

Bratnia miłość, zgoda
Polskę odbuduje,
Alleluja! niech nam
Drogę utoruje!

Czas, byśmy podali
Sobie bratnie dłonie;
Czas biednej z pomocą
Przyjść Polskiej Koronie.

A więc wspólnie, zgodnie
Nućmy: Alleluja!
A *Orzeł z Pogonią*)*
Znów w Polsce zabuja!

Noc zmartwychwstania.

(Według objawień Katarzyny Emmerich).

Kiedy już postawiono straż przy Grobie Pańskim, nastała cisza. Sześciu żołnierzy ze straży czuwało, bo tak żądali zażarci żydzi, w grobie zaś spoczywało Najświętsze ciało Jezusowe, a dwaj Aniołowie od samego złożenia tego ciała do grobu, przy nogach i przy głowie ciągle mu cześć oddawali.

W tym samym czasie dusza Zbawiciela odwiedziwszy w otchłaniach dusze Patryarchów i uwolniwszy ich z tamtąd, przyszła w ich

*) *Orzeł biały* w czerwonem polu jest herbem Polski zaś *Pogoń*, herbem Litwy Polska zaś i Litwa stanowiły razem z Rusią jedno państwo — naszą Ojczyznę.

towarzystwie do grobu i pokazała tym duszom wszystkie rany świętego ciała.

Potem w sposób nam niedocieczony, najświętsza dusza Jezusa, lubo się jeszcze nie zjednoczyła doskonale z ciałem, z niem jednak i w niem wyszła z grobu. Dwaj Aniołowie unieśli święte ciało całe nagie i ranami okryte; skała się wtenczas zatrzęsła, a Aniołowie przez skałę wznieśli święte ciało aż ku niebu.

Niezliczone chóry anielskie padły przed tronem Boga, a Jezus zdawał się przedstawiać Ojcu niebieskiemu swoje ciało, jako ofiarę błagającą za grzechy świata. W czasie tym nastąpiło znowu trzęsienie ziemi i drżenie skały, a trzech żołnierzy ze straży padło na ziemię bez przytomności.

Około godziny jedenastej w nocy, Najśw. Panna, wzbudzona miłością i niepowściągnionem pragnieniem widzenia Syna, wstała, okryła się swoim płaszczem szarawym i wyszła z domu. Udała się do pałacu Kaifasza, potem do domu Piłata i przebiegła tak przez puste ulice, obchodząc całą drogę krzyżową i zatrzymując się na tych miejscach, na których Zbawiciel cierpiał. Upadała często na ziemię i całowała kamienie, jakoby tam była Krew Pańska.

Tym sposobem doszła aż do Kalwaryi, a gdy się tam zbliżyła, zatrzymała się nagle. Najświętsze ciało Jezusa, poprzedzone przez Aniołów ukazało się przed Panną Najświętszą. Lubo ciało Pańskie jaśniało, przecież ruchu w niem nie było widać, wyszedł jednak głos, który jej oznajmił, że jej Syn wkrótce zmartwychwstanie, i że ma na niego czekać przy kamieniu, gdzie upadł idąc na Kalwaryę — i widzenie znikło.

Tedy Najświętsza Panna poszła i uklękła na tem miejscu, które było jej wyznaczone.

Za kilka godzin dusza Jezusa przeniknąwszy skały przybyła do najświętszego ciała, które napowrót przynieśli Aniołowie do grobu i w mgnieniu oka z niem się złączyła, i ciało Pańskie złączone z duszą swoją ludzką i z Bóstwem uwolniło się z prześcieradła, w które było owinięte.

Zaraz tedy Jezus jaśniejący przeniknąwszy skały, uniósł się w górę. Ziemia zadrżała, a Anioł jeden na kształt błyskawicy, spadłszy w postaci rycerza, odwalił kamień grobowy i usiadł na nim.

Stróżowie grobu upadli, jakby paraliżem tknięci i leżeli na ziemi nie dając znaku życia.

W czasie tym, kiedy Anioł zstąpił do grobu i kiedy ziemia drżała, zmartwychwstały Pan Jezus ukazał się swej Matce.

Dziwnie był śliczny i nadobny, cały jaśniejący. Okazał jej Pan rany swoje, a gdy Najświętsza Panna padła na ziemię, chcąc



Zmartwychwstały Pan Jezus pokazuje się
Matce Swojej.

ucałować nogi Jego, Jezus wziął ją za rękę, podniósł i zniknął. Marya została tak w słodkich uczuciach i w miłem zachwyceniu czas niejaki.

Przy grobie zaś błyszczały zdala latarnie, a niebo we wschodniej stronie już się rozwidniało i wschodziła jutrzenka nad Jeruzalem, a nad całym światem — jutrzenka nowa, duchowa, jutrzenka wiary świętej, której prawdę potwierdził Zbawiciel swem zmartwychpostaniem.

Wielkim tym cudem dał nam poznać Zbawiciel, że sam jest Bogiem i że nauka Jego jest Boską, a że my mamy szczęście naukę tę wyznawać, więc z radością możemy i powinniśmy śpiewać »Alleluja.«

Wielkanoc w Warszawie
w roku 1794.

W małym domku nad Wisłą w Warszawie siedziało przy stoliku kilka chłopaków szewskich. Rozmawiali o czemś żywo, a widać było, że sprawa ważna ich zajmuje.

Jeden z nich powstawszy, rzekł;

— Co tu wiele myśleć. Nie ma innej rady, tylko spieszyć z pomocą. Kościuszko pod Racławicami pobił Moskali, wieśniacy z pod Krakowa zdobyli armaty. Każdy spieszy do obozu, dla czego i my nie mielibyśmy stanąć w szeregu? Zbierać się i iść, to nasza powinność.

— Słusznie mówisz, Jaśku — odrzekł blady i mizerny Wojtuś Wisłocki — iść nam trzeba, ale może lepiej nie wychodzić z Warszawy, lecz tu zostawszy, uporać się z Moskalami.

— Słyszałem nawet, że nasz majster, pan Kiliński, zbierał wiele czeladzi i majstrów i chcą tu rozpocząć wojnę — dodał inny chłopak.

— Gdziekolwiek, czy tu w Warszawie, czy tam z Kościuszką, zawsze rzecz jest jedna; obrona Ojczyzny — odparł Jaś Kaczorek, roztropny młodzian, mularczyk.

— Dowiedzmy się od starszych, co oni uradzili, za ich wolą pójdziemy, ale darmo siedzieć nie będziemy, gdy się krew polska leje.

— Tak, tak, bronić się będziemy — zawołali wszyscy, aż nagle drzwi się otwarły, wpadł szybko jeden z czeladników wołając:

— Chodźcie zaraz do pana majstra Kilińskiego, ma wam coś ważnego powiedzieć.

* * *

Było to w wielki tydzień. — Na wieść o powstaniu Kościuszki, o zwycięztwie jego pod Racławicami, o szeregach coraz liczniej stojących pod jego sztandarem, obudził się duch w Warszawie, poczęli wszyscy myśleć o obronie. Z początku miało powstanie wybuchnąć później, lecz ponieważ Moskale zbierali się do wystąpienia, szewc Kiliński, znany bohater, przyspieszył wybuch i w Wielki Czwartek walka się rozpoczęła.

Bóg pobłogosławił, Polacy zwyciężyli.

Radość niezmierna, radość powszechna zapanowała w mieście. Lud ze łzami wdzięczności biegł do kościoła, by złożyć dzięki Bogu za pomoc nam udzieloną, a obywatele Warszawy ogłosili, iż uznają miasto jako wolne, a Moskali za swoich więźniów.

W jednym z kościołów Warszawy przy grobie Pana Jezusa w Sobotę wieczorem klęczała siwa już kobieta i pacierze cicho odmawiała. Przybyła ona tu ze wsi dalekiej, bo chciała zobaczyć się z synem, będącym w nauce u szewca, a że zmęczona była bardzo, weszła do kościoła. Do ciszy kościelnej dolatywały czasem z miasta gwary i okrzyki. Staruszka nie rozumiała, dla czego w Wielką Sobotę, w dzień żałoby i smutku, w mieście tem tak się weselą. Chciała już wyjść, gdy wtem wbiegło do kościoła kilku młodzieńców, a upadłszy na kolana, zawołali: Boże dzięki Ci!

Jeden z nich pochylił się tak, że światło lampki padło na jego twarz. Kobieta rzuciła się, wołając;

— Antosiu! synu mój!

— Matko! Zkądżeście tu? — z radością szepnął młodzian, chwiejącym krokiem zbliżając się.

— Przyszłam synu, by cię obaczyć, by z tobą święta przebyć, a troszczyłam się, czy odnajdę cię w tem wielkiem mieście. Lecz co tobie? Tyś chory? Czego się chwiejesz? O Boże! On mdleje!

Istotnie chłopak bez przytomności upadł na ręce matki, a bladość okryła jego lica.

Gdy otrzeźwiono go, gdy począł mówić, dopiero dowiedziała się matka o przyczynie osłabienia.

On od dwóch dni nic w ustach nie miał. Ani na chwilę nie spoczął, spełniał rozliczne rozkazy, biegał z doniesieniami, wreszcie i ranny był lekko, więc go to wszystko znękało niezmiernie.

* * *

Uderzono w dzwony. Rezurekcya się rozpoczęła. Co za wielkie święto, co za radość powszechna! Prawdziwy dzień Zmartwychwstania, Warszawa wolna! Kiliński z drużyną dzielnych rzemieślników, mieszczan i szlachty odniósł zwycięztwo i do Kościuszki

posłał z doniesieniem, a więźniów moskiewskich trzymał i czekał, co naczelny wódz powstania z nimi uczynić każe.

W tym samym domku, w którym poprzednio widzieliśmy chłopaków rozmawiających, znajdujemy i teraz przy łóżku chorego Antosia matkę jego siwą i przyjaciół młodych.

Chłopak blady śpi. Wtem od miasta dolata śpiew Alleluja. On oczy otwiera, uśmiecha się i szepce:

— Matko! Prawda, jaki dziś dzień wesoły dla nas nastał? Polska będzie wolna, my jej wolność zdobędziemy, wrogów wygonimy.

— Tak, synu, dziś wielkie święto, cieszą się wszyscy, abyś ty tylko zdrów był.

Antoś uśmiechnął się, a towarzysze poczęli mu opowiadać o szczegółach bitwy.

— Wiesz? Naszych było 2000, a Moskali 10.000; 11 godzin bez przerwy strzelaliśmy, czy to nie sztuka? 42 armat zabraliśmy Moskalom, 2.500 jest ich zabitych, a 4.500 w niewoli. Radość w mieście wielka.

— Idźcie, idźcie do miasta — prosił Antoś — dowiedzcie się o wielu rzeczach, opowiecie mi, lubię słuchać o tem. O jak mi dobrze.

Chłopcy wybiegli, przy synu została matka. Drżała o zdrowie jedynaka, ale Bóg nie chciał jej zasmucić. Lekarz odwiedziwszy go nad wieczorem, oświadczył, że niebezpieczeństwo minęło.

Istotnie, później waleczny Antoś otrzymał mianowanie na porucznika. Kiliński go szczerze do serca przycisnął wobec szeregów wołających: Niech żyje!

Zkąd powstało „Prima Aprilis“.

Było to jeszcze przed narodzeniem Pana Jezusa, kiedy nad większą częścią ówcześnie znanego świata panowali Rzymianie. Pewnego roku, niewiadomo na pewno którego, w nocy z dnia 31 marca na 1 kwietnia spadł w mieście Rzymie tak wielki śnieg, jakiego tam nie pamiętano od najdawniejszych lat.

Jak teraz, tak i wtedy żyli ludzie, którzy ową noc spędzali po za domem. Ci spostrzegłszy całe ulice grubo śniegiem pokryte, pospieszyli do swych rodzin, do znajomych i krewnych, by im donieść o tem niezwykłem zjawisku.

Na tę wiadomość wszyscy mieszkańcy znaleźli się w jednej chwili na ulicy, a młodzież zaczęła robić z śniegu kule i staczała walne bitwy między sobą. Gdy zawitał poranek i pokazało się

słońce, śnieg znikł i gwar ustał. Przez cały jednak ów dzień o niczem w Rzymie nie rozmawiano tylko o śniegu, a młodzież o guzach, ile takowych jeden lub drugi oberwał. Jednem słowem dzień 1-go kwietnia zapisał się mieszkańcom Rzymu głęboko w pamięci.

W następnym roku kiedy zbliżał sie dzień 1 kwietnia, młodzież postanowiła całą noc czuwać i oczekiwać śniegu, ale śnieg nie spadł. Tak zawiedzeni, pospuszczali wszyscy nosy, lecz nie tracąc fantazyi, uradzili przed wschodem słońca pospieszyć do znajomych i krewnych z nowiną kłamliwą, że śnieg spadł, a gdy kto w ten sposób został wywabiony z mieszkania i pytał: a gdzie ten śnieg, śmiano się z jego łatwowierności i odpowiadano mu: *Prima Aprilis.*

Tak oszukani pospieszali znowu do innych domów i drugich dalej zwodzili, a ten nowy sposób zwodzenia wprawił w ruch całą ludność Rzymu. Przez cały dzień nikt nie próżnował, tylko przemyśliwał, jakimby sposobem mógł zwieść drugiego i obdarzyć go »Prima Aprilisem.«

Następnego, trzeciego roku wzajemne zwodzenie się w dniu 1 kwietnia weszło jeszcze więcej w modę. O śniegu nie było już mowy, za to wyszukiwano przeróżne inne, nieraz bardzo dowcipne sposoby oszukiwania, a raczej zwodzenia drugich. Odtąd dzień 1 kwietnia stał się dla Rzymu niejako dniem powszechnej radości, a z Rzymu przeszedł do innych miast i krajów i przechował się aż do naszych czasów.

Hailka.

Zabawa wielkanocna na Rusi.

Mają Mazurzy swoje ludowe zabawy, ma je też i lud ruski; może one mniej skoczne, ale zato rzewne i ciekawe. Jednę właśnie z zabaw ludu ruskiego, chcemy tu opisać a mianowicie: *hailkę*, która się odbywa w Galicyi wschodniej, i w ogóle dalej na całej Rusi w dzień wielkanocny.

Po spożyciu święconego, wedle zwyczaju, spieszy każdy Rusin do dzwonnicy cerkiewnej, aby we wszystkie uderzyć dzwony, i to się zowie *rozbijaniem dzwonów.* Równocześnie zbiera się z całej wsi gromada na podwórzu cerkiewnym. Schodzą się tu starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, dzieci, parobcy, dziewczęta, słowem; co żyje we wsi spieszy pod cerkiew, a uderzywszy w dzwony, zaczynają zabawę, złożoną z tańca właściwego rodzaju i śpiewu zwanego *hailką.*

Nic weselszego, nic swobodniejszego w życiu wieśniaka ru-

skiego, jak owa »hałka,« w dniu, w którym się zapomina o wszelkich troskach codziennego życia.

Właśnie w tej porze budzi się przyroda ze snu zimowego i czuć pierwszy powiew wiosny, który pierwszą wywołuje zieloność, a to także usposabia człowieka do wesołości i zabawy.

Wszyscy świątecznie ubrani; dziewczęta z pękami wstążek



Hałka. (Zabawa wielkanocna na Rusi).

wiejących na głowie, chłopcy w odświętnych siermięgach podpasani czerwonemi lub siwemi pasami, gospodarze w baranich czapkach i kożuchach, a gospodynie w długich białych rańtuchach — wszystko to grupuje się koło .cerkwi, siedząc lub stojąc w rozmaitych gronach i zapełniają całe otoczenie koło cerkwi, zostawiając wolny środek na »hałkę.«

Rozpoczynają ją dziewczęta. Ująwszy się za ręce, tworzą jak największe koło; dwie lub jedna staje w pośrodku, inne, zawodzą

koło niej korowód w tę i ową stronę śpiewają przeciągłym tonem pieśń:

Jedzie Zelman, jedzie...

Kto jest ów Zelman, z pewnością tego wiedzieć nie można, różnie to sobie w różnych okolicach tłumaczą. Piosnki tej nigdy dziewczęta nie mogą skończyć i Zelman nigdy nie dojeżdża do celu, gdyż właśnie cała zabawa na tem polega, że chłopcy nie dają jej dokończyć.

Gdy się koło zbierze i korowód zaczęty, parobcy zbierają się skrycie po za zaułkiem cerkwi, lub za wrotami cmentarza, i ująwszy się jeden za drugim gąsiora, wpadają niespodziewanie z hałasem w tańczące koło i rozbijają je. Przestraszone dziewczęta uciekają, padają jedne przez drugie, robi się zamieszanie i zgiełk, ku wielkiej pociesze zwycięzkich parobczaków.

Rozbite koło za chwilę znowu się zbiera i znów zaczyna się pieśń o Zelmanie, a parobcy znowu czychają, aby nagle wpaść i nie dać dokończyć pieśni.

Inni znowu, zręczniejsi w gimnastyce, przedstawiają tymczaczasem innego rodzaju widowisko. Dwóch chłopców, biorąc się za ręce, stawa jeden naprzeciw drugiego, inni dwaj stawają tym dwom na ramionach, a inni jeszcze, jeżeli się znajdą zręczniejsi, włażą znów tym na ramiona. Tak tworzy się wieża, obchodząca w około zgromadzonych, z wielkiem ukontentowaniem przypatrujących się i podziwiających zręczność młodego pokolenia. Wieżę tę nazywają *wrotami, a widzimy ją na rycinie naszej — na stronie 122.*

Głównem zadaniem tej wieży ruchomej jest, podobnie jak i gąsiora, rozbicia koła tańczących »haiłkę« dziewcząt. Po niejakim więc czasie, upatrzywszy stosowną chwilę, uderza wieża całym zamachem w kręcące się koło. Rozumie się, że wtedy i wieża sama upada, a runąwszy sprawia zamieszanie, krzyk i lament. Bywają wypadki, że przyjdzie nieraz przy takiej zabawie do bitki i niejeden oberwie dobrego guza.

Taka jest zabawa ludu na Rusi w dzień Wielkiejnocy i wystarcza mu ona w prostocie duszy jego, ku rozweseleniu życia, i z pokolenia w pokolenie przechodzi.

Wrąz z uderzeniem dzwonu wzywającego na nieszpory, kończy się haiłka. Wszyscy idą do cerkwi, a po nieszporach do domów, lub zgromadzają się w karczmie. W drugi dzień Wielkiejnocy nie tańczą już haiłki.

Jak się dzieje w świecie.

Opat Arseniusz siedział sobie w celi pogrążony w głębokie rozmyślanie. Wtem usłyszał głos mówiący:

— Chodź, pokażę ci dzieła ludzkie.

Arseniusz wstał i wyszedł z celi.

Przed drzwiami stał Anioł, i zaprowadził go do lasu, gdzie mu pokazał drwacza, który ścinał drzewo i układał na kupę. Od czasu do czasu próbował, czy uniesie brzemię, a kiedy nie mógł udźwignąć, jeszcze więcej narąbał drzewa i kładł na kupę. Ile razy nie mógł udźwignąć brzemienia, dokładał drzewo.

Potem poszedł Anioł z Arseniuszem nad wielką wodę i pokazał mu człowieka, który stał nad wodą, miał obok siebie wielką beczkę i chciał ją napełnić wodą. Lecz beczka była dziurawą. Ile wody wlał tyle wyleciało, a beczka została zawsze próżną.

Potem rzekł Anioł:

— Chodź, pokażę ci co innego.

I zaprowadził go przed wielką, wspaniałą świątynię. Podwoje były otwarte i przyjechało dwóch ludzi na koniach i mieli długą belkę przed sobą w poprzek zawieszoną, i chcieli wjechać w świątynię. Ponieważ belka była długa i w poprzek zawieszona, ponieważ jej nie wyprostowali wzdłuż, dla tego nie mogli przejechać przez bramę. Ile razy się zapuścili, tyle razy im belka przeszkodziła.

Pustelnik dziwił się z tego co widział i pytał się, coby to znaczyło.

Anioł odpowiedział mu i rzekł:

— Jeźdzcy, których widziałeś na końcu z belką w poprzek bramy, to są ludzie, którzy wprawdzie żyją sprawiedliwie, lecz którzy nie widzą belki pychy i wyniosłości, sami siebie nie sądzą i nie upokarzają się, dla tego zostają przed bramą niebieską, przedostać się przez nią nie mogą.

Ten, który czerpał wodę w dziurawą beczkę, to taki, który wprawdzie pełni dobre uczynki, lecz do dobrego miesza złe, a ponieważ złe nie zgodzi się z dobrem, dla tego traci zapłatę za dobre, które niby gorliwie wykonuje. Dla tego niech człowiek uważa na wszystkie swoje dzieła, niechaj nie mniema, że zbiera dobre uczynki, kiedy tylko część jest dobra.

Drwacz, który coraz więcej nakłada do brzemienia, którego już tak unieść nie może, to człowiek, który ma na sobie wiele grzechów i któryby ich rad się pozbył, lecz ponieważ nie ma prawdziwego żalu i pokuty, to idzie i czyni jeszcze więcej złego i dodaje grzech do grzechu.

Kto poznał?

Do rodzinnej wioski, z dalekich krajów, po długiej podróży powraca jakiś człowiek. Lica jego ogorzałe, odzież przypruszona, cała postać pochylona ze zmęczenia, a chód coraz powolniejszy. Kto on? nikt nie wie.

Młody jeszcze dość, lecz wygląda na starszego, bo znać na nim, iż wiele musiał cierpieć.

Idzie zwolna, a co chwila przystaje i z radością spogląda na wszystkie strony. Zna on tu każdy kamień, każde drzewo, krzak każdy. Dzieckiem tędy biegał, tam chodził po kwiaty, tu czerpał wodę z ruczaju, tam rwał czereśnie. Jakże to dawno było! Potem odjechał w kraj daleki, bo myślał, iż w obczyźnie szczęście być może, jednak przekonał się, że kto go w Ojczyźnie nie umie szukać, nie odnajdzie go już nigdzie. I wraca teraz do domu, do rodziny i przyjaciół. Ale pyta sam siebie, po raz niewiedzieć który, kto go pozna?

Kto go pozna, gdy tak zmieniony, gdy tak dawno nikt go nie widział, gdy gorące słońce krajów amerykańskich go opaliło, a tęsknota za ojczyzną i rodziną starszym go uczyniła.

Kto go pozna?

Lecz oto w tej chwili idzie naprzeciw niego przyjaciel jego dawny, Józek, z którym się bawił lat tyle, razem do szkół chodził; o Boże! przeszedł, popatrzył, nie poznał.

Chciał wrócić za nim, wyciągnąć dłonie i zawołać serdecznie: przyjacielu mój, czyż nie poznajesz mię? lecz nie... potem, teraz prędzej do domu... do domu.

Aż oto stary dom rodzinny. Wszystko w nim tak samo wydaje się, jak było... tak samo kwiaty przed oknem rozkwitłe, tak samo drzwi rozwarte i widać sień jasną i czystą.

A! toż to Anusia, siostra jego, jak wyrosła, czy mię pozna, czy pozna?

Wybiegła na próg chaty wesoła, uśmiechnięta, ubrana w kwiecisty gorset i garść ziarna rzuciła gołębiom. Chciał wołać: siostro! Anusiu! lecz nie, nie, ona nie poznała, spojrzała z przestrachem na obcego przechodnia i drzwi od sieni zamknęła!

Nikt mię już nie pozna! jęknął z żalem podróżny i poszedł ku kościołowi opodal stojącemu, szedł z wielkim bólem w sercu i ze łzami w oczach.

Z kościoła właśnie idzie jakaś staruszeczka, jak gołąbek siwa, o kij się opiera, zdaje się nie widzi już dobrze...

— Szczęść Boże! odezwie się podróżny, a staruszka spojrzawszy nań, zawołała z radością:

— Synu mój, synu!... — Matka — poznała!!

Rady gospodarskie.

Tępienie pędraków. Przekonano się, że najłatwiejszym i najskuteczniejszym środkiem chronienia zasiewu przed pędrakami, jest *łubin*. Dość jest zasiać takowy na polu, by się od pędraków uwolnić. W gospodarstwie rolnem łatwo środek ten da się zastósować, wsiewając łubin w każde zboże. Otrzymuje się stąd podwójną korzyść, bo pozbywamy się pędraków i zyskujemy znakomity pognój zielony.

Aby mieć świeżą paszę zieloną, sieje się wykę samą (siewną czyli siwą) lub w pomięszaniu z soczewicą i owsem. Sieje się ją na drobno rozrzuconych i płytko przyoranych gnojach, wywożonych wcześniej pod żyto. Można siać taką mieszankę i na przedplon pszenicy, ale tylko na bardzo urodzajnej pszennej ziemi.

Chcąc mieć ciągle aż do żniw zieloną paszę z takiej mieszanki, sieje się ją *co tydzień*, po kawałku, począwszy od wczesnej wiosny aż do św. Jana. Jeżeli ziemia mokra, lub pora deszczowa, to się sieje pod bronę na przyoranym i przewalcowanym gnoju. Jeżeli zaś ziemia jest obeschnięta a deszczu niema, to trzeba nasienie namoczyć i zasiać gęściej na drobno rozrzucony gnój i razem z nim płytko rolę przyorywać, przywałkować i w kilka dni zawlec.

Kosi się mieszankę, gdy wyka dobrze zakwitnie a spodem dostanie łopatek strączkowych. Zaraz po skoszeniu zgrabia się ją w kupki i znosi na paszę dla bydła. Skoszonej wyki nie trzeba długo trzymać na kupie, bo zagrzewa się i cuchnie; natomiast trzeba ją składać na dworze na gęstej drabince, żeby ją ze spodu podwiewało, albo spasać codzień świeżo skoszoną po zwiędnięciu.

Pole, gdzie była zasiana wyka, trzeba zaraz po zwiezieniu mieszanki odorać głębiej na kilka cali aniżeli była przyorywka gnoju, dobrze jest też zawałować taką rolę, i lekką broną często włóczyć a to choćby po razu aż do żniwa.

Kiedy siać proso? Proso trzeba siać, kiedy pojawią się chrabąszcze. Ponieważ ono nie znosi zimnej roli i chwastów, więc siewa się je na ciepłych, świeżo zaoranych nowinach, lub na nawożonej, ciepłej, pulchnej i dobrze z chwastów oczyszczonej ziemi.

Aby w prosie nie było śmieci, trzeba nasienie, przed samym siewem przepuścić na płachtę przez ogień palącego się wiechcia słomy.

Im ziemia jest urodzajniejsza, tem proso więcej się krzewi i dlatego na takiej urodzajnej roli musi być rzadziej sianem. Gdy proso co dopiero zejdzie, a pokażą się w niem chwasty, to trzeba je płytko i drobno przeorać.

Pożytek ze słonecznika. Pod płotami, między warzywami, fasolą i kartoflami, gdy zejdą, opłaci się sadzić gdzieniegdzie po

ziarnku *słonecznika*. Smaczny z niego olej, zwłaszcza w dni postne, a kury i indyki tuczą się bardzo prędko tem ziarnem. *R.*

Jak głęboko w ziemi ma się ziarno znajdować? Ziarno należy tak głęboko w ziemię rzucać, aby mu nie brakło ani wilgoci, ani powietrza i ciepła. Są to trzy warunki niezbędnie potrzebne do kiełkowania. Zresztą drogą doświadczalną stwierdzono, że płytsze umieszczenie ziarna zasługuje w ogóle na większe uwzględnienie, aniżeli głębokie, gdyż ziarno daleko prędzej i silniej się rozwija w górnej urodzajnej warstwie ziemi, niż w większej głębokości.

W ogóle należy dla traw i roślin zachować następujące reguły: 1. Lekki, wiotki i suchy grunt wymaga głębszego, a ciężki zbity i wilgotny grunt płytszego umieszczenia ziarna, gdyż w pierwszym razie trzeba ziarno ochronić od zbytniego ciepła, a w drugim od zbytniej wilgoci. 2. Przy ciepłem i suchem powietrzu pożądany jest głębszy, a przy wilgotnem płytszy zasiew ziarna. Im większe i grubsze ziarno i im twardsza jego osłona, tem głębiej trzeba je siać; im mniejsze i delikatniejsze jest ziarno, tem płyciej się je sadzi. 3. Zasiew ozimy należy płyciej, letni zaś głębiej sadzić.

Rady lekarskie.

Jak ratować w zemdleniu. Gdy człowiek przed chwilą zdrowy i przytomny traci siły, blednieje, staje się zimnym i pada bez przytomności — wtedy mówimy, że zemdlał. Zemdlenie najczęściej zdarza się przy wielkim zaduchu w izbie lub kościele, albo przy silnych krwiotokach.

Jeżeli człowiek zemdleje — należy natychmiast go wyprowadzić lub wynieść na świeże powietrze (przy zemdleniu z zaduchu), albo otworzyć drzwi i okna (przy zemdleniu z krwiotoku); porozpinać wszystko, cokolwiek ciało ściska; potem położyć omdlałego na wznak, nie podkładając nic pod głowę. Twarz należy skrapiać zimną wodą, czoło po bokach i piersi nacierać wodą z octem, a do wąchania dawać mocny ocet. Skoro zemdlały zacznie przychodzić do siebie, dać mu się napić zimnej wody.

Gdy człowiek spadnie z wysoka albo zostanie uderzony w głowę lub brzuch jakiem drewnem, kłodą lub dużym kamieniem — wtedy pada jakby bez duszy i wygląda jak omdlały, bo ma mózg wstrząśniony. Ratować go należy tak samo jak zemdlałego.

Jak ratować przy uderzeniu krwi na mózg. Jeżeli człowiek silny i zdrowy, a do tego krwisty dostaje zawrotu głowy, ćmi mu się w oczach, język mu się plącze, potem odstępują go zmy-

sły i pada nieprzytomny — wtedy mówimy, że krew uderzyła mu na mózg; od zemdlałego różni się taki człowiek tem, że nie jest zimny i blady ale czerwony.

Ratując takiego chorego, należy czemprędzej rozpiąć albo porozcinać wszystko, cokolwiek go uciska, potem położyć go z podniesioną głową i plecami tak, ażeby więcej na pościeli siedział niż leżał; głowę okładać szmatami moczonemi w zimnej wodzie, albo śniegiem lub lodem.

W każdym jednak razie biegnijcie po doktora, a jeśli bliżej mieszka felczer, to choćby po niego.

Jabłka jako środek lekarski. Pewien lekarz tak ocenia pożytek z jedzenia jabłek; Jedzenie jabłek, zwłaszcza tuż przed spaniem jest znakomitym środkiem przyczyniającym się do zdrowia. Jabłko dostarcza nietylko wybornego pożywienia, lecz jest zarazem najpotężniejszym środkiem dyetycznym. Zawiera bowiem więcej kwasu siarkowego w łatwo dającym się trawić związku, aniżeli jakikolwiek inny płód roślinny. Spożywanie go, przedewszystkiem przed spaniem, działa: 1) korzystnie na mózg, 2) pobudza wątrobę do czynności, 3) sprawia spokojny sen, jeżeli regularnie się jabłko na noc spożywa, 4) dezynfekcyonuje jamę ustną z niemiłej woni, 5) wiąże zbyteczne kwasy żołądka, 6) niweczy hemoroidalne przypadłości, 7) pobudza do czynności nerki, 8) przeszkadza tworzeniu się kamienia, 9) chroni od ciężkiego trawienia i 10) chroni od bólów gardła.

Lekarstwo na katar. Łyżeczkę sproszkowanej kamfory wsypać w jakie wysokie lecz wązkie naczynie i nalać je do połowy wrzącą wodą. Potem przykryć je tutką papierową z otworem takim, żeby nos mógł się w niego zmieścić. Następnie przez 10 lub 15 minut wciągać ciepłą parę kamforową i powtarzać to co 4 lub 5 godzin, Zwykle za trzecim razem katar ginie. Sposób ten podała berlińska *Gazeta aptekarska.*

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 2 „Nowin i Rozmaitości"**.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 15 Kwietnia 1896. Nr 6.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami* i *Rozmaitościami* wynosi w **Galicyi**:
rocznie: **2** złr. **50** ct.
półrocznie: **1** złr. **25** ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: 5 mk.
W Ameryce rocznie: $1^1/_2$ dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: *Nowiny* i *Rozmaitości.*

Jan Pawelec.

Wzór rolnika i sołtysa z Kobylnicy Nadwiślańskiej.

Jan Pawelec był gospodarzem rolnym we wsi Kobylnicy, należącej do dóbr Maciejowickich w gubernii Lubelskiej, powiecie Łukowskim położonych. Od młodych lat przypatrywał się pilnie rządnym gospodarzom, a szczególniej gospodarowaniu swego ojca. Od dzieciństwa podzielał chętnie wszystkie jego trudy; bo i w rolnictwie jak w każdym zawodzie, kto chce pracą stać się użytecznym sobie i drugim, musi zawczasu przypatrywać się dobrym przykładom i na nich się kształcić. Jan Pawelec tedy, chociaż już miał lat około 40-tu, często chodził do Podzamcza, gdzie staraniem ówczesnych dziedziców Ordynatów Zamojskich od r. 1818 założony był zakład na kształcenie wzorowych parobków.

Mawiał on nieraz: chociaż z chłopskim rozumem można sobie dać radę w życiu, alež czemu nie korzystać z tego, co dobrzy panowie swoim rozumem, nauką i doświadczeniem dla dobra naszego postanowili? Więc żałując, że już sam nie mógł się wyuczyć w tym tak użytecznym zakładzie, przypatrywał się ile mógł robotom rolnym parobków z Podzamcza; przepytywał to ich, to

tych, co nad nimi dozór mieli, o rozmaite ułatwienia i ulepszenia w gospodarstwie.

Nietylko to Jan Pawelec korzystał z tego wzorowego zakładu, bo parobcy, co z niego wyszli na gospodarzy, odznaczali się zwykle lepiej zastosowaną pracą, większą oględnością, przezornością i tym podobnemi przymiotami, tak wielki wpływ mającemi na byt rolnika.

Ztamtąd to tak Jan Pawelec, jak i wielu innych otrzymywali dobre rady i nauki, mieli wzór we dworze starań około pola, ogrodu i dobytku. Tam znajdywali pomoc do poprawy inwentarza, nasion i drzew owocowych. A częste odwiedziny obojga dziedziców prawdziwą zachętą były do poczciwego postępu.

Zwykłą w życiu rolników koleją ożenił się Pawelec i objął własne gospodarstwo po ojcu. Ci, co patrzyli na pierwsze jego kroki, zaraz przepowiadali mu przyszłość szczęśliwą i użyteczną. Rolę najlepiej i najwcześniej uprawiał, w porę zawsze obsiał, najobfitsze też plony zbierał; bo roli nikt nie oszuka i jak koło niej kto chodzi, taki też ona jemu plon przynosi.

Inwentarz w jak największej liczbie i w najlepszym stanie utrzymywał, bo pamiętał, że gdzie go niema w odpowiedniej ilości, tam niema nawozu, a gdzie niema nawozu, tam i rolę próżno się tylko wysila. Dość powszechnego niestety u nas nałogu pijaństwa wystrzegał się jak grzechu śmiertelnego. Wiedział, że pijak nie dojdzie nigdy do niczego, że w wódce utopi pamięć o gospodarstwie, o rodzinie, o sobie samym, a co najważniejsza, o Bogu i o duszy swojej.

Unikał tedy najstaranniej wszystkiego, co tylko wiedzie do tego szkaradnego nałogu i pilnował dzieci, aby broń Boże w wódce nie zasmakowały. A chronił ich od tego, dając z siebie dobry przykład i nauczając od maleńkości obowiązków człowieka względem Boga, ludzi i samego siebie.

Codzień razem z żoną i ze wszystkiemi dziećmi rano i wieczór wspólnie pacierze odmawiał. Surowy w przestrzeganiu moralności, wolał ojcowską ręką słuszną karę wymierzyć, niżeli używać obelżywych wyrazów.

Nigdy nie przeklinał, bo wiedział, że to więcej złego uczy niżeli pomaga, a jest obrazą Boską. Był on jakby patryarchą w gronie swoich dziatek, razem z niemi siadał do obiadu i wieczerzy, razem kładli na swe czoła znak Krzyża św. nim pierwszą łyżkę strawy do ust zanieśli, wieczorem rozporządzał jutrzejszą pracę i każdemu z synów stosowną czynność przeznaczał; a tak roztropnie wszystkiem kierował, że żadnego szemrania i nieładu nie było.

Wyuczonych przy sobie w gospodarce, obsadzał na innych

gruntach w tejże samej wsi czterech synów, piątego zaś na innej wsi; dwie córki dobrze wydał za mąż.

Cieszył się, gdy go odwiedzili synowie z żonami, córki z mężami, gdy go wnuki i prawnuki otaczali; bo dał mu Bóg w błogosławieństwie swojem lat 80 przeżyć. Ale do końca dni swoich żadnemu z synów gospodarstwa nie zdał, nie chcąc (jak mawiał(przejść na łaskę dzieci, i aby nie patrzeć na odmianę swego gospodarowania.

Nietylko rodzina kochała i szanowała Jana Pawelca, ale i sąsiedzi dali dowód zaufania, obierając go jednozgodnie sołtysem, które to dość trudne nieraz obowiązki z zadowoleniem dworu i gromady przeszło lat 30 sprawował; słowem, iż w każdym razie życiem cnotliwem i użytecznem starał się na łaskę i błogosławieństwo Boże zasługiwać.

Szczęścia drugim nie zazdrościł, ale i owszem z dobrego powodzenia bliźnich cieszył się najgoręcej, z biednym i potrzebującym dzielił się chętnie chlebem, jaki miał z łaski Boga; kłótni wszelkich nie cierpiał, a swarzących się umiał trafnie do zgody nakłonić.

Z żoną żył uczciwie i przykładnie, a tak ją wprawił do porządku, iż domek ich wyglądał jakby jaki dworek; kto wszedł do niego, to mu się wyjść nie chciało, tak tam było schludnie. Pawelec wiedział, że porządek jest źródłem dostatku, a czystość ochroną zdrowia; nie trzymał też cielęcia i prosiąt w izbie, a dbał o to bardzo, aby powietrze w mieszkaniu było czyste.

Aż się miło oddychało, wszedłszy do ich mieszkania czysto wymiecionego, gdzie stoły i ławy, stołki i wszelkie statki poszorowane, żeby się w nich przejrzeć można, a każda rzecz na swojem miejscu. Łóżka porządnie usłane, święte obrazy w ramach za szkłem na ścianie, doniczki z lakiem i z rezedką na oknach, kropielniczka z wodą święconą przy drzwiach, gromnica i wianki święcone nad obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, na pułkach miski i garnki, w dwóch okutych skrzynkach poskładana odzież.

W komorze pełniusieńko rozmaitych zapasów żywności, w oborze tak czysto i wygodnie, jak u innych i w izbie tak nie jest. Zabudowania inne, jakoto: stodoła, chlewy, stajenka, kurnik, gołębnik, wszystkie całe, prosto stojące, bez dziur w dachach i podpór pod ścianami.

Sam Jan Pawelec założył obok domu piękny sad owocowy, a w nim dość liczną pasiekę i miał z jednego i z drugiego wygodę i przysmaki dla siebie i rodziny i dochód też niemały. Tak dalece rządność, gospodarność i patryarchalne życie jego zwracało na siebie uwagę, że dziedzice dóbr Maciejowickich, tak dawniejsi jak i późniejsi, niejednokrotnie dawali go za przykład innym

włościanom, a przybywających do siebie w gościnę obywateli, zawozili do Kobylnicy do osady Pawelca, aby im pokazać, do czego dojść może polski włościanin przy zamiłowaniu pracy, porządku i moralności.

Osiągnąwszy Pawelec lat sędziwych błogosławieństwo Boże na dzieciach i mieniu, często przemyśliwał o śmierci, a coraz gorętszą modlitwą przysposabiał się do przejścia z życia doczesnego w wieczne. Gdy go Bóg powołał do siebie, dozwolił mu zupełnej przytomności i gotowości na wezwanie Pana nad Pany. Opatrzony ŚŚ. Sakramentami pobłogosławił rodzinę, rozrządził majątkiem i zakończył żywot pełen uczciwej pracy w roku 1856.

W Bogu i w usiłowaniach obywateli nadzieja, iż kraj nasz będzie coraz więcej obfitował w takich włościan jak Jan Pawelec. Wioski nasze i pola inną przybiorą postać, polepszy się społeczność ludzka, ustąpią nędze i utrapienia w ślad za nierządem idące, zmienią się nałogi niedbałych rolników, a zakwitnie dobry byt, trzeźwość, spokojność, pracowitość, prawdziwa bogobojność, i o ile można na tym świecie, istotne szczęście śród naszego kochanego, poczciwego ludu.

Złocisty krzyż z nieba.

Kiedy Maurowie, naród afrykański, podbili Hiszpanią i ujarzmili większą część tego pięknego kraju, zdarzyło się około 1230 roku, że pewien kapłan imieniem Jan Perez, wpadłszy w ręce niewiernych, stawiony był przed emirem Zeith-Abuley panującym w Karawaka, mieście w królestwie Mauryi.

— Ktoś ty jest? — pyta barbarzyniec swego niewolnika, widząc niezwykły ubiór jego, a przedewszystkiem wyraz spokoju i godności jego oblicza.

— Jestem kapłan prawdziwego Boga — odpowie Perez.

— Co znaczy kapłan chrześcijański, jaka jego władza? — pyta dalej muzułmanin.

— Władza jego — odpowie Perez — przewyższa władzę wszystkich monarchów; kilku słowami może on samego Boga z nieba na ziemię sprowadzić.

Król i wszyscy obecni rozśmiali się na te słowa, biorąc je za próżne przechwałki, twierdzili, że to rzecz niepodobna.

— Jeśliś taki wszechmocny — rzecze Zeith-Abuley — pokaż nam to, uczyń to przed nami.

Kapłan bardzo uradowany oświadczył, że niema potrzebnych do tego rzeczy: ornatu, kielicha i t. d.

Król natychmiast wysłał gońca do pobliskiego miasta, żeby mu wszystkiego dostarczono.

Czternastego września, w dniu, kiedy Kościół św. obchodzi Podwyższenie Krzyża świętego, książę muzułmański i cały dwór jego, ciekawi chrześcijańskiego nabożeństwa, zgromadzili się w sali pałacowej zamienionej na kaplicę. Kapłan przybrany w święte szaty przystępuje do ołtarza... lecz spostrzega, że niema krzyża, jak to przepisują rubryki kościelne. O Boże! zapomniał sprowadzić krzyża... Strwożony i zasmucony nie wie co czynić, czy odprawiać Mszę św., czy jej zaniechać... błaga o pomoc Boską... gdy wtem niebo się otwiera, dwaj jaśniejący Aniołowie stawiają na ołtarzu wielki złocisty krzyż, oznajmując kapłanowi, że się w nim znajduje cząstka prawdziwego drzewa, na którym Syn Boży umarł. Perez w uniesieniu radości, z gorącem nabożeństwem odprawuje Mszę św.

Król i muzułmanie obecni tak się przelękli widoku Aniołów, iż sądząc, że to są chrześcijańscy bogowie, upadli na twarz jak nieżywi... Lecz jakże się jeszcze zdumieli, kiedy po konsekracyi ujrzeli w Hostyi prześliczne jaśniejsze nad słońce Dzieciątko!... Oświecony przytem łaską Bożą, Zeith-Abuley otworzył serce dla wiary świętej żałując, że tak długo nie znał prawdziwego Boga. Wkrótce potem, nauczony tajemnic wiary, przyjął Chrzest św. z całym dworem i wielką liczbą Maurów, zbiegających się ze wszystkich stron na rozgłos tak wielkich cudów.

Zeith-Abuley uwolnił wszystkich więźniów chrześcijaskich, zbudował piękny kościół, żył długo świątobliwie i umarł mając lat 82 w dniu Podwyższenia Krzyża świętego, w rocznicę cudownego objawienia, którem Pan Bóg litościwie pociągnął go do siebie.

Taki jest początek świętego hiszpańskiego krzyża, zwanego Karawaka, od miasta tegoż imienia, w którem się dotąd przechowuje. Na pamiątkę tego cudu odbywa się corocznie uroczysta procesya wśród tłumu pielgrzymów przybywających z najodleglejszych krajów. Procesya udaje się do pewnego źródła kratą otoczonego; tam zanurzają krzyż święty do wody, która nabiera cudownej własności leczenia wszystkich chorób.

Nadto, krzyż ten drewniany, pozłacany, szerokości dwóch dłoni, od 600 lat czczony w kościele, wydaje się tak nowym i świeżym, jak gdyby dziś z nieba był przyniesionym.

Piosnka przy orce.

Hej wiosenka z Boskiej woli,
Z nieba słonko się uśmiecha,
Śniegi zeszły z miękkiej roli,
Będzie praca i pociecha,
    Skąpo żyta już w stodole,
    Dalej wołki, dalej w pole!

Orz mój wołku, znojów bracie,
Kiedy głodno, smutno w chacie,
Ty z obory — ja z komory
Wypatrujem jakby z mory,
    Nikt nie wzmoże, nikt nic nie da,
    Tobie bieda i nam bieda!

Dalej szczerze, nie leniwie
Krajcie rolę, bo po żniwie
Będzie w domu ziarno, słoma
I podzielim się z wieloma.
    Skiba pada w lewo, w prawo
    Dalej wołki, dalej żwawo!

Orzcie, orzcie świętą rolę
Dostaniecie świeżą paszę,
Miło poczuć pot na czole,
Bo to nasze, bo to nasze,
    Bo na własnem człek bogaty
    Dalej płowy! ho srokaty!

Oj na niebie chmury, chmury,
Ale Jezus tam u góry!
Spojrzyj na nas, wielki Boże!
Niech Twa dobroć nam pomoże!

Kilka szczegółów z życia Stanisława Leszczyńskiego
króla polskiego.

Stanisław Leszczyński, król polski, który panował od roku 1704 do 1709, a następnie był księciem Lotaryngii i podarowanej mu przez króla francuskiego Ludwika XV (jego zięcia), posiadał nader piękne przymioty duszy, a mianowicie: szlachetność, dobroć serca i miłość dla nieszczęśliwych, zkąd mu nawet nadano przydomek *dobroczynnego*.



ORACZ.

Kilka szczegółów z jego życia niżej podanych, dowodzą najlepiej, że przydomek ten był zupełnie zasłużony.

Książe ten, syn Rafała Leszczyńskiego, wojewody poznańskiego, będąc jeszcze chłopięciem i widząc prowadzonego do więzienia z rozkazu wojewody jednego z domowników za jakieś przewinienie, pobiegł ze łzami w oczach do ojca, prosząc o łaskę dla niego, a kiedy mu jej odmówiono, był niepocieszony. Nazajutrz wymknąwszy się cichaczem z domu, pobiegł dowiedzieć się jak się ma więzień.

— Jak ten, co żyje o chlebie i wodzie — odpowiedziano mu.

Chłopiec nie mógł przenieść tego, aby przynajmniej nie osłodzić przykrości więzienia skazanemu dostarczaniem mu lepszego pokarmu. Prośbami i obietnicami udało mu się zjednać sobie dozorcę więzienia o tyle, że ten przyrzekł uprzedzić więźnia, iżby o pewnej umówionej godzinie znajdował się przy oknie.

Uradowany tym początkiem Stanisław, wraca do zamku i zwierza się jednemu z dworzan ze swego zamiaru, i naradza się z nim wspólnie nad sposobami wykonania go. Zaopatrzywszy się w koszyk z żywnością i w długą tyczkę, udają się obaj wieczorem pod okna więzienia.

Ale tam spotyka ich nowa trudność; tyczka za krótka. Co tu robić? Dworzanin radzi wrócić się do domu.

— Zaczekaj! — woła malec — przychodzi mi myśl; postaw mnie na swoich ramionach, a może dosięgnę tyczką okna.

Jakoż dosięgnął go rzeczywiście, i można sobie wyobrazić radość, jakiej doznał z przezwyciężenia przeszkody, która zdawała się kłaść nieprzebytą tamę w przyniesieniu ulgi cierpiącemu.

Zdolny do podobnego czynu w ósmym roku życia, Stanisław musiał zasłużyć, będąc potem na tronie, na imię »dobroczynnego«.

* * *

Pewnego dnia, kiedy (będąc księciem Lotaryngii) przeglądał materyały przygotowane do budowy jednej części swego pałacu, ze świtą oficerów garnizonu miasta Nancy, jeden z nich na widok masy robotników pochylonych nad kamieniami, które obrabiali, rzekł dosyć głośno, tak, że słyszał król i robotnicy:

— Oto trzoda bydła, kująca kamienie!

— Bardzo się pan mylisz — odrzekł król z żywością — wszyscy ludzie są ludźmi, a ci, których widzisz, tem więcej zasługują na szacunek i poważanie, że są ludźmi użytecznemi.

I wchodząc równocześnie w środek pracowni oglądał robotę i chwalił robotników.

Opuściwszy pracownię poszedł król dalej na przechadzkę, a wracając zastał robotników przy podwieczorku posilających się

chlebem i zapijających go wodą. Chcąc wprowadzić ich w dobry humor i rozwiązać języki, kazał uczęstować ich hojnie winem, co gdy nastąpiło, zasiadł pomiędzy nimi na kamieniu, i aby dać nauczkę oficerom za to, że sobie lekceważą stan robotniczy, zaczął porównywać stan żołnierza ze stanem robotnika.

Różne były zdania robotników, ale rozmową kierował król tak, że w końcu wypadło, że robotnik stoi wyżej od żołnierza i pożyteczniejszym jest dla kraju.

Oficerowie połapali się i odtąd nigdy wobec króla nie odzywali się lekceważąco o robotnikach.

Ten rys, jakkolwiek dobry, oprócz nauki moralnej, przedstawia także wysoką mądrość i dobroć serca króla Stanisława.

O rozmaitych zwyczajach u zwierząt.

(Pogadanka naukowa).

Wszędzie, gdzie spojrzymy, widać mądrość i dobroć Boga. Czasem wyraźniej to widać u zwierząt aniżeli u człowieka, ponieważ niema woli i na włos tak wszystko zrobi jak Bóg przykazał, kiedy człowiek wolną swoją wolą często inaczej działa, aniżeli Bóg przeznaczył i przykazał.

Bóg nie dał zwierzętom rozumu tak jak ludziom, lecz tak urządził naturę każdego zwierzęcia, że według rozumu Boga postępuje i wykonuje wszystko. Każdemu zwierzęciu Bóg dał pewne przeznaczenie i środki i drogę wyznaczył, aby każde wypełniło swoje przeznaczenie.

Zwierzę rozumnie postępuje, lecz to nie rozum zwierzęcia lecz rozum Stwórcy, który rozumnie ułożył naturę zwierzęcia. Zegarek mądrze chodzi i wskazuje godziny, lecz to nie rozum zegarka, lecz rozum tego, kto zegarek wynalazł i złożył.

Dziwnem jest, jak zwierzęta uczą swoje młode.

Bocian i bocianica uczą z wielką rozwagą i troskliwością młode, jak mają stawiać nogi po bocianiemu. Pokazują to młodym a potem patrzą, czy dobrze po nich naśladują. Jeżeli młode nie uważają dobrze, to stare dziobem je dziobną.

Jak stać na jednej nodze, jak kręcić karkiem, jak skrzydeł używać do latania, tego wszystkiego uczą się młode bociany od starych i muszą przejść cały kurs nauki. Bardzo niezgrabnie biorą się młode bociany do latania, a stare okazują przy uczeniu wiele cierpliwości.

Bocian i bocianica pokazują równocześnie młodym, jak mają używać skrzydeł i jak mają niemi poruszać, wznoszą się nieco w górę i zaraz znowu spuszczają i tak długo to powtarzają, póki

młode nie zaczną ich naśladować. Dopiero teraz idzie nauka dalej. Stare okrążają gniazdo, coraz większe robiąc koła, póki młode nie nabiorą zupełnej wprawy w lataniu. Nakoniec wylatują stare z młodymi na łąki i uczą ich tu łapać żaby i inne robactwo.

Każdy może łatwo się przekonać jak *kot* uczy kocięta, bo to domowe zwierzę, w każdym domu jest kot. Łapie kot mysz i przynosi żywą przed kocię. Stara puszcza mysz, która zaczyna uciekać. Lecz wtem stara puszcza się za nią i znowu chwyta, póki kocię nie rzuci się zgrabnie na mysz, nie chwyci takowej, która się staje pierwszą jego zdobyczą.

U niektórych zwierząt widać życie rodzinne, małżeńskie. Niejeden ptak, samiec, wyręcza samicę, siada na jajach, aby zwolnić małżonkę, albo towarzyszy jej, kiedy musi wylęgać jaja, aby się jej nie nudziło.

Czasem samiec pomaga samicy we wychowaniu młodych.

Kogut zawsze jest otoczony swoją rodziną i chodzi z nią po podwórzu. Zachowuje kogut przy tem wielką powagę, a zarazem grzeczność dla kur. Okazuje się kogut obrońcą całej kurzej gromady. Skoro znajdzie ziarnko, zwołuje całą rodzinę i oddaje jej wspaniałomyślnie co znalazł.

Jeżeli niezgoda powstaje pomiędzy kurami, zaraz się kończy, skoro kogut wda się w sprawę. Żadnemu kurczęciu nie wolno zapiać »kikeriki« przed kogutem. Kiedy kogut usłyszy, jak kura oznajmia, że zniosła jaje, zaraz przylatuje i głośno z nią okazuje swą radość. Lecz kiedy się sprowadzi innego obcego koguta na podwórze, zaraz powstaje zazdrosna walka, która się rzeczywiście nieraz krwawo kończy.

W instynkcie, czyli w naturze zwierząt jest też godnem podziwu, jak się zwierzęta zachowują wobec swych nieprzyjaciół.

Dziwnem jest, jak każde zwierzę poznaje swego nieprzyjaciela, jak go się strzeże, jak się przed nim broni. Jeżeli się wpuści do młodej salamandry w szklankę pijawkę, której salamandra nigdy nie widziała, zaraz widać strach przed nieprzyjacielem u salamandry.

Możeby kto myślał, że pijawka wydaje jaką woń nieprzyjemną dla salamandry. Lecz tak nie jest, bo jeżeli się przedzieli szklankę szkłem na dwie połowy, z której w jednej znajduje się salamandra a w drugiej pijawka, to mimo przedziału salamandra okazuje strach. Jeżeli przedział jest nie przejrzysty, wtenczas wszystko spokojne.

Tak się dzieje u wszystkich zwierząt oprócz domowych, u których w ogóle instynkt się zaciera skutkiem przestawania z ludźmi.

Tylko ślepy instynkt pokazuje nieprzyjaciela zwierzęcia, gdzie braknie instynktu, tam zwierzę wchodzi nieprzyjacielowi w paszczę.

Mrówkojad wtyka długi język wprost w mrowisko. Mrówki siadają kupami na język, a mrówkojad połyka je wciągając język. Mrówki nie widzą niebezpieczeństwa, choć są to zresztą bardzo mądre swierzątka, bo tu milczy instynkt.

Często jednak instynkt prowadzi zwierzęta wprost w niebezpieczeństwo. Komar, który umie uciekać przed śmiercią, nie może się oprzeć pokusie, aby się przybliżyć do światła, choć widzi pełno ciał zniszczonych swych krewniaków przy świecy. Instynkt prowadzi go do tego, aby się ugrzać przy świetle i gubi go.

Instynkt służy zwierzętom tylko w naturalnych stosunkach, skoro natura sztuką zakryta, ustaje instynkt. Zwierzęta, które unikają naturalnej trucizny, pożywają takową skoro jest w jakim pokarmie.

Sztucznego niebezpieczeństwa, które człowiek stawia zwierzęciu, takowe nie widzi. Mucha patrzy na to, jak setki innych much męczy się na papierze lepkim, a jednak siada na lep. Zwierzęta najdowcipniejsze i najostrożniejsze wpadają w najprostszą zasadzkę i wracają do niej, chociaż z wielkiem niebezpieczeństwem jej uszły. Lis szczwany nieraz wpadłszy w łapkę ugryza sobie nogę, aby uzyskać wolność, lecz przy najbliższej sposobności znowu się łapie, nie pouczony doświadczeniem. Tylko zwierzęta wychowane przez człowieka, robią doświadczenia i korzystają z nich.

Ciekawą rzeczą jest też, jak zwierzęta chronią się przed nieprzyjacielem i jak z nim walczą.

Jeż nie wdaje się wcale we walkę, zwija się w kłębek, najeża kolce i spokojnie leży wiedząc, że mu nikt nic nie może zrobić. *Lis* macza ogon w gryzącym mokszu i pryska nim psom w oczy. *Tchórz* w Ameryce ma sok nader śmierdzący w pęcherzynie, którym opryskuje przeciwników aby mu dali pokój. *Atramentnik*, ryba, wydaje ze siebie czarny sok kiedy większa ryba ją ściga, przez co woda się mąci i nie widać co w niej się znajduje. *Pająki* w niebezpieczeństwie udają, że nie żyją i pozostają tak przez wiele godzin, nie ruszając się.

To są wszystko cuda natury, czyli Boskie, bo naturę urządził Bóg.

O czarcie, którego żandarmi złapali.

(Powiastka z prawdziwego zdarzenia).

»A słowo Pańskie ciałem się stało,
Ratuj mię, święty Antoni!
Coś jakby na mnie z krzaka wołało —
I jakby za mną coś goni!...«

Tak krzyczy Wojciech i spieszy drogą,
Kijem wokoło wywija —
Wtem się o kamień potyka nogą —
I nos nieborak rozbija.
Nie wiedząc biedny, co się z nim dzieje,
Jeszcze się bardziej udziera —
Wtem jakieś widmo w głos się rozśmieje
I tak doń usta otwiera:
»Co ci to chłopie, że tak uciekasz?
Czyś co zobaczył strasznego?
Co jest przyczyną, że tak narzekasz?
Wstań nie rób z siebie głupiego!«
I coraz bliżej doń się przysuwa
Czerwona postać straszydła —
I płaszcz ognisty na ziemię zsuwa,
Aby roztoczyć swe skrzydła.
Roztoczył upiór — tuż ponad głową
Leżącej w błocie ofiary —
Chłop drży bojaźnią przejęty nową
Na widok strasznej poczwary...
»Uhuhu! uhu!« zaryczał Czarny
I trzykroć trzasnął skrzydłami —
Zlękły się w lesie drzemiące sarny:
Poczęły zmykać stadami.
Chłop leży w błocie, nic się nie rusza,
Ciągle na pomoc przyzywa,
Lecz ani żywa jawi się dusza,
Ni żaden Święty przybywa...
Szatan z rękawa cyrograf dobył
I tak do chłopa zagada:
»Abyś się chłopie biedy swej pozbył,
Na to jedyna jest rada:
Na tym papierze, który ci daję,
Masz mi zapisać swą duszę,
A jak nie zrobisz, co ja ci raję,
To cię na miejscu uduszę«.
To rzekłszy Czarny, ręką łapie
Biednego Wojtka za szyje
I pazurami ostrymi drapie,
Depce nogami i bije.
»Dawaj mi duszę albo pieniądze!
Ja wiem, tyś chłopie bogaty,
Zaspokój moją szatańską żądze,
Inaczej, nie ujrzysz chaty!...«

»Uhuhu! uhu! wciąż nad nim ryczy,
Strasznemi trzaska skrzydłami —
I pewien swojej rzadkiej zdobyczy
Dusi Wojciecha szponami...
Wtem dwóch żandarmów nagle wyskoczy,
Co tuż za drzewem siedzieli
I, co on broił, na własne oczy
Jak najdokładniej widzieli.
»A tuś mi ptaszku!« krzyknęli oba
I czarta za łeb złapali —
»My na takiego, jakeś ty, draba
Już od miesiąca czyhali«.
Toż łańcuszkami skuwszy mu ręce,
Do wsi go z chłopem zabrali
I tam u wójta o całej męce
Protokół wielki spisali...

L. Młynek ze Sierczy.

Słówko o uprawie roślin lekarskich.

Każdy człowiek ma tyle poznania, iż wie, że kiedy Bóg nawiedza człowieka chorobą, to zarazem daje mu rozum, którym się kierując, wynajdzie środki do wyleczenia się z tej choroby.

Do bardzo dobrych i skutecznych środków lekarskich należą niektóre *rośliny* i zioła, rosnące dziko na polach lub uprawiane w ogrodach.

Te, które uprawiane bywają po ogrodach, są w lepszym gatunku i większej wartości; dziko rosnące można także ulepszyć, jeżeli się je uprawia w ogrodzie.

Rośliny lekarskie sadzić trzeba w ogrodzie w miejscu otwartem. Z jednych roślin służą liście lub kwiat za lekarstwo na choroby ludzkie, z innych znowu sam korzeń.

Jeżeli *korzeń* jest lekarstwem, to powinien być wykopany z wiosną, starannie wypłukany i ususzony w piecu po chlebie. *Kwiat* zaś należy zebrać przed zupełnem okwitnięciem i wysuszyć na słońcu. *Liście* powinny być zbierane zanim roślina zacznie kwitnąć; im młodsze, tem lepsze, a suszyć je trzeba także na słońcu, przechowywać zaś w miejscu nie wilgotnem i przewietrzać często.

Przejdźmy teraz do roślin poszczególnie.

Krwawnik. Roślina ta dobrze znana, gdyż rośnie wszędzie, łodyga więcej łokciowa, kwitnie przez lato biało lub cielisto. Do lekarstw bierze się wierzch kwiatowy i liście. Jako lekarstwo

używa się wewnątrz na zmocnienie i pobudzanie, zewnątrz zaś na okładanie ran i wrzodów, lub uśmierzenie krwotoków. Rozmnaża się lub z nasienia, lub z odkładów korzeni.

Malina. Roślina kilkoletnia, rośnie bardzo wysoko, kwitnie w lato w różnych kolorach, mnoży się z nasienia; własność lekarska taż sama co i ślazu, o którym zaraz niżej powiemy.

Ślaz lekarski. Roślina trwała, rośnie wysoko, rozmnaża się z nasienia lub korzonków. Gruntu wymaga mocnego, gliniastego, uprawy głębokiej, z wiosny rozsadza się na 18 cali roślinę od rośliny. Kwitnie latem biało lub różowo. Do lekarstw służy odwar korzenia ślazowego, używa się w kaszlach, chorobach piersi i t. p. Pod wyrazem *odwar* rozumiemy zwykle wygotowanie pokrajanego korzenia, co następnie przecedzone, używa się za napój. Liście używają się u ludu do okładania w rozmiękczaniu wrzodów.

Rumianek pospolity. Roślina jednoletnia, korzeń trwały, rośnie nisko, kwiat biały, pachnący, kwitnie w końcu lata. Ziemię lubi suchą, mnoży się lub z nasienia lub rozdzielając korzenie. Do użytku lekarskiego służy kwiat. Skutki dla zdrowia znakomite w cierpieniach żołądkowych, do aptek jest poszukiwanym. Rumianek rzymski mniej używany bywa w medycynie, zawiere bowiem mniej pierwiastku wonnego jak pospolity, za to więcej goryczy.

Koper włoski. Roślina dwuletnia, łodyga wysoka gałęziasta, liście pierzaste, ziemi potrzebuje kruchej, piasczystej, głęboko przekopanej. Zasiewać ją należy pierwej na rozsadnikach, a następnie rozsadzać co 18 cali. Korzenie okryć na zimę. Do lekarstw używa się naparu z nasion w kolkach i bólach żołądkowych. Naparem zowią aptecznie, nalanie ziół lub nasienia wrzącą wodą tak, jak się przyrządza zwyczajna herbata.

Piołun. Nie potrzebuje opisania, gdyż jest dobrze znany. Skutki lekarskie wzmacniające, do czego używa się naparu z liści i kwiatów.

Nagiet pospolity. Roślina jednoletnia, łodyga pół łokciowa, kwitnie pomarańczowo od lipca do września, sieje się wprost w grunt z wiosny, rośnie w każdym gruncie, lubi wystawę otwartą. Do użytku lekarskiego służą kwiaty, uśmierzają kurcze, rozgrzewają, sprawiają poty. Nagiet rosnący może służyć jako przepowiednia pogody lub deszczu: jeżeli kwiat otwiera się zaraz z rana, spodziewać się należy pogody, jeżeli zaś nie otwiera kwiatów do południa, to deszcz najniezawodniejszy.

Pieprz turecki. Roślina roczna, łodyga pół łokciowa, kwiat biały, owoc pąsowy. Zasiewa się w rozsadnikach, następnie w maju przesadza w pół łokciowych odstępach. Owoc i ziarna mają ostrość i używają się w cierpieniach żołądkowych, oraz na synopizma.

Kardy Benedyktyńskie. Roślina roczna, łodyga łokciowa, gałęzista, liście podługowate, kwiat żółty; sieje się w gruncie tłustym, o łokieć roślina od rośliny. Do lekarstw używa się liści i kwiatów w febrach, żółtaczkach.

Kmin włoski. Roślina dwuletnia, łodyga około dwóch łokci wysoka, liście do kopru podobne. Zasiewa się z jesieni zaraz po dojrzeniu nasion, w gruncie dobrze uprawnym. Hoduje się dla nasion, które do aptek zakupują, używa się jako środek przeciw kolkom.

Melisa turecka. Roślina roczna, łodyga prosta pół łokciowa, sieje się z wiosny prosto w grunt. Skutki tej rośliny lekarskie są rozgrzewające, do czego używają się liście. Z kwiatu miód pszczoły chciwie zbierają.

Lawenda. Roślina trwała, łodyga pół łokciowa, kwitnie od lipca do września. Rozmnaża się z korzenia. Zimę w gruncie wytrzymuje. Lekarskie ma wielkie zalety do zewnętrznego i wewnętrznego użycia, jako rzecz ochładzająca. Do lekarstw używa się kwiatu i liści.

Lubczyk. Roślina dwuletnia, łodyga trzy łokciowa, kwiat żółty, kwitnie w czerwcu, zasiewa się w rozsadnikach, następnie przesadza. Do lekarstw dla ludzi używają się korzenie, liście i nasiona. Skutki są wzmacniające, pot sprawiające. Korzenie i liście dają się od kaszlu koniom, bydłu, mianowicie owcom. Dla pomnożenia mleka daje się krowom odwar z korzenia. Zewnątrz użyty goi krosty i rany.

Melilot zwyczajny. Roślina roczna, łodyga dwu łokciowa, sieje się w grunt, kwiaty żółte. Własności lekarskie odmiękczające, sporządzają z niej tak zwane plastry melilotowe.

Mięta kędzierzawa. Roślina dwuletnia powszechnie znana, zrzyna się przed rozkwitnięciem i drugi raz odrasta w ciągu roku. Napar z liści służy w cierpieniach żołądkowych. Zewnątrz w materacykach ulgę robi w fluksyi i cierpieniach reumatycznych. W leczeniu zwierząt używa się w gorączkach i paraliżach.

Czarnuszka ogrodowa. Roślina roczna, rośnie nisko, rozmnaża z nasienia siana prosto w grunt, kwiat biały, nasienie czarne. Skutki lekarskie pędzące do czego się używa nasienia.

Anyż. Roślina roczna, łodyga gałęziasta półtora łokciowa. Do lekarstw używa się nasienia. Dla zwierząt w chorobach płuc bardzo pomocna.

Chrzan. Roślina dobrze znana, gdyż jest oniemal wszędzie i sama się rozmnaża, pominiętym być nie może w spisie roślin lekarskich, gdyż ma własność rozgrzewającą i wzmacniającą.

Rozmaryn. Roślina dwuletnia, krzew niski zawsze zielony rozmnaża się z nasienia, liście i kwiatowe wierzchołki mają

skutki orzeźwiające, działają na niestrawność i w kobiecych słabościach.

Ruta ogrodowa. Roślina dwuletnia, łodyga łokciowa, kwitnie żółto w lipcu i sierpniu, rozmnaża się z nasion w każdym gruncie. Do użycia lekarskiego zbierają się młode listki. Ruta działa mocno na żołądek, liście szczególniej w stanie świeżym pobudzają do potów i działają przeciw kurczom. W chorobach końskich używa się zewnątrz do obładania opuchłych części.

Szałwia. Roślina dwuletnia, łodyga drzewiasta, rozmnaża się z nasienia na każdej ziemi. Liście i kwiaty na użytek służą, do lekarstw tak dla ludzi jak i dla bydła. Skutki lekarskie są rozdzielające i opierające się zgniliźnie. Używa się przeciw zbytnim potom, płynieniu mleka z piersi, do płukania zębów, gardła, oraz przemywania ran nieczystych.

Bez czarny. Roślina drzewna, powszechnie znana, mnoży się najlepiej z nasion, lubi ziemię tłustą, kruchą, wilgotną. Do lekarskiego użytku zbierają się szczególniej kwiaty. Korę z średnich gałęzi zdejmują na wiosnę i wyciskają z niej sok. Jagody suszą się do zachowania. Kora używa się jako środek lekko zwalniający żołądek i dla wywołania wymiotów. Napar z kwiatów lub jagody wywołują poty; kwiat służy również do płukania gardła.

Gorczyca biała. Roślina jednoletnia, łokciowa, kwitnie żółto w czerwcu i lipcu. Nasienie używa się do synapizmów, kupują je też fabryki wyrabiające musztardę.

Fiołek. Korzeń pobudza do wymiotów, a liście i kwiatów używa się w chorobach dziecinnych lecz nie gorączkowych.

Z tych oto roślin można mieć w domu apteczkę lekarską i w chwilach słabości dopomódz sobie i bliźnim.

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 3 „Nowin i Rozmaitości“.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 1 Maja 1896. Nr 7.



Przedpłata na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami* i *Rozmaitościami* wynosi w **Galicyi**:
rocznie: **2** złr. **50** ct.
półrocznie: **1** złr. **25** ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **5** mk.
W Ameryce rocznie: 1½ dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Od Wydawnictwa.

Takich więcej!

Po świętach wielkanocnych, a więc w niedawnych dniach, rozesłaliśmy już blisko **50** książek do nabożeństwa: **„Droga do nieba“** jako nagrody tym, którzy pozyskali nam podczas świąt po **3-ech** nowych prenumeratorów.

Widać, że kto chce, to może pismo rozszerzyć; odrobinę tylko dobrej woli potrzeba, a można się i pismu przysłużyć i zyskać jeszcze w nagrodę za to piękną książkę do nabożeństwa.

Ktoby chciał iść śladem takich poczciwych i życzliwych Czytelników, i otrzymać wspomnianą wyżej książkę, niech się stara o **trzech nowych prenumeratorów** i powie im, że każdy z nich może otrzymać jeszcze, gdyby się teraz zgłosił, **wszystkie zeszyty** *Nowego Dzwonka* **od początku roku**, ale musi się zgłosić z prenumeratą jak najwcześniej, gdyż zapas tych numerów początkowych jest niewielki i później może ich zabraknąć.

Zwracamy uwagę

wszystkich Szan. Czytelników na nasze ogłoszenie podane na 3-ciej stronie okładki, odnoszące się do wydawnictwa **„Żywota Pana Je-**

zusa i Najśw. Maryi Panny". Radzimy nabyć to dzieło przez nadsyłanie prenumeraty **teraz**, bo tą drogą nabędzie się tę książkę o **połowę taniej**, niż później.

Prosimy także

zalegających z resztą prenumeraty, czyli opóźniających się z nadesłaniem dopłaty (1 złr.) o jak **najrychlejsze** jej uiszczenie, bo przez takie ociąganie się ze strony Szan. Czytelników, wydawnictwo nasze narażone jest na wielkie trudności i opóźnianie się.

Zwracamy także i na to uwagę, że *Nowy Dzwonek* wychodzi obecnie dwa razy w miesiącu **dla wszystkich**, a więc nie możemy go posyłać jednym raz w miesiącu, a drugim dwa razy, bo to jest dla nas niemożliwem, a dla Czytelników nie miałoby pismo żadnego pożytku, gdyby odbierali tylko co drugi numer, boby im połowę numerów przez to brakowało. Skoro prawie wszyscy zgodzili się i prosili nas o wydawanie pisma dwa razy w miesiącu, to dla tych kilkunastu niezgadzających się na to, nie możemy robić jakichś wyjątków i inaczej pismo wydawać. Mniejszość musi się zawsze stosować do większości. Przez tego jednego reńskiego dopłaty, nikt z Was nie zubożeje, a za to ma się gazetkę częściej.

Gdyby wieśniacy mniej dawali zarabiać żydom, toby każdego z Was staćby było nie na jedną, ale na dwie i trzy gazetki, a przy oświacie wnetby zupełnie inaczej wyglądały nasze wioski. Trzeba tylko chcieć to zrozumieć i nie bać się światła, które Wam niosą gazetki i książki i nie żałować na nie grosza.

Królowa Korony Polskiej.

Już od dziecka każdy z nas śpiewał i śpiewa w Litanii do Najśw. Maryi Panny te słowa: »Królowo Korony Polskiej módl się za nami«, a niejeden nie wie, dla czego to Matkę Boską tak nazywamy. Otóż posłuchajcie:

Żaden kraj w świecie tyle nie był narażony na cierpienia i klęski i ciężkie a krwawe walki, co nasza kochana Polska. Nie myślała ona nigdy o tem, aby zabierać cudze kraje, nie dawała nikomu powodu do wojny i nie krzywdziła nikogo, a jednak ciężko walczyć musiała, aby obronić się przed chciwością sąsiadów. I Krzyżacy i Niemcy i Moskale i Turcy i Tatarzy, wszyscy ją skubali ze wszystkich stron, że aż czasem trudno się było opędzić, a jak Turcy napadli na Niemców, wtenczas ci stali się potulnymi i tak prosili i tak błagali, że nasi musieli ich jeszcze obronić pod Wiedniem.

Nie dosyć na tem, że sąsiedzi Polskę szarpali — z za morza nawet przybywali nieprzyjaciele i ciężkie jej zadawali klęski, a byli to Szwedzi.

Już temu przeszło dwieście lat, jak panował w Polsce *Jan*

Kazimierz, król nieco słaby. Ten niepotrzebnie powadził się z jednym szlachcicem, Hieronimem Radziejowskim, który z żoną swą żył w niezgodzie i w tej kłótni małżeńskiej przez króla osądzonym został. Postanowił tedy Radziejowski zemścić się na królu i nie pomnąc na to, że zemsta jest grzechem, a zdrada Ojczyzny jest zbrodnią niesłychaną, poszedł do Szwedów i namówił ich, aby skorzystali z słabości króla i Polskę zagarnęli. Szwedom w to graj! Zaraz też zebrali liczne wojska, przeprawili się okrętami przez morze i wtargnęli do Wielkopolski, tj. do tej części kraju, której głównem miastem jest Poznań.

Polacy a zwłaszcza Wielkopolanie, bardzo się źle spisali. Zamiast chwycić za broń, a gdyby jej niebyło, za kosę lub cepy, stanąć przeciwko nieprzyjacielowi jak jeden mąż i splunąwszy w garść, walić co się zmieści i do upadłego bronić swej Ojczyzny, mieli wszyscy stracha i co żywo Szwedowi się poddali, a tak dalece się poniżyli, że króla szwedzkiego nawet opiekunem swoim nazywali. Zabrał też Szwed wszystko, co się dało, potem z Poznania wyruszył do Krakowa i Warszawy, a uciśniony naród odarł prawie ze skóry. Wszyscy upadli na duchu, nikt się nie bronił, sam król nawet uciekł do Szlązka, jedno tylko miejsce nie chciało się poddać Szwedowi, a tem był klasztór na Jasnej Górze w Częstochowie, słynący cudownym obrazem Najśw. Maryi Panny.

Gniewało to dumnego Szweda, że kiedy miasta, fortece zdobył, klasztor mu się poddać nie chce, a wiedząc, że w klasztorze tym są wielkie kosztowności, z gniewu i chciwości postanowił bądź co bądź klasztor zabrać i wysłał jenerała swego Millera, z dwudziestoma tysięcy wojska pod mury Częstochowy, gdzie zakonników i rycerzy było ze wszystkiem ze trzysta.

Okropna różnica — dwadzieścia tysięcy na trzystu! A jednak nasi nie upadli na duchu, bo mocną mieli wiarę i nadzieję w Bogu i w Opiece Najśw. Bogarodzicy. Może niejeden sądzi że ten, który tą garstką Polaków dowodził i zachęcał do wytrwania, musiał być dzielnym żołnierzem — tak jest był to żołnierz, ale żołnierz Boży, bo zakonnik, Przeor ks. Augustyn *Kordecki.* On był podporą wszystkich i kiedy nieraz rycerze stracili ducha, on ich rozgrzewał do walki i w białej swej szacie, jak anioł opiekuńczy stał wśród gradu kul na murach i trzymając krzyż wzniesiony do góry, dodawał otuchy.

Zrazu zdawało się Szwedom, że ten cichy klasztor z swą lichą załogą sprzątną tak sobie na śniadanie, ale okrutnie się omylili, bo ilekroć przypuścili szturm, takie od dzielnych obrońców Częstochowy dostawali poczęstne, że jak zmyci powracali do swego obozu. Jenerał Miller wściekał się ze złości. Siedząc w swym namiocie odgrażał się, że skoro klasztor zdobędzie, zburzy ołtarze

i całą świątynię w gruzy zamieni — ledwie dokończył tej groźby, aż tu nadlatuje kulka z klasztoru i tak trzepnęła Millera w ramię, że był w niebezpieczeństwie życia i z biedą się wylizał.

Już czterdzieści dni trwało oblężenie, które się Szwedom bardzo dało we znaki, ostatni więc natarczywy szturm przypuścili na klasztor w samo Boże Narodzenie, ale taką odebrali frycówkę, że ostać się nie mogli i od Częstochowy z wstydem odstąpić musieli.

Wtenczas wystąpił ks. Kordecki z chorągwią, na której był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i padłszy na kolana, na czele zakonników i rycerzy dziękował Bogu za zwycięztwo i Najśw. Pannie za opiekę. Po modlitwie powstał i zawołał głosem uroczystym, a głos jego brzmiał jakoby głos proroka: »O polski narodzie! gdybyś ty szczerze umiłował jedność, zgodę i sprawiedliwość, gdybyś ty poznał opiekę Boga, nad tobą, o polski narodzie, jakże byłbyś potężnym!«

Słowa te były wyrzutem dla całej Polski, bo czyż cały naród tego dokazać nie mógł, czego dokazała garstka trzystu wojowników? Słowa te i dla nas są i będą zawsze nauką, za którą idąc nie będziemy potrzebowali płakać nad naszą nędzą i niedolą.

Zwycięztwo klasztoru dodało otuchy całemu narodowi. Powstali Polacy w całym kraju, a pod wodzą sławnego hetmana, Stefana Czarnieckiego poczęli wymiatać Szwedów z kraju, aż się za nimi kurzyło. Wkrótce tak się uwinęli, że ani jeden Szwed, choćby na lekarstwo, nie pozostał, a król Jan Kazimierz powróciwszy ze Szlązka do Lwowa, dziś miasta stołecznego Galicyi, udał się nasamprzód do świątyni katedralnej, gdzie uroczystym ślubem oddał cały swój kraj pod opiekę Najśw. Maryi Panny, obierając Ją jako Królową Królestwa Polskiego, nadto ślubował, że zniesie nadużycia, jakie dotychczas były w kraju, że ulgę sprawi uciśnionym i jedność, miłość i zgodę szerzyć będzie w narodzie.

Odtąd Polacy śpiewają w Litanii: »Królowo Korony Polskiej, módl się za nami!«

MAJ.

Wszystko świeże w polu, w gaju
Wszystko świeże już,
Witaj, witaj miły maju,
Wskrzesicielu róż!

Ileż wdzięków i swobody
Zdobył sobie świat:
Żywioł wszelki świeży, młody,
Jak wśród rajskich lat!

Kwitną w polach kwiatki krasne,
Niecąc błogą woń,
A promienie słońca jasne
Blaskiem zdobią błoń.

W dolinach się srebrzą zdroje
Kryształowych wód;
Na pasiekach pszczółek roje
Ciągną z kwiatów miód.

Z pod błękitów sinej chmury
Słychać dźwięczną pieśń;
To skowronków tak brzmią chóry
Na Maryi cześć...

Wszelkich ptaszków pod niebiosy
Płynie wdzięczny wtór,
A z ich śpiewem ludzkie głosy
Tworzą jeden chór.

W pole idą małe dziatki
Barwne kwiatki rwać,
I za obraz Boskiej Matki
Będą wokół tkać.

Ferdynand Kuraś z Wielowsi.

O wsi Piotrowinie i o kościele tamże.

Na całej kuli ziemskiej niema z pewnością podobnej miejscowości, któraby odznaczała się historyczno-religijną pamiątką, a tak była zapomnianą, jak kościół w Piotrowinie.

Bywając w Warszawie zdarzało mi się spotykać księży nawet, nie wiedzących gdzie się odbył fakt wskrzeszenia Piotrowina.

Wieś tego nazwiska leży w południowej stronie gubernii Lubelskiej na prawym brzegu Wisły, pomiędzy osadami Opole i Józefów, naprost osady Solec, położonej na lewej stronie Wisły w gubernii Radomskiej.

Kościół Piotrowiński pierwotny sięgał pierwszych początków chrześcijaństwa, gdyż przed rokiem 1074 już istniał; w tym czasie panował w Polsce król Bolesław Śmiały, który chcąc rozszerzyć

granice swego państwa, przedsięwziął wyprawę na Kijów i podbiwszy go, kilka lat tam bezczynnie zostając oddawał się rozpustnym występkom, a za jego przykładem poszło i wojsko, i w końcu sprzykrzyło sobie bezczynne życie i opuściwszy króla do kraju bez jego wiedzy wracać poczęło; później i król dowiedziawszy się że i w kraju nie lepiej się dzieje, powróciwszy, dopuszczał się wielu okrucieństw.

Ówczesny Biskup krakowski Stanisław Szczepanowski nie mogąc obojętnem na takie nadużycia patrzeć okiem, prosił króla żeby zaprzestał niecnych swych postępków, przedstawiając mu zgorszenie narodu i odpowiedzialność przed Bogiem. Gdy prośby na umyśle Bolesława żadnego skutku nie wywarły, jako gorliwy pasterz kilkakrotnie go prywatnie napominał, a gdy i to pożądanego skutku nie osiągnęło, napomniał go publicznie w katedralnym kościele na Skałce, że jeżeli nie powróci na drogę uczciwą, wyłączy go ze społeczeństwa wiernych.

Lecz Bolesław zamiast poprawy myślał raczej o zemście. Nabycie w tym czasie przez Biskupa wsi *Piotrowin* dla kościoła katedralnego w Krakowie dało mu powód do prześladowania pasterza z tej przyczyny: wkrótce po sprzedaży wsi Piotrowina, zaszła śmierć Piotra Janiszewskiego, zwanego pospolicie Piotrowinem, a że nie było jeszcze przez dyptychy ogłoszone w kraju o sprzedaży wsi Piotrowina Biskupowi, król więc skorzystał ze sposobności, wzywa tedy Biskupa, żeby się stawił do sądu i legalne wsi posiadanie udowodnił.

Przybył właśnie w tym czasie Bolesław na łowy w bliskości Piotrowina, gdzie i Biskup stanął i odwołał się do naocznych świadków będących przy wypłacie należności, do dwóch synowców Piotra, lecz ci z bojaźni przed królem świadectwa odmówili. Nie mając więc Biskup żadnego prawnego dowodu własności posiadania wsi, uroczyście zapowiedział, że skoro nie ma świadków na ziemi, będzie ich szukał pod ziemią, i wtedy po trzech dniach modlitwy i postu staje nad grobem Piotra Janiszewskiego, pochowanego pod podłogą w kościele św. Tomasza Apostoła, i ufny w Boską pomoc i objawienie, w imię Boże powstać mu rozkazuje.

Natychmiast rozstępuje się podłoga, opada wieko trumny i trzyletni trup z niezmiernem zdziwieniem i przestrachem wszystkich obecnych powstaje, a obleczonego w albę kościelną, Biskup wziąwszy pod rękę, prowadzi przed króla przestraszonego i milczącego.

Nikt słowa przemówić się nie ważył, wówczas sam Piotr w te słowa przemówił; »jestem Piotr, który mam dać świadectwo prawdzie, przychodzę tu z krainy pokoju; temu Biskupowi ja wieś moją

Piotrowin za słuszną cenę sprzedałem i oddałem.« Króla i krewnych surowo upomniał, że męża świętego śmieli bez potrzeby niepokoić. Król przekonany tak niezbitem świadectwem, kupno potwierdził.

Odprowadzając Biskup swego świadka ze sądu do grobu, zapytał go czy dla pokuty niepragnąłby przedłużenia życia, odpowiedział że już większą część pokuty w czyścu odbył i nie chce powtórnie na niebezpieczeństwo pokus świata i grzechu narażać się, spodziewa się że przez modlitwy Biskupa od reszty kary uwolnionym będzie, i odprowadzony do miejsca spoczynku, powtórnie umarł.

Obecni dowiedzieć się pragnęli o rzeczach przyszłego świata, lecz on odpowiadał: macie pisma Mojżesza i proroków, nie dla nauki lecz dla dania świadectwa prawdzie przysłany zostałem. Usłyszały o tym fakcie sąsiednie narody i cieszyły się, że Bóg wsławił miłosierdzie swoje i dziękowały Mu, że tak wielką władzę udzielił ludziom.

Ten cud wzmocnił wiarę Polaków świeżo nawróconych, rozszerzył w całym świecie sławę narodu, i serca sąsiednich narodów do P. Boga nawrócił. Cud ten powstrzymał także na niejaki czas nadużycia Bolesława, lecz niedługo ochłonąwszy z wrażenia jakie na nim fakt ten wywarł, rozpoczął znowu swoje okrucieństwa. Nie mogąc tego dłużej znieść dobry pasterz, napomina go jeszcze raz i drugi, w końcu widząc, że wszystkie prośby, perswazye i upomnienia w żart obraca, w niedzielę z przed ołtarza w katedrze na Skałce rzuca klątwę na niego.

Uderzyła mocno ta rzecz umysł króla i odtąd tylko o pozbawieniu życia Stanisława myślał. Dalsza historya znana każdemu, a teraz wracam do kościoła.

Kościół w Piotrowinie wzniesiony został w stylu gotyckim w r. 1441 przez Zbigniewa Oleśnickiego, Biskupa krakowskiego i kardynała, który będąc jeszcze w wojsku, uczynił ślub, że gdy zostanie kapłanem, a w następstwie Biskupem krakowskim, wówczas to miejsce murem ozdobi. Fundacyę tę poświadcza wpuszczona w ścianę kościelną tablica kamienna wyobrażająca w płaskorzeźbie Zbigniewa ofiarującego kościół św. Stanisławowi z napisem: »Zbigneus Eppus Cracov. me fecit anno D. 1441,«; dalej Matkę Boską i św. Tomasza Apostoła Patrona kościoła. W kościele są trzy ołtarze, w wielkim obraz przedstawiający św. Stanisława z wskrzeszonym tu Piotrowinem, a od strony Epistoły obraz św. Tomasza Ap., zaś od strony Ewangelii obraz Matki Boskiej.

Znalazłszy Zbigniew pierwszy kościół modrzewiowy w dobrym jeszcze stanie, kazał go przewieść do miasteczka przez siebie założonego Biskupic o 3 mile za Lublinem położonego, i tam pożar go zniszczył. Kajetan Sołtyk, Biskup krakowski miał zamiar

powiększyć kościół, urządzić tu kolegiatę i do tej wielkich rozmiarów budowli sprowadził kilkadziesiąt sztuk kamieni ciosowych kapiteli i brusów i założył już fundamenta, gdy w trakcie tego wywieziony został w głąb Rosyi, a po kilku latach powróciwszy, nie miał już czasu postanowienia swego urzeczywistnić.

O 10 łokci od kościoła jednocześnie z nim postawiono kosztem tegoż fundatora, nad grobem Piotrowina, kapliczkę, w niej ołtarz z indultem odprawiania codziennie Mszy św. Na mensie znajduje się starożytny dobrego pędzla obraz szafkowy (tryptyk); po lewej stronie przedstawia on kupno wsi, jak Biskup płaci złotem, a Piotrowin je zbiera w obecności świadków, po prawej wskrzeszenie jego, w środku zaś stawienie przed Bolesławem w postaci siedzącej, a obok dwaj synowcowie jako świadkowie, z których jeden nos sobie zasłania, za co zgromił go Piotrowin słowy: »gdy się mną brzydzisz, do 25-go pokolenia twego wszystkim czuć będzie z ust i nosa«. W roku 1850 był tam potomek jego, oficer wojsk rosyjskich i autentyczność tego poświadczył; przybył w to miejsce dla złożenia ofiary i dziękczynienia św. Stanisławowi za uwolnienie jego pierwszego od tego trądu.

Znajduje się tutaj pierwotny kamień z napisem: «Hic jacet Petrus bis mortuus, miraculum christianis annis« (»Tu leży Piotr dwukrotnie zmarły, cud w latach chrześcijańskich«). Ten kamień leżał 140 lat na stopniu ołtarza, przez co napis w wielu miejscach starty został, dla zachowania pamiątki wmurowano go w ścianę.

Dokończenie nastąpi.

Pawłowa dola.

Na szerokim łanie dojrzałego żyta stanęła gromadka ludzi. Hoża, tęga dziewucha, przeżegnawszy się nabożnie, żwawo chwyciła dłonią słomę białawą i oto w promieniach wschodzącego słońca mignął jak błyskawica błyszczący sierp, zachrzęściła suchym zgrzytem ścinana słoma i pierwsza garść nowego żyta legła na świętej ziemi żywicielce. W świeżem porannem powietrzu rozległ się głos wesoły.

»Oj nażniemy kopeczek
Jak na niebie gwiazdeczek!
Pan się będzie radował,
Kopeczki swe rachował.
Raduj się panie raduj,
Beczkę piwa nam ładuj!
Pozbijamy se kolana,
Ładuj nam panie barana!«



Królowa Majowa.

Śpiewała i jedną garść po drugiej mignąwszy kłosami w powietrzu, składała na zagonie. Za nią stawali szeregiem drudzy, aż wyciągnęło się długim sznurem to wojsko pracowników, uzbrojone w sierpy, śpiewające, ochocze, choć potem oblane i trudem zgięte. Jakże się nie cieszyć, gdy żytko zarodziło i Bóg pozwala je ludziom zbierać przy pogodzie.

Płynęły więc śpiewki, chrzęściła słoma, błyskały sierpy, a słonko jasnem spoglądało okiem na ludzką radość i pracę.

Spoglądał też wesoło i właściciel pola, boć pełne, ciężkie kłosy obiecywały plon obfity, plon chleba powszedniego dla rodziny i czeladki, o który człowiek codzień prosi w pacierzu Ojca niebieskiego.

Miedzą od strony pobliskiego miasta zbliżał się młody chłopak. Zapadłe, ciemne oczy spoczęły nieśmiało na stojącym przy żniwiarzach dziedzicu, zalęknienie odbiło się na wychudzonej twarzy ; zwolnił kroku, a zdjąwszy zniszczoną czapczynę, miał ją w ręku, nie śmiejąc bliżej przystąpić.

Stare, łatane spodnie i podarta koszula stanowiły jego ubranie, a za pasem sterczał świeżo widać kupiony, bo jeszcze słomą owinięty sierp.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wyszeptał wreszcie z cicha, kłaniając się z nizka.

— Na wieki! a czego to potrzebujesz mój chłopcze?

— Chciałem wielmożnego pana prosić, coby mnie wzięli do roboty, nieśmiało wyszeptał.

— Nie proś, jeno stawaj z drugimi. We żniwa każda para zdrowych rąk się przyda.

— Bo ino — potwierdził chłopak, tylo... że... bez to... co niby... bąkał zmieszany, bo od strony żniwiarzy doleciały go jakieś szepty i śmiechy.

— Cóż takiego? mów wyraźnie, ośmielał dziedzic chłopca.

— Wielmożny panie, miewam słabość — cicho wyszeptał schylając się znów nizko — i bez to nie chcą mnie brać do nijakiej roboty ni we wsi, ni w mieście. A tu człeku żyć trzeba.... westchnął.

Dziedzic spojrzał ze zajęciem na biedaka. Wychudzony on był, ubrany nędznie, pokorny i nieśmiały, a świadomość własnej niedoli cieniem smutku otaczała mu młode czoło.

— Biedak! — pomyślał dziedzic, a zwracając się do chłopca, zawołał wesoło:

— Bierz się do sierpa, a żwawo! Jeżeli będziesz pracowity i spokojny, nie zabraknie u mnie roboty dla ciebie. Że cię Bóg chorobą dotknął to jeszcze nie powód, żeby cię ludzie opuścili. Marsz, żwawo!

Ucieszony chłopak złapał sierp i stanąwszy na końcu długiego szeregu żniwiarzy, zaczął zaraz kłaść garście. Zwijał się i poweselał: znać praca nie była dlań nowiną, a zajęcie koło roli, miłe dla każego włościanina, i jemu widocznie przyjemność sprawiało. Dziedzic z przyjemnością patrzył, jak nowy robotnik nisko zżynał, szeroko zajmował i równo garście układał. Schylony nad zagonem, prawie że nie spoczął, lecz doganiał gromadkę żniwiarzy, która już była daleko.

— Tęgi robotnik! — mówił dziedzic sam do siebie — jak raz dobry nabytek na żniwa.

Lecz nie wyszła jeszcze godzina, gdy nagle kościste, ciężkie ciało, runęło na ziemię, a gwałtowne drgania poczęły rzucać i wykrzywiać członki człowieka.

— O Jezu! Matko Boska cudowna! — pisnęły kobiety — już go chyciło!

— Wielmożny panie, on nijak robić nie może — mówiła, patrząc nań z trwogą i politowaniem stara Maćkowa. Chyci go to choróbsko, nikiej złe, i tłucze, a potem jak niespełna rozumu chodzi.

— O la Boga, la Boga! — wołały dziewki — musi być uczynione ma, czy co.

— Gadają ludzie, że małym będąc bardzo był swawolny, aż go raz ponoć matka polanem zwaliła po głowie i od tego czasu cierpi słabość, opowiadały sobie baby, żnąc i kręcąc na przemian powrząsła.

— Bo to, moi drodzy, i cierpliwości człeku nie stanie, jakie te raki wyprawiają zbytki. Nie dziwota też, że się tam jedno i drugie szturchnie, tłumaczyła tęga baba, o której mówiono, że »chytała się bicia« nie tylko dzieci, ale i swego chłopa.

— Zawsze to grzech i obraza Boska i nieszczęście dla dziecka, mówiła druga. Patrzajta jaki to, jak bez rozumu ostał. Stoi i patrzy, nikiej głupi.

— A bo i głupi. — Sam nie wie co się z nim stało.

— A to kara za to, że dla matki był niedobry — dowodziła Ignacowa.

— Oj dla matki to kara, dla matki, co nie miała wymiarkowania dla dziecka — westchnęła Maćkowa. Mój miły Jezu, a toć i nasz pan pewnie go odprawi, boć to ino mitręga z takim robotnikiem. Pójdzie znów nieborak do miasta, chyba pod kościół.

— A głodne to i odarte — opowiadała inna. — Bez zimę i przespać się nie ma gdzie, bo zewsząd wygonią. Matka sama służy i także przygarnąć nie chce. Ludzie zarobku nie dadzą. Noszę mleko do piekarza, u którego Paweł służył parę czasów

To, kobieto, powiadam wam, jak go raz chyciło, kiedy niósł worek z mąką, to go ledwo uratowali, bo worek upadł na niego.

— Matko Najświętsza! A toćby go zadusiło na śmierć.

To też piekarz zaraz go odprawił, bo się bał, coby u niego co złego mu się nie zdarzyło. Pewnikiem i dziedzic go odprawi, bo i nam nie łacno żąć z taką chorobą w kompanii.

— Oto widzita, że go nie odprawi — tłumaczy Maćkowa, spoglądając w stronę, gdzie stał wybladły chłopiec i właściciel pola. — O, widzita, cosik mu gada, gada, po ramieniu klepie, a Paweł za kolana go ujął i pewno ostanie.

— A, ostaje, ostaje — zawołali inni.

— Już zaczyna żąć, ino już nie tak chybko, jak zrazu. Biedota! — żałowała Ignacowa.

— Ej! co tam takiego szpitalnika brać do roboty — zawarczała Ignacowa; niech pod kościół idzie, albo do szpitala, a nie do porządnej roboty. Jest tu nas dosyć, zbierzemy zboże i bez niego. Po próżnicy tylko pieniądze brać będzie.

— Dajta pokój! Nie wy mu zapłacicie, to se nie psujta głowy o pańską kieszeń. Niech i on biedak zarobi — mówiła litościwa Maćkowa.

— O! wiadoma rzecz, wybyśta i ślepych i kulawych z kulami na polu postawili, a mybyśmy za nich żęli. Niedoczekanie wasze! — gderała swarliwa baba.

Ale wnet ją zagłuszył śpiew przodownicy Jagny:

»Jak nas najęli, to nas gonili:
Żnij dalej, żnij dalej!
Ani śniadania, ani obiadu
Nie dali, nie dali. Hej!«

Szybko szła robota. Po za żniwiarzami pozostawało szerokie rżysko zasłane tylko leżącemi gęsto garściami. Słońce paliło, pot obfity spływał z czoła pracujących, a kłosy kładły się pod sierpem, ucząc ludzi, że plon dojrzały musi obumrzeć, aby pożytek przyniósł i odżył na nowo.

Spoczęli nareszcie, bo z pobliskiego miasta wiatr doniósł odgłos południowych dzwonów.

Wszyscy stanęli i odmówili pobożnie: »Anioł Pański« potem rozpierzchli się do domów. Ten i ów spieszył pokrzepić siły obiadem i snem. Blady chłopiec położył się w cieniu gruszy na miedzy.

— A ty, Paweł, czemu nie idziesz na obiad? — zapytał dziedzic, widząc, że chłopak zabiera się do snu.

— A któżby mi, wielmożny dziedzicu, dał obiad? — spokoj-

nie powiedział biedak. — Prześpię się, a wieczorem kupię kawałek chleba.

— I śniadania nie jadł — szepnęła jedna z kobiet. — Urwał parę stręków grochu i wodą zapił.

— E... on tego zwyczajny; przegryzie chleba i dość mu. Ciepłej strawy już dawno nie miał w gębie.

Dziedzic się zamyślił.

— Paweł! — zawołał — ruszaj do kuchni, a żywo! Dadzą ci łyżkę warzy.

Zaśmiały się oczy głodnego. Skłonił się i podążył za dziewkami do czeladnej izby.

Za łyżkę strawy, za słowo poczciwe, kąt w oborze i małą zapłatę biedak pracował od tego dnia ochoczo przy żniwie, pomagał parobkom i dziewkom, a robota paliła mu się w ręku, chociaż przerywana napadem ciężkiej choroby.

— Dobre panisko! — mruczał, wieczorem siedząc nad pełną misą kartofli. Dobre! nie wygonił jak inni i jeszcze jeść kazał dawać. Bóg mu zapłać! Już ja od niego nie odstanę. Pracować będę jak wół, aby mnie ino nie odprawił.

— Mruczysz, Paweł, niby kot na przypiecku, a obdarłeś się nikiej dziad — zaśmiała się przekorna Jagna, wskazując na podartą koszulę, z pod której gołe ciało świeciło.

— Nic to — spokojnie odrzekł — pan zostawił mnie u roboty, to po żniwach i koszula będzie cała i ubranie se kupię u żyda.

— Widzita go, jaki elegant! — wydziwiały dziewki — może sobie kupisz i kapelusz, jak pan ogrodnik.

— Czemu nie — odpowiedział chłopak śmiało. — Jak człek zarobi to się i odzieje pięknie. Nie będziesz się ze mnie śmiała, Jaguś. Do zimy to i na kożuszynę uzbieram.

— A kole Godów, to i z wódką do dziewuchy poślesz, hę! — zaśmiały się głośno dziewki. — To ci będą swaty! w sam raz dla ślepej Agaty, co pod kościołem siedzi — drwiły nielitościwie.

Chłopak westchnął i nic nie odpowiedział.

Co tam za myśli snuły się w tej biednej głowie, rozbitej niegdyś ręką matki; jakie gorzkie uczucie zalało serce, gdy słowa nielitościwe przypomniały mu, że z powodu choroby jest wyrzutkiem między swoimi, wydziedziczonym z uciech życia, że nawet do pracy nie może stanąć razem z innymi. Może na dnie duszy zakipiał ciężki żal do tej rodzonej, co dawszy mu życie, uczyniła je przez swoją złość i niecierpliwość męką i ciężarem.

— Oj doloż moja dolo! — westchnął z cicha i zadumał się smutnie.

Jakby to on zawsze był pierwszym i do roboty i do ochoty!

Potrafiłby i rolę zorać i zawlec jak się widzi, i konie obrządzić, i bydłu karmę zadać; potrafiłby i snopek równo uwiązać, i przy młocce stanąć. A później, w święto, jakby się on w karczmie wykręcił z dziewuchą, gdyby nie to coś, co go chwyta i rzuca jak bryłę bezduszną o ziemię.

Zerwał się żywo z ławy, bo właśnie parobcy wyprowadzali konie do pławienia.

— A ty, Paweł, co tak wyskakujesz? myślisz już tańcować na weselu ze ślepą Agatą? — drażniła go złośliwa Agata.

Chłopiec spojrzał ponuro.

— Idę konie spławić — odrzekł krótko.

— O! w sam raz ty do pławienia koni — oburknęła kucharka. — Albo to tam nie ma parobków jak się widzi, nie takich niedojdów jak ty. Leż na siano i śpij, kiedy się najadłeś.

— Taki ja, jak i inni — żywo odciął chłopak. — Nie pierwszyzna mi pławić konie — mówił idąc ku stajniom.

Tu okiełzał konie i chciał skoczyć na jednego z nich.

— Niechaj, Paweł, niechaj! — wołał karbowy. — Ostaw konie parobkom, a siana za drabiny nałóż.

— Myślicie, że nie potrafię koni spławić? — z urazą zapytał. — Obaczycie! Lepiej się uwinę niż Tomek i Walek, ino pozwólcie mi jechać.

I skoczył, nie czekając pozwolenia. Cmoknąwszy na konie, szybko puścił się ku Wiśle.

Wietrzyk powiewał, a padająca rosa orzeźwiła powietrze po dziennym skwarze. Na jasne, lipcowe niebo wybiegały jedna po drugiej ciekawe gwiazdki, mrugały złotemi rzęsami i patrzyły w dół, co się też tam dzieje na tej ziemi, która tak jasno błyszczy i tak wesoło pędzi w niezmiernej przestrzeni.

A Wisła płowe swe fale bystro niesie ku morzu. Światło miesiąca pieści ją, srebrzy jej fale, a ona, gniewna pani, rozbija się z szumem o krepujące ją tamy i groźnie szemrze: »Ostrożnie, śmiałki, ostrożnie! Krępujecie królowę rzek waszych i kalacie czystość jej wód; ale ona w miałkim piasku dna swego grób wam wymuli i ofiary z was wybierze«.

Straszny, rozpaczliwy krzyk rozległ się w ciszy nocy letniej, a konie spłoszone z rzeki na brzeg wyskoczyły.

— Tonie! człowiek tonie! — wołały przerażone głosy i gromadka ludzi w śmiertelnej trwodze patrzyła na walkę człowieka ze zdradliwym żywiołem.

Krótka była walka. Para rzutów rozpaczliwych, ręka jakby wyciągnięta jakby z prośbą o pomoc... i zanim zdrętwiali z przerażenia widzowie pospieszyli z ratunkiem, fale wiślane zamknęły się nad biednym Pawłem.

W parę dni później siny, lecz spokojny leżał w białej, własnej domowince. Czysta koszula i całe ubranie okrywały biedne ciało. Matka płakała, dziedzic żałował, ludzie smutnie kiwali głowami, nawet Jagna łzy ocierała. Cała wieś o nim tylko gadała, a na pogrzeb zebrała się wielka gromada ludzi.

Nareszcie był »pierwszym«. Śmierć podniosła ponad żyjących wzgardzonego i odepchniętego, a matka ziemia utuliła go w swojem objęciu do tego snu, który jednoczy wszystkich i wszystkich równa.

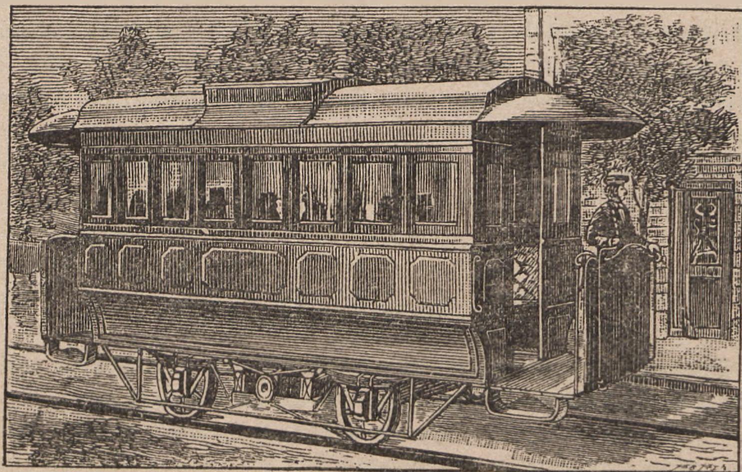
Rady gospodarskie.

Bronowanie pszenicy na wiosnę. Wielu gospodarzy jest tego zdania, iż gdy na jesień pole pod pszenicę dobrze uprawią i obsieją, to później nie wymaga ono już żadnych starań; zapatrywanie takie jest jednak niesłuszne.

Często zdarza się na wiosnę, iż skutkiem śniegu i deszczu rola jest zbita i utworzy się twarda skorupa, która tamuje przystęp powietrza i powoduje wysuszenie ziemi; także tworzą się często na powierzchni szpary, skutkiem czego delikatne korzonki pszenicy cierpią. Temu wszystkiemu można zapobiedz, bronując pola z pszenicą na wiosnę przy pogodnem powietrzu. Należy atoli dokładnie zważać: aby za rychło bronowania nie rozpoczynać i wystrzegać się bronowania podczas niepogody. Jako najlepsza pora do tego jest połowa maja, gdy już niema obawy nocnych przymrozków. Najlepiej nadają się do tego lekkie żelazne brony, albowiem okazało się, że drewniane brony z tępemi zębami więcej oziminom szkodzą, aniżeli lekkie ostre żelazne.

Pozbycie się szczurów jest niewątpliwie gorącem pragnieniem gospodarzy, których budynki przez tych niszczycieli nawiedzone zostały. Warto zatem spróbować sposobu, który przez pewnego rolnika w Niemczech odkryty został. Przekonawszy się o bezskuteczności wszelkich łapek, trucizny, cebuli morskiej i tym podobnych środków, kazał rolnik ów złapać kilka żywych szczurów a osmarowawszy smołą, z wyjątkiem głowy, puścił je znowu na wolność. W krótkim czasie wszystkie szczury opuściły zajmowane dotąd budynki i już szósty rok do nich nie wracają. Wlewanie smoły do nor nie wywiera podobnego skutku, gdyż szczury robią nowe chodniki i gniazda dla siebie.

Różności.



Tramway elektryczny.

Kto był w większem mieście n. p. we Lwowie lub w Krakowie, ten widział ułożone po ulicach szyny żelazne, co go może i zdziwiło, a gdy chwilę poczekał, to zobaczył wóz, podobny do kolejowego, ciągniony przez jednego konia lub przez dwa konie i toczący się dość szybko po owych szynach, w wozie zaś sporą liczbę ludzi, jadących w takim wozie z jednej ulicy na drugą. Jestto *kolej konna*, albo jak powszechnie nazywają: »tramway«.

We Lwowie od czasów wystawy, i w innych wielkich miastach za granicą oprócz, lub zamiast »konnych kolei«, zaprowadzono już »tramwaye elektryczne«, poruszane elektryką. Koni tu już nie potrzeba, bo siła elektryczna porusza wóz.

Taki właśnie tramway elektryczny przedstawia rycina powyższa. Co to zaś jest elektryka, to o tem będzie w *Nowym Dzwonku* mowa kiedyś później.

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 4 „Nowin i Rozmaitości"**.

Treść numeru 7-go: Od wydawnictwa. — Królowa Korony Polskiej. — Maj (wierszyk). — O wsi Piotrowinie i o kościele tamże. — Pawłowa dola (powiastka). — Rady gospodarskie. — Różności. — **Ryciny:** Królowa Majowa. — Tramway elektryczny.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 15 Maja 1896. Nr 8.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi**: rocznie: **2** złr. **50** ct.
półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kto przeto składa z góry *całoroczną* przedpłatę, płaci o 50 ct. taniej. *Kwartalnej* przedpłaty *nie przyjmuje się*.

W Niemczech rocznie: **5** mk. — półrocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości***.

Od Wydawnictwa.

(Ważne zawiadomienie).

Chcieliśmy jak najlepiej, t. j. wydawać pismo jak najtaniej, ale pokazuje się, że w naszym kraju ci, co pragną prawdziwej i pożytecznej oświaty dla ludu, najgorzej wychodzą, bo ani lud sam należycie ich nie poprze, ani ci, co to niby są opiekunami ludu, lub chwalą się, że pragną oświaty ludu, a swoją drogą nie pomogą ani centem tym, którzy na niwie oświaty ludowej pracują.

Wobec takich stosunków i wobec tego, że wydawnictwo naszego pisma jest bardzo kosztowne, a jeszcze *przeszło 1500* Czytelników nie uiściło *reszty* prenumeraty (1 złr.) donosimy, że chcąc nasze pismo dalej podtrzymać, czyli dalej wydawać, tak jak teraz w takiej objętości, z obrazkami i z okładką, musimy *podwyższyć* prenumeratę, **ale tylko dla półrocznych** prenumeratorów.

Znaczy to, iż **od teraz**, a względnie **od 2-go półrocza**, prenumerata **roczna** dla tych, którzy z góry **za cały** rok płacą, wynosić będzie i **nadal tylko: 2 złr. 50 ct.** (z Niemiec: 5 mk.), jak było dotąd, **ale na pół roku** wynosić będzie: **1 złr. 50 ct.** czyli dla **półrocznie** płacących wyniesie na rok: **3** złr. (z Niemiec **6** mk.). Kto już uiścił *dopłatę* (1 złr.), lub zapłacił z góry *2 złr. 50 ct.* ten ma zapłaconą już prenumeratę do końca roku bieżącego.

Tym zaś wszystkim naszym Szan. Czytelnikom, którzy zapłacili dotychczas tylko: *1 złr. 50 ct.* skończy się prenumerata

z 10-tym numerem gazetki, który wyjdzie: **15-go czerwca b. r.** Ktoby przeto z tych chciał mieć *Nowy Dzwonek* w **2-giem** półroczu, to już musi zapłacić **od lipca** znowu: **1 złr. 50 ct. albo tylko: 1 złr.**, **jeżeli** tego **1 złr. nadeśle teraz przed dniem 15-go czerwca,** to jest **w maju** jeszcze, lub **w pierwszej połowie czerwca.**

To zniżenie na 1 złr. odnosi się tylko do dotychczasowych Czytelników czyli tych, którzy **teraz** już prenumerują *Nowy Dzwonek*, wszyscy zaś **nowi** (od 2-go półrocza się zgłaszający) zapłacą *za pół roku 1 złr. 50 ct.*

A więc w interesie własnym zechcą dotychczasowi Sz. Czytelnicy spieszyć się z uiszczeniem *reszty* prenumeraty (1 złr) *przed dniem 15-go czerwca*, gdyż od lipca musieliby zapłacić *1 złr. 50 ct.* chcąc czytać i mieć dalej naszą gazetkę.

Powtarzamy raz jeszcze, że ci, którzy zapłacili już z góry *2 złr. 50 ct.* lub najpierw z początkiem roku *1 złr. 50 ct.*, a potem w dodatku *1 złr.*, **ci już mają zapłaconą prenumeratę do końca tego roku.**

Zale i prośby Polaków do Królowej Niebios

(ułożył **Ferdynand Kuraś**, włościanin z Wielowsi).

Królowo Niebios, Panno nad pannami!
My, Twoi słudzy, wołamy ze łzami:
Zwróć oczy Swoje na ziemskie niskości,
Matko litości!

Zobacz, Panienko, nędzę Twego ludu,
Jak wśród niedoli, niezmiernego trudu
Pędzi swe życie w ucisku, niemocy.
Znikąd pomocy...

Niegdyś swobodną nasza ziemia była,
I chwałą Bożą pierwsza się szczyciła,
A potok życia płynął długim wiekiem
Miodem i mlekiem.

A Ty, o Matko Najwyższego Pana,
Królową Polski ukoronowana
Byłaś; w Twej łasce naród w polskim kraju
Żył jako w raju.

Kiedy wyjrzały z za gór ranne zorza,
Czy też nad głową słońce, czy za morza
Kryjąc się, rzuca na niebios sklepienie
Złote promienie,

Słał naród modły, Panienko, do Ciebie:
Zdrowaś Maryo, łask pełno dla Ciebie,
Błogosławionaś między niewiastami...
Módl się za nami!

Tyś nas, Panienko, zawsze wysłuchała,
Zdrojem łask Swoich szczodrze obdarzała:
Zdrowiem i siłą, walecznością, męstwem —
W wojnach zwycięstwem.

Wdzięczną Ci, Pani, Polska za to była,
Żeś ją potęgą i siłą wzmocniła;
Kościołów Bożych mnóstwo się mnożyło,
Aż spojrzeć miło.

I brzmiała chwała codziennego rana
Stwórcy Wszechświata Najwyższego Pana
I pieśń Ci miła »Pod Twoją obronę«
Szła na wszą stronę...

Ale nie wiecznie trwa szczęście swobodnie;
Tak też i w Polsce czart knuć począł zbrodnie;
Naród, nad którym kwitła łaska Boża,
Pchał na bezdroża.

Pan, który wszystko zna w świecie szeroko,
Odwrócił od nas Swe Opatrzne oko,
I wnet napadły na kraj polski cały
Wrogów nawały.

Zapanowała nieznośna niedola,
Krwią naszych ojców zalały się pola
I całą Polskę, jak nigdy, pokryły
Liczne mogiły.

Lecz nie dość na tem w tej strasznej godzinie,
Napadł bezbożnik i Pańskie świątynie:
Całą się zgrają na kościoły walił,
Burzył i palił.

W końcu się Polska rozstała z potęgą,
Krwią swoich dzieci wypisaną księgą
Dla teraźniejszych pokoleń została
Nieszczęsna cała...

Panno Wszechmożna! niech się Twa opieka
Zwróci na Polskę, bo Jej naród czeka,
Żebrząc od Ciebie pomocy, ratunku
W ciężkim frasunku.

Zlituj, Panienko, zlituj się nad nami,
Opuszczonemi zgoła sierotami,
Bo już to życie chcemy spędzić całe
Na Bożą chwałę.

Pomnij, o Panno! jak przez długie lata
Znosim niedolę pośród tego świata;
Wróg nie przestaje pastwić się nad nami
Swemi zbrodniami.

Za wyznawanie Wiary w Syna Twego
Ileż nam Moskal nie wyrządza złego;
Żądzą zbrodniczą jak zwierz dziki zieje
I krew z nas leje.

Świątynie Pańskie niecnie nam odziera,
Niepomny Boga, strasznie poniewiera;
Zgoła ze wszystkich świętości rabuje,
Końmi tratuje...

Gdzie pierwej święta chwała Boża była,
Dziś niedowiarstwa stworzyła się siła;
Kto żyje w Boskiej wierze i miłości,
Popada w złości.

Zlituj się, Panno, zlituj się nad nami
Opuszczonymi zgoła Polakami;
Niech prośba nasza będzie wysłuchana,
A pokonana

Wroga działalność wszelakiego złego,
Na zagładzenie narodu polskiego,
Który się dotąd nie przestaje tworzyć,
Z dniem każdym mnożyć.

Pomnij, o Panno! iż, że nie słyszano,
Żeby od Ciebie łaski nie doznano:
Kto tylko o co szczerze Ciebie prosił,
Skutek odnosił...

A więc ufamy, Panno nad Pannami,
Że ulitować raczysz się nad nami:
Przywrócisz wolność ludowi polskiemu,
Tobie wiernemu.

A jeśli wola niezbadana Boga,
Nas pozostawi nadal w mocy wroga,
Daj, byśmy w świętej katolickiej wierze
Wytrwali szczerze!

O wsi Piotrowinie i o kościele tamże.

(Dokończenie).

Na środku kaplicy położony jest kamień marmurowy mający kształt prostokąta na czterech takichże podstawkach, a na nim jest napis następujący po łacinie: *D. O. M. Piotrowi z Piotrowina, rycerzowi dwa razy zmarłemu. Przechodniu! uczcij mieszkańca nieba, którego z błędów życia opóźniających błogi spoczynek wieczności, przez trzy lata w czyścu oczyszczającego się św. Stanisław Biskup z cieniów umarłych obudził i powtórnem ciałem okrytego na świadka prawego posiadania świętokradzkim przywłaszczycielom przedstawił, podziwiasz cud, owszem nieśmiertelność duszy, ciał zmartwychwstanie, nietykalne prawo Kościoła Bożego, nakoniec świętość Stanisława Biskupa uwielbionego, za pomocą Boską tak wielki cud działającego, naucz się podziwiać.*

Szymon Kołudzki, proboszcz gnieźnieński, kustosz płocki, kanonik krakowski, sekretarz króla, rektor kościoła Piotrowińskiego 1640 r.

Dwie ściany kaplicy pokryte są ex-wotami na płótnie malowanemi, przedstawiającemi cuda tu doznane w XVI i XVII wieku. Wielki obraz starożytny na wchodowej ścianie przedstawia procesyę, w której z uczestnictwem mnogiego ludu, św. Stanisław Biskup prowadzi Piotrowina przed Bolesława, spodem jest napis: *Veritas de terra orta est et justitia de coeli prospexit.* »Prawda z ziemi powstała i sprawiedliwość z nieba spojrzyć raczyła«.

Miejsce stawienia się przed królem, obecnie przegradza od wsi Piotrowina rzeka Wisła, lecz w owym czasie miała swoje koryto pod Solcem, w tem zaś miejscu, którędy obecnie płynie, była łacha, a w czasie owego pochodu wyschła, i Biskup z Piotrowinem suchą nogą przeszli. Mylne jest zatem podanie jakoby św. Stanisław przez Wisłę suchą nogą przeszedł, i jakoby dotychczas ścieżka widoczną była.

Na wschodniej ścianie zewnętrznej tej kaplicy znajduje się wmurowana tablica marmurowa z takim napisem: *Tu trzyletniego trupa kości na głos wielkiego kapłana ożywione powstają i zmarłych świadectwem dziedzictwo Chrystusa potwierdza się, otóż ktokolwiek jesteś, który własność Kościoła zabierasz, zatrzymujesz, używasz, zważ oddaj, strzeż się!*

Stanisław Garwaski, kanonik płocki, gnieźnieński, sekretarz króla, rektor kościoła piotrowskińskiego. 1620 r.

Przy wejściu na cmentarz kościelny są dwie tablice kamienne w parkan otaczający kościół wmurowane; jedna zawiera taki napis: »Przechodniu zatrzymaj się czytaj, podziwiaj:

»Jan Długosz, kanonik krakowski, nominat Arcybiskup lwow-

ski, opowiada rzecz godną zastanowienia, która przez wszystkie wieki aż do jego czasu ciągle była obserwowana, oto: »że wszystkich potomków Piotra z Piotrowina, przez których niegodziwe łakomstwo, św. Biskup pomimo swej woli Piotra do życia przywołał, nie było żadnego, któryby jaką godnością, zaszczytem był ozdobiony, albo mierny przynajmniej posiadał majątek. Wieś ich rodzinna Janiszów mieszkańcami tegoż nazwiska była zaludniona, a sami dziedzice, jak powiadają, własnemi rękami pracowali a jednak do majątku przyjść nie mogli, jak im to ich protoplasta przepowiedział i pogroził; i my w późniejszych żyjący czasach o tem z własnego doświadczenia przekonaliśmy się, co wówczas wśród tylu środków i sposobów odznaczenia się w Rzeczypospolitej, żadnej zacnej familii nie zdarzyło się. Otóż jak wiele znaczy rzeczy Bogu poświęconych niesprawiedliwe przywłaszczenie. Już odejdź zdrów i rozmyślaj«.

Drugi kamień taki nosi napis: »D. O. M. i św. Stanisławowi czujnemu, gorliwemu, dobroczynnemu Biskupowi, ozdobie i zaszczyt czyniącemu narodowi Sarmackiemu, ozdobionemu trzema wieńcami chwały, nauki, panieństwa i męczeństwa, ażeby ten, jako Piotrowi życie przywrócił doczesne, tak i mnie grzesznikowi wyjednał wieczne.

Stanisław Garwacki, Proboszcz gnieźnieński, kanonik płocki i krakowski, sekretarz króla, rektor kościoła Piotrowińskiego 1630 r.«

W kościele znajduje się kapa białego koloru, o której utrzymuje się podanie, że św. Stanisław miał ją na sobie, gdy Piotrowina wskrzeszał.

Po spełnionym cudzie św. Stanisław złożywszy najpokorniejsze dzięki Panu Bogu za tak wielką łaskę daną mu dla okazania jego niewinności, uszczęśliwiony urywa gałązkę lipy i cieńszym końcem wkłada ją w ziemię, mówiąc: »rośnij na pamiątkę« i dotychczas ta lipa, pomimo 821 lat, pełna jest życia, a konary jej rozciągają się szeroko poziomo w kształcie korzeni w sposób różniący się od dwóch lip obok rosnących. Zimową porą im większe są mrozy, tem bardziej konary jej ku ziemi się nachylają, jak gdyby przekonywały, że przeznaczenie ich w ziemi się znajdować.

Gorliwość pierwszych chrześcijan pragnęła dla wiadomości potomstwa oznaczyć miejsce stawiennictwa św. Stanisława z Piotrowinem przed królem Bolesławem, w niedalekim też po tym fakcie czasie postawiono kaplicę znacznych rozmiarów, która z postępem czasu i z powodu oziębienia ducha religijnego w gruzy się zamieniła. Otóż w piątym dziesiątku tego wieku bieżącego objawia się św. Stanisław we śnie ubogiej pobożnej wodowie Lichockiej, zamieszkałej w osadzie Solcu i każe jej podźwignąć ten kościółek, ona (jak mi sama opowiadała) tłumaczy się swem ubó-

stwem; św. Biskup każe jej iść od plebanii do plebanii, od dworu do dworu, obejść wszystkie wsie w okolicy, zapewniając, że ofiary nikt jej nie odmówi. Ona znowu wymawia się brakiem śmiałości, odwagi; św. Stanisław każe jej wziąć dla towarzystwa drugą kobietę biedną wdowę, której nazwisko wymienił i iść bezwłocznie.

Ośmielona takiem posłannictwem widząc w tem wyższą wolę, udała się na kwestę i w niedługim czasie zebrała 14.000 złotych polskich i z tą kwotą rozpoczęła fabrykę; wyżebrała u dworów potrzebne drzewo i cegłę, uprosiła majstrów murarskich i cieśli, którzy po większej części bezpłatnie wiele zrobili, i takim sposobem stanął na dawnych fundamentach nowy kosciół. Urządziła w nim 3 ołtarze, chór, organy, sprawiła dzwon, zaopatrzyła zakrystyę we wszelkie utensylia; postawiła domek dla siebie i drugi dla kapłana, którego X. Biskup Juszyński przysłać obiecał.

Lecz przed 20 laty niestety Wisła obrała sobie koryto po stronie kościółka, grunt piaszczysty podmywany bystro płynącą rzeką, gwałtownie zaczął wpadać do Wisły i zdawało się, że lada dzień miejsce pamiątkowe wraz z kościołem na wieki Wisła w nurtach swoich pochłonie. Tymczasem niespokojna rzeka raptownie zmienia koryto swoje, cała waga wody przenosi się, ku radości wszystkich, na prawą stronę i cudownie ochrania kościół; widocznie Opatrzność czuwa nad tem miejscem.

Cud ten wskrzeszenia Piotrowina przytoczony był na Soborze Bazylejskim jako dowód nieśmiertelności duszy.

Kończąc ten opis dodam jeszcze, że lud w Piotrowinie po każdej sumie w niedziele i święta śpiewa taką zwrotkę, trzy razy ją powtarzając:

»Święty Stanisławie
Tyś u Boga w sławie,
Biskupie krakowski
Módl się za lud polski!«

Pisałem w Krakowie w kwietniu 1896 r.

X. Mikołaj Bojarski,
były długoletni Proboszcz parafii Piotrowin, obecnie kapelan przy kościele WW. PP. Karmelitanek bosych na Wesołej.

Marya, ucieczka grzeszników.

Umarł ojciec, umarła i matka, a po nich pozostała jedyna córka imieniem Beatriks. Było to dziecko dobre, pobożne, a szczególne miało nabożeństwo do N. Maryi Panny. I nic w tem dziwnego, że małe dziewczę było dobre, skoro miało nader pobożnych

i cnotliwych rodziców. Powoli rozwijały się w sercu dzieciny za młodu zasiane ziarnka cnót chrześcijańskich tak, że Beatriks wzrastając w lata, wzrastała zarazem w miłości u Boga i ludzi. Nie długi czas upłynął od śmierci jej rodziców, a biedna i opuszczona sierota znalazła już sobie czułą i kochającą ją Matkę. W leśnej gęstwinie stała kaplica Maryi. Do tej to kaplicy codziennie biegała się modlić mała sierotka i codziennie przystrajała obraz święty pięknemi kwiateczkami, i codziennie kończyła swoje modlitwy cichą piosenką do Bogarodzicy.

Pewnego razu, skromnie ubrana, klęczała Beatriks przed obrazem Maryi. Na twarzy jej znać było smutek, boleść, a jakaś bardzo żałosna z ust jej płynęła piosenka. Wtem umilkła i zawołała:

— Matko Pana mojego, czyż dobrze słyszę, iż ktoś zbliża się w te strony.

I nie była to ułuda. Za chwilę zaszeleściało coś w gęstwinie, rozchyliły się gałęzie i ukazał się jakiś nieznajomy człowiek w wieku podeszły. Przestraszona Beatriks skoczyła na równe nogi i wydała krzyk przerażenia. Ów obcy człowiek był wcale przyzwoicie ubrany, lecz na twarzy jego były wyryte ślady złego życia. Czarne oko swoje utopił w dziecinie i zawołał.

— Czyż cię przestraszyłem dziewczynko? — Te słowa wymówił jakimś niezwykłym głosem.

— Nie bardzo zlękłam się — odpowie spokojnie dziecina. — Codziennie chodzę się modlić tu przed obrazem mojej Matki i codzień z kwiatów uplatam Jej wianki. Czy i ty człowiecze nie mógłbyś tak samo codziennie modlić się przed tym obrazem Maryi?

— Słuchaj! — odpowie obcy człowiek. — Dawniej byłem i ja tak nierozumny, jak ty obecnie jesteś. I ja niegdyś nuciłem przed obrazami, lecz to już dawne, bardzo dawne temu czasy. — To mówiąc, roześmiał się szyderczo.

— O czemuż mówisz tak bezbożnie o mojej Matce. Przecież Marya jest pełną miłości dla tych, którzy Ją szczerze kochają. — Te słowa wymówiła Beatriks nadzwyczaj łagodnie i tkliwie.

— Dobrze moje dziecię — odpowie nieznajomy. — Ze słów twych poznaję, iż cię zasmuciłem; przeto nie będę już w ten sposób się wyrażał. Lecz czy wiesz ty dziecię, jak ja się nazywam?

— Nie panie! — odrzecze drżąca dziecina.

— Ja się nazywam Karol Benzoni.

Słysząc te słowa Beatriks omało nie zemdlała z przerażenia, ale zebrała resztkę sił, uklękła i złożyła swoje drobne rączęta, wyciągając je jak gdyby błagała litości.



Ostatnia Komunia św. Hieronima.
(Objaśnienie str. 171).

— I czemuż drżysz biedna dziecino? Czyś może co złego o mnie słyszała?

— Czym słyszała? ty mię o to pytasz, a któż w naszej włoskiej krainie nie słyszał o tobie Benzoni, o tobie, coś jest tak gwałtownym i mściwym; już samo twoje nazwisko strachem przejmuje wszystkich. A jeżeli chcesz, bym ci prawdę wyznała, jak nieraz we śnie, gdy przypadkiem pomyślę o tobie, zrywam się ze strachu, żegnam się i nie pierwej ochłonę z bojaźni, aż się polecę N. Maryi Pannie.

— Stój! — zawoła oburzony zbójca. — Nie drażnij lwa, nie pobudzaj go do gniewu, bo skoro tylko zechcę, dam znak a wnet zjawią się moi towarzysze i na proch cię rozetrą.

— O nie czyń tego Benzoni! Wspomnij sobie na lata ubiegłej młodości, bo i ty przecież miałeś matkę!

Na te słowa jakieś ciemne chmury smutku osiadły na czole bandyty, skrucha obudziła się w sercu, a jedna łza po drugiej spływała zwolna po zżółkłej i nędznej twarzy. Spostrzegła Beatriks tę zmianę, a jakaś niezwykła nadzieja powstała w jej sercu. Spojrzała błagalnie na obraz Maryi i rzecze po chwili:

— Łza, co z twych oczu tak obficie spływa, jest o Benzoni! najlepszym dowodem, iż cię rozrzewnia, rozrzewnia bez końca myśl minionej twej drogiej młodości. O gdybyś wspomniał na miłość Maryi, na Jej cierpienia, boleści katusze. Żałuj za grzechy! Klęknij co prędzej i powtarzaj za mną słowa modlitwy.

Wymówiwszy to Beatryks, klęka, przyciska do piersi swej drewniany krzyżyk i z całym zapałem zawoła:

— Pomnij o Najlitościwsza Panno Maryo, iż od wieków nie słyszano, aby kto uciekając się pod Twoją obronę, Twej pomocy wzywając, Ciebie o przyczynę prosząc, miał być od Ciebie opuszczony! Tą nadzieją ożywiony, o Panno nad Pannami i Matko, biegnę do Ciebie, stawam przed Tobą, wzdychając jako nędzny grzesznik. O Matko Słowa Przedwiecznego, nie gardź prośbami mojemi, ale je usłysz łaskawie i wysłuchaj. Amen.

Zaledwie skończyła modlitwę, obraca się i o dziwo! Oto bandyta klęczy pochylony ku ziemi i płacze i szlocha. Nagle zrywa się, wydziera dziewczynie krzyżyk i znikł w zaroślach.

Po tem zdarzeniu wiele, wiele upłynęło lat. Beatryks tymczasem została zakonnicą i daleko i szeroko mówili ludzie o jej pobożności. Musiała zaś być pobożną i cnotliwą, skoro ją siostry zakonne obrały swoją przełożoną.

Pewnego dnia wywołano Beatryks do furty; czekał tam na nią jakiś mnich nieznajomy. Zobaczywszy Beatryksę, zawołał on: »Niech cię Bóg błogosławi moja córko! Poznajesz ty mię!« To mówiąc odrzucił z głowy kaptur. Mnichem tym był ów niegdyś

słynny włoski bandyta, Karol Benzoni. Czarnem swem okiem spoglądał on na Beatryksę, a oddając jej krzyżyk drewniany rzekł; »Ten krzyżyk wyrwał z twych rąk Karol Benzoni, a dziś zwraca ci go z wdzięcznością pokutnik, brat Franciszek. Niech ci Bóg zapłaci, boś ty uratowała moją biedną duszę«.

Tak to ratuje Marya każdego człowieka, to też słusznie zowie się »Ucieczką grzeszników«. Dlatego kochajmy Ją i całą ufność w tej Matce połóżmy, czcijmy ją w całem życiu.

Ostatnia Komunia św. Hieronima.

(Do ryciny na str. 169).

Czytamy w historyi czyli w opisie życia św. Hieronima, że czując się bliskim śmierci, prosił o Wiatyk święty, i złożony na ziemi, z największą miłością i ducha gorącością Chleb Anielski przyjął.

Skoro ujrzał kapłana z Przenajświętszym Sakramentem w gronie zakonników do siebie przystępującego, wzruszony świętą miłością, podniósł się i głośno zawołał:

— »O Panie Jezu Chryste! Tyś jest Chlebem żywota; kto Cię godnie przyjmuje, choćby sto razy umarł, żyć będzie na wieki. Oto ja umieram, ale ufam, że Ty mię wskrzesisz; jam chory i słaby, ale Ty najwyższy lekarzu uzdrowisz mię; jam nagi i drżący od zimna... ale Ty mię szatą nieśmiertelności okryjesz«.

Po przyjęciu zaś Komunii świętej, z zapałem wyrzekł:

— Umrzeć! O jakiż to zysk!... Gdy dusza moja z ciała tego wyjdzie, Pan Jezus będzie życiem mojem; to nędzne więzienie ciała mego zniszczone będzie, a dusza moja na łonie Bożem, w przybytkach światłości spocznie na wieki.

Jam tu był ślepy, w niebie Pan Jezus oświeci mię; byłem zraniony i zemdlony, w niebie Pan Jezus uzdrowi mię; byłem smutny i znękany, ale idę do Boskiego pocieszyciela, do rajskich przybytków, gdzie ze strumieni wiecznych rozkoszy napawać się będę.

O! mili bracia! dodał z anielskim uśmiechem do otaczających, o mili bracia! zaśpiewajcie hymn chwały Najsłodszemu Jezusowi, który mię do przybytków światłości wprowadza«.

To mówiąc złożył ręce na piersiach, wzniósł oczy w niebo i westchnąwszy głęboko całą piersią, piękną i niepokalaną duszę swoją m ręce Boże oddał.

Załączony obrazek jest kopią sławnego obrazu malarza Dominika Zampieri. Obraz ten został wykończony na początku XVII wieku i jest przechowywany w galeryi watykańskiej.

Sw. Hieronimowi podaje Chleb żywota św. Efrem. Przy jego boku stoi dyakon z kielichem, w którym znajduje się Krew Najświętsza pod postacią wina.

Na klęczkach przed świętym Hieronimem widać św. Paulę, jego uczennicę. Lew przy Ojcu Kościoła jest symbolem siły i stanowczości, z jaką św. Hieronim występował przeciwko ówczesnym kacerzom i odszczepieńcom. Św. Hieronim umarł w roku 420.

Z życia mrówek.

(Pogadanka naukowa).

Pośród niezliczonej ilości owadów, jakie napotykamy na każdym kroku, na ziemi, w powietrzu, pod ziemią i w wodzie, mrówki zwracają sawsze uwagę człowieka rozumnego i myślącego. Zastanawiając się z uwagą nad sposobem życia mrówek i ich zadziwiającą zmyślnością, przychodzi nam nietylko uwielbiać wszechmocność i mądrość Boga, stworzyciela wszelkiego stworzenia, ale poznawszy bliżej te owady, nabierzemy dla nich pewnego szacunku.

Uczeni, którzy starannie i dokładnie badali życie mrówek, zebrali tyle ciekawych spostrzeżeń, że niemi całe księgi napełnili. Z tych to spostrzeżeń my wybraliśmy główniejsze i podajemy je naszym Czytelnikom.

Mrówki żyją w wielkich towarzystwach i składają jakby naród, rządzący się pewnemi prawami. W naszym kraju mamy wiele gatunków mrówek, odróżniających się od siebie wielkością i barwą.

Jest *mrówka czarna*, mała pospolita, żyjąca w ogrodach i domach szczególnie tam, gdzie jest dużo słodyczy. W lasach przebywają *mrówki rude*, czerwono-brunatne, które budują sobie wielkie mrowiska. Spotyka się też *mrówki żółte* i wiele innych.

Wszystkie one mają ciałe wydłużone, a na głowie rożki, służące im do dotykania i rozmawiania ze sobą; oczki mają duże, a w pyszczku silne szczęki do gryzienia pokarmu. Nogi ich długie, uzdolnione są do szybkiego biegu, do obrony zaś i napaści posiadają na końcu brzuszka pęcherzyk z gryzącą cieczą, której w gniewie napuszczają w ranę, zrobioną przedtem szczękami na ciele wroga. Ciecz tę zowie się *kwasem mrówczanym*, a ma smak ostry, kwaskowaty.

W mrowisku przebywają zazwyczaj setki tysięcy mrówek, między niemi są: *samce, samice i bezpłciowe* czyli *robotnice*. Ostatnie nie mają nigdy skrzydeł, samce zaś i samice przez krótki czas opatrzone są cienkiemi skrzydełkami, za pomocą których wylatują w powietrze i pląsają wesoło, poczem samce giną, a samice wra-

cają do gniazd, gdzie bądź same, bądź przy pomocy robotnic odgryzają sobie skrzydełka i zaczynają znosić jajka. Jestto jedyne ich zajęcie, gdyż wychów dzieci, budowa gniazda i utrzymanie całego mrowiska należy do robotnic.

Lecz zajrzyjmy już do mrowiska pospolitej rudej mrówki, żyjącej w lasach.

Z pozoru takie mrowisko składające się z drobnych drzazg, z sosnowych igieł, włókien, odłamków kory i tym podobnych okruszyn i bryłek ziemi, wydaje się jakimś niekształtnym kopcem. Inaczej jednak przedstawia się wewnętrzne urządzenie kopca i godne jest podziwu. Są tam tysiączne bramy, strzeżone we dnie, a na noc zamykane, są liczne kurytarze, które prowadzą do licznych większych i małych komórek, są ścieżki kręte i schody.

Jedne komórki służą mrówkom za mieszkanie, inne stanowią izby do wychowania dzieci, inne wreszcie są składami żywności. Jedna część komórek i kurytarzy mieści się w nadziemnej części kopca, druga zaś w ziemi. Kopce te są tak zbudowane, że największy deszcz nie przesiąknie w ich wnętrze.

Ile trudów, ile pracy i zachodów kosztowało wzniesienie takiego mieszkania, pojmie ten tylko, kto się kiedy cierpliwie przyglądał pracy mrówek, kto widział, jak nieraz z odległości kilkuset kroków te drobne pracownice znoszą w szczękach calowe gałązki, igły sosnowe i inne materyały.

Gdzie nie może podołać jedna, pracuje ich kilka gromadą. Dla ułatwienia sobie pracy mrówki wydeptują w różnych kierunkach od mrowiska szerokie ścieżki. Po tych gościńcach snują się nieustannie długie sznury mrówek, idących na zdobycz lub powracających ze zdobyczą.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, całe utrzymanie mrowiska leży na głowie *robotnic*, to też one cały dzień Boży pracują i tylko w nocy mogą odpoczywać. One muszą zbudować mrowisko, one je naprawić, gdy je kto naruszy lub zburzy, one karmią samice i usługują im, one zajmują się wychowaniem młodych mrówek wylęgłych z jaj, a przy wszystkich tych zajęciach okazują dziwną zmyślność.

Mrówki żywią się ciałami innych owadów i robaków, które nieustannie znoszą do swojej siedziby. Zbierają wszystkie trupy, jakie tylko spotkają w okolicy mrowiska. Jeżeli mrówka nie może sama jedna unieść ciężaru, to przybywają jej na pomoc drugie robotnice, a gdy i w kilka nie mogą unieść zbyt wielkiego owadu, to rozrywają go na części i jedna chwyta łapę, inna głowę, trzecia kawałek tułowiu i w ten sposób unoszą zdobycz do gniazda. Niekiedy rzucają się i na żywe owady, zabijają je i rozszarpują.

Pewien badacz życia mrówek obliczył, że w ciągu tylko jednej

minuty robotnice mrówczane znoszą do mrowiska dwadzieścia kilka trupów różnych owadów.

Oprócz owadów lubią mrówki różne także słodycze, spijają więc chciwie rozmaite słodkie soki roślinne, urządzają wyprawy do mieszkań ludzkich po cukier lub konfitury, a nawet zajmują się hodowlą zwierzątek, które im dostarczają słodkiego soku, niby mleka.

Może niejeden z Czytelników zauważył koło mrowiska na zielonych gałązkach i listkach pobliskich krzewów tłumy małych białawych owadów. Są to mszyce, które dla mrówek są krówkami dojnemi. Co chwila ta lub owa mrówka podchodzi do jednej z mszyc i zaczyna ją głaskać po brzuchu swemi rożkami, czyli doi ją, jak się to zwykle mówi. Pod wpływem bowiem tego głaskania, mszyca wydziela z siebie kroplę słodkawej cieczy, którą mrówka natychmiast chciwie spija.

Mrówki dbają wielce o te swoje dojne krówki; zawsze kilka mrówek stoi koło mszyc na straży, aby jaki nieprzyjaciel naprzykład biedronka lub żuczek, nie porwał której. Starają się też zapewnić im wszelkie wygody, wychowują więc ich młode w swoich mrowiskach i chodzą koło nich z tą samą starannością, jak koło młodych mrówek. Gdy spostrzegą, że na drzewie niema już pokarmu dla mszyc, to je przenoszą na inne pobliskie drzewo, słowem niejeden gospodarz nie poświęca tyle starań swoim krowom, co mrówki mszycom.

Znają się więc nasze mrówki na pasterstwie, na hodowli krówek dla siebie, ale na gospodarstwie rolnem nie rozumieją się, bo zresztą niepotrzebne im to jest, gdyż zapasów na zimę nie potrzebują zbierać, albowiem na zimę mrówki nasze udają się do głębszych komórek pod ziemią i tam śpią aż do wiosny.

Są jednak mrówki na świecie, co mają swoje pola, które zasiewają i potem żną. O tych opowiemy w następnym numerze.

Dokończenie nastąpi.

Leki wiejskie.

Kto tylko jakiś czas mieszka na wsi, wie bardzo dobrze, jak wielki wstręt okazuje nasz lud wiejski do lekarzy i lekarstw aptecznych. Umierający wieśniak drży nieraz na widok lekarza, a z otwartemi rękami przyjmuje do chaty baby lekarki, zabijące tysiące ludzi swemi *doświadczonemi lekami;* i w tym celu podaję zdarzenie, którego sam byłem świadkiem, a które byłoby się skończyło najgorzej, gdyby doświadczony i biegły lekarz spóźnił się był tylko o godzinę.

W pewnej wsi, której nazwiska nie chcę wymieniać, znajdował się włościanin rządny, poczciwy, mający żonę i pięcioro drobnych dziatek. Pracował szczerze, zabiegał, oszczędzał, a jednak nie mógł się niczego dorobić; bo jak cokolwiek zaczęło mu być lepiej, to zaraz albo wilk zadusił bydlę, albo konia ukradziono, albo ogień nawiedził chatę, dość, że tylko pracy i rządności żony winien był możność dalszego przy gospodarstwie utrzymania się.

W tej wsi nie było lekarza, ale raz na tydzień przyjeżdżał z miasteczka i w miarę zgłoszenia się chorych udzielał im rady i pomocy. Już przybyły lekarz miał odjechać, kiedy dano mi znać, że żona Marcina umiera. Udałem się więc razem z nim do chaty Marcina i rzeczywiście przerażający widok uderzył nas na wstępie. Chora wiła się w boleściach na łóżku otoczonem babami, pięcioro drobnych dziatek zanosiło się od płaczu, a biedny Marcin stał oparty o komin, nie mogąc wyrzec do nas słowa. Lekarz przystąpił do łoża chorej, wziął za puls, pokiwał głową i rzekł:

— Każda chwila decyduje o życiu — i obracając się do chorej dodał — co cię najbardziej dolega moja kobieto?

— Aj! boleści, okropne boleści wewnątrz.

— Boleści wewnątrz, zapewne dawano ci wódkę?

— Nie.

— Ale powiedz moja kobieto, bo ja się gniewać o to nie będę; wódka dobra na niektóre słabości i chcę tylko wiedzieć, czyś piła wódkę czystą lub z jaką przyprawą, zimną albo grzaną?

— Troszeczkę grzanej.

— Jakąż to troszeczkę?

— A... tak spory półkwaterek.

— Z czem?

— Stara Maćkowa mówiła, żeby wrzucić kilkanaście ziarnek pieprzu.

— Zapalenie kiszek w ostatnim stopniu, leczone wódką z pieprzem — rzekł do mnie doktor i prowadził dalej egzamin.

— A cóżeś jadła moja kobieto?

— Nic.

— Jakto nic? od kiedy?

— Od wczoraj.

— A wczoraj?

— Wczoraj *zapachniała* mi jajecznica z kiełbasą i Maćkowa mówiła, że kiedy się *żąda*, to trzeba jeść.

— Wieleżeś zjadła tej kiełbasy z jajecznicą.

— O tę ryneczkę. — I pokazała ręką najmniej półkwartowe naczynie.

— Pan Bóg cud pokaże, jeżeli ta kobieta nie umrze — po-

wiedział do mnie doktór — a teraz najprzód rozprawić się muszę z mojemi koleżankami bez patentów. Gdzie jest stara Maćkowa?

— Ot tu.

— Jak ty śmiałaś zabijać matkę pięciorga dzieci?

— Co też pan gada, a któż ją zabijał?

— Ty, wódką z pieprzem i jajecznicą z kiełbasą.

— Mój panie, jeszcze pana świecie nie było, a ja już wszystkim bolączki wódką ratowałam.

Przyszedłem lekarzowi w pomoc i kazałem babę lekarkę do czasu zdecydowania słabości, zamknąć na pokutę o chlebie i wodzie, a lekarza zatrzymałem na całą noc. Dane lekarstwo pożądane przyniosło skutki; silny, nadużyciami nie zepsuty organizm dopomógł lekarzowi, i biedna matka pięciorga dzieci w dwa tygodnie odzyskała zdrowie. Kiedy później oboje ze łzami w oczach dziękowali lekarzowi, on im rzekł:

— Największą wdzięczność okażecie mi tem, jeżeli przestrzegać będziecie innych osadników z wioski, aby zamykali drzwi przed babami lekarkami. Godzina czasu decydowała o twojem życiu biedna kobieto; gdybym się był o tę godzinę spóźnił, twoje dzieci zostałyby były sierotami i nie wiedziałyby o tem, że stara Maćkowa zabiła im matkę wódką z pieprzem i kiełbasą z jajecznicą. *W.*

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 5 „Nowin i Rozmaitości“.**

Treść numeru 8-go: Od wydawnictwa! — Żale i prośby Polaków do Królowej Niebios (wierszyk). — O wsi Piotrowinie i o kościele tamże. (Dokończenie). — Marya ucieczka grzeszników. — Ostatnia Komunia św. Hieronima. — Z życia mrówek. — Leki wiejskie. — **Ryciny:** Ostatnia Komunia św. Hieronima.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 1 Czerwca 1896. Nr 9.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi**: rocznie: **2** złr. **50** ct.
półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kto przeto składa z góry *całoroczną* przedpłatę, płaci o 50 ct. taniej. *Kwartalnej* przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: 5 mk. — półrocznie: 3 mk.

W Ameryce rocznie: 1½ dolara.

Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Książkę do modlenia

pod tytułem: **„Droga do nieba“** otrzyma zupełnie darmo, jako nagrodę, każdy, kto pozyska dla „Nowego Dzwonka“ na **2-gie** półrocze **dwóch** nowych prenumeratorów. (1—5)

Przypominamy:

że: 1) prenumerata **roczna** na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami i Rozmaitościami* (z **góry** i w **całości** zapłacona) wynosi: **2 złr. 50 ct.** (z Niemiec 5 mk.) — **półrocznie** zaś: **1 złr. 50 ct.** (z Niemiec 3 mk.).

2) Ci, którzy zapłacili dotąd **1 złr. 50 ct.** mają jeszcze zapłacić na 2-gie półrocze: **1 złr.** i to **przed końcem tego miesiąca,** jeżeli chcą mieć dalej *Nowy Dzwonek,* w przeciwnym razie t. j. gdy tej reszty przedpłaty teraz nie nadeślą, **wstrzymana im będzie** (od lipca) **dalsza przesyłka** gazetki.

3. Wszyscy **nowi** prenumeratorzy, chcący prenumerować *Nowy Dzwonek* dopiero teraz od 2-go półrocza, mają płacić **półrocznie 1 złr. 50 ct.**

4) Ktoby (oprócz siebie) pozyskał na 2-gie półrocze **dwóch nowych** prenumeratorów, ten otrzyma za to jako nagrodę **książkę do modlenia** p. t.: **„Droga do nieba“.**

Do „Nowego Dzwonka“.

Dzwoń nasz *Dzwonku* przez wiek cały,
Bo twój głos srebrzysty
Obiedz musi obszar cały
Tej ziemi ojczystej.

Dzwońże *Dzwonku* głos twój leci,
W nasze wiejskie chaty,
W których bywał jak wśród dzieci
Król ojciec przed laty*).

Dzwońże najprzód słowem Bożem
Nieś je w nasze strzechy,
W niem otrzymać tylko możem
Wśród krzyżów pociechy.

Dzwońże *Dzwonku* nowinami,
Co się w świecie dzieją,
Chociaż oczy błysną łzami
To się znów zaśmieją.

Dzwońże *Dzwonku* bez krytyki
I bez komentarzy,
Także nieco z polityki
Czem ona świat darzy.

Dzwońże także powieściami
I w różne wierszyki,
Które nie są zgorszeniami
Ani próżne krzyki.

Dzwońże *Dzwonku* choć nie mało
Chłopków cię już słucha,
Lecz więcej by się ich zdało
Ale nie trać ducha!

Dzwońże tylko z wiarą żywą,
Liczba się ich zmnoży,
Tylko ufność miej prawdziwą
W pomoc Matki Bożej!

Dzwońże zatem niech poznają
Bicie serca twego,
A poznawszy pomagają
Dla dobra swojego.

---

*) Mowa tu o królu polskim Kazimierzu Wielkim, który często odwiedzał chaty wiejskie i zwany był „królem chłopków“.

Dzwońże *Dzwonku*, jak głos matki,
Bo twój głos srebrzysty,
Znać powinny wszystkie chatki
Tej ziemi ojczystej.
Znać powinny miasta nasze, rzemieślnik przy pracy
Dzwońże *Dzwonku* — wy go chętnie słuchajcie Rodacy!

Jan Dużniak,
przewodniczący Kółka rolniczego w Porębie Wielkiej.

Uroczystość Bożego Ciała.

Uroczystość Bożego Ciała obchodzi się na pamiątkę ustanowienia Najświętszego Sakramentu Ołtarza, dla oddania najgłębszej czci Jezusowi Chrystusowi, utajonemu w Najświętszym Sakramencie; tudzież, dla publicznego i otwartego wyznania naszej wiary w tajemnicę tego Sakramentu.

Jakkolwiek ustanowienie Najświętszego Sakramentu Ołtarza, odbyło się na ostatniej wieczerzy Pańskiej, a tem samem w Wielki Czwartek najwłaściwiej i najsolenniej obchodzonem być winno, przecież z przyczyny rozpamiętywania w tym dniu gorzkiej męki Zbawiciela, odprawia się ta pamiątka w cichej żałobie, natomiast we Czwartek po Uroczystości Trójcy Przenajświętszej, jak najsolenniej i najuroczyściej.

Ustanowił tę uroczystość Papież Urban IV (1263 r.), we Czwartek przypadający po Trójcy Świętej, a zatem po oktawie zesłania Ducha Swętego; bo najstósowniejszą jest rzeczą, aby stosownie do dnia ustanowienia tego Najświętszego Sakramentu, zaraz po uroczystej pamiątce utwierdzenia i rozszerzenia Kościoła świętego, obchodzoną była ta tajemnicą, przez którą ten Kościół umacnia się, doskonali i posila. — Obchodzi się ta Uroczystość przez całą oktawę, to jest przez ośm dni z wystawieniem Najświętszego Sakramentu w Monstrancyi; ponieważ jest jedną z najświętszych w Kościele.

Zacząwszy od pierwszych nieszporów, które przypadają we środę poprzedzającą »Boże Ciało,« wystawia się ponad cyboryum przed wielkim ołtarzem jeden lub trzy kielichy, co trwa przez całą oktawę; bo kielich, w którym się poświęca Krew Pańska, jest godłem tej uroczystości.

Jeden kielich przedstawia wiernym, że jak Bóg jest jeden, tak wiara prawdziwa od Chrystusa objawiona jest jedna, i jeden prawdziwy Chrystus założył Kościół, który jest szafarzem Ciała i Krwi swojej Przenajświętszej. — Trzy kielichy, wyrażają trzy

Osoby w Bogu, z których druga stała się człowiekiem, i dla naszego duchownego posiłku zostawia nam Krew swą i Ciało.

W samą uroczystość »Bożego Ciała« odprawia się publiczna i uroczysta procesya po ulicach miasta i miejscach publicznych, gdzie pod gołem niebem do śpiewania ewangelii ubierają się ołtarze. Odbywa się zaś ta procesya (od r. 1315), dla publicznego wyznania wiary naszej o tym Najświętszym Sakramencie — na podziękowanie za wszystkie łaski, które przyjmując lub odwiedzając ten Sakrament odbieramy, — dla przeproszenia za wszystkie zniewagi i bluźnierstwa, które przez cały rok odbiera Jezus Chrystus w Najświętszym Sakramencie nietylko od niedowiarków, ale i bezbożnych chrześcijan; wreszcie dla otrzymania błogosławieństwa Bożego tak ludziom pojedynczym, jak całym miastom i wioskom wielce potrzebnego.

Ta procesya po rynku lub ulicach miasta przypomina nadto, jak Chrystus Pan obchodził niegdyś wsie, miasteczka i miasta, opowiadając ludziom swą Boską naukę, i wiele łask szczególnych im świadcząc; dlatego śpiewają się cztery ewangelie, od których czterej Ewangeliści opisanie życia, nauki i czynów Jezusa Chrystusa zaczynają, a w których wszyscy ustanowienie tego Najświętszego Sakramentu zaświadczają.

W czasie uroczystej procesyi, kapłani i lud idą z zapalonemi świecami, co oznacza: że w Najświętszym Sakramencie, który kapłan niesie, jest Chrystus prawdziwy i żywy, światłość świata; że przeto wszystkim wiernym zdobywać się należy na gorącą miłość ku Jezusowi Chrystusowi, i na oddanie Mu najgłębszej czci w Najświętszym Sakramencie. Procesyę uzupełnia dziękczynny hymn »Te Deum.«

Zwyczajem do tej uroczystości przywiązanym jest: *święcenie wianków.* Dla świetniejszego obchodu tej uroczystości znosili wierni do kościoła kwiaty, robili z nich girlandy i wieńce, któremi ołtarze i świątynie Pańskie zdobili, co dało powód do obrania tej uroczystości za najstosowniejszą porę ku podziękowaniu Bogu za przeznaczenie rozlicznych roślin do użytku ludzi i zwierząt, oraz ku uproszeniu Go, aby je pobłogosławił i w obfitości rozkrzewiać raczył. Kapłan poświęcając wianki, prosi tedy Pana Boga, aby od tych, którzy wianeczki i pączki różnych ziół z nabożnem sercem na ołtarzu składają, wszelkie przeszkody do zbawienia oddalił, oraz z pączkami cnót i dobrych uczynków do niebieskiej szczęśliwości kiedyś ich przyjął. Tak poświęcone wianki przechowuje lud w domach ze czcią i używa ich w różnych potrzebach; osobliwie w czasie grzmotów i nawałnic, czyniąc z nich kadzenie.

Obrazki z Ziemi świętej.



Studnia Matki Bożej.

Pięć minut drogi za Nazaretem znajduje się studnia, o której dawne podanie mówi, że Najśw. Marya Panna, i przed wydaniem na świat Zbawiciela Pana, i potem, gdy Najświętsza Rodzina przebywała w Nazarecie, chodziła codziennie do tej studni czerpać wodę, ztąd jej nazwa: »studnia Matki Bożej.«

W bliskości tej studni był dom św. Józefa. Nad źródłem, czyli nad tą studnią, wznosił się dawniej kościół, pod imieniem św. Gabryela Archanioła. Ponieważ jest to jedyne źródło w Nazarecie, więc można być pewnym, że w podaniu powyższem, iż Najśw. Marya Panna ztąd czerpała wodę, mieści się istotna prawda. Dziś nad tem źródłem, jak widać z powyższej ryciny, wznosi się mała budowa murowana, a woda zbiera się w piękne marmurowe łoże.

Marcin Wadowita.

Do rzędu sławnych i cnotliwych mężów, którymi kraj nasz słusznie pochlubić się może, należy Marcin Wadowita. Zostawił on młodzieży polskiej piękny przykład samodzielnej, wytrwałej pracy, i stwierdził, że cierpienie i przeciwności są najskuteczniejszym środkiem wychowawczym w życiu człowieka.

Urodził się w mieście Wadowicach r. 1567, z ubogich włościan. Dziecinne lata spędził w opuszczeniu i niedostatku, a wypadek, który wygnał go z pod rodzinnej strzechy, nadał inny kierunek jego życiu. W młodości swojej, podobnie jak Papież

Sykstus V, pasał trzodę. Raz zdarzyło się, że wilk porwał mu wieprza, który był odbiegł od stada; Marcin, na myśl ciężkiej kary, jakaby go była niechybnie spotkała za powrotem do domu, uszedł do Krakowa.

Nieraz, jak sam potem wspominał, jeszcze za tych swoich chłopięcych lat, wśród gajów zielonych rozmyślał o innym świecie, tęsknił za nauką, której wartość przeczuwał.

Ciężkie były pierwsze chwile pobytu biednego chłopca w mieście. Najpierw z garnuszkiem jako pauper szkolny chodził po żebraninie, wałęsając się z miejsca na miejsce, przymierając z głodu; a jednak wszystkie jego naówczas pragnienia streszczały się w jednem czarodziejskiem słowie: »Nauka« — sam też początkowo był nauczycielem. Opatrzność Boża otoczyła go w tych trudnych przejściach miłosierdziem ludzi szlachetnych, i młody Marcin został przyjęty z łaski do szkoły. Tutaj zdolności jego rozwijały się szybko; pilny, roztropny, wśród grona towarzyszy swoich wyróżniał się wzorowem i moralnem zachowaniem się.

Ukończywszy z chlubą najwyższą szkołę, czyli Uniwersytet krakowski, został mianowany tamże profesorem św. teologii, a w końcu po wielu zaszczytach, doszedł do stopnia rektora akademii Jagiellońskiej. Uczniowie otaczali Wadowitę wielką miłością i poważaniem, a cnoty jego i nauka znane były szeroko po świecie; w Rzymie, gdzie był po trzykroć na dysputach teologicznych, zadziwiał wszystkich gruntownością swojej wiedzy.

Ciekawy szczegół, odnoszący się właśnie do chwili wyniesienia go na rektora Akademii, podają współcześni. Otóż, kiedy pierwszy raz przywdział na siebie togę bramowaną, koledzy i profesorowie, którzy nieraz przedtem z powodu jego urodzenia, pogardliwie i z niechęcią patrzeli na niego, zmuszeni byli wówczas, jako zwierzchnikowi swemu, głęboki mu oddać ukłon. Wadowita, na widok tych oznak kornego uszanowania, rozśmiał się łagodnie, a ująwszy za brzeg szaty honorowej, wyrzekł żartobliwie:

»Dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie.«

Dowcipne te wyrazy przeszły w przysłowie, które często bywały powtarzane.

W magistracie wadowickim można po dziś dzień oglądać portret tego szlachetnego męża; miasto szczyci się nim i wielbi go, jako swego dobrodzieja, który szpital i szkołę znacznemi funduszami uposarzył. Pamiętając na ciężkie lata swojej młodości, przygarniał do siebie z serdecznem ciepłem uczącą się młodzień i wspierał hojnie z oszczędności własnego mienia. Kochany i poważany powszechnie, umarł 28 stycznia 1641, przeżył lat 74.

O świętym Krzysztofie.

(Według podania ludowego).

Kiedy to było, nie mówią nam dzieje,
Ni w jakim kraju nie głosi podanie;
Bo życie jasne dla wszystkich jaśnieje
I cały Boży świat objąć jest w stanie.
Dość, że przed bardzo dawnemi laty,
Żył wielki olbrzym *Oferusem* zwany;
W siły on ciała był wielce bogaty,
Od wszystkich także z dobroci swej znany.
Więc choć poganin, czuł to jednak dobrze,
Że się dar niebios użytkiem bogaci,
Że siły ciała udzielonej szczodrze
Winien używać na dobro swej braci.
Póki był w domu, wytrwale pracował;
Aby wygody zapewnić dla matki,
Lecz gdy ją wkrótce ze łzami pochował,
Rzucił z boleścią zebrane dostatki,
Bo już ich widok przestał go weselić,
Kiedy się niemi nie mógł z matką dzielić.

Umarła w późnym już wieku; strata jej tak boleśnie dotknęła przywiązanego syna, że usypawszy matce grobowiec większy, niż najwyższe góry,

Usiadł był na nim, łzy lał czas długi,
Tak ciężkie żale na świat ten wywodził,
Że się z łez jego potworzyły strugi,
Że się niejeden zdrój z nich narodził.

Aż wreszcie się opamiętał i rozważył, że co się stało, odstać się nie może, i że przystojniej jąć się pracy, coby bliźnim poszła na pożytek, aniżeli czas drogi na bezpożytecznym żalu marnować.

Jak pomyślał, tak uczynił, i poszedłszy między ludzi, zażądał od nich roboty. Dawali mu ją radzi, a dawali najcięższą; lecz to wszystko było dla Oferusa zabawką, bo to był mąż takiego wzrostu, iż najtęższe sosny głową przenosił, a takiej siły, że dęby z korzeniem wyrywał. Choć więc pracował nie mało i żadnej usługi nie odmówił, czuł, że większa część sił jego marniała bezpożytecznie, i że tą resztą mógłby większe usługi wyświadczać. Spytał więc ludzi, czyby nie znali kogo bardzo mocnego, do któregoby poszedł w służbę. Powiedzieli mu, iż za górami, za lasami mieszka król potężny, a także jest dzielny i mężny, że kiedy sta-

nie we zbroi, to go się każdy człek boi, że jak świat cały, nad niego niema króla mocniejszego.

Dobrze, pomyślał Oferus, kiedy on taki mocny, to on musi wielkie rzeczy robić; pójdę ja do niego. Rad go przyjął ów możny król i posługiwał się nim zawsze. Oferus robił, co mu kazano: karczował lasy, umacniał brzegi rzek, chroniąc pola od zalewów. Błogosławili go za to ludzie i król cieszył się takim pomocnikiem; on jednak zawsze mówił, że to jeszcze nie dość dla niego, i że podjąłby się cięższej roboty i przyjąłby służbę u mocniejszego pana, gdyby jaki był.

Pewnego razu, kiedy król wyjechał konno ze swymi dworzanami, a Oferus szedł obok piechotą, zerwała się straszna burza:

Zawyły straszne wichury,
A jak świat długi szeroki,
Jakby z wiadra, lało z chmury,
Wezbrane rwały potoki.
Trąba wietrzna młynkiem kręci,
Co pochwyci, rwie i niesie:
Chaty w polach, drzewa w lesie.
Więc król, orszak, strachem zdjęci,
Wiedząc dobrze, co się święci,
Że to prosto harce djable,
W pośród drogi stają nagle,
I gdy trąba się przybliża,
Każdy czyni znaki krzyża,
Wiedząc, iż się tem obroni
Od złego ducha pogoni.

Widząc to Oferus, zapytał króla, dlaczegoby znak ten czynił? Znak krzyża, to najpewniejsza obrona od djabła, odrzekł król. Obrona? — zawołał Oferus — pocóż ty królu bronić się chcesz od niego? — Bo się go boję. — Kiedy ty się boisz, mówił Oferus, to widać, żeś od niego słabszy. Więc ja go poszukam i przyjmę u niego służbę, boś ty nie jest najpotężniejszy, za jakiegom cię miał. Napróżno go wstrzymywali król i mieszkańcy, Oferus nie odstąpił od swego, i poszedł szukać djabła.

I szedł długo, mówi podanie, przez pola i lasy, ciągle wywołując djabła, aż przyszedł na rozstajne drogi, i tam mu się djabeł pokazał, i czegoby żądał zapytał.

— Czyś ty jest djabeł najmocniejszy ze wszystkich?

— Ja jestem djabeł najstarszy i najmocniejszy ze wszystkich, odpowiedział Belzebub — czego chcesz odemnie?

— Chcę ci służyć — daj mi robotę.

— A cóż ci za twoję służbę zapłacić? — zapytał ciekawie djabeł.

— Nie chcę nic. Będę służył u ciebie za darmo, skoroś ty najmocniejszy.

— A jak długo?

— Choćby i zawsze, jeśli tylko mocniejszego od ciebie nie znajdę.

— Już o to bądź spokojny, z dumą i radością wykrzyknął szatan — więc przyjmujesz pod tym warunkiem u mnie służbę na zawsze?

— Pod tym warunkiem, na zawsze.

— I będziesz robił, co ci każę?

— Będę robił, co mi każesz, odpowiedział bez namysłu Oferus; bo jako był człowiek poczciwy, nie wiedział, iżby się znajdowały takie złe istoty, coby zamiast dobra, cnoty, na to tylko się siliły, aby ludziom źle czyniły.

Rozpoczął więc służbę u djabła, ale ciężko mu było dlatego, iż związany własnem słowem, pełnił co do joty dane mu rozkazy, i nieraz wywracał wszystko dobre, co pierwej był zrobił za czasów swej służby u ludzi. Markotno mu to było i bolało go wielce; wyrzucał djabłu, srożył się na niego, ale djabeł zbywał go krótko odpowiedzią: »powiedziałeś, będę służył; słuchaj więc i rób, co ci każę.«

Biedny Oferus skrobał się w głowę i płakał nieraz nad tem, że najmocniejszym panem na świecie, jest taki zły pan. Ale dziwiło go to zarazem, że djabeł więcej złego nie broi, a biorąc niemoc jego za dobrą chęć, lepiej o nim począł tuszyć. Pewnego razu wyszedł był z djabłem na ziemię, a ten ujrzawszy Bożą mękę, wśród drogi, cofnął się czemprędzej i drapnął w nogi.

Ledwo go dogonił Oferus. — Czemuż tak uciekasz? — zapytał.

— Bom obaczył Bożą-mękę.

— A cóż to jest Boża-męka?

— Chrystus ukrzyżowany — odparł krzywiąc się szatan.

— Więc ty się boisz Chrystusa?... kiedy się boisz, mówił dalej — to znać, żeś od niego słabszy. A więc umowa nasza skończona, a ja jadę szukać u Chrystusa służby.

I poszedł. A szedł długo przez pola i lasy, wywołując imię Chrystusa; lecz nigdzie nie słyszał odpowiedzi. Zmartwił się mocno, błąkał się smutnie, i usiadłszy nad brzegiem wielkiej rzeki, co środkiem jaru płynęła, płakał, że nie może znaleść najpotężniejszego Pana.

Kiedy tak zafrasowany siedzi, nadchodzi pustelnik i pyta go: czem się frasujesz człowiecze?

— Szukam służby u Chrystusa, a nie mogę Go znaleść.

Będę robił, co mi każe, będę zabijał jego nieprzyjaciół i burzył wszystko, jakom czynił dla szatana.



— Nie potrzebuje Chrystus — odrzekł poważnie pustelnik — iżbyś zabijał jego nieprzyjaciół.

Zdumiał się tą odpowiedzią Oferus i pomyślał: musi to być bardzo potężny pan, kiedy nie chce, abym zabijał jego nieprzyjaciół.

— Gdzie jest Chrystus?

— Wszędzie — odrzekł pustelnik.

— Jakże go poznać? — zapytał coraz więcej zdziwiony Oferus.

— Poznasz go, skoro w niego uwierzysz, a uwierzysz w Niego skoro w imię Jego będziesz czynił ludziom dobrze.

— Czyniłem dotąd co mi kazano — rzecze Oferus — i nieraz burzyłem to, com pierwej stawiał, i wywracałem, com pierwej budował.

— Czyniłeś tak, boś nie znał drogi prawej. Ale słuchaj: jeżeli w imię Chrystusa i dla Jego miłości będziesz przenosił ludzi przez tę rzekę, w której się już wiele ludzi potopiło, poznasz Chrystusa i będziesz czynił Jego służbę.

Uradował się tem zapewnieniem Oferus, i gdy chciał podziękować pustelnikowi, ten już zniknął. Popatrzył za nim w koło, a nie mogąc dostrzedz, przestał szukać i usiadł nad brzegiem, czekając pielgrzymów. Odtąd taki był rodzaj jego zatrudnienia, iż przez rzekę wszystkich podróżnych przenosił. Błogosławili mu

ludzie, bo tylko człowiek taki wysoki i silny jak Oferus, mógł przebywać bez niebezpieczeństwa tak rwący nurt wody. Ale Oferus nie przyjmował nigdy nagrody, i dziękującym odpowiadał: nie dziękujcie mnie ale Chrystusowi, bo ja to dla niego robię.

Upłynęło tak czasu niemało. Rozeszła się wieść, że się Oferus znowu na ziemi pojawił; dawny jego pan, ów król potężny przysłał po niego, zapraszając go w służbę, i bogatemi nęcąc darami — ale Oferus odpowiadał zawsze jedno, że nie potrzebuje nic, bo ma służbę u Chrystusa. I był wielce z niej szczęśliwy, naprzód, że to była praca niemała i wielkiej trzeba było siły, aby się oprzeć rwącemu nurtowi, a nadto zdawało mu się, iż jest coraz bliższym poznania Chrystusa, bo czyniąc dobrze ludziom, kochał ich coraz mocniej. Pewnego razu, kiedy po ciężkim dniu zasnął, jak zwykle nad brzegiem zmęczony, usłyszał, że ktoś nań zawołał po trzykroć po imieniu:

Za trzecim razem zbudził się przecie,

Spojrzy, i widzi maleńkie dziecię,
A takie śliczne jakby jutrzenka:
Na nim z tęczowych barw jest sukienka,
Rączki na piersiach trzyma złożone,
I »przenieś« prosi na tamtą stronę.
Chętnie się na to Oferus zgadza,
Podnosi dziecię na barki wsadza;
I wziąwszy w silną rękę żylastą
Jako podporę, sosnę iglastą,
Puszcza się żwawo na drugą stronę
Przez bystrej rzeki wody spienione.
Ale zaledwo wszedł na pół drogi,
Chwiać mu się jakoś poczęły nogi,
Gdy straszny ciężar barki mu gniecie;
Po całem ciele przeszło go mrowie;
A więc strwożony, zawoła: Dziecię!
Zda mi się, jesteś ciężkie jak światy!
»Bom jest nad światy, dziecię odpowie;
Jam jest Chrystusem, co poznać chciałeś,
W którego imię tu pracowałeś,
Nie biorąc żadnej za to zapłaty,
A żeś mię poznał, miłując ludzi,
Więc się sam Chrystus do ciebie trudzi,
I chrzci cię w imię Ojca i Syna,
I odpuszczona wszelka twa wina.
Biorę cię za mej łaski narzędzie,

Niechaj cię słyszą wielcy i mali,
Piastunem Bożym będą cię zwali,
Zaczem przybierzesz Krzysztofa miano,
Iżby przez ciebie prawdę poznano;
I uczyć będziesz ludzi odemnie,
By miłowali siebie wzajemnie,
Że najpewniejsza do nieba droga,
Kochać swych bliźnich, miłować Boga.

Jakie było życie, taka i śmierć Krysztofa.

Ochrzczony tak cudownie, poszedł w świat między pogany, bo nie mógł tego ścierpieć, iżby byli ludzie nieznający prawdziwego Boga. I chodził z kraju do kraju, jak mu to Chrystus zalecił, od wsi do wsi i wiele dobrego ludziom czynił, a zawsze mówił, że to robi przez niego Chrystus; wzywał ich aby nawrócili się do niego, wyrzekłszy się bałwanów. Wielu nawrócił, ale w końcu rozgniewąli się na niego poganie, i za poduszczeniem swych kapłanów ukamienowali go; bo im się nie bronił Krysztof choć był tak olbrzymiej siły, ale prosił Boga, aby przebaczył obłąkanym, niewiedzącym, co czynią.

Z życia mrówek.

(Pogadanka naukowa).

(Dokończenie).

W Ameryce północnej; w stanie Texas, żyje duża, brunatna mrówka, zamieszkująca takie same kopce, jak nasze mrówki. Otóż te mrówki amerykańskie nadzwyczaj starannie oczyszczają ziemię do około mrowiska w przestrzeni kilku stóp; wygryzają i wyrzucają wszelkie rośliny, oprócz pewnego gatunku trawy, której nasionami się żywią.

Gdy nasiona dojrzeją i zaczną się osypywać, mrówki je zbierają i zanoszą do osobnych spichrzów w swych podziemnych siedzibach, jako zapas na zimę. Jeśli do tych spichrzów dostanie się woda i zamoczy im zapasy, mrówki korzystają ze słonecznego dnia, wynoszą ziarna i rozkładają przed domem. A tak dobrze umieją je przechowywać, że nie było wypadku, aby im nasiona w spichrzu porosły. Z nastaniem wiosny pewną część zapasów wysiewają, żeby w jesieni mieć zapewniony zbiór na rok następny.

Inne znów mrówki pól swoich wprawdzie nie uprawiają, ale poprzestają na znoszeniu ziarn zkądinąd. Wiedzą o tem murzyni w południowej Afryce (Buszmeni) i w stosownej porze odbierają mrówkom te zapasy.

Mrówki w ogólności żyją między sobą w przyjaźni i zgodzie, nikt nigdy nie widział, aby, się kłóciły dwie mieszkanki jednego mrowiska, owszem, starają się pomagać sobie wzajemnie. Jeśli która mrówka niesie wielki ciężar i spotka inną, to ta druga spieszy jej z pomocą. Poznają się wszystkie bardzo dobrze nawet po dłuższem niewidzeniu się, i witają się z wielką radością, głaszcząc się wzajemnie rożkami. Gdy która mrówka jest raniona lub chora, to zdrowe towarzyszki zanoszą ją do domu i pielęgnują najstaranniej.

Całkiem jednak odmiennie traktują mrówki obcego przybysza, chociażby nim była mrówka z drugiego gniazda. Na taką mrówkę lub inny owad, rzucają się natychmiast, włóczą za rożki lub nogi, wyrzucają precz za drzwi, a nawet zabijają.

Jeśli tak się obchodzą z przypadkowymi przybyszami to cóż dopiero mówić o tem, z jaką zaciekłością napadają na wrogów? Każde mrowisko posiada osobnych żołnierzy, przeznaczonych do jego obrony. Nie zajmują się ci żołnierze żadną pracą, lecz wyłącznie pilnują wejść do kopca. Żywności dostarczają im robotnice. U naszych mrówek żołnierze nie wiele się różnią od robotnic, u niektórych innych są parę razy więksi i silniejsi, to też łatwo ich rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Są takie gatunki mrówek, u których więcej jest żołnierzy niż pracownic, albo nawet zupełnie robotnic niema. Takie mrówki trudnią się wyłącznie urządzaniem wypraw wojennych, i żyją z łupów zdobytych na innych mrówkach.

I między naszemi mrówkami są takie rozbójnice, żyjące z wojny, mianowicie duże, rude mrówki i czerwone napadają na małe, czarne. Gromada rudych uszykowana w rząd, jak się należy, ciągnący się na kilka stóp wzdłuż, wyrusza z gniazda swego w lesie i dąży wężykowato po trawie, wysyłając na zwiady przednią straż, złożoną z kilkunastu żołnierzy.

Pewien uczony, który przypatrywał się tej wyprawie tak ją opisuje: koło płotu był kopiec mrówek czarnych, przed którym kręciło się zaledwie kilka robotnic. Ledwo zobaczyły one nadciągającą przednią straż wrogów (rudych mrówek), przywołały na pomoc towarzyszki i rzuciły się śmiało na napastników. Ale ci dali znać głównej kolumnie, która przyspieszyła kroku i wpadła całą siłą na obrońców gniazda, mordując ich bez litości. To też czarne cofnęły się ku swej siedzibie a zatarasowawszy wejścia, chciały ją bronić do upadłego. Rude natomiast wdrapały się na bok kopca, szczękami zrobiły w nim duży wyłom i wdarły się z tryumfem do środka, siejąc śmierć i zniszczenie. Za parę chwil wyszły spiesznie tą samą drogą, a każda z nich niosła w pyszczku pędraka, lub poczwarkę i powróciły do swego gniazda.

Czerwone mrówki trochę inaczej prowadzą wojnę, te starają się nie tyle zabijać czarne, ile więcej ich przestraszyć.

Wyprawy wojenne i walki mrówek można nieraz zauważyç przechadzając się po lesie. Celem ich bywa zawsze porwanie młodych, które zdobywcy zanoszą do swych gniazd i wychowują na niewolników, którzy muszą spełniać za nich wszelkie prace w domu i w gospodarstwie. W kopcu mrówki czerwonej lub rudej uwija się zawsze mnóstwo małych czarnych mrówek; są to właśnie niewolnicy.

W gniazdach mrówek rozbójniczych spełniają niewolnice wszelkie posługi, i wychowują młode swych panów, których jedynem zajęciem są wyprawy wojenne.

W krajach gorących n. p. w Brazylii, istnieje wiele gatunków mrówek, które, chociaż nie trzymają niewolników, urządzają jednak wyprawy wojenne w celu zdobycia sobie pożywienia. Maszerują one w kolumnie mającej kilkadziesiąt kroków długości, a złożonej z wielu tysięcy wojowników. Widać między niemi i starszych, niby oficerów, którzy mają znacznie większą głowę i ogromne szczęki, a postępują z boku armii i pilnują porządku.

Przerażenie ogarnia cały świat owadów i robaków, jaszczurek, myszy i t. p. zwierzątek, skoro się tylko ukaże taka niszczycielska armia. Dla stworzeń bezskrzydlnych niema ratunku, wszystkie one padają ofiarą wściekłości owych mrówek. Ani szybkie nogi, ani głęboka kryjówka nie wiele pomogą, gdyż rabusie ci wkopują się szybko w ziemię i mordują ukryte owady lub myszy.

I dla człowieka spotkanie takiego wojska może mieć niemiłe następstwa, bo te mrówki kąsają bardzo boleśnie i wpijają w ciało swe szczęki, a gdzie ukąszą tam pozostaje bolesne zapalenie i wrzody, dlatego i ludzie uciekają przed taką armią mrówek.

Te wyprawy wojenne, owe prace gospodarskie koło roli, hodowla mszyc, wszystko to dowodzi zmyślności tych drobnych stworzeń. Niemniej sławna jest ich pracowitośc i dlatego oddawna stawiano mrówki jako wzór pracowitości, bo istotnie ciągle są zajęte pracą a ich zamiłowanie ładu i porządku jak miłość i pomoc, jaką sobie wzajemnie okazują, godne są podziwu. Przypatrując się ich życiu i tej zmyśliwości, chcąc nie chcąc, musi się przyjść do przekonania, że Ten, który dał taką zmyślność tym zwierzątkom, sam musi być najmędrszym i wszechmocnym.

Rady gospodarskie.

Zaraza pyska i racic. Zarazie pyska i racic ulegają: bydło rogate, owce, kozy i świnie. Powstaje ona skutkiem zarażenia;

nie przenosi się atoli jedynie na bydło jednego gatunku, lecz może się tak samo przenieść z owiec na nierogaciznę i bydło lub odwrotnie. Najczęściej rozszerzają ją świnie.

Chorobę tę poznajemy po pęcherzach i wrzódkach na zaczerwienionej błonie śluzowej pyska i na skórze korony racic i w szparze kopyta. Przytem zwierzęta tracą chęć do jadła, mają chód chwiejny i nie chętnie z miejsca się poruszają, natomiast wiele leżą Materya zaraźliwa znajduje się w pęcherzykach, a więc w śluzie pyskowym, oprócz tego we krwi, w mleku i w wszelkich odchodach dotkniętych tą chorobą zwierząt.

Choroba powstaje zwykle w 3—6 dni po zarażeniu i trwa w regule do dni 20; rzadko pociąga za sobą śmierć chorego zwierzęcia, powoduje atoli chudnienie ciała zwierzęcia, wpływa bardzo ujemnie na wydajność mleka i czyni woły niezdatnymi do pociągu. Najgwałtowniej występuje zaraza u zwierząt ciężkich, mianowicie u tłustych stadników i tucznego bydła; cielęta, które jeszcze ssają, często wypadają. Przebieg choroby jest zwykle dość łagodny. Przy lichej paszy kiepskiej ściółce lub pędzeniu po kamienistej, twardej drodze skóra około racic więcej wrzodzieje, skutkiem czego zwierzęta tracą puszkę rogową, co właściciela zniewala do zabicia zwierzęcia. Czasami i przy lepszej pielęgnacyi występuje choroba ta złośliwiej, tak, że rada rozsądnego weterynarza jest koniecznie potrzebna.

Przy łagodnem przebiegu choroby obejdzie się zwykle bez pomocy weterynarza, należy tylko obok dobrej pielęgnacyi zachowywać jak największą czystość mianowicie racic. Najlepsza w tym czasie pasza jest delikatne miękie siano, buraki, ospa, śrót itp.; przytem należy koniecznie dbać o dobrą suchą ściółkę. Chorym sztukom należy wewnątrz zadawać kolejno saletrę z octem, pysk zaś codziennie wypędzlować miodem. Tworzą się koło racic liczne wrzody, natenczas dobrze jest zastrzykiwać racice rozczynem kreoliny lub lyzolu albo też rozczynem Pyoktaminy. Ostatniej używa się także do pędzlowania w pysku i to rozczynem z 1 części Pyoktaminy i 500 części wody. Jak zaś należy używać tych środków to najlepiej w tej sprawie poradzić się weterynarza lub książek weterynarskich.

Zaraza przenosi się bezpośrednio z zwierzęcia na zwierzę albo pośrednio n. p. z oprzątających chore bydło ludzi; dlatego też zupełne odgraniczenie chlewów i zagród, w których się dotknięte chorobą zwierzęta znajdują, jest niezbędnie potrzebne. Zwierzęta nie powinny stajni opuszczać a oprzątający je ludzie, winni przed opuszczeniem stajni lub podwórza obuwie w rozczynie wapiennym zanurzyć, w celu zniszczenia znajdujących się na niem zaraźliwych pierwiastków; tak samo winni zmienić ubiór,

w którym bydło oprzątają, a który jest pomazany śliną chorych zwierząt.

Mleko w niegotowanym stanie od krów dotkniętych zarazą okazało się nieraz dla ludzi, mianowicie dla dzieci szkodliwe. Skutkiem używania go tworzą się w jamie ustnej pęcherzyki i zapalenia, dlatego nie powinno się sprzedawać takiego mleka.

Jeżeli dajemy mleko cielętom od chorych krów, należy je pod każdym warunkiem poprzednio przegotować. Wogóle winno być wszelkie mleko, które w gospodarstwie zużywamy, najlepiej wpierw przegotowane.

W końcu nadmienić wypada, że jakkolwiek zwierzęta, które już raz zarazie uległy, nie tak szybko powtórnie nań zapadają, to jednakowoż gdy w okolicy zaraza panuje, nie należy zbyt lekceważyć wszelkich środków ostrożności.

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 6 „Nowin i Rozmaitości"**.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 15 Czerwca 1896. Nr 10.



PISMO ŁUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi**: rocznie: **2** złr. **50** ct. półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kto przeto składa z góry *całoroczną* przedpłatę, płaci o 50 ct. mniej.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **5** mk. — półrocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Książkę do modlenia

pod tytułem: **„Droga do nieba“** otrzyma zupełnie darmo, jako nagrodę, każdy, kto pozyska dla „Nowego Dzwonka“ na **2-gie** półrocze **dwóch** nowych prenumeratorów. (2—5)

Ostatnie przypomnienie!

1) **Kto do końca tego miesiąca nie nadeszle prenumeraty na 2-gie półrocze, ten w lipcu naszych gazetek już nie otrzyma.**

2) **Dotychczasowi** Czytelnicy, którzy prenumerowali *Nowy Dzwonek* przez I-sze półrocze i zapłacili już: 1 złr. 50 ct., mają na 2-gie półrocze zapłacić **tylko 1 złr.** (z Niemiec 2 mk.).

3. Wszyscy zaś **nowi** Czytelnicy, płacą **półrocznie: 1 złr. 50 ct.**

4) Kto pozyska (oprócz siebie) **dwóch nowych** prenumeratorów, otrzyma za to jako nagrodę książkę do modlenia: **„Droga do nieba“.**

W dwusetną rocznicę śmierci
Jana III Sobieskiego

(Nuta: „Z dymem pożarów“).

„My już bez skargi nie znamy śpiewu“.
K. Ujejski.

Boże Wszechmocny, Boże na niebie!
Przyjmij, prosimy, nasz smutny głos,
Który z pokorą wznosim do Ciebie
Teraz, gdy nęka nas srogi los.
Już przez dwa wieki we łzach toniemy,
Jak Polsce matce przybywa ran;
Ratuj nas Boże! głos w niebo szlemy,
Boś Ty nasz Ojciec, boś Ty nasz Pan.

Kiedy, o Panie, z Twej świętej łaski
Na tronie Piastów Jan Trzeci siadł,
Błogie Ojczyźnie zatlały blaski,
Pod jego mieczem wróg Krzyża padł.
Gdy Muzułmanów ślepych nawała
Pod Wiedniem Niemców pragnęła zgnieść,
I razem wiarę Twą zatrzeć chciała,
W Twe Imię zmiótł ją, czyniąc Ci cześć.

Ale skoroś nam, o Wielki Boże,
Dzielnego króla wziął przed Swój tron,
Już się z łez naszych wezbrało morze,
Bo wróg Ojczyźnie zaprzysiągł zgon.
O Panie, Panie! ileż swawoli
W Ojczyźnie wtenczas zdziałał nasz wróg;
Ileż jej dzieci pchnął do niedoli,
A ileż z Twoich postrącał dróg!...

Ale krzywd tyle nie wystarczyło,
Bo wielkiej zguby wróg Polsce chciał;
I znów uderzył z szatańską siłą
I krew niewinną obficie lał.
A jako mnóstwo po deszczach spadłych
Kałów zmąconych od słońca lśni,
Tak ziemia nasza przez wrogów zjadłych
Była oblana strugami krwi.

I na Podlasiu jeszcze nie starty
Krwi męczenników pozostał ślad;
Na lud z świątyni w Krożach wyparty
Krwią obryzganą dłoń podniósł kat.

O! Panie, Panie! to za Twą wiarę
Tyle męczeńskiej popływa krwi;
Ach, Panie, odbierz tę męki czarę,
Wyjm miecz boleści, co w sercu tkwi!

Zlituj się, Panie, zlituj nad nami,
Bo już krew ojców wydała plon;
Myśmy zmywali grzechy krwią, łzami —
Wróć nam Ojczyznę, wróć polski tron!
Zlituj nad nami, zlituj się Panie,
Co do próśb naszych, łaskawie zrządź,
Lecz gdy Twa wola nie tak się stanie,
Sam nam Obrońcą i Królem bądź!

W Wielowsi dnia 4 czerwca 1896 r.

Ferdynand Kuraś.

Dwaj bracia Litwini.

(Opowiadanie historyczne).

Na Litwie, niedaleko Grodna, mieszkał chłop nazwiskiem Ciwuń. Miał on trzech synów: Szymona, Jana i Jakóba, a wszyscy już dość podrośli tak, że najmłodszy Jakób miał lat szesnaście. Ojciec wielką miał z nich pomoc w gospodarce i pocicchę na podeszłe swe lata. Cieszył się też starowina ze swych dzieci i już sobie na przyszłość marzył, jaki to z Szymka będzie gospodarz a z Janka organista. Tylko nie wiedział jeszcze, co z Jakóbkiem zrobić, boć dwóch synów na małem gospodarstwie trudno umieścić.

— Ha! Bóg da, że i on nie zginie — myślał sobie nieraz stary Ciwuń.

Było to w miesiącu maju, gdy stary Ciwuń z trzema synami wracał nad wieczorem z cmentarza do domu, kiedy zdaleka dał się słyszeć tętent koni, a potem szczęk pałaszy. Był to oddział husarzy polskich, który do wsi się zbliżał. We wsi żołnierze zajechali wprost do dworu, a kupki ludzi stały przed wrotami chałup i pytali jeden drugiego; co znaczy to wojsko we dworze? Niedługo ludzie dworscy roznieśli wiadomość po wsi, że pan hetman litewski Pac rozsyła po całej Litwie wiadomość, iż król polski ma wyciągnąć na Turków i dlatego wzywa wszystką szlachtę, aby się pod chorągwie wojewódzkie co rychlej zbierała, a nawet dozwolono i chłopów przyjmować na ochotnika.

Niedługo dziedzic zwołał starszych z gromady do dworu i powiedział im, o co rzecz idzie. Zawołano potem przed dwór parobczaków z gromady i pytali się ich starsi: czy chcą bronić

Ojczyzny, czy chcą wyciągnąć z wojskiem na Turka i Tatara? Wtedy najprzód wystąpił osiwiały Ciwuń, a za nim trzech jego synów i tak się odezwał:

— Gdybym był młodszym, to i jabym nie pożałował swojego życia na obronę tej ziemi ukochanej, co nas żywi i odziewa. Toć przyjmijcie panowie pod chorągiew moich synów, a ja wam ręczę, że z Turkiem żartować nie będą.

— Poczciwy Ciwuniu — odezwał się dziedzic — wyście już stary, niepodobna więc, żebyście się całkiem podpory na starość pozbyli.

— Toć tam na wojnach nie wszyscy giną, zresztą Jakóbek jako najmłodszy niech przy mnie zostanie.

Zapisano tedy Szymka i Janka do wojska polsko-litewskiego, a za nimi i kilku innych parobczaków.

Nazajutrz po Mszy św. ojciec pobłogosławił Szymka i Janka, dał im poświęcane Szkaplerze na drogę i rozpłakał się rzewnemi łzami, gdy ich zobaczył odjeżdżających z jednym husarzem do Grodna, gdzie hetman litewski, czyli wódz, zbierał oddziały i ćwiczył je w mustrze. — Tymczasem oddział jazdy husarskiej wyruszył dalej, aby i po innych wioskach i miastach zbierać zdatnych do boju.

* * *

W dawnych czasach polskich głównie tylko panowie i szlachta stawali w szeregach konno i bili się z nieprzyjacielem. Chłopów rzadko kiedy używano do bitwy, ale mieli oni dużo zatrudnienia w obozach; używano ich na woźniców do wozów, lub wreszcie służyli swym panom i mieli o ich koniach i uzbrojeniu staranie. Posługaczów obozowych zwano u nas ciurami. Każdy z nich miał pałasz przy boku, a nawet mógł mieć pistolet za pasem lub dzidę w ręku.

Często się zdarzyło, że takie ciury, gdy trzeba było, biły się z wrogiem i nieraz mu dobrze za skórę zalazły; ale działo się to chyba w wielkiej trwodze, gdy nieprzyjaciół zanadto wielu było. Czasem też ciury owe, gdy się niesforność pomiędzy nich wkradła, dużo bigosu i swoim narobili, jak to za króla Zygmunta III się stało w czasie klęski pod Cecorą, gdzie dzielny hetman Żółkiewski padł pod mieczem tureckim.

Wojskiem litewskiem dowodził hetman Pac, gdy Ciwuniowie wyciągnęli na wojnę. Litwini z ochotą pod jego chorągwie się zbiegali i byłby wystawił ogromne wojsko, gdyby nie to, że przyszedł nagle rozkaz od króla, aby bez najmniejszej odwłoki wyciągnął w drogę i spiesznie pod Lwów na Ruś czerwoną, dzisiejszą Galicyę, zdążał. W ten sposób pan hetman zebrał zaledwie

dziesięć tysięcy wojska i z niem pospieszał tam, gdzie król rozkazał. Z drugiej strony i król Jan Sobieski nadciągnął i oba wojska ruszyły razem ku Podolowi.

Był tam już strach wielki pomiędzy ludem. Sułtan turecki posłał na Polskę wezyra, czyli wielkiego wodza swojego, Ibrahima, którego wszyscy nazywali szatanem dlatego, że był czarny na licu jak węgiel i miał duszę jak zły duch. Prowadził ze sobą sześćdziesiąt tysięcy Turków i sto tysięcy Tatarów. Zdobył on już piękne podówczas polskie miasta: Zbaraż, Buczacz, Podhajce; palił po drodze siedziby wylęknionych mieszkańców, wyrzynał lud, lub w jasyr czyli do niewoli zabierał W końcu ten szatan obległ miasto Trembowlę, co leży nad rzeką Seretem i chciał zdobyć jego zamek, gdzie się garstka Polaków dzielnie broniła pod dowództwem pana Chrzanowskiego i jego odważnej żony. Turcy od kilku dni bili z armat do zamku; kule szarpały już mury, w końcu przypuścili szturm, aby raz już uporczywy zamek zdobyć, choć napróżno, bo Polacy z ludem ukraińskim to mrowie pogańskie spędzili z murów i wałów, zadawszy im wielkie szkody w ludziach.

Ale głową trudno mur przebić! W końcu byliby się już musieli poddać Turkom lub zginąć co do nogi. I już właśnie mieli wywiesić na wałach białą chorągiew poddania się, ale nieustraszona Chrzanowska skłoniła męża do zaniechania tego zamiaru, grożąc odebraniem sobie życia i mężowi. Postanowiono więc walczyć do upadłego, wtem na szczęście zdaleka z za gór pokazało się wojsko pancerne z królem Sobieskim na czele.

Przestraszył się bardzo Ibrahim, bo nie spodziewał się widzieć tak prędko odsieczy dla zamku, więc zwinął obóz i spiesznie od Trembowli uciekał tem więcej, że jak się dowiedział, sam Sobieski idzie na niego. Król ten był postrachem dla Turków i Tatarów, bo też ile włosów na głowie człowieka, tyle ten dzielny wojak nakładł nieprzyjaciół własnym swym mieczem. Gdzie nim błysnął, tam chmury pogan pierzchały, niby kurz od wiatru gnany. Więc też i teraz wsiadł im król na karki, uwolnił od nich Trembowlę i Podhajce, a zwróciwszy się nagle pobił ich pod Lwowem, dokąd się inne oddziały bisurmańskie zapędziły.

Dwaj nasi bracia Litwini, że byli wzrostu pięknego, śmiałego oka i silnych pięści, więc też zaraz z początku wybrał ich sobie pan hetman litewski do swoich usług. Kiedy bitwa wrzała, mogli oni zostawać z drugimi ciurami w obozie i pilnować taboru, to jest wozów i bagaży, ale oni uprosili pana hetmana, żeby im choć zdaleka wolno było z koni przyglądać się bitwie. Zdarzyło się, że w bitwie pod Podhajcami oddział Tatarów zapuścił się aż ku obozowi hetmana, bo ich gnało przed sobą rycerstwo

polskie. Wielu wtedy Tatarów z koni spadło, ale też większa część uciekła w różne strony na rączych i zwinnych swych koniach. Widzą to wszystko dwaj bracia Litwini, nie mogli już dłużej wytrzymać, aby się tylko z koni przyglądać bitwie, więc puścili się na uciekająch Tatarów. Janek dopędził się zaraz jakiegoś dowódcę tatarskiego i jednem cięciem pałasza głowę mu odciął; puścił się potem za drugim, dopędził go i zamierzył się już zbroczonym krwią pałaszem na niego, gdy zwinny Tatarzyn przechylił się prawie pod brzuch koniowi i cięcie Janka chybiło. Nim zdążył drugi raz się zamierzyć, już kilku Tatarów go obstąpiło i zarzuciwszy mu pętlicę powroza na szyję, z konia go zwlekli i uciekli z nim przez pola.

Tymczasem Szymek w innej stronie uganiał się z wrogiem. Zdarzyło się, że w ucieczce jakiś bogato ubrany, brodaty Turek, na pięknym koniu wprost pędził na niego z wydobytym krzywym pałaszem. Szymek stanął śmiało i wzniósł pałasz do góry. Turek szybkiem cięciem drasnął go końcem ostrza po licu w chwili, kiedy Szymek go chybił, więc dojęty do żywego, zmierzył się na nowo, ale i Turek był gracz nielada, bo zastawił się tak silnie, że oba pałasze pękły na dwoje i z brzękiem daleko odpadły.

Wtedy nasz wojak rzuca resztę pałasza o ziemię i w mgnieniu oka chwyta silnie Turka za gardło i tak zciągnąwszy go ze siodła, zarzuca na grzbiet swojego konia przed siebie i pędzi do obozu galopem. Już też i bitwa się skończyła. Wielka moc nieprzyjaciół legła na placu i naszych padło też nie mało, ale zwycięstwo było przy królu. Zatrąbiono na wojsko, zebrały się szeregi polskie, stanął i Szymek przy swoim hetmanie i pokazał mu kogo schwycił w bitwie: trzymał on jeszcze mocno za szyję Turka przed sobą. Hetman spojrzał i poznał po ubiorze, że to basza, to jest jenerał turecki w niewoli u silnego Szymka.

— Puść go dzielny chłopcze! — rzekł hetman — niech stanie ten basza przed królem i czołem mu uderzy.

Wtedy Szymek puścił Turka, ale ten spadł jak kloc na ziemię, pokazało się, że go Szymek udusił.

Na takie zdarzenie szeregi wojaków patrzały dziwnemi oczyma; dziwili się wszyscy nadzwyczajnej sile Litwina. Pan hetman w nagrodę kazał mu dać nową bogatą szablę, wysadzaną na pochwie i rękojeści drogiemi turkusami i odtąd już Szymek mógł przy boku hetmańskim stawać do bitwy i razem z drugimi rycerzami, jako ich towarzysz, bić wrogów.

Ucieszył się z tej godności Szymek, ale niedługo mocno się się zasmucił, gdy po apelu pozostałego wojska pokazało się, że Janka Ciwunia niema. Nie zginął, bo trupa jego nie znaleziono między poległymi, a więc musiał być wziętym w jasyr turecki

czy tatarski. Szymek nie przestawał szukać brata, rozpytywał o niego po szeregach, między rannych wchodził do polowego szpitala pod namiot, ale i tam go nie znalazł. Wreszcie powiedział mu jeden z ciurów obozowych, że widział zdaleka, jak Janka na powrozie ciągnęli Turcy za sobą, ale zaraz taki zamęt i kurz powstał, że nie mógł dojrzeć, co się dalej z Jankiem stało.

Szymek na tę wiadomość gorzką łzę uronił, bo i czyż mógł wiedzieć, co się później z Jankiem stanie? czy zapędzi go Turek za Czarne morze do swoich krajów, lub też w drodze ubije? Czy zresztą nie zabrali go z sobą w stepy Akermańskie aż do Krymu albo za Ural? Zresztą jeżeli po wojnie zamiana jeńców nastąpi, gdzie tu szukać Jana Ciwunia, prostego ciurę obozowego? Wszystkie te przypuszczenia trapiły niezmiernie Szymka.

* * *

Po zwycięstwach króla Sobka, bo tak wtedy nazywano króla Sobieskiego, reszta tureckiego wojska ciągnęła spiesznie za rzekę Dniestr, która do morza Czarnego płynie. Król pędził ich przed sobą aż pod Kamieniec podolski i spalił miasto Suczawę, które szturmem zdobyć musiał. Gdy tak prawie już całą Ukrainę od nieprzyjaciół oswobodził, powrócił do Krakowa i dopiero teraz z żoną swoją ukoronował się wśród wielkiej uroczystości. Był to król tak pięknego serca, iż oznajmił narodowi, który go okrzyknął królem, że dopiero wtedy przyjmie koronę na głowę, kiedy się jej stanie godnym przez pobicie natarczywych nieprzyjaciół. Tego też święcie dopełnił.

Wprzód jeszcze hetman Pac pociągnął z wojskiem na Litwę. Z nim musiałby wrócić i Szymon Ciwuń, bo należał do litewskich szeregów, ale on upodobał sobie wojaczkę, a prócz tego bez brata nie miał serca powracać do starego ojca, więc prosił hetmana, aby mu pozwolił i nadal wojować na Ukrainie. Myślał on sobie, że może Bóg dozwoli wziąć w niewolę jakiego znacznego Turka i za niego zrobić zamianę na brata. Pan Pac tak mu wtedy odpowiedział:

— Dobrze! mój zuchu, zostań i walcz jak na rycerza przystoi, ale — dodał z uśmiechem — tylko za gardło swoich niewolników mocno nie ściskaj, bo za trupa nie oddanoby ci żywego brata.

Został więc Szymek w szeregach królewskich i podczas, kiedy król koronował się w Krakowie, on tymczasem na Rusi i Podolu razem z drugimi objeżdżał miasta i wioski patrolem i baczył, czy gdzie nie posłyszy jakich wieści o zbliżaniu się Turków lub Tatarów.

Niedługo też czekał na nieprzyjaciela i niedługo król po

wojnie i koronacyi mógł wypoczywać: bo oto w rok potem dano znać na szlakach tatarskich zapaleniem smolnych beczek na wzgórzach o zbliżaniu się wroga. Z Krakowa niebawem przypędzili gońce do pałacu wilanowskiego pod Warszawą, przynosząc królowi straszliwą nowinę: że ten sam Ibrahim i nowy seraskier, to jest wódz turecki, z większą jeszcze chmarą wojska nagle wkroczyli w granice Polski. Było tego wojska ośmdziesiąt tysięcy Turków i sto trzydzieści tysięcy Tatarów.

Ci dwaj dowódzcy pogańscy po dawnemu zaczęli plądrować na Podolu i na Rusi czerwonej, że zaś nigdzie nie napotkali silnych oddziałów polskiego wojska, więc znęcali się strasznie nad mieszkańcami, a ludu w niewolę brali po drodze co niemiara, bo każdy wpadał w ich ręce, kto nie zdążył zemknąć w niedostępne lasy lub góry. Prowadzili oni z sobą trzy tysiące wozów naładowanych bogatą grabieżą z polskiej ziemi. — Obdzierali ze złota i srebra kościoły i cerkwie, zabierali drogie naczynia i szaty po miastach i dworach, przytem pędzili stada bydła i koni z obór i stajen zabrane. Prócz tego prowadzili z sobą piętnaście tysięcy jeńców, których po drodze schwytali.

Między niewolnikami był i nasz Janek poprzednio już, jak wiemy, pojmany. Dorodny i silny mężczyzna spodobał się Ibrahimowi szatanowi, więc też wziął go z sobą na swoje stepy. Tam przez pół roku pasał za dnia barany, a wieczorami do kuchni musiał drwa rąbać, wodę nosić lub czyścić stajnie i opatrywać jego pyszne rumaki. Przykro i boleśnie było biednemu Litwinowi o kilkaset mil od ojczyzny wysługiwać się poganinowi, a nieraz nawet od tureckich dozorców wiele wycierpieć, bo u Turków był zwyczaj, dotąd jeszcze zachowywany, bicia w pięty kijami za najmniejsze przewinienie. Kara taka nazywa się u nich basarunkiem, a tych basarunków nie żałowali oni nigdy niewolnikom chrześcijańskim, których pogardliwie *giaurami*, czyli psami niewiernymi zwali.

Przed wyciągnięciem na tę drugą wojnę do Polski, Ibrahim zawołał Janka do siebie. Palił wtedy fajkę z długiego cybucha, siedząc na ziemi z założonemi nogami pod siebie, a na głowie miał ogromny zawój. Kiedy wszedł Janek, Ibrahim spojrzał nań bystro swem szatańskiem okiem, że biedny Janek myślał, iż mu zapewne przyjdzie pożegnać się ze światem, ale wódz kazał mu powiedzieć przez swego tłumacza, że go przeznacza do swoich usług za to, że mu zręcznie i wiernie dotąd służył. Kazał go więc zaraz ubrać po turecku w trzewiki, szerokie spodnie, w kaftan i zawój na głowie, a w dowód szczególnej łaski kazał mu jeszcze zgolić gładko głowę tak, że tylko na czuprynie jeden kosmyk włosów został. Kiedy zaś mówić do niego będzie, kazał mu zawsze trzy-



Powrót z pola.

mać ręce skrzyżowane na piersiach, na znak wielkiego posłuszeństwa.

I cóż miał biedny Janek robić? Westchnął boleśnie, ale słuchać musiał. Zresztą polecił się szczerze Panu Bogu i nie tracił ufności... Zaraz też prawie zerwał się Ibrahim szatan do wojny i razem z seraskierem wyciągnął na Polskę z ogromnem wojskiem, jak to już wyżej powiedzieliśmy. *Dokończenie nastąpi.*

Święty Wit, słowik cyt.

Któż się z nas nie zachwycał miłą i rozrzewniającą pieśnią słowika, tego pierwszego śpiewaka naszych zielonych gajów?

Gdy ziemia zrzuca z siebie twardą skorupę zimy, on nam zwiastuje i przyprowadza wiosnę, która ubiera kwiatem nasze szare niwy, wlewa w piersi jakąś pociechę i budzi nową cześć dla Tego, który tak piękny i wielki świat stworzył. Ileżto razy, nie jeden z nas, kiedy żal jaki duszę ciśnie, a może i łza do ócz nabiera, idzie w ciche ustronie, gdzie się czeremcha, jakby śniegiem, białym okryła kwiatem, i słucha z rozkoszą słowika, że aż mu lżej i milej w życiu się staje.

Władysław Jagiełło król polski, który potęgą ówczesną naszego kraju i wdziękami sławionej królowej Jadwigi skłoniony, pojął ją za żonę, i Litwę pogańską ochrzciwszy, do Korony przyłączył, bardzo lubił śpiew słowika. W ostatnich nawet chwilach swego życia w Gródku koło Lwowa, kazał się, już chorego, wynieść do dąbrowy, czyli zielonego lasku, aby słuchać śpiewu tego rozkosznego ptaka, a nawet, jak piszą, że przeziębienie z tego powodu, przyspieszyło zgon owego monarchy we wspomnianym Gródku w 48 roku życia nastąpiony, i ztąd zwłoki tego władcy przeniesiono do Krakowa, do grobów królów polskich.

Ale dziś kiedy mija połowa czerwca, milknie też ów rozkoszny śpiewak gajowy, i już rzadko słychać jego lubą i głośną piosenkę! A chociaż już idzie do nas bogate i brunatne lato, choć niedługo pola zielone pokryją się złotą szmatą pszenicy, i przyniosą nam chleb powszedni, o który codziennie do Boga w modlitwie wołamy, chociaż już wonne róże czerwienią się i bielą po ogrodach i polach, gęstemi kępami; my jednak zatęsknimy za wiosną i słowikiem, bo wiosna, to młodość, a któż za młodością w swem życiu nie wzdychał?

A dlaczegóż słowik już umilkł? *Bo nadszedł święty Wit, to też słowik cyt!* Tak lud wiejski między sobą gwarzy; posłuchajmy go, i my się nauczym, zkąd to przysłowie powstało?

Szedł sobie raz, (mówi podanie ludowe) Pan Jezus przez pole,

i spotkał młodego chłopca, imieniem Wita, który się tułał po polach i lasach, unikając prześladowania pogan, za to, że wyznawał naukę Chrystusa. Chcąc pocieszyć smutnego Wita i natchnąć go nowem męztwem, przemówił do niego Pan Jezus.

— Wicie! Wicie! — a czy już jest ziarno w życie?

— Nie słyszę, Panie! — odrzekł Wit, bo mi ptactwo bardzo nad uszami krzyczy.

Wtedy Pan Jezus, chcąc prowadzić dalszą rozmowę z owym młodzieniaszkiem, którego dla jego wiary i cnót umiłował, miał się odezwać: *ptactwo cyt!* I od tego spotkania się p. Jezusa z Witem, które miało miejsce w połowie czerwca, niektóre ptaszęta, a między niemi słowik, najgłośniejszy z nich śpiewak, kończy swoje piosenki.

Ale nie myślcie, że osoba św. Wita, w tej ludowej powieści czyli legendzie, jest zmyślona. Oj, nie! cnotliwy ten młodzieniaszek, bo zaledwie lat 12 liczący, żył na świecie w 3-cim wieku t. j. około trzechsetnego roku po narodzeniu Chrystusa. Lubo zrodzony z rodziców pogańskich, poznawszy się z chrześcijanami, tak pokochał naukę Chrystusa, że ją potajemnie przyjął i wyznawał. A gdy się ojciec jego, poganin, o tem dowiedział, i wszelkiemi siłami usiłował powrócić go nazad do pogaństwa — całował chłopczyna ręce ojca, ale wyznał, że największe katusze, śmierć nawet sama, nie skłonią go do odstąpienia Chrystusa i Jego Boskiej nauki.

Tak się też stało, bo wkrótce, kiedy prześladowanie chrześcijan, za panowania Dyoklecyana cesarza rzymskiego, doszło do najwyższego stopnia, między innemi stawiono i Wita przed sąd, lecz obwiniony, nie chciał się obok największych męczarni wyrzec Chrystusa i kłaniać bożkom pogańskim — pomimo więc, że córce monarszej modlitwą i łaską Boską zdrowie przywrócił — rozszarpano członki tego młodego, ale prawdziwego wyznawcy Chrystusa, a Kościół św. uwielbiając cnoty męczennika i poświęcenie się dla wiary, zalecił go jako wzór do naśladowania swoim wyznawcom, w poczet Świętych policzył, i dzień 15 czerwca imieniowi Jego poświęcił.

Zbawienie dwóch duchów.

(Gadka ludowa).

W pewnej wiosczynie wielko-polskiej pokutowało. Ledwo noc zapadła, widywano na cmentarzu, który drewniany, mchem porosły, otaczał kościółek, osobę w bieli klęczącą. Nikt nie śmiał do niej się zbliżyć; pielgrzym o tej porze mijał z daleka cmen-

tarz, a kto go przebiegać musiał, z odwróconą twarzą i trwogą w sercu przechodził jak najspieszniej.

Daremnie dawano na Msze św., gorące modły Pasterza gminy nie zdołały ubłagać odpuszczenia win pokutującemu, który zawsze w oznaczonej godzinie na swoim pojawiał się grobie.

Zdarzyło się razu pewnego, że się w karczmie zabawa odbywała. Rozochocone gorzałką chłopki weseliły się w noc późną, aż część znaczniejsza znużona ciągłemi tany a niejeden może i nadużyciem trunku, do domów się rozeszła; zostało tylko kilkunastu młodych parobków dobrze podchmielonych wódką.

— Wiesz co Kuba — ozwał się Jędrek — wszak ty to zawsze wielkiego zucha udajesz, jeśliś taki śmiałek, przynieś nam tego ducha, co tam zawsze klęczy przy kościele!

— Ha, ha, ha — odrzekł na to Ignacy siedzący na ławie przy potężnym półkwaterku gorzały — choćbyś mu złote góry obiecywał, pewnoby nawet pod cmentarz nie zalazł.

— On mi też do tego stworzony — pomruknął inny.

Powstała coraz żywsza wrzawa, kiedy Kuba oburzony przycinkami i pośmiewiskami »no« krzyknie, »bo ja tu z siebie drwinkować nie pozwolę — co mi dacie, a za kwadrans ujrzycie nieboszczyka tu na tym oto stole!

— Cztery garnce wódki — ozwali się jednogłośnie.

— Dobrze, przystaję — ale biada temu, co z karczmy uciecze, kiedy ja powrócę! — i wcisnąwszy baranią czapkę na uszy, odszedł, a parobczaki śmiejąc się potakiwali sobie:

— Dyć go tu jeno patrzeć za chwilkę.

Ha kiedy już ksiądz Proboszcz, osoba przecież poświęcona, a nie śmie z duchem się spotkać, cóż dopiero z nas który! Oj, żeby mu też tam dobrego strachu nagnało! będzie mędrszym nadal sobaka.

— Panie Pietrze, jeszcze po kieliszku tutaj — tylko tej naszej co tak głaszcze po sercu, jakby weń zarzewia nasypał.

Nie maszci to, jak dzień godny,
Kiermaszowy, kiermaszowy;
Pije wódkę człek swobodny,
Przez noc całą z dnia połowy.

Nie troszczą go dzieci, żona,
Nie zna ich parobczak młody;
Jeśli westchnie wpośród grona,
To, by klasnął w twarz jagody!...

— Oh, cóż nam tam zawsze jednę będziesz dudlił — Maćku.

— Jedna, jedna ale dobra!

— Nu Maciusiu — ty coś się już kiwasz — opowiedz nam

jeszcze co — boć przecie niepodobna spać, kiedy tu duch ma przyjść.

— Oj ma, ma — zobaczycie wy tu ducha, ale w baraniej babie, bladego jak śnieg; będęć się też śmiał serdecznie ha, ha, ha! — Słyszysz go, jak już drapie do drzwi! oślepła psiawiara, nie widzi nawet gdzie rygiel od karczmy.

Tu się drzwi z grzytem na wpół rozwarły.

— Najsłodszy Jezu! — zawołał z trwogi stary Szymon, a parobczaki oniemieli; w kąt się tłoczą na wpół martwi, bo przed nimi martwiec w śnieżystej szacie, wybladłej twarzy, z rękoma na krzyż złożonemi, stanął poważnie na stole, na którym go odważny przewodnik usadził, i wzrokiem wstrząsającym najtwardsze serca potoczył około siebie.

I po długiej chwili milczenia obrócił się do mężnego Kuby, i wskazując oschłą dłonią na drzwi, grobowym odzywa się głosem:

— Zkądeś mnie przyniósł, tam mnie odniesiesz.

Zadrżeli wszyscy, zadrżał i Kuba. Nogi mu drętwieją, serce mróz dreszczu ścina; chciałby się zrzucić z tak srogiego rozkazu, ale duch tak silnie nań spogląda, że nawet ust otworzyć nie śmie. Bierze więc drżącemi dłońmi srogiego towarzysza, wkłada na ramiona i obaj znikają.

Śmiertelna cisza rozlała się po całej izbie, i młodzi krzykacze milczą, jakby im żelazem zakuł usta. Nie jeden duszą skruszoną ciche wznosi modły do Boga, aż nareszcie przerwał milczenie Maciek, ale już nie rozkazującym, ale słabym głosem:

— Oj wiecie, prędzej wierzyłbym był, że ziemia podemną pęknie a ja weń zapadnę, jak że ujrzę taki cud! Drwiliśmy z Kuby, ale to jednak człowiek, nad którym Boska czuwa Opatrzność. Zgrzeszyliśmy, uderzmy się w piersi i zmówmy trzy Zdrowaś i jedno Wierzę za tę duszę, którąśmy tak znieważyli.

I wszyscy uklękli, i przy mgławym blasku dogorywającej świeczki i dotlewającego się ognia na kominie, szeptali pacierze.

Tymczasem Kuba wśród czarnej nocy drżącym pospieszał krokiem na cmentarz. Skrzypiącą otworzył furtkę, i przystąpiwszy do grobowca na którym nieboszczyk zwykł był chwile swojej pokuty odbywać, chciał go znów na nim złożyć.

— Nie tutaj teraz moje miejsce — ozwał się znowu grobowym głosem — przed ołtarz do kościoła mnie zanieś, bo biada temu, co naszych nie spełnia rozkazów!

W obłąkaniu prawie zbliżył się Kuba z swym towarzyszem do wrót świątyni, gdy się ta z hukiem otwarła, przerażając okropnem echem cichą modłów zachronę; pękły także i drugie drzwi kruchty i jakaś jasność uderzyła oczy Kuby. Przecie w tej chwili

nadzwyczajnym dziwem trwoga znikła z jego duszy, a duch rzekł z łagodnością:

— Czy widzisz tę białą osobę, co tam klęczy przed wielkim ołtarzem? Jest to mój kumotr, z którym zwaśniwszy się za życia, pomarliśmy obaj w zagniewaniu. Już pięćdziesiąty rok tutaj pokutujem, a prędzej zbawionymi być nie możemy, dopóki nas kto na tej ziemi, z którejśmy z gniewem odeszli, znów nie połączy. W twojej dziś mocy zbawić lub zgubić nas na wieki! Chcesz naszego szczęścia, to przystąp wraz ze mną do ołtarza i połącz nasze dłonie.

Zdumiał się Kuba na tę prośbę groźnego wprzódy ducha; lecz jakąś dziwną uczuwszy odwagę w sercu, nie długo się wahając, zbliżył się do osoby przed ołtarzem Pana Zastępów klęczącej. Duch klęczał, nie rzuciwszy ni jednego nań spojrzenia, aż Kuba się odezwał:

— Bóg waszej zgody pragnie widocznie, bo się ulitował nad grzesznymi, podajcie więc sobie braterskie dłonie. — A duch wesoło nań spojrzawszy, wyciągnął białą jak śnieg prawicę. Kuba ją silnie pochwycił i złączył z ręką swojego towarzysza.

Wtem wzrok jego jakimś nadziemskim oblany blaskiem napróżno usiłował rozpoznać twarze istot, które wybawiał. Widział tylko jakby przez mgłę dwie osoby uroczej postaci; wkrótce znikły; głos tylko dźwięczny obił się o jego uszy: »prawy człowieku idź do twojej powinności, nie bądź za wielkim śmiałkiem, a nie wątpij o wdzięczności tych, którycheś z paszczy czyścia wyswobodził«.

Upadł Kuba na kolana, długo się modlił gorąco do nieba, poczem wrócił otwartemi jeszcze wroty z kościoła do swoich towarzyszów. Zadrżeli wszyscy, gdy wstąpił do karczmy; ale go nikt dalej nie badał. On też w myślach pogrążony, dumał niejaki czas na ławie; a gdy już ludzkie gwary powrót dnia oznaczyły, pożegnawszy towarzyszów uprzejmie, odszedł.

Widziano go w tym samym dniu jeszcze na Mszy św., której klęcząc słuchał z wrytemi w ołtarz oczyma. I wieść cudu wkrótce rozeszła się po całej okolicy. Kuba był odtąd w wielkim u gminy szacunku, który przez cnotliwe nader życie tem mocniej sobie zatwierdził. *A. B.*

Kilka uwag o wściekliznie.

Dość często słyszy się dziś o strasznych wypadkach pokąsania ludzi przez psy wściekłe. Dlatego może nie od rzeczy będzie

przytoczyć tu kilka uwag, dotyczących tej choroby, a wyjętych z *Gazety Olsztyńskiej*. Czytamy tam te słowa:

»Zastraszające wypadki ostatnich dni, spowodowały mnie zająć się bliżej tą straszną chorobą i zwrócić kochanym Czytelnikom uwagę na rodzaj i pochodzenie szału wodnego, czyli wścieklizny.

Chorobie tej podlegają najczęściej psy, lecz i inne zwierzęta, jako i człowiek może w chorobę tę popaść. Za przyczynę choroby tej u psów i kotów uważają uczeni zbyt wielkie zimno, upał nieznośny, brak dobrej wody do picia i t. d., u innych zwierząt, jako i u człowieka tylko pokąsanie przez psa będącego w tej chorobie, lub innego zwierzęcia, i przeniesienie jadu z śliny chorego zwierzęcia w przypadkowo będące rany.

Wścieklizna u psów jest dwojaka: *cicha* oznacza się tem, iż pies spuściwszy głowę na dół, leci, mając ogon wciągnięty, ślepo przed się, z pyska z którego wychodzi biały jak ołów ozór idzie ciągle piana, oczy ma czerwone i na dół spuszczone. Przy wściekliźnie zaś *gorączkowej* niema pies ogona wciągniętego, lecz nosi go jak zwykle zdrowy, i tylko pies w największym szale będący spuszcza ogon na dół, z pyska mało tylko leci mu piany, jest bardzo dziki, napada na ludzi i zwierzęta, a nie leci wprost przed siebie, tylko krętemi drogami.

Odznaki choroby są różne. Rozpoznać można takowe w jej początkach, uważając na następujące rzeczy. Zachowanie się psa w początkach tej choroby, jest przeciwne zachowaniu się jego w zdrowym stanie — jest mrukliwym, leniwym, nieposłusznym, i pokazuje wielką chęć do kąsania, traci apetyt, nie chce przyjmować wody za napój, a nawet czuje wielką odrazę do wody, nie może szczekać tylko wyje, oczy zachodzą ropą, nie rozpoznaje przedmiotów, kąsa wszystko co napotka, nawet swego pana, nareszcie pobiera go chęć ucieczki, stara się wszelkiemi siłami potargać pęta, a gdy mu się to uda, pędzi ślepo przed siebie, napada wszystko co na drodze napotka, bez poprzedniego zaszczekania. Po 5 do 8 dniach następuje wśród kurczów nagła śmierć.

Jeżeli człowiek lub zwierzę jakie przez wściekłego psa pokąsane zostało, wtenczas dni kilka, lub nawet wiele miesięcy trwać może, nim choroba się okaże.

Człowiek pokaleczony przez psa wściekłego zachowuje się początkowo spokojnie, rana się zagoi, lecz staje się później urażliwą, dostaje ciemno-brudnego koloru lub się napowrót otworzy, następuje niepokój, bojaźń, brak powietrza, chory nie może połykać, wpada w szał i kurcze, które się śmiercią kończą. Przy nieszczęśliwym takim wypadku trzeba się niezwłocznie udać do lekarza, można także najprzód wymyć dobrze rany octem, wodą

solową lub mydlaną. Gdy się ma pod ręką, to najlepszym jest *salmiak*. Do picia używa się mocnego odwaru *łuczka cebulowego* (Knoblauch) i w potrawach trzeba przez dłuższy czas używać więcej łuczka. Ponieważ to choroba bardzo niebezpieczna, nie trzeba więc żałować kosztów ni trudu, a ściśle trzymać się przepisów lekarskich, i nie używać różnych lekarstw i środków, jakie którabądź z bab mądrych poleci.

Przy bydle trzeba rany dobrze wyczyścić, potem przez przytrzymanie gorącego żelaza blisko rany takową ogrzać, bacząc, by ciała nie przypalić. Tak czyniąc przez dłuższy czas, można ranę także pomazać czystym olejem lub tłuszczem, a gdy olej wyschnie, namazanie powtórzyć. Wszelkie nieczystości wychodzące z rany, starannie zetrzeć, później dobrze zawinąć i tak pozostawić, póki się nie zagoi. Miałoby bydło popaść jednakowoż w wściekliznę, to początkowo okazuje brak apetytu, nie przyjmuje wody, jest bojącem, trzęsie się na całem ciele, głos ma zmieniony, oczy dzikie i czerwone, z pyska leci piana, czasami popada w szał; inne zaś są spokojne, zasępione, dostają nareszcie kurczów, poczem nastaje śmierć.«

Tyle w *Gazecie Olsztyńskiej*. My zaś z naszej strony podamy w następnym numerze *Nowego Dzwonka* inny jeszcze środek lekarski przeciw wściekliznie, używany przed 30 laty z wielkiem powodzeniem, a wynaleziony przez pewnego kapłana w Królestwie Polskiem.

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 7 „Nowin i Rozmaitości"**.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 1 Lipca 1896. Nr 11.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi**: rocznie: **2** złr. **50** ct. półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kto przeto składa z góry *całoroczną* przedpłatę, płaci o 50 ct. mniej.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **5** mk. — półrocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Książkę do modlenia

pod tytułem: **„Droga do nieba“** otrzyma zupełnie darmo, jako nagrodę, każdy, kto pozyska dla „Nowego Dzwonka“ na **2-gie** półrocze **dwóch** nowych prenumeratorów. (3—5)

Ojcze nasz!

Z wiarą, nadzieją i miłością w duszy
O ludu polski spoglądaj przed siebie
I błagaj Pana, który trony kruszy,
Modląc się: *Ojcze, który jesteś w niebie!*

W przeszłości wielcy, silnymi w przyszłości
Staniem przeszedłszy przez trudy i znoje;
Do Stwórcy, który wywiódł świat z nicości
Módl się o ludu: *Święć się Imię Twoje!*

Z rozdartą piersią na gruzach swej ziemi
My silni duchem — gotowi na boje!
O litość Pana nad nieszczęśliwymi
Módl się o ludu: *Przyjdź Królestwo Twoje!*

Prośmy o powrót wolności i sławy
I niech zabłyśnie dla nas lepsza dola;
Panie! co w ręku masz narodów sprawy
Przyjm modły ludu: *Stań się Twoja wola!*

Pokorni duchem przed obliczem Pana
Przeciwko wrogom powstaniem chrobrymi!
Módl się o ludu, tobie przyszłość dana,
Jak w niebie tak i na ziemi!

Nad czarną niwą z czołem pochylonem
Praca twa znojna modlitwą się stanie!
Módl się o ludu rankiem i wieczorem:
Chleb nasz powszedni racz nam dać o Panie!

Za winy ojców naszych i za swoje
Cierpi Twój naród okuty w kajdany!
Ojcze! — wołają do Cię dzieci Twoje —
Odpuść nam winy jak my odpuszczamy!

My wrogom naszym winy zapomniemy
Sprawiedliwości gdy się zadość stanie,
Bo my wolności na ziemi pragniemy;
Na pokuszenie nie wódź nas o Panie!

Z wiarą, nadzieją i miłością w duszy
Idzie lud polski do krzyża Twojego,
Boskie Twe Serce o niechaj się wzruszy!
Wybaw nas Panie od zła wszelakiego!

Czesława Grzybczyk.

Dwaj bracia Litwini.

(Opowiadanie historyczne).

(Dokończenie).

Gdy się król Sobieski dowiedział o tym niespodziewanym napadzie, kazał zwołać pode Lwów wszystko wojsko, jakie było w okolicach Rusi i Podola. Ale tego wojska nie wiele na miejscu stanęło, bo dużo pułków zostało rozpuszczonych po kwaterach. Że zaś czasu już było mało, bo Turcy i Tatarzy zaledwie o 20 mil byli od Lwowa, więc król, nie tracąc czasu, wyruszył w pole z wojskiem, którego miał 10,000. Z tą małą siłą stanął obozem nad Dniestrem obok miasteczka Żurawna, a było to dnia 24 września 220 lat temu. Po drugiej stronie rzeki zdaleka bielały na rozległem polu namioty nieprzyjaciół, a było razem tych bisurma-

nów 210,000 czyli na jednego Polaka było dwudziestu jeden nieprzyjaciół! Cóż powiecie na to, czytelnicy? Może król Sobek struchlał! może prosił o pokój? O! nie, bynajmniej. Zanim się Turcy z Tatarami przeprawili przez rzekę, kazał on obóz swój dokoła okopać i obstawić wozami i tak czekał na napaść, a sam tymczasem wysyłał to konnicę, żeby niepokoiła Turków, to znowu sam sam z paru tysiącami wyborowych wojaków wypadał cichaczem w nocy i bił straszliwie wysunięte naprzód wysunięte oddziały tureckie. Tak go się zresztą Turcy i Tatarzy bali, że choćby ich stu na niego wyszło, to pierzchali przed jego potężną szablicą, bo oręż ten w ręku silnego króla bez odpoczynku głowy Turkom ścinał. W tem przybywa królowi 3,000 wojska na pomoc i wiecie kto ich głównie sprowadził? Oto nasz Szymek Ciwuń, który u króla wyprosił, że mu pozwolił z innymi zbierać oddziały z najdalszych okolic.

Ale cóż znaczyły te trzy tysiące ludzi przeciw tak wielkiej potędze Turków? Już kilkanaście dni ciągle się oba wojska ucierają ze sobą, giną jak muchy bisurmany, ale i naszych po trochu ubywa. Deszcz lał całemi dniami jak z cebra; upływa już trzeci tydzień, a tu znikąd Polakom nie przybywa ani ludzi ani żywności. Głód czuć się już dawał, a prochu i kul już były ostatki. Król zwołał regimentarzy i dowódzców na radę wojenną do swego namiotu i postanowił, skoro tylko deszcze ulewne przestaną, z całą mocą napaść na obóz Turków i albo ich rozpędzić, albo też poledz wszystkim z chwałą, inaczej jeżeli nie kula i szable tureckie, to sam głód dobiłby Polaków.

Ze spuszczoną głową panowie radni żegnali króla, rozchodząc się do swych pułków. Jeden tylko generał Marcin Kącki, co dowodził artyleryą, to jest armatami, nie tracił serca i nadziei w pomoc Bożą.

Trudne położenie naszych wobec takiej potęgi wroga odczuł boleśnie i nasz Szymek, a bolał podwójnie: raz, że Turkowi nic zrobić nie można, powtóre, że kiedy tak rzeczy stoją, nigdy się z bratem swoim nie zobaczy!

Pewnego wieczora, a było to w połowie października, miał on rozkaz przejrzeć straże przed obozem, obok starego zamku żurawińskiego. Zamek żurawiński niegdyś ogromny, dziś miał dach zerwany, okna wybite i mury porozwalane, bo go tak Turcy zniszczyli. Kiedy Szymek obejrzał zewnętrzne mury zamku, głód mu zaczął mocno dokuczać. Zgłodzony i przeziębnięty zaczął choldzić wśród gruzów zamkowych, gdzie dawni panowie zwykli przechowywać beczki starego, dobrego wina, więc też i łyknął ślinkę na to wspomnienie. Z tą myślą zaszedł po schodach do zamkowych ochów. Księżyc w tej chwili zaświecił między chmurami, tak, że

przez okienka piwnic przechodziły jasne promienie. Chodzi tu i owdzie, wina jak niema tak niema! ale za to za dziesiątemi może drzwiami potrąca o jakieś dwie nadzwyczaj grube rury żelazne. Przygląda się... a to ogromne dwie armaty; przy nich leżało ze dwadzieścia kul żelaznych i kilka beczek prochu.

— Chryste Panie!... O! Matko Boska Ostrobramska! — zawołał — takich ogromnych armat nigdy w życiu mojem nie widziałem, a toć to jak kłody dębów stuletnich!

Uradowany tem odkryciem Szymek, zapomniał o głodzie, winie i chłodzie, natychmiast poszedł donieść panu Kąckiemu, że tyle prochu, kul i dwie ogromne armaty odkrył. Sam król, mocno uradował się tą nowiną, a jenerał Kącki kazał bez zwłoki na wierzch to wszystko wydobyć. Zaraz też nabili prochem i kulami dwie wielkie lufy armatnie i jeszcze tej samej nocy kilkanaście razy strzelono wprost do tureckiego obozu. Wedle rady tego generała, król po wystrzałach kazał wszystkim pułkom wydać ogromne okrzyki radości, jakby powitania nowoprzybyłych a pożądanych gości. Wiedzieli dobrze, jakiego strachu przez to napędzą Turkom, niedługo też, nad samem ranem, usłyszano jakieś dziwne krzyki w ich obozie. Za chwilę wszystko ucichło; tylko straże chodziły dokoła i zamieniały z sobą hasła.

Obóz polski zasłaniały wzgórza, ztąd też dobrze go Turcy widzieć nie mogli. Król tej nocy spał ledwo dwie godziny, a chodził i naradzał się o o bitwie, którą chciał zakończyć przykry los swojego wojska.

Kiedy tak się przechadza wzdłuż namiotów, naraz pada pod nogi królowi z poza wzgórka strzała, a przy niej wisi karteczka. Zdziwiony król podnosi ją, pokazuje Kąckiemu i odczytuje następujące słowa po polsku napisane;

»Dwie wielkie kule armatnie wpadły w sam środek obozu, jedna z nich rozerwała namiot samego Ibrahima. Turcy są w strachu; myślą, że Polakom nowe posiłki z armatami przyszły. Przytem janczarskie pułki sułtańskie buntują się, nie chcą już dłużej stać na polu o głodzie i bez korzyści. Nie traćcie odwagi; pewnie będą was prosili o pokój. Wraz ze mną jest w niewoli 15.000 Polaków«.

Na spodzie karteczki był podpis: »Jan Ciwuń.«

— Niech Bóg da zdrowie tym Ciwuniom — rzekł uradowany król — teraz mospanie będę wiedział, jak z mańki zagrać tym psom bisurmańskim. Każ jenerale zebrać się o świcie wszystkiemu wojsku w szeregi i popędzimy ze wzgórza, jak orły na zdobycz, do ataku. Jeżeli wpierw jeszcze o pokój Turek prosić nas nie będzie, to uderzymy z całą gwałtownością na niego!

Jenerał Kącki natychmiast wydał rozkazy wojsku, a kiedy

zobaczył Szymka w szeregu, opowiedział mu, co zaszło. Poczciwy Szymek z radości łzami się zalał, tak się ucieszył, że brat jego żyje i że taką przysługę dobrej sprawie uczynił.

Nim pułki wystąpiły z obozu, król kazał zrana bębnić i grać muzyce zdaleka za obożem na znak, że to niby nowe wojsko przychodzi, a potem wszyscy ogromnym głosem zaśpiewali pieśń:

Boga-Rodzico, Dziewico!
Bogiem sławiona, Marya...

jak to mieli zwyczaj czynić Polacy, kiedy do bitwy się szykowali. Pieśń tę nabożną a zarazem wojenną dobrze już Turcy znali.

Wtem król wyszedł na wzgórze i ujrzał, jak zdaleka z obozu tureckiego jakieś pułki odchodzą. Domyślił się, że to jest straż przyboczna sułtańska, owi janczarowie, którzy się zbuntowali i dłużej już w polu obozem stać nie chcieli.

Wtem jacyś dwaj jeźdzcy pokazują się od strony Turków, a w ręku wiewają białami chorągwiami na znak, że chcą z Polakami mówić. Wysłał i król dwóch jezdnych od siebie i dowiedział się za chwilę, że Turcy proszą o pokój. Król nie łatwo się skłaniał do pokoju, ale w końcu przystał na niego z tym wstępnym warunkiem, ażeby przed podpisaniem pokoju najprzód wypuścili wszystkich jeńców polskich bez okupu i wszystkie wozy ze zdobyczą, którą w krajach polskich zabrali. Turcy zgodzili się na to i niedługo piętnaście tysięcy jeńców przedstawili królowi. Przywieźli też trzy tysiące wozów napełnionych bogactwami polskiemi. Potem Turcy spiesznie za rzekę Dniestr w swoje kraje pociągnęli. Stało się to 17 października 1676 roku.

Niezmierna teraz radość zapanowała w obozie polskim: ojciec syna, syn ojca, brat brata witali z niewoli. Szymek uwijał się w tłumie szukając brata i już się zaczął smucić, że nie mógł odszukać Janka, gdy wtem jakiś Turek w zawoju na głowie, w kaftanie i szerokich hajdawarach wychodzi z tłumu do niego i woła:

— Cóż to, nie poznajesz mnie, Szymku?

Wtedy Szymek skoczył ku niemu, objął go za szyję i obaj bracia popłakali się z radości.

Mężny król Sobieski, cudem prawie ocaliwszy swoje szczupłe wojsko, klęczał długo podczas obozowej Mszy świętej i dziękował Najwyższemu za to bezprzykładne zwycięztwo. Potem podał swą dłoń dwom mężnym braciom Litwinom, podziękował im za przysługi oddane Ojczyźnie, darował każdemu po dzielnym koniu tureckim i po szabli wysadzanej drogiemi kamieniami; krzyżów i orderów za owych czasów nie przypinano nikomu. Prócz tego zrobił całą rodzinę Ciwuniów szlachcicami, co na owe czasy wiele znaczyło, a gdy się dowiedział, że mają jeszcze starego ojca na

zagrodzie, przyrzekł im, że za grunt, na którym tenże pańszczyznę tenże odrabiał, zapłaci dziedzicowi i odda mu go na własność wieczystą za to, że tak dzielnych synów wychował.

* * *

W domu Ciwunia radość była niezmierna, gdy synów wracających z wojny obaczył. Słuchając opowiadań o dziwnych przygodach, które przeszli, rozpłakał się stary ojciec. Przez kilka dni schodziła się do ich chaty cała gromada. Dwaj wojacy musieli im opowiadać i o wojnie i o Turkach i o tej kresie, którą miał Szymek na licu od szabli tureckiej. Janek znów opowiadał o swej niewoli — a jeszcze nie mało czasu upłynęło, nim mu włosy porosły na głowie, którą mu Turcy tak gładko zgolili. *J. Gr.*

KLĄTWA.

Zdarzenie prawdziwe.

Słońce miało się ku zachodowi, cisza i pokój panowały w naturze, właśnie najmilsza pora do przechadzki; wybiegłem więc w pole z towarzyszem nieco starszym odemnie. Radowały nas obfite plony, które prace rolników hojnie nadgrodzić miały; piękna to pora żniwo dla wieśniaków, wesoło kończą siec pole pszenicy, a my wdzięcznym uchem słuchamy, kiedy niekiedy dolatującej nas piosenki przodownika. Jak wiele poezyi zawierają pieśni ludu, o tem wszczęła się między nami rozmowa; pomału ścieszka zawiodła nas mimowolnie w dębowy lasek; słońce innym ludom przyświecać poszło, a nad nami ukazała się blada twarz księżyca, wyzierająca wśród dębowych liści, jak uwieńczone czoło poległego bohatera. Księżyc, wieczorna pora wśród gaju, tok rozmowy, naprowadziły nas na różne podania, o duchach, o klątwach, co obok pieśni ludu, tło miejscowej poezyi tworzą. Towarzysz mój wspomniał mi kilka podań, o których kiedyś zasłyszał, wreszcie opowiedział mi zdarzenie prawdziwe w znakomitym rodzie polskim, którego prawnucy dziś żyją. Ja wiernie powtarzam słowa opowiadającego.

Jeszcze nie minęło stulecie, jak żyła w ..... podeszła wiekiem dama, wdowa po ..... Od śmierci męża samotne pędziła życie; wrodzonej dumy, nie wykazywała wystawnością; wszystkie nadzieje szczęścia i chwały, złożyła na syna jedynaka, który dopiero z lat młodzieńczych wychodził. Syn odpłacał czułą wdzięcznością za miłość matczyną, rzadko się wydalał z rodzinnego domu. Każdą chwilę starał się uprzyjemnić staruszce, a ona cała żyła w przyszłości, codzień kabała, jedyne wieczorne zatrudnienie,

wykrywała jej jakąś nową, świetną gwiazdę, w paśmie przyszłego życia młodzieńca.

Tak im zbiegały spokojnie dni, miesiące, aż wreszcie młodzieniec otrzymał zaprosiny na ucztę do jakiegoś możnego pana; matka radziła je przyjąć; pojechał, bawił dni kilka. Minęły dnie zabawy, wraca do matki, ale już nie ten sam, jakaś niespokojność maluje się na czole jego, mury dworca nie wystarczają duszy jego, biega po polach, lasach, w końcu zaczął się często z domu wydalać; matka nie sprzeciwiała się temu, ale i jej humor zaczął się psuć od niejakiego czasu, bo kabała, co synowi wojewodziankę za żonę przeznaczyć miała, żadnym sposobem wyjść nie chciała. Stara zaczęła mieć podejrzenie, kazała śledzić kroki syna; wkrótce dowiedziała się, że młodzieniec bawi częstemi pobyty w domu biednego szlachcica, sąsiada, ojca jedynaczki córki. Wiadomość ta nie była jej przyjemną, ale nie troszczyła się wielce, polegając na zasadach dumy rodowej, co w serce syna wszczepiła.

Dnia jednego wraca młodzieniec wieczorem do rodzinnego domu, po kilkodniowej niebytności; jakieś cierpienie miota jego duszą; usiłuje je pokryć, ale matka to spostrzega, zapytuje o przyczynę; młodzieniec wyjawia swą miłość do córki biednego sąsiada. Matka jakby gromem rażona, stara się odwieść syna od zgubnego podług niej zamiaru, przywodzi szybkiemi słowy rozmaite przeszkody, różnice rodu i majątku; syn przy swojem obstaje z pokorą, lecz z stałością; matka coraz szybciej i słabiej wymawia jakieś okropne słowa ... pojednanie ... nagła śmierć ... psy ... związku ująć trudno, wreszcie pada na ziemię, służebne niewiasty unoszą ją zemdloną; syn opuszcza komnatę, kroki jego niesforne okazują, że rozpacz niemi kieruje.

Stary kredencerz miał przechodząc słyszeć całą rozmowę, ale bladł na samo wspomnienie, czasem tylko o jakiejś klątwie w gronie służebnych przebąknął, ale nikt się całej rzeczy od niego dowiedzieć nie mógł. On tylko wiedział, że pani oświadczyła synowi, iż gdy się ożeni z tą córką ubogiego szlachcica, to go już widzieć na oczy nie chce, że się nigdy z nim nie pojedna, a gdyby się pojednała, to niech ją zaraz wtedy nagła śmierć spotka, niech psy jej ciało rozszarpią. Stara pani powróciła do zdrowia, smutno i głucho w jej dworze, syn zdaje się na zawsze go opuscił, wieść tylko doszła, że gdzieś w zaciszu dni szczęśliwe pędzi z żoną wyboru serca swego, o ile mu ich pamięć matki nie zatruwa.

Dużo czasu ubiegło, aż jednego ranka zatętniały podkowy po zarosłym dziedzińcu głuchej włości, opuszczonej matki; posłaniec skoczył z konia, wszedł do komnaty, oddał jakieś pismo, tysiąc uczuć i namiętności przebiegło po zmarszczonych licach wiekiem i zgryzotą przygnębionej staruszki. Każe co prędzej wra-

cać posłańcowi, i donieść, że pojutrze stanie u syna. Niezwykły ruch i życie napełniają mury jej dworca, krzątają się stare sługi, gotują do podróży, zaciągają przed dom zapyloną kolasę, zakładają sześć koni; stara z dziwnym wsiada pośpiechem. Konie nie chcą z miejsca ruszyć, niezwykłe podróży; stara każe je naglić, stangret zacina — ruszyły.

W domu syna wielkie krzątanie, bo syn się narodził, a posłaniec doniósł, że matka przybędzie; wszystkich lica jaśnieją wesołością i szczęściem, gotują komnaty, rozbiegają się posłańce, w goście sąsiady, uczta dwojaka; na przyjęcie matki i chrzciny nowonarodzonego.

Nadeszło to tak długo i gorąco oczekiwane jutro, — wszystko w godową przybrane szatę, — co chwila zajeżdża sześcio- lub czterokonna kareta, a z niej wysunie się najprzód rogówka, potem zaświeci podgolona głowa, karabela zabrzęknie, a państwo domu przyjmują w progu, hajducy wprowadzają do komnat.

Już się zebrała cała okolica, przybiega konny, donosi, że matka już do wsi wjeżdża; syn z kielichem w ręku, synowa z dziecina czekają w progu, a goszczących grono otacza ich.

Zajeżdża kolasa, wysiada rzeźko zgrzybiała matka, bo za młodość starczy szczęście z oglądania dzieci i wnuka. Porywa w swe objęcia drobną dziecinę; nadzieja jak spadająca gwiazda, przesunęła się po czołach rodziny. Syn chce spełnić kielich na pojednanie się z matką, szkło dziki dźwięk wydaje, kielich rozpryskuje się w kawałki w jego dłoni, dziecko boleśnie zakwiliło, bladość pokryła lica obecnych; porywa drugi kielich, ale i ten z dźwiękiem pęka, matka pada na ziemię, przybiegają — podnoszą — nieżywa! —

Okropna cisza, zdumienie, boleść, zajęły miejsce przedchwilowej radości. Syn, jakby dręczony jakąś obawą, porywa ciało matki, do górnych unosi komnat, zamykać i pilnować nakazuje. Zamiast uczty, nastąpił pogrzeb; smutny i dziwny przypadek dużo zebrał osób.

Przed dworem czarny wóz, zaprzężony karemi końmi, mnóstwo światła, księży w kapach i komżach, chóry mnichów zaczynają już przed wozem śpiew ponury, przewodniczący człowiekowi do ostatniego ustronia, którego mu ziemia użycza; wychodzi blady, czarno przybrany syn zmarłej, a słudzy wynoszą bogatą trumnę, wstawiają na wóz, — ruszyli wolnemi kroki.

Okropny krzyk wstrzymuje pochód; trumna spadła z woza, wieko odpada, trup wylatuje; dwa brytany przyskakują i rozrywają zczerniałe policzki zmarłej; — syn wydziera im zdobycz, wkłada nazad do trumny nieszczęsną matkę, — pada bez zmysłów, — odnoszą go do domu. — Trumnę włożyli znów na wóz,



Rzeka Jordan. (Do artykułu: Obrazki z Ziemi świętej).

wiozą dalej, ale śpiewu nie słychać, bo tak okropny wypadek zaniemił wszystkich. —

Przybyli na cmentarz, wpuścili ciało do grobu, ksiądz pobłogosławił, rzucono ziemię na trumnę, głęboko schowały się zwłoki srogo ukaranej dumnej niewiasty.

Stary kredencarz, wracając z cmentarza, powtarzał wieczny odpoczynek, opowiadając, że sprawdziła się klątwa, którą na siebie rzuciła stara, na przypadek, gdyby się kiedy z synem pojednać miała. Syn po długiej gorączkowej chorobie odwiedził grób matki wraz z żoną i dzieciną, — długo się modlili. Oby ich łzy otworzyły jej drogę do przebaczenia Pańskiego! *K. M.*

Obrazki z Ziemi świętej.

Główną rzeką w Ziemi świętej jest *Jordan*. Bierze on początek u podnóża najwyższej góry Anty-Libanu (Dziebel-Szejch) i przerżnąwszy się przez środek jeziora Genezareth, dąży piasczystą doliną do morza Martwego, jako do swego grobu.



Brzegi nadjordańskie.

Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego i więcej uroczego nad brzegi jordańskie zwłaszcza w pustyni, gdzie Zbawiciel został od św. Jana ochrzczony. Zdala nie widać Jordanu, bo zielona taśma po obu stronach zupełnie zakrywa tę rzekę. Na przepyszne gaje, jakie tu widać, składają się dzikie oliwy, płaczące wierzby, kwieciste oleandry i gruba trzcina.

W tem miejscu, gdzie św. Jan ochrzcił Zbawiciela Pana, jest wielki zakręt koryta i bieg wody jest nadzwyczaj powolny. Lud opowiada sobie, że od czasu, jak się dał słyszeć z nieba głos, i jak Syn Boży ubłogosławił to miejsce, Jordan wstrzymał bystry pęd i teraz cicho i nieznacznie się przesuwa, jakby jeszcze nie wyszedł z trwogi i poszanowania na usłyszany głos Ojca niebieskiego.

Dotychczas w pierwszy dzień Wielkiego Tygodnia, zbiera się tu mnóstwo ludzi dla omycia się w Jordanie, i tu zwykli koszule maczać, które później chowają na dzień śmierci swojej.

Potomkowie męczenników.

Z Kraju Koreańskiego, o który między Chinami a Japonią toczyła się wojna w roku zeszłym, donosi na misyi tamże przebywający ks. Robert swemu Biskupowi, co następuje:

»W roku ubiegłym wysłałem jednego z pomocników moich, chrześcijanina do pewnej wsi pogańskiej. Skoro tylko we wsi rozeszła się wieść o przybyciu chrześcijanina, gdy kilka kobiet zapragnęło się z nim widzieć. Ponieważ atoli zwyczaje korejskie zabraniają obcym mężczyznom wstępu do mieszkania kobiet, urzeczywistnienie więc tego życzenia nie małe przedstawiało trudności.

Wreszcie zdołano urządzić upragnioną schadzkę. Pewnej nocy kilka korejskich niewiast znalazło się na oznaczonem miejscu. Po kilkunastu wzajemnych pytaniach z zakresu religii, kobiety te oświadczyły, że są wszystkie chrześcijankami, jeżeli nie rzeczywiście, to przynajmniej w głębi serca.

Nowe znajome powiedziały mi, że są prawnuczkami męczenników, którzy nie w r. 1866, ale znacznie pierwej ponieśli śmierć za wiarę. *Od tej chwili tylko z ust swych rodziców słyszały o religii.* Nie znały one wcale dziadków swych i babek, lecz ojcowie ich i matki otrzymały Chrzest w chwili śmierci i powiedziały im o niezbędności tego Sakramentu do zbawienia duszy.

— My więc — dodały — chrzcimy same umierające dzieci, jak również dorosłych, którzy już znają zasady naszej świętej wiary i mają niebawem pożegnać się z tym światem.

Poczciwe kobiety miały stary jakiś katechizm, które wszystkie prawie umiały na pamięć.

— Wkrótce do mojej wioski przybędzie Ojciec w celu udzielania wiernym Sakramentów św. Zawiadomię was o jego przybyciu, abyście mogły dopełnić również obowiązków religijnych.

— Ależ to niepodobieństwo! — zawołały jednogłośnie.

— W takim razie poproszę Ojca, by was tu odwiedził.

— Nie i o tem nie może być mowy. Chciałybyśmy wprawdzie zobaczyć Ojca, lecz obecnie nawet marzyć o czemś podobnem nie możemy.

— Czyż sądzicie, że bez tego możecie zostać zbawione?

— Ufamy w miłosierdzie Boże. W chwili naszej śmierci znajdzie się zawsze ktoś, co nas ochrzci i pójdziemy do nieba.

— Czy nie odbywacie żadnych bałwochwalczych praktyk?

— Nigdy! Mężowie nasi wiedzą dobrze, jaką wyznajemy wiarę i nie zmuszają nas do żadnych pogańskich obrzędów. Braknie nam tylko książek do nabożeństwa, kalendarza i obrazków.

— Dostarczę wam tego wszystkiego.

Rzeczywiście, katechista dał im niebawem książki do nabożeństwa i kalendarz, w ostatnich zaś czasach prosił mię o różańce dla nich. W jesieni zawiozę mu trochę obrazków.

Wreszcie katechista zapytał biedne kobiety, w jaki sposób obchodzą one święta i uroczystości?

W Niedzielę — odparły — modlimy się wspólnie przez cały ranek, w główniejsze zaś święta, po tej modlitwie czytamy głośno aż do wieczora jakąkolwiek książkę religijnej treści.

Zacne niewiasty uczą nawet swe dzieci, i w taki sposób zazady prawdziwej wiary przechodzą od jednego pokolenia do drugiego, jako najdroższa rodzinna spuścizna.

Niechże te niewiasty bedą wzniosłym przykładem dla naszych matek, które również powinny się starać o nauczanie dzieci religii i zachowania Bożych przykazań.

Rady gospodarskie.

Użyteczność pokrzywy w gospodarstwie. Nie masz może ziela więcej zaniedbanego i bardziej nienawidzonego nad pokrzywę. — Napróżno czepia się ona murów, rozgaszcza się po ogrodach, sama się wszędzie zasiewa i rośnie bujno, nikt jej nie chce, wszyscy depcą nogami, wyrywają i gniewają się na biedną pokrzywę utrzymując, że ona tylko parzy i na nic się nie przyda.

A jednak są kraje na świecie, w których ludzie biedni pragną zawsze pomyślnego sprzętu pokrzywy, dotąd bardzo ją szanują i zbierają jej ziarnka, z którego wytłaczają olej, a z łodygi przędza nici i wyrabiają grube płótna. Ileż to zbawiennych lekarstw z jej liści, z nasienia, korzonków i łodygi przyrządzają, używając w ciężkich chorobach z wielkim skutkiem. Ale najpożyteczniejszą okazuje się ona w gospodarstwie; są takie kraje, gdzie rolnicy często zużytkują pokrzywę na paszę dla zwierząt domowych, mię-

szają parzone pokrzywy ze ziemniakami i innemi korzeniami warzywnemi i dają jako pokarm bydłu. Indziej mięszają siekane pokrzywy z plewami i dają je kurom. Nawet ludzie doskonałą potrawę z nich przyrządzają na polewkę lub jarzynę. — Pokrzywy siekane i zmięszane z siadłem mlekiem służą za doskonałą paszę dla małych indycząt. Niektórzy rolnicy w zimie dają krowom liście pokrzyw ususzone w cieniu.

Utrzymują, że dojrzałe nasienie pokrzywy dawane kurom, przyspiesza ich niesienie. W tym celu radzą także, aby wiosną zebrać znaczny zapas pokrzyw na zimę, a kiedy kury przestają nieść, wrzuca się suchej pokrzywy do wrzącej wody, dla przywrócenia im giętkości, mięsza się je z plewami, studzi ową mięszaninę i daje kurom, które w jajach oddają z dobrym procentem, dane im w ten sposób pokrzywy. — Oprócz tego doświadczeni koniarze używają startych na proszek pokrzyw na poprawę sierści u konia i dania jej pięknego połysku. W tym celu codzień rano i wieczór dorzucają garstkę tego proszku do obroku, skutkiem czego konie się tuczą, sierść nabiera gładkości.

Ci, którzy uznali już pożytek z pokrzywy pod względem lekarskim, przygotowują ją w trojaki sposób. Najprzód w delikatnym proszku, który może być mięszanym do pokarmów, albo przejęty we wodzie, a który ułatwia trawienie, powtóre w syropie; a po trzecie jako wódkę, której można używać przed obiadem dla wzbudzenia apetytu, tak jak piołunkówki i t. p. Własność jej lecząca miała być dowiedzioną szczególnie w puchlinach wodnych, żółtaczkach i t. p. Usmarzone w cukrze korzenie uspakajają zadawniony kaszel, liście zaś mają przywracać ruch paralitykom i obudzać ludzi zapadłych w letarg, herbata z tychże usuwa zaflegmienie gardła, piersi i żołądka.

Przeciw czerwonce u świń okazał się bardzo dobrym środkiem siarczan żelaza (Eisenvitriol). Należy go potłuc i wszystkim świniom z wyjątkiem zupełnie małych prosiąt w pierwszych czterech dniach każdego miesiąca wsypać do rannej paszy. Starym świniom daje się pół łyżeczki od kawy, młodym świniom odpowiednio mniej. Środek ten jest nadzwyczaj tani i we wszystkich aptekach do nabycia.

Dlaczego żydzi nie jedzą wieprzowiny.

(Podanie ludu flamadzkiego).

Krąży tu powieść, że przed bardzo dawnym wiekiem,
Kiedy Zbawiciel Pan był jeszcze człowiekiem,
W czasie długiej pielgrzymki z uczniami Swojemi
Onego czasu stanął na flamandzkiej ziemi.

Żydzi drwiąc, chcieli Zbawcę poniżyć przed ludem;
Zażądać, by moc swoją objawił im cudem,
A pewni, że z sekretu swój swego nie wyda,
Uradzili ogromną beczką nakryć żyda.
I z szyderskiem wyzwaniem miał starszy z gawiedzi
Pytać Chrystusa: Co też pod tą beczką siedzi?
Jakoż wystąpił rabin przed Pana oblicze:
»Słyszeliśmy, że masz władze tajemnicze,
Że robisz różne cuda; pokaż-że nam sztukę,
A uwierzym w twe słowa i w twoją naukę.
Widzisz tę dużą beczkę — dawniej była z miodem,
No zgadnij — co tam siedzi schowane pod spodem?« —
Myśleli, że się będzie wahał w odpowiedzi —
Lecz Chrystus rzekł z uśmiechem: »Pod beczką wieprz siedzi«
Zaprzeczali żydzi z szyderskim okrzykiem —
Lecz w tej chwili z pod fasy wieprz wyłazi z kwikiem.
Żydostwo, jak ukropem sparzone — odskoczy,
Trudno nie wierzyć, kiedy własne widzą oczy.
Tymczasem świnia bryknie, bachury wywraca,
Dopędza trzodę chlewną, która z pola wraca,
Łączy się z bracią swemi; jeszcze raz zakwiknie
I cała trzoda świnek wśród kurzawy niknie.
Wstyd i żal następuje — hurgot się ucisza,
Opłakiwali żydzi swego towarzysza,
Napróżno go szukali z boleścią i strachem,
Chcieli dojść między trzodą Icka Blinderachem;
Oskrobać z niego szorstką powłokę szczeciny
I do osierociałej odesłać rodziny.
Lecz niestety! daremne zabiegi i cele,
Świń podobnych do siebie zanadto jest wiele! —
To też żydzi, oddawna, dla ważnej przyczyny
Nie śmieją w żaden sposób spożywać świniny.
Bo żyd, co świnią został, nie znalazł się przecie,
A żyd-by nie ukąsił żyda za nic w świecie.

Rady lekarskie.

Środek przeciw wściekliźnie.

Przy panujących w lecie upałach, wskutek których łatwo jest być narażonym na pokąsanie przez wściekłego zwierza, nie od rzeczy będzie przytoczyć podany przed 60 laty przez X. Mateusza Lisieckiego, Dziekana Wieruszewskiego, Proboszcza w Woj-

cinie, *sposób leczenia wścieklizny*, zwłaszcza, że jest niekosztowny i łatwo może być użyty przez najuboższą nawet klasę ludności.

Sposób ten leczenia, jak to poświadczał pomieniony X. Dziekan, więcej jak na 100 osobach praktykowany, ani razu nie zawiódł; szczególniej zaś zadziwiające okazał skutki, kiedy w miesiącu listopadzie 1839 roku wilk wściekły wyszedłszy z lasu do wsi Żdżar należącego, pod samą wsią Wiewiórką uderzył na owce i bydło włościanina Jana Mani, pędzone z paszy przez jego córkę i pokaleczył kilka sztuk; nareszcie rzucił się na 16-to letnią dziewczynę toż bydło pędzącą, ukąsił ją w podbródek, i cały lewy policzek pogryzł; ztamtąd tułając się po różnych wsiach okolicznych, aż do parafii Kraszewice, gdzie został zabity, pokaleczył i pogryzł do 40 osób prócz trzody i bydła.

Wszyscy od tego wilka wściekłego pokąsani, mówi dalej ksiądz Lisiecki, którzy używali mego lekarstwa, obok środków od lekarzy powiatu Wieluńskiego i Kaliskiego im przepisanych, równie jak i ten człowiek, który go zabił, mocno pokaleczony zostali przy zdrowiu doskonale wyleczeni. Cztery zaś osoby w parafii Kraszewice, od tegoż samego wściekłago wilka pokąsane, które nie wiedziały o moim sposobie leczenia wścieklizny, pomimo użycia środków przez lekarzy przepisanych, pomarły. To moje podanie, dodaje ksiądz Lisiecki, mógłbym udowodnić świadectwami kilku wójtów i naczelnika powiatu Wieluńskiego.

Zbawiennem tem lekarstwem jest roślina *Trędownikiem* (Scrophularia nodosa) zwana; zbiera się ona w miesiącach Czerwcu i Lipcu z korzeniem, suszy się na wolnem powietrzu w cieniu. W razie potrzeby użycia, korzonki odkrawają się od łodygi, opłukują się z ziemi, suszą na gorącym trzonie, i trą się na proszek w moździerzu lub na kamieniu. Tego proszku daje się ukąszonemu od wściekłego zwierza, dobrze na koniec noża wypić z łyżką wody naczczo rano i na noc, bez różnicy wieku. Łodygi zaś, liście i kwiat, kraje się drobno jak sieczkę; tak pokrajanego ziela bierze się szczypta w trzy palce do pół kwarty wody, dwie takie szczypty gotuje się pod pokrywką, jak inne ziółka, odcedza, przestudza i daje pić letnio pokąsanemu, przed południem i po południu za zwyczajny napój, przez dni 8 do 14-stu.

Na rany od wściekłych zwierząt zadane, dobrze jest rozpuścić sól kuchenną w miękkiej wodzie i tą wodą rany często przemywać. Gdzie mało znajduje się trędownika, można raz odcedziwszy, drugi raz nalać i mocniej gotować, odcedzić i dać pić bydlętom.

Pogryzioną trzodę tym samym odwarem poić, przysypując proszku trzy razy dniem.

Praktykując ten sposób, mówi dalej ksiądz Lisiecki przez

lat około 40, jedna zdarzyła się niewiasta, która już okazała objawy wścieklizny; ale i ta przy pilnem używaniu mego lekarstwa bez innej pomocy szczęśliwie uleczoną została.

Zacny ów kapłan, przesyłając przepis powyższy do jednej z warszawskich gazet przed 60 laty, dla podania go do powszechnej wiadomości, powiada w końcu: Za szczęśliwego się poczytam, gdy szanowna Redakcya ten mój artykuł i receptę umieści w swojem piśmie, albowiem przeżywszy już lat 71 wieku, niedługo będę mógł sam ratować nieszczęśliwych.

W uzupełnieniu powyższego artykułu, dodamy, iż *trędownik* węzłowaty czyli pospolity, rośnie w całej prawie Europie w miejscach wilgotnych i zacienionych, ma korzonki snujące się po ziemi, węzełkowate, liście w kształt serca wycięte, ostre, piłkowane, kwiat w gronkach podłużnych brudno-czerwony, smak przykry, zapach silny, mdlący, łodyga dwułokciowa, czworograniasta, ostrokątna, gładka.

Własności jego lekarskie są łagodzące, rozpędzające i uspokajające, liście używane na nabrzmiałości skrofuliczne; skuteczny jest również na rany, hemoroidy, trąd i przeciw skrofułom.

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 8 „Nowin i Rozmaitości"**.

Treść numeru 11-go: Ojcze nasz (wierszyk). — Dwaj braci Litwini. (Dokończenie). — Klątwa. — Obrazki z Ziemi świętej. — Potomkowie męczenników. — Rady gospodarskie. — Dlaczego żydzi nie jedzą wieprzowiny. — Rady lekarskie. — **Ryciny:** Rzeka Jordan. — Brzegi nadjordańskie.

Upraszamy

o nadsyłanie prenumeraty na 2-gie półrocze. Ktoby zaś nie chciał naszych gazetek dalej trzymać, niech nam ten numer zwróci. Zatrzymawszy bowiem numer, obowiązuje się tem samem do zapłacenia.

Wyszła z druku książka pod tytułem:

„O WŁASNOŚCIACH PRAWDZIWEJ RELIGII".

(Rozprawy popularno-apologetyczne).

Cena: 1 złr.

Do nabycia w redakcyi **„Nowego Dzwonka"**.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Rok IV. Kraków 1 Sierpnia 1896. Nr 12.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi**: rocznie: **2** złr. **50** ct. półrocznie: **1** złr. **50** ct. *Kwartalnej* przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **5** mk. — półrocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie,** ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Słowo od wydawnictwa.

Jeszcze *przeszło tysiąc* Czytelników nie uiściło dopłaty, względnie prenumeraty na 2-gie półrocze, wskutek tego opóźnił się numer niniejszy, i *Nowin* nie mogliśmy też dodać do tego numeru.

Numer niniejszy jest **12-tym** z rzędu, a wiadomo, że kto z początkiem roku zapłacił *1 złr. 50 ct.* jako prenumeratę *całoroczną*, miał otrzymać za to w roku **12** numerów gazetki, bo gazetka miała wychodzić *co miesiąc.* Że zaś właśnie ten niniejszy numer jest **12-tym,** więc ci, co złożyli tylko *1 złr. 50 ct.* otrzymali tyle numerów *ile im się należało,* a jeżeli chcą dalej odbierać pismo, to muszą nadesłać *nową* czyli dalszą prenumeratę.

Z pewnych ważnych powodów, nastąpi *chwilowa przerwa* w wydawnictwie *Nowego Dzwonka*, to znaczy, że numer następny wyjdzie dopiero albo w **połowie września,** abo z **początkiem października,** na czem Sz. Czytelnicy nic nie stracą, bo za to w inny sposób zostaną *wynagrodzeni*, o czem napisane będzie w następnym owym późniejszym numerze

Ponieważ pismo dalej wychodzić będzie i tylko chwilowo będzie przerwane, więc rozumie się, że prenumeratę dalszą przyjmujemy. Owszem, im prędzej wszyscy uiszczą tę resztę prenumeraty, tem przerwa w wydawnictwie będzie krótsza, prędzej wyjdzie numer następny.

Ktoby zaś nie chciał dalej trzymać *Nowego Dzwonka*, niech nas o tem raczy uwiadomić, abyśmy mu niepotrzebnie dalszych numerów nie posyłali i nie narażali się na niepotrzebne koszta.

Szan. Czytelnicy niech się tą chwilową przerwą nie zrażają,

bo trzeba Wam wiedzieć, że pracujemy w nader a nader ciężkich warunkach. Pisma pańskie, które służą panom, mają subwencyę, ale takie jak nasz *Nowy Dzwonek*, dlatego, że tylko ludowi służy, nie ma znikąd pomocy, a koszta wydawnictwa są tak wielkie, że je trudno pokryć dochodami z prenumeraty, zwłaszcza jeżeli Czytelnicy opózniają się z jej nadsyłaniem.

Na wiecach katolickich wykrzykują wprawdzie różni ludzie przeciw innym pismom i piorunują na nie, ale o tem, aby udzielić pomocy pismom katolickim, ani się komu śni. Tacy to nasi katolicy! Lubią się tylko popisywać mowami na wiecach, bo to nic nie kosztuje.

Dużoby się dało o tem powiedzieć, lecz wiadomo, że za to u nas wnet okrzykniętoby nas »burzycielami porządku», »warchołami« i t. d. więc lepiej zamilczeć, aż nadejdą inne czasy. Tymczasem prosimy o nadsyłanie dalszej prenumeraty!

Do niniejszego numeru dołączamy *spis rzeczy* i *kartkę tytułową* i zamykamy tom V-ty. Z następnym numerem rozpocznie się *nowy rocznik*, czyli *nowy tom*. Czynimy to dlatego, aby ci, którzy chcieli mieć za *1 złr. 50 ct.* tylko 12 numerów, mieli z nich *całość*.

Prośba.

Nie pragnę Panie nic na tym świecie,
Ani bogactwa, ni uciech roju,
Lecz duszy, którą tęsknota miecie,
Udziel, o udziel spokoju!

Nie pragnę, bym miał żelazne ramię,
Wyrywał dęby, urągał burzy,
Lecz niech mi troska serca nie złamie,
Niech walka życia nie znuży!

Nie chcę już szczęścia o jakiem śniłem,
Bo mi jak pyłek znikły nadzieje;
Lecz po tych, których piaskiem pokryłem,
Niechże tak gorzkich łez już nie leję!

Niechże już dźwigam krzyż mój skalisty,
Za mą niewdzięczność, za złości moje,
Lecz gdy nadejdzie dzień mój wieczysty,
Wprowadź mnie, wprowadź w ciszy podwoje!

NAWRÓCENIE.

Opowieść historyczna.

Kiedy syn Ziemomysła skończył siódmy rok życia, zebrała się cała książęca rodzina, liczną drużyną otoczona, by dopełnić podług pogańskiego zwyczaju obrzędu postrzyżyn. Chłopię było piękne, dobre i nad wiek swój rozumne, a przecież każde na nie spojrzenie smutkiem napełniało serca rodziców, bo oczy jego od urodzenia cieniem pokryte, nie widziały dotąd promieni słońca. Podczas uroczystości, gdy jasne włosy staczające się po ramionach, padły pod ostrzem błyszczących nożyc, a chłopczyna, dziecięciem mianowany, otrzymał imię Mieczysława, stała się rzecz dziwna i niepojęta; jak gdyby zasłona jakaś spadła z oczu młodzianka, w błękitnych lecz martwych dotąd źrenicach zajaśniał wyraz radości, i ślepy przejrzał nagle ku szczęściu i weselu rodziców swoich i ku podziwieniu wszystkich obecnych.

Z tak niezwykłego zdarzenia poczęto snuć rozliczne domysły i wróżby, i wszyscy zgadzali się na to, że to cudowne przejrzenie Mieczysława musi być przepowiednią wielkich i niezwyczajnych rzeczy, których on dorósłszy świadkiem lub sprawcą będzie.

Ale mijały lata, Mieszko wyrósł w młodziana, a następnie w męża, już od lat kilku po ojca zgonie rządził Polską, a jeszcze nic nadzwyczaj ważnego nie zaszło w kraju, coby owe wróżby sprawdzać się zdawało. Zbierały się przecież powoli żywioły ku poważnym zmianom, powoli mówię, bo w życiu narodów nic nagle nie przychodzi; każdy objaw musi mieć swoje źródło, czasem bardzo odległe i każdy po sobie na przyszłość pozostawia następstwa.

Chociaż w ogóle Polacy trwali w bałwochwalskich błędach, wielu jednakże było pomiędzy nimi, którzy czy to w spokojnych wycieczkach do sąsiednich Czech i Moraw, czy w handlowych stosunkach z temi krajami, nabywali innych pojęć, poznawali wiarę chrześcijańską, przyjmowali ją sami, za powrotem szczepili ją w sercach swojej rodziny i lubo tajemnie, by ziomków swych pogan nie oburzać, wykonywali jej przepisy.

Mieczysław wiedział o tem, w niejednem zbliżeniu z czeskimi i niemieckimi książęty poznał różnicę ich zwyczajów i wiary, lecz wygodniej mu było żyć podług pogańskiego obyczaju, dającego mu zupełną swobodę. Przy dworze i w radzie książęcej było również chrześcijan nie mało, ci widzieli, że Mieczysław w bałwochwalstwie dni swoje pędząc, nie ma ani domowego szczęścia, ani przywiązanej do siebie rodziny i poradzili mu, by pojął w małżeństwo córkę Bolesława I, księcia czeskiego, a tym sposobem by sobie przyjaźń potężnego sąsiada zapewnił.

Zgodził się na to Mieczysław, nastąpiły między obydwiema stronami układy, a najpierwszym ich warunkiem było wyrzeczenie się ze strony nowożeńca błędów pogańskich.

Na początku roku 965 przybyła do Poznania, gdzie książę mieszkać lubił, Dobrawa czyli Dąbrówka, otoczona licznym orszakiem czeskich panów i niewiast, w towarzystwie Biskupa i kapłanów prawego Boga. Mieczysław, po niedługiem przygotowaniu do tak ważnego kroku, przyjął Chrzest święty, poślubił Dąbrówkę, a ceniąc jej łagodność, pobożność i ciche domowe cnoty, szczęśliwy ten dla siebie wypadek świetnemi obchodził ucztami i obdarował hojnie tych, co mu tak drogi skarb sprowadzili.

Bez zwłoki i z prawdziwą gorliwością zajął się teraz książę rozszerzeniem prawdziwej wiary wśród poddanych swoich; zaczął budować kościoły, opatrzył je w potrzebne dochody i kosztowne sprzęty do odprawiania służby Bożej, sprowadził kapłanów i na ich utrzymanie naznaczył składanie dziesięciny, to jest dziesiątą część dochodu każdego mieszkańca. Wkrótce też założonem zostało najpierwsze w Polsce biskupstwo poznańskie.

Ale kiedy Mieczysław, wspierany i zachęcany przez pobożną małżonkę tak ważnym pracom cały się oddawał, lud szemrał, niechętnie wykonywał książęce rozkazy, a nieraz wyraźnie im się opierał. Polacy, zaślepieni błędami pogaństwa, stronili od nowej wiary, jak człowiek, który długo w ciemnicy zamknięty, a potem nagle na światło wyprowadzony, przymyka oczy, nie mogąc znieść od razu słonecznego blasku, i to co najwyższe szczęście ludzi stanowi, chwilowo uważa sobie za przyczynę cierpienia.

Jeżeli w granice kraju wtargnęła garstka niespokojnych sąsiadów, jeżeli miejscowość jaką nawiedziła choroba, burza zniszczyła lub zagroziła zasiewom, jeżeli niezgoda powstała między mieszkańcami jednej osady lub rodziny, wszystko to przypisywano nowej wierze, utrzymując, że dawne bogi karzą tym sposobem odstępstwo Mieczysława. Zabobonny lud z tem większą czcią korzył się przed bałwanami, chcąc je przebłagać, a gdy chrześcijańscy kapłani usiłowali ich oświecić i nawrócić, udawali, że nie rozumieją czeskiej lub morawskiej mowy, tak bardzo wówczas do polskiej podobnej, by nie dopuścić nauki do rozdrażnionego umysłu. Do duchownych zaś, przybyłych z Włoch lub Francyi, chowali Polacy potrójną niechęć; jako do nieprzyjaciół ulubionych bogów, jako do cudzoziemców i nakoniec jako do tych, którzy mieli prawo dopominania się dziesiątej części każdego ich zbioru.

Bardzo zatem powoli postępowało nawracanie pogan w Polsce; tu i owdzie pojedyncze rodziny przyjmowały świętą naukę Ewangelii i to najczęściej kryć się z tem przed sąsiadami mu-

siały, a jeśli gdzie za namową supanów*) całe opole chrzest przyjęło, to niezadługo usuwali się starsi od spełniania nowych obowiązków, a za ich przykładem szli i młodsi. Widząc to Mieczysław, postanowił czynniej niż dotąd zająć się zbawiennem dziełem i w tym celu osobiście cały kraj swój zwiedzić.

Był to mądrze obmyślany środek, naród kochał swego księcia, potomka Piasta rolnika, postrzyżonego w pogaństwie Mieczysława i zawsze jeszcze oczekiwał spełnienia owej wróżby, zapowiadającej coś wielkiego dla kraju za jego rządów. Wszędzie więc, gdzie się otoczony radą swoją i duchowieństwem ukazał, zdobywał przekonanie mieszkańców, dobierając najwłaściwszych ku temu sposobów. Do oświeceńszych, po kapłańskiej nauce zwracał się z przedstawieniem korzyści kraju, światła, jakie dzieci czerpać będą z mądrości przybyłych duchownych, znaczenia u obcych, ciemniejszych zachęcał datkami i obietnicą, a gdzie ciemnota i zagorzałość silniejszy stawiała opór, nie wahał się stanowczo i mężnie wystąpić.

Nad brzegi rzek kazał znosić czczone dotąd bałwany, i nie zważając na szemranie, a czasem i groźne okrzyki ludu, w swojej obecności kazał kruszyć, topić, a o ile były drewniane, palić pogańskie bożyszcza. Lud zdziwiony ich bezwładnością, widząc, że się za swoją nie ujmą krzywdę, odwracał się od nich z pogardą i czując potrzebę wiary, po starej, chętnie do nowej, prawdziwej i tyle mu zalecanej się zwracał.

Dotąd jeszcze w wielu miejscach, w czasie wielkiego postu, lud wiejski prowadzi do rzeki bałwana, urobionego ze słomy i tam przy śpiewach i okrzykach takowego topi; powiadają, że się to dzieje z radości, pochodzącej z końca zimy, tej pory roku tak groźnej i obrazem śmierci będącej, że ją Marzaną nazywają; lecz może zwyczaj ten i ztąd powstał, że w tej samej porze bo 7 marca odbywało się owo ogólne topienie bałwanów pogańskich za Mieczysława.

Kiedy się książę tak mozolnie zajmował, małżonka jego w poznańskim pozostawszy zamku, nie trawiła bezczynnie drogiego czasu; modląc się i polecając Bogu tych, którzy pracowali nad rozkrzewieniem chrześcijańskiej wiary, sama pełniła ściśle przepisy tej świętej religii. Otoczona mniejszym orszakiem dworzan w nieobecności męża, wolna od udziału w przyjmowaniu postronnych gości, więcej miała wolnych chwil i łatwiej mogła opuszczać książęce komnaty, by w prostej odzieży zwiedzać uboższe domki stolicy, lub bliższych jej okolic i nieść cierpiącym pomoc, pociechę, czasem rady i środki lekarskie, których znajomości na-

*) Supan, żupan, przewodnik pierwszych gmin zw. opolem.

była na dworze króla, ojca swojego; ile zaś razy nie mogła sama spełnić tej miłej sobie powinności, posyłała przynajmniej zaufane niewiasty, żądając od nich ścisłego sprawozdania.

Wśród marca 966 roku, kiedy już śniegi puściły a powstałe ztąd roztopy pozalewały drogi i ulice, dwie niewiasty w grubej sukiennej odzieży, w drewnianych sandałach chroniących nogi od wilgoci, przedzierały się przez liczne kałuże i wyboje ku najodleglejszej stronie miasta. Już minęły szeroką i starannie utrzymaną ulicę, już coraz rzadziej widać było drewniane domy, coraz pustszą była ta strona, a nakoniec za obszernym błotnistym rozlewem jedna już tylko chata wynurzała się z mgły i mroku, gdy jedna z wędrownic wysunąwszy się naprzód jakby szukała sposobu obejścia błota, po chwili zawróciła ku pozostałej mówiąc:

— Niepodobna!

— Muszę koniecznie pójść dziś na Lasotyn — odrzekła druga i przeżegnawszy się, uniosła nieco szaty, krocząc śmiało w kałużę. Towarzyszka pospieszyła za danym przykładem i wspierając się wzajemnie, po nie małym trudzie, po kilku potknięciach się, stanęły na drugiej stronie a otrząsnąwszy odzież, weszły do starego domowstwa.

W naszych czasach dom ten i całe jego urządzenie ubogiem nazwaćby można, lecz w owym czasie, kiedy zbytek nieznanym jeszcze był w kraju, a nawet przedmioty do pierwszych wygód życia potrzebne, za rzadkie uważane zjawiska, ledwie na dwór książęcia i możnych panów przechodziły od sąsiednich narodów, Polacy, nie wymyślni jeszcze, przestawali na małem.

Drzwi z grubej tarcicy na ciężkich niezgrabnych hakach, chroniły nieco mieszkanie od podmuchów mroźnego wiatru, oświetlało je słońce w południe przedzierejąc się mocniejszemi promieniami przez cienkie błonki, zastępujące nieznany jeszcze zbytek szyb szklanych, w kącie na ognisku z nieociosanych kamieni ułożonem, paliły się szczapy sosnowe, czerwony płomień buchał do góry, a dym czarny i gęsty tłoczył się pod górne belki i wychodził powoli otworem wybitym na to w opleśniałym dachu.

Przy zakopconej ścianie, na wywyższeniu ze skór wilczych i niedźwiedziach wzniesionem, leżała stara kobieta; postać jej wychudła, niknąca prawie w składach wełnianej szaty, twarz blada, nędzna i zgrzybiała, oczy przygasłe, były jawnemi świadkami ciężkiej choroby; ręce złożyła na piersiach, a lekkie drżenie ust i niepewne spojrzenia dokoła izby rzucane, mówiły o tajemnym jakimś niepokoju.

Przy niej na drewnianym pieńku siedział poważny starzec, czarna szata i pas skórzany wskazywały w nim jednego z duchownych, co z księżną z Czech przybyli; modlił się cicho, spoglądał

bacznie na chorą i od czasu do czasu zbliżał do jej ust kubek z uspokajającym napojem.

Gdy dwie niewiasty, przestąpiwszy próg chaty, powitały starca chrześcijańskim zwyczajem, zwiększył się niepokój chorej, a oczy jej z trwogą i przerażeniem poglądały w kąt izby, do którego najrzadziej sięgało światło ogniska. Po krótkiej z przybyłemi rozmowie, duchowny opuścił chatę, a starsza z niewiast zbliżywszy się do łoża, z łagodnym twarzy wyrazem rzekła miękką czeską mową:

— Lepiej wam widzę, sędziwa Rogniedo.

— A tak, lepiej — odpowiedziała chora przytłumionym głosem. — Wam to i dobrej księżnie, co was tu przysyła, winnam powrót do zdrowia, o którym już nie myślałam.

— Nie nam dziękuj, staruszko, nie nam, ale temu Bogu, w którego uwierzyłaś i któremu służyć odtąd będziesz.

Chora zakryła twarz rękami.

— Gdyby nie miłosierdzie wielkiego Boga — mówiła dalej niewiasta — nie ujrzałabyś już w tem życiu syna, który może w tej chwili przybędzie; co gorsza i on bez ciebie, bez twojej woli namowy, możeby nie prędko jeszcze porzucił błędy pogańskie.

Wzrok staruszki dzikiego nabrał wyrazu.

— Wojsław już przybył — wyrzekła z cicha — słyszę go!

— Przybył? czy wie już, żeś chrześcijanką?

W tej chwili zgiełk straszliwy dał się słyszeć przed chatą, liczne głosy przemawiały groźnie i surowo, a jeden nad wszystkiemi górował:

— Tak, tak, u mnie jeszcze bogi mają schronienie! Wyście się ich wyrzekli, daliście je potopić, a ja ich strzegę, ja do ostatniej kropli krwi bronić ich będę!

— I ja, i ja! powtórzyło kilka głosów.

Drzwi się nagle otwarły i wśród chaty stanął mąż pięknego oblicza, dorodnej postawy, w rysiem futrze na barkach i w takimże szłyku na głowie, zbliżył się szybko do kąta, w którym niedawno z takim przestrachem poglądała staruszka, a wznosząc topór do góry zawołał:

— Kto się targnie na ostatniego z naszych bogów?

Towarzyszący mu mężowie otoczyli go przyjaźnie, dobywając oręża, a w tejże chwili we drzwi domu zaczynali się tłoczyć wysłańcy książęcy, ścigający po kraju pozostałe posągi bałwanów.

Dwa oddziały stały już naprzeciw siebie i wnet miało przyjść do bratobójczej walki, gdy nagle płomień ogniska buchnął rażącem światłem, oświecił całą izbę, a przy jego blasku, po nad głowami przeciwników, ujrzano krzyż zawieszony poprzedniego dnia

przez Rogniedę, a poniżej, postawiony w tejże chwili ręką Wojsława, potworny posążek Jesza *).

Na ten widok dwie kobiety wydały mimowolnie okrzyk żalu i oburzenia, czem ściągnęły na siebie uwagę groźnego męża, którego niespodziewany widok krzyża przeraził i do wściekłości prawie doprowadził. Zbliżył się ku nim z zachmurzonem czołem i wykrzyknął:

— A to wy, nieszczęsne, namówiłyście matkę moją, by porzuciła stare nasze bogi?

— Tak — odrzekła starsza z niewiast — przez nas Bóg prawdziwy zesłał jej swoją łaskę!

— Słyszycie! — zawołał Wojsław — słyszycie? to one wprowadziły pod mój dach ten znak nienawistny, który teraz po całym kraju obnoszą!

— Ukarać je! wygnać te Czeszki! zabić! wołali na przemiany towarzysze gospodarza, a on sam wyciągnął rękę do ściany, na której w blasku ognia krzyż połyskiwał, podczas gdy gromada kobiet się zbliżała z zamiarem otoczenia nieznajomych. Ale Ro gnieda pochwyciła prawicę syna, wołając przerażona:

— Synu mój! To mój Bóg! Dziękuj Mu i tym co mnie uzdrowiły. Gdyby nie dobroć i starania tych kobiet, nie żyłabym już nie znalazłbyś już matki i ja nie widziałabym już ciebie!

Mówiąc to, zarzuciła drżące ręce na szyję ukochanego syna i przyciągnęła go do siebie, lecz pogańscy jego towarzysze coraz ściślej i groźniej otaczali posłanki nieznanego im jeszcze Boga. Może w zapale uniesienia dopuściliby się zbrodni, może dwie Czeszki życiem by przypłaciły gorliwość i dobroczynność swoję, lecz jedna z nich znalazła sposobność przemówienia kilku słów do dowódzcy książęcej straży i wnet skuteczna przybyła im pomoc. Starły się oręże z obu stron, zacięta walka powstała w cichym przed chwilą domu, a chociaż starsza z niewiast chciała walczących łagodnemi uspokajać słowy, druga ująwszy ją pod rękę, gwałtem prawie wśród zgiełku i hałasu wyprowadziła przed chatę, gdzie reszta wysłańców książęcych oczekiwała na znak, co czynić należało. Zaledwie odetchnęły dwie chrześcijanki, straż otoczyła je obie i z wszelkiemi oznakami poszanowania odprowadziła do dworca Mieczysława, a wkrótce potem ci, co pozostali w domu Wojsława, wyszli znać jako zwycięzcy, bo między sobą ze związanemi rękami prowadzili fanatycznego syna Rogniedy.

Coś ważnego zajdzie zapewne na Poznańskim zamku, bo od rana niezwykły ruch spostrzegać się daje dokoła. Mieszko powrócił przed kilku dniami ze swojej apostolskiej wyprawy i już kilka

---

*) Jesze, Jesse główne z bożyszcz pogańskiej Polski.

ważniejszych spraw załatwił, za naradzaniem się poprzedniem ze znakomitszymi obywatelami kraju, urzędnikami i duchowieństwem. I dziś konno i pieszo zbierają się liczni rycerze i radzcy książęcy, którzy poprzednio nie zdołali podążyć na władzcy wezwanie, otwierają im i zamykają za nimi podwoje, nakoniec cisza chwilowa nastała, bo w głębi królewskiego mieszkania odbywa się ogólna narada.

Nie ustał przecież ruch w dziedzińcu; mnóstwo ciekawego ludu zbierało się w tłum coraz gęstszy; ci chcieli ujrzeć choćby na chwilę oblicze swego księcia, owi powitać krewnych lub przyjaciół przy jego boku będących, tamci zanieść prośbę do którego z radnych panów, inni nakoniec z próżniackiej ciekawości, bo przypuszczać można, że też i wówczas byli ludzie nie znający wartości czasu i nieumiejący użyć go pożytecznie.

Około południa pachołkowie, stanąwszy u progu, ogłosili donośnie, że i w tym dniu książę osobiście sądzić sprawy będzie. Otworzono podwoje, a z tłoku, zapełniającego podwórze, komu tylko przysługiwało prawo stawiania się przed księciem, pospieszał korzystać z tego, i znaczna część tłumu, znajdującego się przed dworem, powoli się wtłoczyła do wnętrza.

W najobszerniejszej komnacie Mieczysławowego dworca, otoczony całą radą, całym dworem swoim, w wspaniałych szatach z złocistą na głowie koroną, siedział polski książę na wywyższonem miejscu, oblicze jego zwykle poważne jakiś surowy przybrało wyraz, lecz sprawy przedstawiane kolejno przez mężów, do których to należało, nie cierpiały na tem bynajmniej, że czoło sędziego posępna pokrywała chmura; Mieczysław sądził ściśle, lecz sprawiedliwie, bez względu na znaczenie i możność stron, odwołujących się do jego wyroku.

Nakoniec z pomiędzy panów, otaczających księcia, podniósł się mąż poważny o sędziwej twarzy i zbliżając się do majestatu, jako królewski podkomorzy, złożył z urzędu swego skargę przeciw Wojsławowi z Lasotyna, iż tenże opierając się książęcym rozkazom, w kilku miejscach czynnie przeszkadzał niszczeniu pogańskich bałwanów, a następnie wróciwszy do domu, gdy zastał matkę swoją chrześcijanką, zamiast iść za jej przykładem, wstawił na nowo do domu bałwana i chciał krzyż Pański wyrzucić.

Książę zwrócił surowy wzrok ku środkowi komnaty, gdzie liczną otoczony strażą stał Wojsław.

— Wojsławie z Lasotyna! — rzekł — czy przyznajesz, co ci nasz podkomorzy zarzuca?

— Przyznaję! — odpowiedział z dumą i zuchwałem okiem powiódł w około, lecz mimowolnie spuścił je ku ziemi, bo między tłumem ciekawym końca sądu ujrzał starą, drżącą z osłabienia

Rogniedę, która z wyrazem niemej boleści wyciągała ręce do niego.

Niechętne szemranie słyszeć się dało ze wszech stron, gorliwsi wydawali okrzyki zgrozy, bo przestępstwo Wojsława wszystkich wstrętnem napełniało uczuciem, nieszczęsna matka z niewymowną trwogą śledziła wyraz twarzy księcia i wszystkich radnych panów, a w każdym spojrzeniu spotykała wyrok potępiający jej syna.

Mieczysław powstał z siedzenia swojego i skoro nagle ucichły się szmery, przemówił powolnym głosem:

— Teraz, nie mogę być sędzią w własnej sprawie, wam panowić i rycerze przekładam moją skargę.

— Co to jest? jak to być może? Książę się skarzy — cóż mu się stało takiego? Takie pytania zadawali sobie obecni spojrzeniem i półgłosem. Po chwili znowu Mieczysław głos podniósł:

— Ten sam Wojsław z Lasotyna targnął się na majestat książęcy, przemawiając zuchwale, a nawet zbrodniczą podnosząc rękę przeciwko córce króla czeskiego, Dąbrówce, małżonce naszej, a waszej księżnie.

Umilkł Mieczysław i zasiadł swoje miejsce; w całej komnacie nastała chwila milczenia, podczas której urzędnik książęcy opowiedział szczegóły zdarzenia zaszłego przed tygodniem w lasotyńskiem domu.

Gniew i oburzenie przeciw winowajcy, uwielbienie dla dobroczynnej Dąbrówki, napełniły wszystkie serca, stopniowo groźny szmer podnosił się z tłumu; napróżno Rognieda przecisnąwszy się do syna, błagała o łaskę dla niego, zapewniając, że ani ona sama ani tem bardziej on, dopiero co przybyły, nie wiedział do kogo mówi.

— Wiedział, że mówi do niewiasty, którą u nas zawsze szanują, wiedział, że przywróciła zdrowie jego matce — odpowiadano na jej wołanie.

— Zuchwały! niewdzięczny! świętokradzca! powtarzały luźne głosy. Na śmierć zasłużył! oddać go duchowieństwu, wygnać z kraju! wołano coraz donośniej.

Wojsław tymczasem założył ręce na piersiach; tak dumny przed chwilą, ukorzył się nagle, bo uczucie własnej winy rumieńcem pokryło wyniosłe jego czoło. Bronić rodzinnych, choć fałszywych bogów, nie zdawało mu się występkiem, wiedział, że większa część obecnych, tak niedawno nawrócona, usprawiedliwia go w swem sercu; ale dla męża i rycerza znieważyć wobec własnej matki i pod swoim dachem dobroczynną niewiastę! Dla Polaka podnieść rękę przeciw małżonce swojego księcia, to było zbrodnią;



Pociecha rodziny.

należało ją ukarać i śmiały Wojsław czując to, zawczasu poddawał się zasłużonemu wyrokowi.

Rognieda przestraszona słowy, rażącemi ze wszech stron jej uszy, widząc, że jej błagania nie słychać nawet wśród ogólnego zgiełku i wrzawy, w rozpaczy spuściła także siwą głowę na piersi. Lecz nagle nowa myśl jakaś błysnęła w jej przygasłem oku, nadzieja rozjaśniła wywiędłe lica, zgnębiona matka przypomniała sobie, że jest chrześcijanką. Postępuje kilka kroków naprzód, pada na kolana, a z pokorą i ufnością wznosząc ręce do góry, wzruszonym głosem woła:

— Wielki Boże! zmiękcz ich serca! wróć mi mojego syna!

I rzeczywiście, widocznie te wzburzone serca łagodnieć zaczynają, coraz szersze koło tworzy się obok klęczącej, widok jej poczyna rozrzewniać niektórych, a w tem pocichu otworzyły się drzwi boczne, drzwi zawsze zamknięte od komnat niewieścich, i wśród nich otoczona orszakiem, w białej szacie, z wieńcem przylaszczek na skroni, przejrzystą objętej zasłoną, ukazała się Dąbrówka.

Lekkim krokiem przesunęła się między ustępującymi jej dworzany i stanęła przed krzesłem zdziwionego książęcia.

Gwar huczący tu przed chwilą ustawał szybko, wszyscy ze zdumieniem utopili oczy w twarzy księżnej; w jej rysach pięknych i miłych, choć ich już nie zdobiła krasa pierwszej młodości, w jej spojrzeniu zarazem poważnem i łagodnem.

— Książę i panie mój! przemówiła z wyrazem prośby; darujcie, że nie wezwana przybywam, ale moją sprawę sądzą, chciałam jej być przytomną.

Już się szemranie przeciw Wojsławowi na nowo podnosić zaczęło, ale księżna uniósłszy rękę, znowu głos zabrała:

— Wobec wszystkich tu przytomnych, proszę was panie, przyrzeczcie mi, że mojej pierwszej wysłuchajcie prośby!

— Żądaj co chcesz, księżno! — rzekł coraz bardziej zdziwiony Mieczysław — żądaj!...

— Książe! przebacz winowajcy!

— Nie! — krzyknął książę, nie, to niepodobna, wszystko, prócz tego!

— Panie, przyrzekłeś!

Poważne zgromadzenie, wśród którego byli i ziomkowie księżnej i przybyli z nią wyżsi duchowni, tłumnie przekładać jej zaczęło, że taka łagodność może się stać szkodliwą i do częstszych przewinień ośmielić; — napróżno.

— Ojcowie, rycerze i panowie — rzekła z słodyczą Dąbrówka — jesteśmy chrześcijanie pokażmy zaślepionym, że jeżeli ich bogi do walki i zbrodni prowadzą, nasz Bóg pokoju pragnie i nakazuje miłosierdzie.

Nie śmieli dłużej nowi chrześcijanie opierać się woli księżnej, przemawiającej w imieniu Boga, sam Mieczysław, tak niedawno gniewny i surowy, z uwielbieniem poglądając na żonę, nie przerywał milczenia, co ona biorąc za zgodę, postąpiła ku Wojsławowi, który z niewymownem zdziwieniem słuchał jej wyrazów. Matka jego zrozumiała je przeczuciem, bezsilna z powodu gwałtownego wstrząśnienia przyczołgała się do jego syna i głowę o jego kolana oparła.

— Rogniedo! rzekła Dąbrówka; syn wasz wolny! wracajcie do domu i niech was krzyż Pański prowadzi. Niech ten znak święty naszego zbawienia obejmie nad waszym domem opiekę i od złego was chroni.

Nie miała na dzięki siły staruszka; Wojsław nieznanem wzruszeniem przejęty, przykląkł i ledwie dosłyszanym głosem wyszeptał:

— Pani! księżno! daruj! całe życie wiernie służyć ci będę.

— Bogu służ wiernie, Wojsławie! — rzekła Dąbrówka, ja nie pamiętam urazy, bo tak każe wielki Bóg co żałującym przebacza; tak nas uczy syn Boży, który umierając modlił się za swoich nieprzyjaciół.

* * *

Niedługo potem Wojsław z Lasotyna przyjął chrzest święty i stał się z czasem jednym z najgorliwszych chrześcijan. On jeden z pierwszych w Polsce przez chętne z duchownymi obcowanie nauczył się łacińskiego języka i tym sposobem stał się pośrednikiem między nieumiętnymi ziomkami swoimi a kapłanami, z obcych krajów przybyłymi. Zjednany wspaniałością księżnej stał się najwierniejszym sługą książęcego domu; cieszył się wraz z całym krajem serdecznie z narodzenia pierwszego syna Mieczysławowi, któremu na pamiątkę macierzystego dziada nadano na chrzcie św. imię Bolesława, i opłakiwał z wszystkimi śmierć Dąbrówki, gdy w 997 r. przeniosła się do lepszego życia, zawcześnie dla tych wszystkich, których serca na zawsze sobie podbiła.

Bóg udzielił Wojsławowi długiego życia; przydany do pomocy Biskupowi, jeździł z tymże do Rzymu z prośbą o koronę dla Mieczysława, bo choć on w domu najwyższym był władzcą i nic mu do królewskiej powagi nie brakło, pragnął stanąć na równi z innymi monarchami i otrzymać zatwierdzenie godności swej od Papieża, który w onych czasach sam jeden mógł jej udzielać.

W piętnaście lat po śmierci żony zamknął i Mieczysław powieki. Wojsław patrzył na śmierć jego, jako wytrawny i doświadczony mąż jego rady. W późne potem lata, kiedy coraz liczniejsze

klasztory, a przy nich szkoły powstały, kiedy oświata, uprawiając umysły, łagodziła obyczaje Polaków i postawiła w rzędzie europejskich narodów, kiedy pod panowaniem Bolesława Wielkiego, odwiedzanego przez niemieckiego cesarza, długie pasmo szczęścia i powodzenia rozwinęło się dla kraju, sędziwy Wojsław, siedząc w gronie szanujących go przyjaciół i krewnych, zwykł był mawiać:

— Całe to szczęście przyszło tu za dobrą, cnotliwą księżną Dobrawą!

I z uszanowaniem odkrywał siwizną ozdobioną głowę, a głęboka zaduma kończyła naówczas rozmowę. *R.*

Oświata i pracowitość ludu wiejskiego w Szwecyi i Norwegii.

Szwecya i Norwegia, kraje leżące daleko od nas na północny zachód, mają jednego króla, chociaż są osobnemi króiestwami. tak, jak to naprzykład jest teraz w Austryi i Węgrzech, albo jak dawniej od r. 1815 do 1831 były Rosya i Królestwo Polskie.

Kraje te, położone na północ nad morzem Północnem i Oceanem Lodowatym, znajdują się w bardzo zimnym klimacie; zima tam trwa aż dziesięć miesięcy, są przytem te kraje przepełnione skałami, górami tak, że więcej jest skał niż ziemi uprawnej, a i ta ziemia jest tylko w małych kawałkach, a uprawa jej jest bardzo utrudnioną. Ale że te kraje mają ludność wysoko wykształconą, myślącą i rozumną, a nadto pracowitą i obyczajną, więc mądrze te kawałki ziemi uprawiają.

Lud tamtejszy bierze się na sposoby, żeby ziemia wydawała im największe jak można korzyści, chowają dużo bydła, uczą się i pielęgnują rzemiosła i handel, tak dalece, że wszyscy mają dobre utrzymanie, czyli, że rządząc się mądrze, pracowicie i religijnie, cieszą się dobrym bytem.

We wszystkich warstwach społeczeństwa szweckiego, a przedewszystkiem norwegskiego, religia jest ulubionym przedmiotem rozmowy; należy przyznać im, że nikt nie śmie szydzić z Wiary świętej, bo przez to ogólną ściągnąłby pogardę. Nauka, oświata cechuje każdego Szweda, a szczególnie Norwegczyka, to też przyjemnie z chłopem szwedzkim rozmawiać.

Naród szwedzki i norwegski jest pracowity, gościnny, szczery, rzetelny, miłosierny dla nieszczęśliwych i trzeźwy, a nie goniący za zabawami. Pod względem oświaty wszystkich mieszkańców wszystkich stanów, nawet biednego rolnika i służącego Szwecyi i Norwegii, niezaprzeczenie jest to państwo jedno z najpierwszych w Europie.

Te dwa królestwa, Szwecya i Norwegia, posiadają wybornych nauczycieli i pomimo znacznej przestrzeni, jaką przebiegać muszą dzieci przysyłane do szkół gminnych, szkoły te są przepełnione. Czego zaś szkoła dać nie może, to otrzymują dzieci od swych światłych rodziców, poświęcających nauce swych dzieci, wszystkie chwile wolne od pracy podczas długich zimowych wieczorów.

Nieumiejących dobrze czytać, pisać, rachować, nie ma tam wcale, trudno zaś znaleść w Szwecyi i Norwegii nietylko zamożnego człowieka, ale nawet służącego lub ubogiego rolnika, któryby nie prenumerował choć jednego czasopisma ludowego, t. j. gazetki ludowej.

Gdy się teraz znowu skieruje wzrok ku naszym stronom, to, acz z boleścią, muszę się przyznać, że ze wszystkich części dawnej Polski, Galicya jest najmniej oświeconą, najmniej pracę miłującą i najbiedniejszą wskutek tego — a o ileż to wyżej stoją pod względem oświaty i zamożności Szląsk austryacki, Szląsk pruski i Wielkie Księstwo Poznańskie.

Jednakże i te kraje niewyrównają w oświacie, w obyczajności i pracowitości Norwegczykom i Szwedom.

Nie możemy przeto, my tu w Galicyi spodziewać się, żeby cała ludność tego kraju była wnet zdolną do udziału w życiu politycznem, aż się postawimy na takiej stopie oświaty, wykształcenia umysłowego jaka jest w Szwecyi i Norwegii, lub w innych ucywilizowanych krajach, jak n. p. w Czechach, w Belgii, w Hollandyi, w Niemczech.

Na ukształcenie rozumu całej ludności i włożenie się także całej ludności do pracowitości, trzeźwości, rzetelności, to trzeba długiego czasu, najmniej sto lat, bo jeszcze w Galicyi tego wszystkiego brak, jeszcze niedorośliśmy. Szwedzi i Norwegczycy kształcili się 300 lat, a Galicya dopiero 50.

Małe wykształcenie rozumu i serca tylko głowę zarozumiałością i pychą obałamuca. Kilku sprytnych krzykaczy będą prowadzić lud jak baranów, bo u nas jeszcze myślenie i rozwaga w niewielu głowach.

Tak było w dawnej Polsce przed wiekami, że 30 lub 40 możnowładców, swoją przewagą co chciało na sejmach zrobiło, częstokroć ze szkodą całego królestwa, bo drobna szlachta nieoświecona, niemyśląca zdrowo, szła ślepo za wolą możnowładców, za marny poczęstunek lub haniebne przekupstwo, bo z brakiem oświaty mas narodu i złe obyczaje nastały.

Słusznie też uczony Biskup Ignacy Krasicki po rozbiorze Polski, ułożył piękny wiersz, zachęcający Polaków do pracy i cnoty:

Nie złoto szczęście czyni o bracia! nie złoto,
Grunt wszystkiego: poczciwość, pobożność i cnota,
Odmieńmy obyczaje, a jąwszy się pracy,
Niech będą dobrzy — a będą szczęśliwi Polacy.

Więc Szwedzi a przedewszystkiem Norwegczycy niech będą dla Polaków przykładem i zachętą do pracowitości i nauki, bo z pracowitości i oświaty mają oni dobrobyt, którego nie ma Galicya, chociaż jest mniej górzystą i mroźną. *X. Chromiński.*

Rady lekarskie.

Przepalenie głowy na słońcu.

Pewnego roku sierpień był bardzo gorący. Przez miasteczko P.... przechodziła, jak zwykle, kompania pielgrzymów wracających z Kalwaryi i kilkoro wśród nich zasłabło. Zawezwany, jako lekarz, pospieszyłem do nich i oto co zobaczyłem; Wszystkie niemal kobiety z całej kompanii skarżyły się na gwałtowny ból głowy, a niektóre aż wymiotowały. Inne narzekały, że im ciężko oddychać, a jedna zasłabła tak, że znajomi musieli ją wieźć na wózku. Powiedziano mi, że z domu wyszła zdrowa i na odpuście była też zdrowiusieńka; dopiero w drodze powrotnej nagle coś jej się zrobiło, przestała mówić i upadła na ziemię.

Rozumie się, nie można było zostawić chorej na drodze, więc najęto wózek, ułożono ją na nim jak można najwygodniej i przywieziono do miasta. Była to kobieta lat około 30. Zastałem ją zupełnie nieprzytomną. Oddychała ciężko i chrapliwie, twarz miała czerwoną, jakby napuchniętą, wargi sine, na białej części oczu pełno żyłek napełnionych krwią; przytem od czasu do czasu poruszała ustami i całą twarzą, jakby chciała grymasić, czy gniewać się.

Doktorowi nie trudno było poznać, że to kurcze twarzy, które chora wykonywała bezwiednie. Cały ten jej stan był bardzo niebezpieczny i *pochodził od przepalenia głowy na słońcu.* Kazałem zaraz pozasłaniać okna w izbie, położyłem chorej pęcherz z lodem na głowę i chciałem przystawić pijawki albo do przegródki nosowej, albo za uszami, alem już nie zdążył, bo kobieta zaraz umarła.

Wypadło mi skorzystać z tego nieszczęśliwego wypadku i objaśnić towarzyszom i towarzyszkom zmarłej, jak to *zbyt silny upał słońca* szkodliwie działa na człowieka i jak należy unikać przepalenia głowy. Nie zaniedbałem tego i rozpocząłem od przedstawienia obecnych tych chorych, którzy najmniej ucierpieli i skarżyli się tylko na ból głowy. Następnie powiedziałem zebranym,

że ci, co wymiotują, ucierpieli już więcej; ci, którzy oprócz tego mają ciężki oddech, jeszcze więcej; najwięcej zaś ta chora, co straciła przytomność, nie mogła chodzić, oddech miała chrapliwy i kurcze w twarzy. Oprócz tego wszystkiego może się jeszcze trafić przy przepaleniu głowy i wielka choroba (konwulsye), maligna, duszność, a każda z tych przypadłości jest bardzo niebezpieczna i zwykle tacy chorzy umierają.

Najwięcej należy strzedz dzieci od przepalenia głowy, bo one mają jeszcze cienką skórę i czaszkę, więc skwar słonecny najprędzej może im zaszkodzić; a skutki przepalenia trudniej u nich dójrzeć, bo dziecko nie powie co czuje i zwykle poznaje się dopiero wtedy niebezpieczeństwo, gdy dziecię dostanie wielkiej choroby, która jest już bardzo złym znakiem.

Nieraz śmierć z przepalenia głowy bywa nagła. Człowiek idzie, pada i umiera, zanim zdążysz dać mu jakąś pomoc. Zdarza się to najczęśziej wśród żołnierzy w pochodzie podczas wielkich skwarów. I w tym wypadku, o którym mówię, kompania pielgrzymów szła szybko, jak to sami przyznali.

Ciężka praca na upale przyczynia się także do sprowadzenia tej choroby. Co prawda, szybkie chodzenie jest także pracą, ale mówię tu o dźwiganiu, rąbaniu i wogóle o pracy ręcznej. Dlatego też prędzej zachoruje na zapalenie głowy ten, co podczas żniwa snopki podaje, aniżeli fornal, co je zwozi; prędzej ten, co tłucze na szosie kamienie, aniżeli ten, co owce pasie. Co prawda, choroba ta rzadsza jest u nas, niż w krajach gorących, jednak zdarza się, jak dowodzi tego wypadek z ową kobietą, co w dzień gorący szybko szła z odpustu.

Objaśniałem też wówczas obecnym, jak się tej choroby strzedz mają. Mówiłem, że najlepiej iść w drogę nocą, rankiem lub wieczorem; jeżeli zaś ktoś wśród gorącego dnia iść lub ciężko pracować musi, to powinien koniecznie osłonić czemkolwiek głowę, najlepiej dużym kapeluszem ze słomy, albo białą czapką. Kobiety i dzieci taksamo powinny mieć albo duże słomiane kapelusze, albo białe, podobne do tych, jakie mają Siostry miłosierdzia, co w szpitalach przy chorych siadują. Powtórzyłem jeszcze raz, że kapelusze te powinny być koniecznie białe, a to dlatego, że kolor biały najbardziej odrzuca promienie słoneczne, czarny zaś najbardziej je przyjmuje. Dawniej ludzie bali się wśród gorąca pić zimną wodę, bo sądzili, że zaziębią przez to żołądek albo płuca; dziś już picia wody w tym wypadku nie zabraniają; pić można, a najlepiej dodać do dzbanka wody kilka plasterków cytryny, albo używać za napój podczas upału zimnej kawy lub herbaty.

Łatwo mi było przekonać pielgrzymów, że okrycie głowy chroni ją od przepalenia, bo w kompanii ich kobiety, co albo nie

miały nic na głowie, albo tylko cienką kolorową husteczkę, ucierpiały najwięcej, mężczyźni zaś, z których każdy miał czapkę albo kapelusz, nie chorowali wcale, albo bardzo lekko.

Jeśli kto zachoruje na przepalenie głowy, to pierwsza rzecz 1) położyć go do łóżka, okna pozasłaniać, 2) głowę obłożyć płachtami zmaczanemi w zimnej wodzie, albo położyć na niej pęcherz z lodem, 9) pamiętać, aby chory wychodził na przechód, a więc, jeśli potrzeba, dać mu co drugi dzień rycyny. Pić może wodę z czarną kawą, lub z plasterkami cytryny; a jakby jeść zechciał, to dać mu klejiku z kaszy jęczmiennej, więcej nic. Daleko lepiej jednak będzie, jak się troszkę przegłodzi. Kto zamożniejszy, niech pośle po doktora, który, jeżeli potrzeba, postawi pijawki za uszyma, albo też na przegródce nosowej.

Słowa moje trafiły widać wszystkim pielgrzymom do przekonania, bo mi podziękowali i kilku mężczyzn odprowadziło mnie do domu. Chciałem iah jeszcze objaśnić, co się to w głowie dzieje podczas jej przepalenia, ale ani czas, an miejsce nie były do tego stosowne.

Czytelnikom, zaś *Nowego Dzwonka* muszę to choć w kilku słowach objaśnić, bo mnie martwi, gdy słyszę mówiących, że u chorych na przepalenie głowy krew się zapaliła, choć palącej się krwi nikt chyba nie widział.

Przypomnijmy sobie, co mówiłem o tej chorej przywiezionej z odpustu. Oto powiedziałem, że twarz miała czerwoną, jakby opuchniętą, a na białkach oczu występowały żyłki przepełnione krwią. Otóż to samo dzieje się i w głowie: jak do twarzy i oczu, tak również i do mózgu dopływa dużo krwi. Przepełnienie krwią żył twarzy sprawia tylko to, że człowiek jest czerwony i wygląda jakby po kilku kieliszkach wódki; przepełnienie krwią oka sprawia, że je światło razi i człowiek kiepsko widzi; ale przepełnienie krwią mózgu, sprowadza nieprzytomność, drgawki i śmierć, jak się to owej chorej zdarzyło.

Są to więc rzeczy proste i do zrozumienia bardzo łatwe; nie potrzeba tego tłómaczyć, czemś takiem, czego żadne ludzkie oko nie widziało. *Dr. J.*

Zwiastuny stanu powietrza.

Rzecz to ogólnie znana, że zwierzęta posiadają jaśniejsze przeczucie zbliżającego się stanu powietrza niż człowiek, który albo mało na powietrze uważa albo nie dość bystro uczuwa jego wpływy. Wieśniacy a mianowicie owczarze, przebywający często

w towarzystwie zwierząt, znają doskonale znaki, będące zapowiedzią nadpowietrznych zjawisk.

Po dzikich skokach *bydła rogatego* poznają doświadczeni, że dnia tego grzmieć będzie; niski lot *owadów* i *jaskółek*, jako też uporczywe ssanie krwi *bąków* i *komarów* oznacza deszcze niedaleki. Przed każdą burzą w strefie gorącej wszystkie zwierzęta są nadzwyczaj poruszone, lubo nieba ani jedna jeszcze nie okrywa chmurka; nie długo przed burzą mrówki kryją się do nor swoich.

W tenże sam sposób postępują przed każdem trzęsieniem ziemi. Wiemy także z doświadczenia, że *żaby* zwykle już na dwanaście do dwudziestuczterech godzin przed deszczem gorliwie rzegocą, lub gdy pogodne ma nadejść powietrze wdrapać się usiłują na najwyższy punkt swych kryształowych więzień.

Bądź co bądź należy popróbować przynajmniej, czyby z obserwacyi tych nie można przepowiedzieć stanu powietrza nadchodzącego. Że z tego więcejby daleko nauczyć się można, niż trzymając się ulubionych zmian księżycowych, jest równie prawdziwem, jak z drugiej strony rzeczą jest pewną, że zwierzęta lepszemi są zwiastunami powietrza, niż wielu rozumnych niby ludzi, którzy opierając się na domysłach z przepowiedni robią rzemiosło.

Instykt zwierząt jest czemś tak szczególnem, że badacze przyrody nie umieją go określić; uznają lub przeczą jego istnieniu. Zwykle oni twierdzą, że zwierzę wskutek wielkiej wrażliwości swoich nerwów, jest w stanie zastósować się do przyszłego położenia, i że większa część instynktowych jego czynności od wrażliwości tych nerwów zawisła, ale przypuszczenie to zdaje się o tyle być za śmiałem, że wrażliwość nerwowa owych zwierząt nie na godziny i dnie, lecz na tygodnie i miesiące się rozciąga, t. j. że zwierzęta przygotowują się na wypadki, które po tygodniach lub miesiącach zdarzyć się mają.

Z pomiędzy wszystkich zwierząt najlepszemi niezawodnie zwiastunami powietrza są *ptaki;* są one przynajmniej temi, których najłatwiej obserwować możemy. Bo lubo równie pewną jest rzeczą, że ciężkiej należy się spodziewać zimy, gdy glisty głęboko zakopują się w ziemi, gdy mrówki do najgłębszych nór się kryją, lub gąsienice szczelnie owijają się liśćmi, to jednak obserwowanie glist lub mrówek wielkiej wymaga pracy i mozołu. Obserwacya zaś ptaków nie ulega żadnym trudnościom. Nie zajmując się niemi wyłącznie widać je lub słychać, gdy przylatują lub odlatują, a cała sztuka przepowiadania powietrza polega po prostu na tem, żeby nieco uważniej je obserwowano, niż to powszechnie zwykło.

Gdy ostra zagraża zima, — pojawiają się na wybrzeżach Bałtyku i morza Północnego i nawet głębiej w kraju północne ptaki

przelotne, niezwykłe. I dlatego to zdarza się widzieć na daleko od morza oddalonych jeziorach i stawach ptaki błotne i wodne, które przez lat tam wiele nie bywały. Nawet ptaki północne po ziemi chodzące bywają wtenczas tam częściej niż w innych latach.

Jeżeli drozdy, kwiczoły i zięby bardzo są niespokojne, wtedy zwykle nadchodzi powietrze burzliwe; jeżeli się bardzo spieszą z odlotem, tak że ledwo sobie dają czas do pożywienia, wtenczas śniegu spodziewać się można.

Północne gęsi dzikie pozostają na bogatych w zboże i wodę równinach naszego kraju dopóty, dopóki żywić się zasiewem mogą. Jeżeli się zaś zrywają i nietylko dniem ale i nocą odlatują, wtenczas liczyć można na rychły śnieg. Jeżeli natomiast jeszcze w grudniu na polach naszych zięby i skowronki spotykać się dają, znak to, że zima będzie łagodna.

Na wiosnę zachowanie się ptaków pozwala jeszcze więcej wniosków o przyszłym stanie powietrza wyprowadzać.

Na wiosnę r. 1817 przyleciały północne zięby górskie w niewidzianych nigdy masach na nasze pola i nie chciały wcale odlecieć. Wiosna była też okropną. W tymże samym roku mieliśmy jeszcze i inne oznaki. Zimorodki gnieżdżą się zwykle na stromych miejscach brzegów rzeki. W kwietniu 1816 i 1817 r. zaś opuściwszy dawne miejsca, pobudowały swe gniazka na stromszych jeszcze brzegach małej rzeczki. Czego się z tego domyślano, sprawdziło się; wylew wielkiej rzeki był tak wielkim, że zalał wszystkie na swym brzegu gniazda; na brzegach zaś małej woda dosięgnąć ich nie mogła.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.